



STEFAN ŻEROMSKI

Popioły, tom II


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

STEFAN ŻEROMSKI

Popioły

TOM II

W WARSZAWIE PRUSKIEJ

Na obraz pierwszych po powrocie miesięcy domowego żywota Rafał spędził w Tarninach lat cztery. Orał, siał, kosił, żął, zwoził snopki, młócił zboże i sprzedawał. Pod kierunkiem ojca, który nim rządził jak podstarościm, eks-filozof zmienił się na ślepe i głuche narzędzie tej wyższej a wszechwładnej woli. Nie otrzymywał do ręki na swe osobiste potrzeby więcej nad trochę koprowiny, i to w przypadkach wielkiego faworu, wszystko zaś, czego potrzebował, udzielane mu było w naturze, z rozmysłem i zastanowieniem. Jedynym środkiem osiągnięcia jakiegokolwiek gotówki, niezbędnej na sprawienie ubrania choć trochę modnego, na pohulanek w mieście, były tajemne sprzedaże zboża z sąsieków, haracz nakładany bezprawnie na chłopów, ujmowanie obroków koniom folwarcznym i tym podobne procedery. Toteż osiadła w duszy poddziedzica głucha wściekłość na szaty, które nosić musiał, na zajęcia, które spełniał, na wszystko, co go otaczało. Nikt go nie rozumiał i on nie cenił nikogo według istotnej wartości. W ciągu tego czasu Rafał nie wyjeżdżał prawie z domu i najbliższej okolicy. Ledwie kilkakrotnie był w Sandomierzu. Zimową porą, w karnawale, hulał po dworach okolicznych, i to byłoby najszczytniejszą jego rozrywką, gdyby nie męczarnie doznanawane przy spotkaniu się tam z sąsiadami ubranymi według najświeższej mody.

Na jesieni roku 1802 od jednego z takich właśnie sąsiadów, który tłukł się po różnych stronach Galicji i Prus Południowych, Rafał powziął wiadomość, że książę Gintułt jest w kraju, że przesiaduje bądź u siebie w Grudnie, bądź w Krakowie. W duszy Rafała zrodziło się wówczas rozpaczliwe postanowienie. Napisał do księcia obszerny list, niby to z dziękczynieniem za wszelkie dobrodziejstwa, a w gruncie rzeczy skargę na obecne swe położenie. Długo, bo kilka tygodni, smażył ten list w największym sekrecie późnymi nocami, a gdy go wreszcie ułożył i tysiąc razy odczytawszy przepisał na czysto — doświadczył uczucia niebywalej ulgi. Nie myślał wcale o skutku tego przedsięwzięcia, wiedział nawet, że nic z niego wyniknąć nie może, a jednak sama myśl, że list ten dojdzie rąk księcia, sprawiała mu szczególną radość. Sam odwiózł ów drogocenny skrypt na pocztę w Sandomierzu. Przez kilka tygodni myślał jeszcze o nim, później, gdy odpowiedzi nie było, zaczął żałować tego, co napisał, a wreszcie popadł w dawną apatię.

Tymczasem odpowiedź nadeszła, ale na ręce starego Olbromskiego. Książę pisał do cześnika, nie wspominając o odezwie Rafałowej, z uprzejmym zapytaniem: czyby to familijnym widokom nie dogadzało, gdyby Rafał mógł na czas pewien objąć miejsce sekretarza przy osobie księżęcej? Zapewniał w sposób jak najpochlebniejszy, że postara się godnie wynagrodzić jego pracę, a zarazem rzucił mglistą obietnicę pokierowania losem młodzieńca. Jeżeli zgoda na to nastąpi, książę prosił, żeby Rafał przybył do Warszawy jeszcze tej samej jesieni. Stary cześnik w ciągu kilku dni nosił ten list przy sobie i głęboko się nad propozycją zastanawiał. Dogadzała jego ambicjom, czyniła zadość pojęciom o utrzymaniu się pańskiej klamki, ale z drugiej strony miała pozbawić folwark takiej jak Rafał siły roboczej. Zwyciężyła wreszcie pokusa kariery. Jednego dnia, po obiedzie, cześnik zatrzymał wszystkich i odczytał list księżęcy. Nadymał się przy tym setnie, jako taki, do którego książęta *familiariter* pisują. Pod Rafałem nogi się ugięły, gdy to usłyszał. Cześnik niby to zadawał żonie, Rafałowi i córkom pytania, jak się na tę sprawę zapatrują, ale w rzeczywistości tylko odwlekał chwilę ogłoszenia dawno powziętej decyzji. Nareszcie wyrok został ogłoszony. Ze wzdychaniem i rozkładaniem rąk cześnik zgodził się na wyjazd syna. Od tego dnia zaczęły się przygotowania, szycie bielizny, pranie, reparowanie i starania o paszport do Prus Południowych.

W listopadzie Rafał wyjechał z domu. Rzucił go z uczuciem radości. Nie żał mu było nikogo i niczego. Wszystko rwało się w nim i kipiało lecąc naprzód. Swoimi końmi zjechał na granicę pruską, a stamtąd do Warszawy pędził dyliżansem pocztowym. Wprost z *pocztamtu* udał się do pałacu księcia Gintułta. Była to stara siedziba magnacka, ukryta w ogrodach, z dala od głównych ulic miasta i ich zgiełku. Opuszczony pałac, ze ścianami, z których tynk oblatwał, z pordzewiałymi kratami bram a dziedzińcem trawą zarosłym — był jakos niegościnnie zamknięty, gdy Rafał stanął u jego podwojów. Wszystkie okna były na głucho zasłonięte szerniałym płótnem firanek, drzwi pozamykane. Po upływie znacznego przeciągu czasu stary odźwierny dostrzegł wałęsającego się przychodnia i za-

pytał, czego sobie życzy. Gdy Rafał, pełen nieprzyjemnych uczuć, opowiedział; kim jest i co go sprowadza, ów człowiek powiódł go do bocznych skrzydeł pałacu. Szli przez długie korytarze, minęli jedną i drugą salę i znaleźli się wreszcie w obliczu księcia. Rafał ledwo go mógł poznać. Twarz jego szerniała, zeschnęła i okryła się zmarszczkami. Oczy przygasły. Ten sam tylko grzeczny uśmiech ją rozwidniał, jak gdyby sztuczne światło rozpraszając zmrok wieczoru, który następuje niepowstrzymanymi falami.

— Z dawna myślałem — rzekł książę po przywitaniu — żeby cię mieć przy sobie. Kiedy napisałeś do mnie, ucieszyłem się prawdziwie. Jesteś mi potrzebny.

Rafał kłaniał się, z radością słysząc, że książę mówi do niego: *ty*.

— Musisz jednak wiedzieć — ciągnął Gintuł — że się zaprzęgniesz do pracy niemałej i ciągłej. Zajęty jestem książkami, pisaniem. Codziennie będziesz zmuszony spędzić ze mną kilka godzin na robocie. Później możesz czynić, co ci się podoba. Więc jakże?

— Jestem do dyspozycji księcia pana.

— Dobrze. Umiesz po niemiecku?

— Tak. Umiałem dosyć dobrze, ale przez cztery lata w domu nie miałem w ustach jednego wyrazu.

— To nic. Chodzi o to, żebyś umiał w razie potrzeby napisać. Potrafisz?

— Potrafię.

— Wszakże — ciągnął pan z uśmiechem — chodziłeś na filozofię?

— A tak... Chodziłem.

— Po łacinie umiesz także.

— Umieję.

— Otóż to właśnie! Ponieważ ja w łacinie jestem prawie ignorant, a muszę teraz dużo czytać w tym języku, więc ty mi będziesz na polskie tłumaczył.

— Jestem do usług.

— I jeszcze jedno. Wkładam na ciebie obowiązek milczenia o tym, co tu będziemy pisali, czytali, mówili i robili, obowiązek milczenia zupełnego. Nie powiesz o tym nikomu ani jednego wyrazu. Dasz mi na to uroczyste szlacheckie słowo. Czy możesz mi dać takie słowo?

— Daję na to słowo honoru.

— Mówię ci to zaraz, gdyż chcę, żebyś od pierwszej chwili przyzwyczał się do tego, że nic o mnie nie wiesz, nic nie słyszałeś, nic wreszcie nie rozumiesz.

— Słucham księcia pana.

— Teraz idź spać i posilić się. Masz tu pokojów bez liku. Wybierz sobie, który ci się podoba, i zajmij. Musisz tylko poprzestać na jednym służącym, który i mnie obsługuje. Gdy się wyśpisz po drodze, przyjdź do mnie.

Rafał, oszołomiony tym wszystkim, nie mógł zebrać myśli. Najbardziej podobała mu się perspektywa spania po kilkodziennym trzęsieniu się na wózku i w dylizansie. W jednym z pobliskich salonów stary kamerdyner przygotował gościowi pościel i oddał ją. Obudziwszy się nazajutrz rano i nie słysząc nigdzie w pobliżu najłżejszego ruchu, Rafał ubrał się prędko i zaczął rozglądać. Szerokie okno było zasłonięte wyniosłymi drzewami, z których sypały się złote liście. Gruby mur otaczał ze wszech stron ten osamotniony park i zamykał go od strony Wisły. W długich alejach, zasępionych cieniami lip i grabów, gdzieś przesuwał się błądy promień słoneczny. W całym domu panowała cisza tak głęboka, że słychać było szelest liści upadających na zeschniętą trawę. Rafał odwrócił się od tego widoku i szmeru. Na palcach wyszedł ze swej sypialni. Sąsiednie sale były puste. Był w nich półmrok, gdyż zasłonięte okna nie przepuszczały światła. Meble były obszyte pokrowcami, lustra osłonięte, żyrandole, świeczniki w płóciennych futerałach. Zimno i nieprzyjemny odór wnętrza w ciągu wielu lat zamkniętego — odstraszały przychodnia. Idąc tak naprzód z pokoju do pokoju, Rafał trafił na uchylone drzwi z kutego żelaza i wszedł do sali olbrzymiej, wysokiej na piętro. Była to biblioteka. W szafach wpuszczonych w mur, za drzwiami z drucianej siatki albo szkła, widać było mnóstwo książek, ustawionych na półkach kilku rzędami. W połowie wysokości tej wielkiej izby biegła ozdobnie rzeźbiona balustrada galerii. Tu i owdzie stały posągi, globusy, leżały olbrzymie teki i zwoje. Rafał siedł cicho, rozglądając się po tych bogatych ścianach i sprzętach, gdy wtem z jednego kąta rozległ się głos księcia:

— Jesteś, mości sekretarzu! Przychodzisz w samą porę. Właśnie mam chwilę czasu i chęć do gawędy. Więc siałeś na wsi pszenicę sandomierkę, żyto, a nawet jęczmień?

— Tak jest.

— I znudziło cię to do cna?

— Znudziło.

— I zatęskniłeś do świata?

— A zatęskniłem.

— Masz zupełną słuszność. Trzeba koniecznie tęsknić do czegoś innego, przenosić się sercem z miejsca na miejsce, z zawodu do zawodu, odmieniać same pożądanía, bo inaczej ziemia by nas obsiadła i pożarła. Widzisz, ja w tym czasie, gdy ty siałeś i żąłeś, nabrałem manii do czytania książek. Dawniej, ta żyłka nie odzywała się we mnie. Wystarczało mi samo życie człowiecze, nasze obecne, a to, co jest w książkach, uważałem za strawę godną szcurów, robaków i łysych staruszków. A oto nagle przyszło i trzyma... Waszmość, mości cześnikowiczu, do książek nie masz gwałtownej inklinacji? Co?... powiedz szczerze...

Rafał zaczerwienił się jak zbrodniarz schwytyany na uczynku pierwszej kradzieży.

— Nie wstydz się tylko, mój drogi. Nie ma w tym hańby. I mnie pewne okoliczności wepchnęły na tę żmudną i zakurzoną drogę. Włóczyłem się ostatnimi czasy po świecie, zawadziłem o Egipt, wiesz?... ten, co to w Afryce...

— Och, wiem! — rzucił Rafał, dotknięty do żywego.

— Udałem się w tę podróż po wojnie, która się tam rozegrała. Chciałem odszukać grób jednego przyjaciela, tam, pod beznosą czaszką sfinksa poległego. Tymczasem te piramidy, obeliski, sfinksy, pustynia, miasta zaginione i wszystko, co się tam działo, tak mię, uważasz, wzięło, że zacząłem z książek dochodzić, co i jak. Moi przyjaciele, a osobliwie jeden, którego bardzo kochałem, zostali tam zamordowani.

— Zamordowani! — krzyknął Rafał, ogarnięty przez głęboką, porywającą ciekawość.

— A tak. Ten, który był Polakiem, wyższy oficer w służbie francuskiej, nazwiskiem Sułkowski, został rozsiekany przez Arabów w bitwie, gdzie we dwudziestu żołnierza bił się na śmierć z kilku pułkami. Drugi Francuz, niejaki Venture...

— I ten został rozsiekany?

— Tak, pono z woli wodza, owego Napoleona, o którym musiałeś co słyszeć.

Rafał spłonął znowu ogniem wstydu, gdyż słyszał przecież niemało, ale opinii najsprzeczniejszych. Książkę zamilkł na pewien przeciąg czasu i siedział bez ruchu, z głową podpartą na ręku. Usta jego były odęte, a szkliste oczy posępne. Rzecz wreszcie:

— Brat twój umarł, tak młodo w sprzeczce ze mną... Tamten, generał, zginął, ledwie się do niego zbliżyłem i ledwie poznałem jego duszę. Nawet ciała jego nie znalazłem. Nawet szczątków. Krew zmoczyła spłacheć piasku Sahary — i po wszystkim. Kwiat na tym miejscu nie wyrośnie, gdzie zgasły oczy króla w rodzie ludzkim... Tak, bracie. Otóż będziemy, jeśli twoja wola, spisywali razem różne rzeczy o tych dalekich krajach, szczególnie o pustyni, Egipcie, Ziemi Świętej, Azji Mniejszej, Syrii. Będzie ci się to wydawało dziwne, ale zapomnisz o tym i nie będziesz myślał. Później ci to wytłumaczę. A teraz weź oto ten sekstern i pisz wyraźnie na pierwszej stronie te słowa:

Z PIERWSZEGO LISTU ŚWIĘTEGO HIERONIMA DO HELIODORA:

„O puszczo! kwiciem Chrystusowym kwitnąca... O osobności, gdzie one rodzą się głązy, z których w Objawieniu miasto wielkiego króla wystawione zostaje!

O pustynio, po przyjacielsku z Bogiem się ciesząca!”

— Taka będzie dewiza tego pisma, a teraz zacniemy...

W chwili, gdy to mówił, żelazne drzwi szczękły i bez szelestu wszedł do sali służący, cicho wymieniając jakieś nazwisko. Książę dał mu znak skinieniem głowy. Kamerdyner odwrócił się, uchylił drzwi i wpuścił do sali wysokiego, barczystego pana.

Nowo przybyły miał ogromną głowę z nadzwyczaj wydatnymi rysami twarzy. Oczy jego były wypukłe i natarczywie uważne, po dziecięcemu patrzące. Włosy nad czołem, sklepionym tak jakoś twardo i niewzruszenie jak odłamy skały, były poskręcane i spiętrzone w naturalne loki, niby u Murzyna. W tyle głowy ujęte w kitajkowy czarny worek,

tworzyły długi harbajtel, związany na końcu wstążkową kokardą. Ten wielki mężczyzna ubrany był w mundur oficera pruskiego z czerwonymi wyłogami. Szedł wyprostowany, głośno stukając obcasami trzewików o marmurową posadzkę.

Gdy spostrzegł Rafała, na jego twarzy odmalowało się zdziwienie, prawie zdumienie. Przez chwilę nie odrywał od niego oczu i przykry niepokój w nich się odmalował. Rafał uczył od razu dla tego człowieka niewytłumaczoną życzliwość i przyjaźń. Księżę wstał ze swego miejsca, skłonił się przed wchodzącym i zaraz, wskazując mu Rafała oczyma, rzekł tonem uspokajającym, po francusku:

— Mój nowy sekretarz, Olbromski...

Po chwili zwrócił się do Rafała:

— Możesz teraz iść na miasto i zabawić się, robić, co chcesz. Załadaj od Łukasza pieniędzy i powiedz mu, kiedy ma ci przygotować posiłek.

Rafał wyszedł co prędzej. Na ulicy zapomniał o wszystkim. Czuł tylko, jak nadzwyczajnie zardzewiał. Nie umiał chodzić po miejskich kamieniach, wiedział o sobie, że jest niezgrabny, sztywny, przygarbiony i prostak w każdym ruchu. Gdy go wymijały piękne pojazdy eleganckich pań i panów, prostował się, ile mógł. Miasto zrobiło na niego wrażenie. Był przygnieciony jego wielkością i, jak mu się zdawało, niesłychanym majestatem. Mijał jedną ulicę za drugą, dworki otoczone parkanami, zza których rozłożyste drzewa wychylały się na błotniste koleje ulicy, pałace gdzieniegdzie wśród ogrodów za żelaznymi kratami błyszczące, kościoły, nowo wzniesione domostwa.

Gdy tak, włokąc się bez celu, oglądał jedną budowlę za drugą, ktoś go niespodziewanie zawołał po imieniu i nazwisku. Rafał podniósł głowę i ujrzał stojącą na środku wiedeńską baszardę, ciągnioną przez pięć ślicznie dobranych szpaków, a w niej z pańską gracją rozwalonego kolegę z filozofii, Jarzymka.

— Rafuś! — wołał tamten — jeżeli jeszcze żywisz ku mnie żakowskie gniewy, to nie wsiadam wcale, ale jeśli przeprosiłeś się ze mną w myśli, to spadam w twoje objęcia...

— Chodźże, chodź! — krzyknął Rafał ze szczerą radością.

Jarzynski wyskoczył na kamienie i zaczął ściskać kolegę. Już jednak po chwili zawołał:

— Po stroju od strony Opatowa czy Sandomierza wnoszę, że przyjeżdżasz wprost ze swego dystryktu.

— Nie inaczej, a ty?

— Ja tu mieszkam.

— Tu? W Warszawie? I dawno?

— Od lat trzech, to jest od chwili, gdy się uwolnił z pazurów stryjaszka i zwałił z karku jego opiekę. Ale o tym potem. Przede wszystkim siadaj no, jedziemy do krawca.

— Ależ zaraz...

— Ani jednego słowa! W takich szatkach można robić furorę, ale nie tutaj. Jedziemy do krawca i do szewca.

— Nie, stanowczo! W tej chwili jest to niemożliwe...

— Jak chcesz, ale... jak cię widzą, tak cię piszą. Przecie to my w Krakowie nie daliśmy się zjeść w kaszy, a nawet... No, ale skoro inaczej sobie życzysz... Do domu! — rzucił rozkaz stangretowi.

Rafał nie mógł się oprzeć i siadł do powozu. Rumaki powodowane przez zręcznego stangreta szły z wolna, w płasach i potrajały okazałość ekwipażu. Jarzynski z niedbałością rozparł się w siedzeniu i rozmawiał z Rafałem, który mimo woli bokiem się do niego usadowił. Wówczas przybysz spostrzegł całą wykwinność stroju kolegi. Jarzynski, pomimo jesiennej chłodu, miał na sobie długopóły frak ciemnozielonego koloru z czarnym kołnierzem, złożonymi guzikami i żółtą podszewką, spodnie papuzie, kamizelkę koloru słomy, pluszowy cylinder i lśniące buty z żółtymi sztylpami. Nie był to już lekkomyślny młokos, chyłkiem wymykający się spod wzroku opiekunów, lecz wykwinny, zimny i pewny siebie panek. Utył i zmężniał, aczkolwiek był wydelikacyony jak kobieta. Jego czoło, białe jak alabaster, odbijało od rdzawej twarzy, nasyczonej żywą barwą krwi. Twarz ta, spojrzenie oczu, uśmiech i ruchy, wszystko oznaczało siłę, równowagę, spokój.

— Powiedz no mi — cedził nie spiesząc się — gdzie ty mieszkasz? W jakimś tanim zajeździe, co? Przyznaj się... Ja nikomu nie powiem. W jakimś zajeździe, którego dobra opinia grasuje wciąż między Koprzywnicą a Zawichostem od czasów Wielkiego Sejmu? co?

— Nie, ja mieszkam u księcia Gintuła.

— Gintuła! — zdziwił się Jarzyski tak bardzo i głęboko, że aż wyprostowany usiadł.

— Tam, w tym pałacu pustym jak trupiarnia?

— A tak.

— A skądże, przepraszam, taka konfidencja?

— Ja dawno już znam tego Gintuła.

— Prawda, prawda! teraz przypominam sobie, żeś to ty jego poniekąd wychowanek.

Bo tu, uważasz, nikt z nim nie ma szczęścia... Za wysokie progi, a jakże!

— No, ja jestem u niego sekretarzem.

— Sekre!... A niechże cię!

— Cóż ci to?

— No, nic nie szkodzi. Jakoś to będzie...

— Nie rozumiem, co mówisz.

— E, nic! A cóż ten Gintuł tak u licha sekretnie pisze, że aż ty musisz mu pomagać?

Przecie urzędu żadnego nikt teraz nie piastuje, więc co za aparence?

Rafał przypomniał sobie nakaz księżęcy i odrzekł:

— Nie wiem, bo jakem ci wspomniał, od wczorajszego dnia tu dopiero jestem.

— Opowiadają o nim duby smalone. To jakiś dziwak i nudziarz. Nie należy do towarzysztwa, a nawet do żadnego z tutejszych towarzystw ani stronnictw. Siedzi sam w domu, a jeżeli się gdzie zjawić raczy, to tyle zawsze pokaże ludziom efronterii i wyniosłości, że każdy gorętszy kipi. Toteż tu młodzież ostrzy sobie na niego pazury.

— Zmiłuj się!... o co?

— No, o co! Wariat jakiś jest, sensat, nudziarz, powiedziałem ci. Chodzi jak paw, nie poznaje najtęższych ludzi.

Po chwili dodał:

— Był niby we Francji, był, podobno, we Włoszech, jeździł do Egiptu, tłukł się po Arabiach i Azjach i stamtąd przywiózł te jakieś farmazońskie banialuki, którymi się tak rozpiera. To o nim rozpowiadają świadomi rzeczy. Ja draba nie znam, co może jest i lepiej, bobym z miejsca zekpał.

— Powiedźże mi: a ty co tu porabiasz? jak czas spędzasz?

— Ja, kochanku... Ja mieszkam tutaj, w Warszawie.

— A w Nieporęćcach któż gospodaruje?

Jarzyski uśmiechnął się smętnie i dmuchnął w palce.

— Jak to?

— Nie ma, braciszku! Poszły Nieporęćce.

— Bój się Boga!

— A no...

— Cóż ty mówisz... Taki majątek!

— Prawdę mówię.

— No, a jednakowoż stać cię na taki ekwipaż.

— A widzisz.

— Jakże sobie dajesz radę?

— Ekwipaż mam i dom prowadzę. Żyje się w świecie, moje dziecko sandomierskie. Wiesz co?... szkoda, że ty jesteś tym jakimś tam sekretarzem. To tak głupio brzmi, że aż abominacja bierze. Ale to się odrobi, będę w tym.

Powóz wjechał w obszerny dziedziniec i zatrzymał się przed lustrzanymi drzwiami parterowego domu. Wybiegł służący w liberii i pomógł panom wysiąść. Za chwilę znalazł się Rafał w mieszkaniu dość obszernym, a urządzonym w sposób nieco dziwny. Obok mebli wykwintnych stały tam graty najpospolitsze. Nie były to salony mieszkalnego domu, lecz męskie, kawalerskie pokoje. Niektóre z nich były brudne jak numery zajazdu. Dopiero z kilku ostatnich, które wychodziły na puste place, słychać było zgiełk rozmów czy swarów.

Jarzyski ujął Rafała pod rękę i prowadził tam właśnie. Po drodze stały ogromne fajczarnie, tu i owdzie porozrzucane przybory do czarnej kawy, tace i butelki. Dym tytoniowy gęstymi zwojami wałęsał się po kątach. W ostatnim, najobszerniejszym salonie były porozstawiane stoły do kart, i kilkunastu młodych mężczyzn grało tam, widać, od bardzo dawna. Kupy dukatów leżały przed nimi. Jedni z graczy byli wybladli po nocy

niespanej, inni porozbierani do koszul. Były wpośród nich twarze piękne i ohydne, ale przeważnie piękne, wykwintne, młodociane. Na Jarzymskiego i Rafała nie zwracano prawie uwagi. Ten i ów witał się z wchodzącym przez ramię i półgębkiem rzucał pierwszy lepszy frazes. Twarze to były zimne i pozornie obojętne, niektóre jakby znudzone, ale wszystkie oczy gorzały od szatańskiego ognia, którym, według chłopskiej legendy, przepalają się złote pieniądze zakopane w ziemi. Trwało milczenie. Niekiedy tylko przerwał je głos tego lub owego gracza:

— *Va banque!*

Rafał był onieśmielony, a zarazem wstrząśnięty do gruntu. Coś go ścisnęło za gardło. Tak już dawno nie grał, a podobnych gór złota nie widział w życiu. Dym wyborowych tytoniów przenikał go na wskroś i otumaniał mu głowę. Jarzymski posadził go na krześle w bliskości ciągnących bank, a sam znikł w przyległych pokojach. Przez czas pewien Rafał czuł się bardzo onieśmielonym, ale z wolna oswoił się z sytuacją, tym snadniej że nikt nań uwagi nie zwracał. On za to z pilnością przyglądał się twarzom, jednej po drugiej. W pewnej chwili Jarzymski wrócił. Przysiadł się do Rafała i oparł się o niego ramieniem o ramię, jak to miał zwyczaj czynić, gdy obok siebie wysiadali godzinami na szkolnych ławach. Teraz to namacalne uprzytomnienie szkolnej zażyłości było dla Rafała szczególnie przyjemne. Po jakimś czasie Jarzymek nachylił się i zapytał szepcząc, zupełnie jakby byli na lekcji starego *Nempe*:

— Chciałbyś zagrać, stary?

— Nie, nie! — odpowiedział mu szeptem socjusz — dopiero przyjechałem... A zresztą... ja nie mogę grać tak hazardownie.

— Jakby się też stary cześnik dowiedział, Jezu Chryste, Panie miły!

— Ale nie o to, tylko...

— Tylko o co?

— To magnacka gra!

— Moje dziecko... — uśmiechnął się Jarzymski — nie wchodzilibyśmy też do gry tych ichmościów. Ja sam przecie nie przysiadam się do nich. Masz najzupełniejszą słuszność. To są grube sumy. Każdy należący do motii musi przynieść spory worek. Gdybyś chciał, zagralibyśmy sobie po staremu, w wiścika, jak to na Kleparzu bywało, pamiętasz?

— No, w wista... Choć ja tyle już lat nie grałem...

— Ale gra została ci w głowie, tego nie skłamiesz.

— Gra mi nie obca, to prawda.

— A więc widzisz...

Jarzymski wyszedł, kazał przewietrzyć sąsiedni pokój i rozstawić tam stoliki. Zarazem poszeptal protekcyjnie z młodzieńcami, którzy równie jak Rafał przypatrywali się grze ogólnej. Zapoznał ich z Rafałem. Byli to Litwini, synowie obywatelscy, przecierający się w Warszawie. Zasiadli we czterech do stolika i gdy dano kartę, Rafał, zaczerwieniony po same uszy, odezwał się: po czemu grają? Jarzymski rzekł z niedbalością:

— Jak tu zwykle — po dusiu, a zakłady po trzy na partie.

Rafał miał przy sobie kilkanaście dukatów, które mu z rozkazu księcia wręczył kamerdyner jako ratę przyszłej pensji sekretarskiej. Wstyd nie pozwalał wstać od stolika, a zimne poty były na czoło, gdy myślał o straszliwej cenie kart.

Jarzymski nachylił się i szepnął mu do ucha:

— Nie turbuj się o pieniądze. Płacę za ciebie.

Po chwili znowu mu szepnął:

— Graj śmiało.

Ale Rafał i bez zachęty odzyskiwał już spokój i pewność siebie. Z samego procesu gry wiało na niego dawno, dawno zapomniane upojenie. Jakoby dźwięki muzyczne, przypominające ubiegłą młodość i związane z nią szczęście, działał ten wist. Machinalnie rzucając, biorąc, tasując karty, przebiegał marzeniem, które o bycie swym nic zgoła nie wie, rozległe chwile ubiegłych zdarzeń. Uczucia, pogrzebane w ziemi, dźwigały się ze swoich łożysk i grunt drżał wokół. Dziwnym kaprysem losu szalenie szła mu karta. Nie zastanawiał się ani sekundy nad żadną kombinacją, nie wiedział nic o tym, co robi, a wykonywał wszystko przepysalnie, jakby za dyktandem szatana.

Litwinkowie grali wciąż obojętnie, ale twarze ich były coraz bardziej sztywne i oczy coraz silniej przymglone. Jarzymski śmiał się niekiedy, niedbale gwarzył o Sandomiersz-

czyźnie, o szlachcie spod Koprzywnicy... Kiedy niekiedy oczy jego wpijały się jak szpony w rękę i twarz Rafała, pragnąc wysledzić i chwycić w lot tajemnicę tak dziwnego szczęścia. Po chwili jednak te jastrzębie spojrzenia ginęły w dobrotliwie filisterskich uśmiechach. Wszystkie te okoliczności budziły w szczęśliwym graczu tylko mętną radość. Był tak pewny swego szczęścia, że gotów był stawiać jak największe sumy z najzupełniejszą pewnością, że je w trójnasób odbierze. Nie chciało mu się tylko zaczynać takiej sprawy.

Mrok zapadał. Wniesiono świece i Rafał wówczas dopiero spostrzegł, że cały prawie dzień spędza przy stoliku. Właśnie przerwano grę. Z dziesięciu robrów wygrał siedem większych i zakłady, co mu dało w zysku około setki dukatów. Gdy od niechcenia zgarnął do kieszeni ów stosik złota, Jarzyski odciągnął go na bok i z przyjaznym uśmiechem mówił:

— Cóż, Rafałku?... weselej tu żyć można niż pod opieką staruszków.

— No, pewnie.

Rafał uśmiechnął się bezmyślnie.

— Teraz powinieneś stanowczo wejść w koło towarzyskie. Będę w tym, żeby ci pomóc. Nie bardzo tylko rozgłaszaj o tym sekretarstwie u Gintuła...

— Ale ba!...

— Dajże pokój. Już ja to urządzę. Przede wszystkim musisz się po ludzku przebrać. Dziś mamy jechać do klubu i na teatr. Mógłbyś z nami... ale w tych szatach nie sposób. Wiesz co, włóż dziś moje suknie, jak to dawniej bywało. Jesteśmy jednego wzrostu.

Rafał przystał i poszedł za gospodarzem do garderoby. Wypłynął stamtąd ubrany czarno we frak i pończochy, z modną chustką na szyi. Karciarze rozjeżdżali się i wkrótce Rafał został sam z Jarzyskim. Przechadzali się po zadymionych pokojach, rozmawiając, dopóki nie założono koni do karety. Wkrótce mała, wygodna karetka niosła ich do perukarza, a stamtąd, wyświeżonych i uczesanych według ostatniego wzoru — do klubu. Rafał, wyczuwając na łądźwi ucisk ciężkiej kupy złota leżącego w kieszeni, był tak pewny siebie, jakby do owego klubu jeździł codziennie w ciągu lat. Uczucie owej pewności upodobniło się do uczuć Jarzyskiego i przemocą wdarło się na wyżynę. Rafał istotnie znał wszystkie sprawy, które dopiero miał poznać, rozumiał okoliczności, o których istnieniu dopiero miał się dowiedzieć.

Śmiało, z elegancją i wyniosłością przeszedł między szeregiem lokajów zginających grzbiety, roztwierających drzwi, i znalazł się w salach rześście oświetlonych. Stary pałac, przez sprytnego kamerdynera-dorobkiewicza zamieniony na klub tak zwany angielski, nosił jeszcze dawną, Stanisławowską cechę. Te same jeszcze zostały ściany, obicia, gzymsy, odrzwia, stare portrety i meble, tu i ówdzie wkradł się jakiś haniebnie rażący, iście szelmowski przybysz, jakiś kredens sosnowy ledwie powleczony siarczystą ochrą, jakiś stół rozsuwany, jakaś szafa-kulfony z kieliszkami. Meble były zniszczone, obłamane, pokryte brudem.

W każdej z tych sal było jeśli nie pełno, to hałaśliwie nad wyraz. Goście klubowi, podzieleni na grupy, zasiadali przy stołach i stolikach, gwarno ucztując. W kilku miejscach ów gwar zamieniał się na zwadę i hałas, ale najbardziej wrzaskliwie było za drzwiami, do których właśnie zmierzał Jarzyski. U samych prawie podwojów nasunął się buńczucznie idącym przed oczy człowieczyzna w haftowanym fraku, z głową upudrowaną i czerwonym nosem. Klaniał się do samej ziemi, nie spuszczać z Rafała oka badawczego w sposób napastniczy.

— *Blacha* ucztuje... — mówił z boleścią, przyciskając dłonie do piersi.

— Mój przyjaciel. Ja prowadzę. Słyszysz, Kaczorosiu?

— Słyszę, ach, słyszę! Przecie nie mogę... Tu tyle saloników, dam cudowny gabinet hrabianki Rozalii, perlę...

— Idźże, Kaczorosiu, ode drzwi, żebym cię snadź nie skaleczył — prosił go rzewnie Jarzyski.

— Boję się! Wyznaję to ze skruczą. Na miły Bóg, boję się! Rotmistrz mię przestrzeli na wylot zatrutą kulą.

— Dawno ci się to, kochanku, należy za zmarnowanie tak pięknego pałacu. Słyszysz chyba przecie, co do ciebie mówię. Ja prowadzę!

Gospodarz klubu wznosił oczy w kierunku szerniałego sufitu, jakby wzywał Boga na świadka swej niewinności, i usunął się. Jarzyski otwarł drzwi z hałasem i wszedł pierwszy, prowadząc Rafała pod ramię.

Niewielka owalna sala, na której progu stanęli, była pełna gości. Szeroko rozsunięty stół zajmował jej środek. Stosy butelek, kosze z owocami, dzbany, piramidy cukrów, poprzewracane olbrzymie bukiety jesiennych kwiatów piętrzyły się na tym stole, dokoła którego siedzieli i stali towarzysze zabaw księcia Pepi. Wszyscy ostrzyżeni byli *à la Titus* albo *à la Caracalla*. Większość była w towarzyskim kostiumie. Ci ludzie dobrego wychowania, dziedzice wielkich dostatków, spadkobiercy historycznych imion, śpiewali i krzyczeli jak opętani. Skoro tylko drzwi się otwarły, barczysty węż olbrzymiego wzrostu przywitał wchodzących tubalnym okrzykiem:

— Kto śmie?

A po chwili, ujrawszy Jarzyskiego, miotał węż krzykliwe słowa:

— Z kim tu wchodzisz, starosto przemyski?

— Z przyjacielem, mości odźwierny! — odparował Jarzyski równie wrzaskliwie i prezentował Rafała wszystkim:

— Kolega mój i najbliższy przyjaciel, Olbromski, dziedzic z Sandomierskiego.

— Z Sandomierskiego... — mruknął węż.

— Prosimy... — ozwał się jeden głos w tłumie.

Rafał wiódł po zgromadzeniu ogniste oko, jak gdyby szukał, kogo ma chwycić za gardło, i dopiero po chwili z lekka skłonił się wszystkim. Krzyki na chwilę umilkły. Ktoś niezręcznie zakaszłał, inny usunął się z krzesłem. Znalazły się dwa miejsca przy stole.

— Mówimy tu — wołał do Jarzyskiego przez stół ów węż, którego zwano rotmistrzem — o Stasiu Woysiatyczu, co to pragnął wejść do najpierwszego towarzystwa, przybywszy wprost spod Kobrynia...

— A trafił na zebranie niby masonów... — przerwał mu młody blondynek mielący już językiem — a te farmazony zaczęły go wodzić po piwnicach... Kazali mu — che che — dotykać z nabożeństwem głów kapuścianych i wymawiać przy tym jakieś głupie słowa, zanurzać ręce po łokcie w garnkach kwaśnego mleka i rysować końcem palca krzyże na polciach słoniny. Trzymajcie mię!... umrę ze śmiechu...

— Ty go musisz znać, Jarzyski, tego tam Woysiatycza, bo ty znasz przecie wszystkich bez wyjątku.

— A ty, rotmistrzu, coś się nie wstydzisz z tyłimi wąsami służyć pod Zajączkiem, znasz tylko bogatych.

— Masz słuszność. Ja nie ze wszystkimi zabierać zwykłem... Mam, uważasz, krótką z przyrodzenia pamięć co do hołoty.

— Osobliwie, gdy przyjdzie długi oddawać.

— Karciane, arystokrato — wołał rotmistrz coraz głośniejszą wśród powszechnego hałasu — zaciągnięte w twoim *atelier*...

— Dowiedziałem się, że *atelier* Jarzyskiego mieści się nie tam w prywatnym mieszkaniu, lecz zgoła gdzie indziej — z cicha wycedził wysmukły, wytworny w każdym ruchu młody mężczyzna, ślicznie odziany i szeleszczący jedwabiem.

— Ba, to rzecz wiadoma! — prawil rotmistrz — rzecz wiadoma, że ma dwa, ale mówię o karcianym.

Jarzyski z lekka poczerwieniał i niedbale strzepywał pył z kłapy fraka.

— Słuchaj no, Szpilka, za wiele gadasz... — rzekł do owego modnisa o szyderczej twarzy.

— Za wiele? Żartujesz!... Jestem powściągliwy jak ksiądz Baudouin. Jeżeli mówię, że baronowa...

— Szczęśliwy! — zaryczał rotmistrz — stokroć szczęśliwy! Baronowa drze starego kasztelana, a on...

W owej chwili Jarzyski nagłym ruchem ręki porwał wielki, obmokły bukiet ze stołu. Ktoś z boku siedzący chwycił w lot jego rękę i przydusił ją do serwety. Całe towarzystwo nie przestawało chichotać. Rotmistrz ocierał spoconą twarz i z wolna mówił:

— Staniesz mi jutro przy szopie i odpowiesz za ten bukiet, któryś ruszył.

— Uszy ci obetnę, stary tchórz!

— Dobrze zrobisz. Nie będę przynajmniej nic już słyszał o tobie, twoich koniach i twojej baronowej. A teraz dosyć! Wołać Kaczora...

— Kaczor! — krzyczano.

We drzwiach pokazał się upudrowany czerep gospodarza.

— Wina tu przynoś, zubożony lokaju! Spasłeś się, gruby jesteś jak słownik Forceliniego, śpisz sam na hetmańskim łożu i o panach swych zapominasz! — wołano.

Wnet ukazały się nowe kosze. Brodem znowu popłynęło wino szampańskie, biały burgund, stare węgierskie.

Ktoś śpiewał:

*Je ne trouve rien de charmant
Comme les belles;
Je ne pourrais un seul moment
Vivre sans elles,
Mais sans jamais trop m'engager
Je les courtise...*

Ktoś inny pijanym dyszkantem kończył:

*Toujours aimer, souvent changer —
C'est ma devise...*

— Jarzyski, to się do ciebie nie stosuje... — drwił z kąta zezowaty młokos — ty jesteś stały.

— Słyszałem od wiarogodnych matron... — gadał rotmistrz niby to do przyjaciela zwanego „Szpicem”, ale tak, że wszyscy słyszeli — na pewno... karmi go łyżeczką. Daje mu trzy razy dziennie tokaj zgęstniały. I tylko dlatego...

— Ale też i oszczędza na tym, bo on jej znowu służy i za karneciarkę, i za pucmacherkę... — szeptał Szpic.

— Mylicie się! — wołał zezowaty. — Nie stąd on czerpie głównie swoje zyski. Co to dla niego! Życie tak wystawne wymaga sum niemałych. Ja nie chcę rozgłaszać, ale mam wiadomości. To człowiek pracy, zasługi, obowiązku. Ma ukryty browar, tylko jeszcze nie wiem gdzie, na Kłopockiem, czy gdzieś w okolicy Wareckiego. Wyrabia szlacheckie piwo, jako że i sam jest szlachcic z prapradziada. Rankiem, kiedy my wszyscy bezbożnie śpimy, rozwozi je po Żydach, przebrany za fornała. Tak ten człowiek pracuje!

— Zamilcz! zamilcz... — wołano.

— Czemu go drażnicie?

— Bo chcę i mogę... — zaperzył się Szpic.

— Takeście już zgąlganieli — zaczął ryczeć rotmistrz — że chcecie wybić ostatnią źrenicę wolności klubowej, wyrwać wolne słowo z gardła! Przenigdy! Trupem się tu uwalę, a będę gadał, co mi się podoba!

— Dajcież mu się wygadać... — rzekł Jarzyski.

— Będę gadał, i to wciąż o tobie. Wiem, a przynajmniej słyszałem, że w Borchowskim ogródku na Miodowej ułatwiałeś...

— Chce mię nie tylko jutro przy szopie zgładzić swoją straszną szpadą, wslawioną w dwunastu ucieczkach z placu boju — drwił Jarzyski — ale jeszcze zdyszonorować przed śmiercią dla uniknięcia spłaty długu.

— Mylisz się. Będę tańczył na twoim grobie, to prawda, ale ci wystawię pomnik ze stosownym napisem w języku łacińskim. Wyliczę wierszem jambicznym twe zasługi.

— Tego nie rób, bo i w krótkim wierszu nie wytrzymasz, żeby nie zelgać.

— Zauważyłem — przekrzyczał innych zezowaty wyłażąc ze swego kąta — że Benedykt dąży do *absolutum dominium*.

— Nikt nie zauważył tego — odparł nazwany Benedyktem — prócz ciebie, bo ty masz wprawę. Nie rozumiem tylko, czemu się teraz martwisz tym, z czego niedawno radowałeś się tak głośno.

— Cóż znowu ci plotą?

— Przypominam tu bladookiemu, że jest mieszczaninem, należy do stanu trzeciego, nie do nas, którzy tyle win dźwigamy na frakach i fryzurach.

— Dowiedz mu tej hańby, bo inaczej skażemy cię na zapłacenie całej kolacji.

— Przecie to oczywiste. Jużem był wówczas wyszedł z kołyski na szerszy horyzont, a nawet stawiałem pierwsze *pas* na niełatwej wcale posadzce umizgów, gdy obecny tutaj bladooki zapisywał się na ratuszu warszawskim w poczet mieszczan, do cechu cnotliwych szewców czy nawet do grona arcywymownych krawców.

— Kłamiesz! — zawołał zezowaty.

— Pójdziemy na ratusz i sprawdzimy!

— Walmy na ratusz!

— Każemy Koehlerowi pokazać ten dokument.

— Więc jakże? — krzyczał mówca — jeżeli znajdziemy tam jego podpis z odpowiednio patriotycznym zakrętasem, co wtedy? Gdzie sprawiedliwość?

— Wrzucimy go do otchłani białoskórników, zjednoczonych z szewcami.

— Kazali mu zanurzać ręce po same łokcie w słojach z kiszonymi ogórkami i wymawiać po trzykroć: *Mak be nak!* — bełkotał blondyn siedzący obok Rafała.

Patrzył mu w twarz zupełnie zamglonymi oczyma i czepiał się rękoma ramienia. Jarzyski, bynajmniej niezmięszany mnóstwem zaczepek rotmistrza i innych, dbał o Rafała z pilnością. Nalewał mu z grubej butli burgunda, podsuwał talerz i potrawy. Rafał pił chętnie, byleby nie siedzieć z beczynną niezgrabnością, którą (czuł to dobrze) wszyscy widzieli. Wino dodało mu odwagi i wesela. Coraz bezczelniej i niedbalej wlepił oczy w twarze siedzących, wsłuchiwał się w rozmowy, a raczej w kłótnie wrzaskliwe, w opowieści i grube anegdoty. Francuzi emigranci prym trzymali w tym względzie, choć i krajowcy dotrzymywali im kroku.

Po drugiej stronie stołu rozwalil się był i siedział z łokciami daleko na stół wysuniętymi człowiek lat czterdziestu z górą, o twarzy czerwonej i surowych oczach. Rozpiął koszulę, rozluźnił chustkę i głośno sapał. Oczy miał wlepione w Rafała.

Rzekł do niego:

— A waszmość z jakich Olbromskich, jeśli łaska?...

— Słyszałeś, że z Sandomierszczyzny — burknął Jarzyski przerywając rozmowę z kim innym.

— Ciebie się pytają, filozofie? Z Sandomierskiego? Jeśli z Sandomierskiego i Olbromski, to powinien być bratem czy krewniakiem Piotra...

— Brat jestem.

— A no! Gdzież on teraz siedzi, ten mizantrop?

— Umarł kilka lat temu.

— Umarł... — rzekł tamten ze spokojem, jakby się dowiadywał, że brat Rafałów inny folwark wziął w dzierżawę. — Szkoda chłopca, oficer był co się zowie, z instrukcją, choć pedant i kaznodzieja. Stał w mojej okolicy. Żyliśmy. *Febris* go trzęsła z indygnacji, kiedyśmy, młodzież okoliczna, sprowadzała sobie guziki modne do fraków, szlaczki do kamizelek, sprzączki do trzewików, paryskie trzewiki i worki do włosów od Carpentiera, kiedyśmy o tym gadali, sprzecali się, dysputy wiedli. Bywał u mnie w Oleśnicy, kiedy to pod Połańcem leżeli.

— W Oleśnicy! — żywo zawołał Olbromski.

Jedno z najpiękniejszych wspomnień żywota, noc słowicza z precudownymi gwiazdami, jakich już nigdy potem oczyma nie widział, przemknęło w lotnym widzeniu.

— No, w Oleśnicy, w moim gnieździe. Znasz może waszmość to miejsce?

— Tak. Jeździłem tamtędy do brata pod Małogoszcz.

— A toś sobie wasze twardą drogę wybrał... Ze Staszowa na Brody, co?

— A właśnie! Wielkie tam stawy, trzciny, dalekie łąki.

— A stawy piękne, to prawda. Knieja tam teraz, bracie, otworem staje... Psy skomlą! Tylko patrzeć, rychło pierwszy przymrozek pobiele suche liście...

Podniósł się, wyciągnął rękę i patrząc w Rafała swymi ciężkimi oczyma, mówił:

— Skoroś waść dobrze o Brodach wspomniał, a Oleśnicę znasz, z mojej strony jesteś, a nadto brat dawnego towarzysza, toś sam towarzysz i brat. Piję w twe ręce, bracie... jak ci na imię?

— Rafał.

— W twoje ręce, Rafał! Nasamprzód za tamtego, za Piotra. Niech sobie odpoczywa w pokoju wiecznym!

— Niech odpoczywa w pokoju wiecznym... — rzekł Rafał rozrzewniony, wychylając wielki kielich do ostatniej kropelki.

— *Iterum*, bracie!

— *Iterum atque iterum!*

— To nie był łotr, pies i zawalidroga taki jak ja i ty. Boś i ty łotr, pies i zawalidroga, skoro siedzisz między tymi urwipółciami i żłopiesz wińsko, zamiast psiarnię puszczać. Ty myślisz, że ci psy nie zależą pola, że ty godnego psa możesz latami trzymać w zamknięciu. Bajki!

Rafał kiwał dobroduszenie głową i przez łzy patrzył w twarz mówcy.

— Tamten to był statysta, mądrała. Cho-cho! Jak nam nieraz zaczął *de publicis* bajać, to my się mało nie pobeczeli. Choć co do szermierki, to nie. Nigdy się z nim, dziękować Bogu, nie składał ze zwady i w kolerze, ale też zimnym okiem snadniej widział. Poszatkowałbym go na kapustę, gdyby do rzeczy przyszło, bo ręki, powiem ci otwarcie, nie miał...

Rafał pomyślał sobie, że pewnie dlatego nieboszczyk brat wybrał pistolety po sprzeczce z Gintułtem. Zląkł się walki na szpady. Ze strachu umarł... Niemiłe rozczarowanie co do brata, obrzydliwe rozstrzygnięcie zagadki przewinięło się w jego sercu. Uderzył w kielichy i pił tego, żeby z siebie wygnąć zmorę wspomnienia. Wnet zaczął mu imponować nowy przyjaciel. Pragnął rzucić mu się w objęcia, czymkolwiek wyrazić swoje uczucie. W pewnej chwili wstał i zawołał na cały głos, uroczysto wznosząc szkło do góry:

— Wnoszę ten toast na cześć psiarni w Oleśnicy!

— A ten co znowu? — wołano.

— Słyszeliście!

— Kto to jest?

— Dojeżdżacz Kalinowskiego...

— Ja wnoszę ten toast — wołał zezowaty naśladując do złudzenia drżący nieco głos Rafała — nie tylko na cześć psiarni w Oleśnicy, lecz i na cześć kurnika w Pacanowie!

Głosy te ginęły w nadzwyczajnej wrzawie. Rafał ze ściśniętymi pięściami zaczął się przedzierać do zezującego prześmiewcy, ale nie mógł roztrącić zbitego tłumu. Dwaj przeciwnicy rzucali się tutaj na siebie z krzykiem:

— Twoje dobra na Litwie! Kłamco, drzyj! Wiadomo przecie, żeś się dorobił jako hecmajster na Brackiej ulicy.

— Cha cha cha — ryczał tłum zgromadzony. — To cię zajechał. Tej plamy nawet Caren z ciebie nie wywabi.

W całej sali nie było już ogólnej rozmowy ani rozmowy w ogóle. Przekrwione oczy ledwo widziały. Jedni ściskali się z niezmierną serdecznością, inni patrzyli na się wzajem spođe łba.

Przez rozwarte okna wiał przejmujący chłód jesienny.

Rotmistrz przekrzyczał wszystkich:

— Czy tu myślicie do rana siedzieć? Teatr!

— Prawda — wołano — teatr! Teatr się zaczął. Co żywo! Zbierajcie się. Kończcie!

Jak na zawołanie, okrągły gospodarz zjawił się we drzwiach. Nisko schylił wypudrowaną głowę... Wymienił jakąś sumę, a wnet ten i ów zaczął rzucać na stół dukaty obrączkowe. Gospodarz zgarniał je z rzewnym uśmiechem, schylając kark i przymrużając oczy w taki sposób, jakby tylko-tylko oczekiwał ciosu katowskiego topora. Zjawili się lokaje podający kapelusze, laski, płaszczyki, okrywki. Cała banda z hałasem minęła salony klubu i wypadła na ulicę. Mżył drobny, zimny deszczyk. Ciemności niezgłębione panowały naokół. Nigdzie nie było widać ani fiaków, ani przewodnika z latarnią, więc całe towarzystwo głośno hałasując ruszyło środkiem ulicy, po błocie. Jarzyski chwycił Rafała pod rękę i pociągnął go naprzód:

— Idziemy na teatr...

— Teatr... Czy to tego Bogusławskiego?

— Co pleciesz?!

— A przecież go wszyscy chwalą, co widzieli...

— U was na wsi?

Teatr, Zabawa, Bijatyka,
Szlachcic, Warszawa

— A no...

— Wiedźże o tym, że tamto jest buda, o której się nawet nie mówi. Dobre to sobie jest dla stangretów, lokajstwa, łyków i wszelkiej gawiedzi z miasta. Nigdy się z tym nie odzywaj, że chcesz to widzieć, bo byś się finalnie skompromitował. No i mnie przy tej okazji. Idziemy na *théâtre de société*, do Radziwiłłowskiego pałacu...

— Ależ dobrze! Nie wiem o niczym...

— Trzeba, żebyś wiedział, skoro jesteś między ludźmi należącymi do socjety. I tam chodzi wprawdzie banda Sołtykowska i Sapieżyńska dla pokazania na złość nam swej polakierii, ale główny kontyngens widzów — to motłoch. Uważasz?

— Jeszcze jak!

Wlekli się środkiem ulicy, skręcali za drugimi z zaułka w zaułek, utykając w dołach i kałużach. Idący przodem śpiewali jakąś pieśń awanturniczą. Rafał, już w klubie zamroczony, na powietrzu tracił coraz więcej władzę w nogach i rękach. Gdyby nie Jarzyski, runąłby był w pierwszą lepszą kałużę. Długo nie wiedział wcale, gdzie jest. Dopiero wprowadzony na schody wiodące do sali teatralnej — przyszedł nieco do siebie.

Banda tłoczyła się przy drzwiach zamkniętych, usiłując wejść, chociaż już pierwsza komedyjka Dorata pt. *La feinte par amour* miała się ku końcowi. Kiedy Rafał za innymi wtoczył się do sali, spostrzegł, że była pełna po brzegi. Znalazłszy się na parterze, w sąsiedztwie łóż zajętych przez damy, towarzysze wyprawy przycichli i uspokoili się. Wejście ich zwróciło uwagę wszystkich. Spostrzeżono wyrazy ich twarzy i we wszystkich łóżach poczęto szeptać. Rotmistrz zauważył to i mówił swym basowym szeptem:

— Widzą nas nawskroś. Jesteśmy śmieszni.

— Wychodźmy, jak tylko sztuka się skończy.

— Wychodźmy!

— Duszno...

— Anizetka — szeptał rotmistrz — podaję myśl: chodźmy *in corpore* do budy Bogusławskiego. Tam także dziś pokazują. Można będzie zabawić się.

— Dobra myśl!

— Wychodźmy!

— Dalej w drogę!

Wkrótce, skoro tylko zasłona spadła, całe gremium wysunęło się chyłkiem. Większość miała tu oczekujące przed teatrem powozy, karykle i lokajów ze światłem, ruszono tedy na plac Krasieńskich gwarno i z pieśniami. Jarzyski jechał w powozie z Rafałem i kimś jeszcze, kogo zwano Bursztyńkiem. Ów towarzysz wyprawy ciągle coś gwarzył zanosząc się od śmiechu.

— Cóż oni tam będą odstawiali? Jarzymek, ty wiesz pewno?

— Jakiego prawdopodobnie *Cyda* albo *Hamleta*. Kto ich tam wie? Może jaką niemiecko-czułą operę, jaki *Flet zaczarowany*...

— Piękne, ach, dekoracje „pędzla” pana Smuglewicza i wycie tych oberwańców w języku przodków... Cóż my tam będziemy robili?

— Zobacz się. Jest bufet.

— No bufet... Ale ja nie jestem spragniony ich lokajskiego piwa... Przepraszam, może tam sprzedają piwo szlacheckie?...

— Wyrzucę cię z powozu!

— Wobec tego...

— Siedź spokojnie i czekaj!

— Podejrzewam cię od dawna, że jesteś owładnięty przez wulkaniczne ognie patriotyzmu *d'antichambre* i dlatego mię tam wiesz w chwili, kiedy otoczony jestem przez mdłości.

— Mogę cię, powtarzam, zaraz wyrzucić, jeśli ci o to idzie.

— A, przepraszam! Nie masz po temu prawa, skoro w perspektywie jest bufet.

Za chwilę wszyscy znaleźli się w ciemnych, lojowych świeczkami nędznie rozwidlonych przejściach i sionkach teatru. Z hałasem i wrzaskami kazali sobie sprowadzić aktora sprzedającego bilety, który już był kasę zamknął, i rozmawiając na głos weszli do sali. Było tam pełno, tylko publiczność była zupełnie inna. Grano tragedię Racine'a pt. *Brytannik*. Ponure gadanie wierszem rymowanym rozlegało się ze sceny słabo rozwidnionej

świeczkami.

— To jest ogromnie wzruszające, mości panowie, nieprawdaż? — mówił głośno do kolegów rotmistrz, ledwie wszedł na salę i nim spojrzał na scenę.

— Jesteśmy poruszeni do głębi żołądków...

— Mnie wątroba wyskoczyła z klubów i chodzi samopas.

— Rozepchnijcie, jeśli łaska, tych rodaków z Podwała i Krzywego Koła! — wołał Anizetka. — Nie po to przyszedłem do tej otchłani z zapłaconym biletem, żeby mieli sposobność deptania po moich wypielegnowanych nagniotkach.

— Żądaj natychmiastowego zadośćuczynienia od tej chudej aktorki, która do reszty zgłupiała ujrawszy boleść wyrytą na twym obliczu.

— Wielki Boże! widzę mego fagasa. Ogromne uczucia miotają jego piersią, gdy słucha tych pięknych banialuków... A jednak tytoń kradnie mi wciąż tak samo, nie bacząc na doznaną podniosłość wrażeń.

— Gdzież jest bufet zapowiedziany w programie widowiska? — wołał towarzysz, który przyjechał w karetkce Jarzymskiego.

— Bufet jest w izbie sąsiedniej! — głośno odezwał się jakiś mężczyzna siedzący w łoży parterowej.

— Dziękujemy za tak dramatyczną wskazówkę nieznanemu przyjacielowi naszej niedoli... — mówił impertynencko rotmistrz w kierunku owej łoży.

Rozepchnął tłum, który w milczeniu przysłuchiwał się awanturze, i szedł w stronę bufetu. Większość towarzyszków udała się za nim, niektórzy zostali na środku parteru. Rafał znalazł się w bufecie i znowu pił dużo. Słabo wiedział, że czegoś krzyczano, a sam miał przed oczyma to salę widzów, to znowu przekąski i flaszki, rozłożone na stole bufetowym. Rzucił na ten stół dukaty wygarnięte z kieszeni, leżał w czyichś ramionach... Kłuły go po twarzy ogolone brody, muskały wąsy, świeciły się przed nim roziskrzzone oczy i przyjazne głosy mówiły mu jakieś zdania, na które zgadzał się bez zastrzeżeń.

Przez pustą już salę teatru, którą oświetlała samotna świeczka w latarni, późno w noc wyszedł w towarzystwie innych osób, z płonąca głową. Wlókł się po błocie ulicznym, hałasując tak samo jak inni. O jakiejś porze zobaczył przed sobą w grubej ciemności dwie latarnie nadjeżdżającego powozu. Furman krzyczał ordynarnie z kozła, żeby się z drogi usuwać. W tej samej chwili Rafał ujrzał w świetle prawej latarni eleganckie żółte sztylpy i buty unurzane w błocie, a stojące na szprychach koła. Gruby pomruk rotmistrza rozległ się nad głowami idących i furman, z krzykiem przerażenia runął z kozła w kałużę. Nogi w sztyłpach znalazły się na miejscu furmańskich. Konie, ściągnięte potężnym ciosem barta, skoczyły z miejsca jak oszalałe i kareta poleciała w zaulek. Słysząc było przez chwilę rozpaczliwe wrzaski zamkniętych w niej kobiet.

Ktoś mówił:

— Nic się wam, baby, nie stanie! Rotmistrz odwiezie was na miejsce dwa razy prędzej niż to bydło...

Ulice były zupełnie puste i ciemne jak pieczary. Strącenie z kozła furmana było dla tłumu, idącego dotychczas w spokoju, jak gdyby pobudką do czynu. Opanowała wszystkich istna furia. Rafał słyszał ciosy lasek spadające na łeb i grzbiet furmana i zanosił się od śmiechu słysząc jego wrzaski. Gdy stangret wydarł się z rąk napastników, laski poczęły spadać na ściany kamienic, drzwi sklepów, żelazne kraty ogrodów. Co chwila jakaś szybka, śpiąca skromnie w ciemności, wydawała dziewiczo przeraźliwy wrzask rozlatując się w kawałki. Świsnęły w powietrzu zerwane ze ścian blaszane szyldy, dudniły bramy szczelnie zamknięte, w które łomotano pięściami, kijami, obcasami. Ktoś skrzesał ognia i przez chwilę Rafał podziwiał czterech ze swych nowych towarzyszków, z których dwaj stali na balkonie pierwszego piętra wąskiej kamieniczki. Dostali się tam po żelaznych sztachetach otaczających sąsiedni ogródek. Dwaj inni stali jeszcze na szczycie ogrodzenia, przechyleni nad ulicą. Tak wspólnymi siłami wrywano ze ściany szyld przytwierdzony do żelaznej sztaby nad zamkniętymi drzwiami sklepu. Kilka par tych potężnych rąk szarpało sztangę do góry i na dół. Gruz sypał się w oczy... W tej samej chwili trzeszczały podważane drzwi, i wydawały znakomity łoskot talerze felczerskie strącone z wysoka, którymi ktoś wydzwaniał marsza. Tu i owdzie w oknach zapalało się światło. Przerażone białe figury snuły się i biegały za wybitymi szybami...

Dopiero połowa ulicy została w ten sposób oporzędzona, gdy naraz z głębi sąsiedniego zaułka dały się słyszeć kroki ludzi równo maszerujących. Jak błyskawica — cisnęła w ciemności swój nagły strzał światła ślepa latarnia.

— *Zybenknopfy* — wrzasnął przyjaciel Rafałów, właściciel oleśnickiej psiarni.

— A lotry, jesteście!

— Bij pludra!

— *Hab Acht!* — rozległ się w ciemności spokojny głos.

Tłum pijany zbił się w gęstą kupę. Gdy nowy sztylet światła latarni przebił mroki głębokie, Rafał zobaczył w nim potężne ręce, trzymające niby sztandar wyrwaną sztabę z szyldem. W chwilę potem blacha szyldu zgrzytnęła w powietrzu. Rozległ się furkot drąga i urywany ryk. Po nim drugi, trzeci. Żołnierze patrolu dobyli szabel i poczęli z ramienia rąbać na ślepo. Anizetka, Bursztynek, Szpic, Szpilka i wszystek tłum towarzyszków runął na nich z laskami, z kamieniami znalezionymi na ziemi. Wnet żelazny drąg siłacza z Oleśnicy przeważył szalę zwycięstwa na stronę awanturników. Ront rozsunał się i cofał pod ścianami kamienic. Rozległy się świstki, krzyki niemieckie wołające o pomoc, jęki i przekleństwa.

— Do kupy! — wołano.

— Do kupy, mości panowie! — komenderował przygodny wódz.

— Wziąć się za ręce, i w tył!

— Osaczają nas, w tył! — wołali wszyscy.

Rafał nie miał nic w ręku, nawet laski. Mimo to z wyciągniętymi rękoma szedł naprzód, co chwila ściskając dłońmi ciemność. Gniew ukropem kipiał w nim i gnał go do boju. Szukając tak w mrokach rękoma, ujął mizerne drzewko przywiązane do wysokiego i tęgiego kołka. W mgnieniu żrenicy owa żerdka poczęła śmigać i szeroko grać w powietrzu, zataczając obszerne kręgi. Koniec jej trafił wreszcie na żywe mięso.

Wówczas dopiero Olbromski wziął walić z sandomierska. Żołnierz, z którym się zmagił, płaął go do krwi raz i drugi pałaszem w szyję i w rękę. To podnieciło animusz aż do wściekłości. Wymacawszy go dobrze obłudnymi ciosami, Rafał rypnął z góry, w łeb, od jednego razu i obezwładnił. Prusak osunął się na ziemię. Wówczas zwycięzca znalazł go nagimi rękami i począł kuć w zęby. Gdy tamten na dobre omdlał, powłókł go ze sobą po błocie, mamrocząc sobie pod nosem.

Wedle rozkazu wodza garść walecznych awanturników cofała się pośpiesznym marszem ku wylotowi ulicy. Patrol, nie czując przed sobą napastujących, zaczął posuwać się naprzód, świecąc sobie latarniami, dźwigając z ziemi poturbowanych, cucąc omdlałych.

Tymczasem *Blacha* uchodziła coraz szybciej zwartą kolumną. Kiedy osiągnięto placu i ulic z niego wychodzących, wszyscy czym prędzej dla zmylenia pościgu rozeszli się w różne strony. Rafał jakoś otrzeźwiał i zdołał dopytać się o Jarzymskiego. Szli w kilku, przędko, bocznymi ulicami, zaułkami, przejściami, wzięwszy się za ręce. Nie zatrzymali się wcześniej, aż dosięgli bezpiecznego schronienia. Znaleźli je w wiadomych Jarzymskiemu rozkosznych gajach asyryjskiej Mylitty.

GNOSIS

Nazajutrz Rafał ocknął się bardzo późno w jakimś ciemnym schronieniu. Była to sypialnia Jarzymskiego, który obok chrapał na sofie. Z niewysłowionym podziwem Rafał zaczął liczyć czas i spostrzegł, że okna stancyjki nie były zasłonięte. Był to więc wieczór dnia następnego. W przyległych pokojach słycać było gwar rozmów osób grających w karty. Olbromski leżał na swej pościeli z oczyma przymkniętymi, pełen takiego do siebie wstrętu, że z najgłębszą wdzięcznością powitałby kata i jego propozycję przechadzki na szafot, byleby z zawiązanymi oczyma. Nie był w możności znoszenia fizycznych uczuć wczorajszego dnia, a osobiwie nocy. Chował przed nimi głowę to tu, to tam, odwracając się ku czemuś jaśniejszemu, ale w każdym miejscu ciemności bielalo straszliwie — śmiejące się podle, ociekłe cynizmem, nagie cielsko dnia wczorajszego. Miliardy ukłuć bezsilnego żalu kęsały piersi jak nocne komary błotnistej okolicy. Nie można było ani ich odegnać, ani spostrzec. Tylko żądła ich zostawały w człowieku i rozlegał się cichy, bezmyślny, obrzydły głos.

W jednej chwili Rafał zdecydował się, że musi wyjść z tego lokalu. Znalazł po ciemku ubranie i wdział. Narzucił płaszcz na ramiona i wyszedł. W kieszeni namacał jeszcze kilka

dukatów. Jednego z nich wcisnął w garść lokajowi, którego w przedsionku zdybał, i kazał się odprowadzić do pałacu księcia Gintuła. Był pewny, że go tam już wcale nie wpuszczą, a jednak tam właśnie dążył.

— Jeśli — myślał — nie zechce mnie więcej widzieć, no, to co innego... Wtedy poszukam jakiego hotelu, zajazdu...

Pragnął tę noc za jaką bądź cenę przepędzić w samotności, nie słysząc obok siebie chrapania Jarzymskiego. Nie myślał o tym wcale, co będzie czynił później; chodziło mu jedynie o chwilę bieżącą, o zdarcie koszuli Dejaniry. Gdy wreszcie stanął przede drzwiami pałacu i zadzwonił, wydało mu się to rzeczą tak głupią, że kazał służącemu Jarzymskiego czekać na siebie. Był pewien, że go krótko i węzłowato wyprawią tam, skąd przyszedł. Tymczasem stary Łukasz otworzył mu drzwi z tym samym powinnym i grzecznym ukłonem, prowadził go z życzliwymi ruchami.

W pokoju, gdzie Rafał pierwszą noc spędził, było ciepło. Służący zapalił dwie woskowe świece i cicho oddalił się. Rafał czuł dla niego wielką i rzewną wdzięczność. Był oto nareszcie sam w cichym i poważnym miejscu. Co tchu rozebrał się, zakopał w pościeli i miał zamiar zdmuchnąć świecę, gdy drzwi się znowu z cicha otworzyły i Łukasz wniósł na tacy dużą szklankę jakiegoś napoju. Ustawił to na stoliku obok łóżka z łagodnym i uroczystym wyrazem twarzy, a z ukłonem wyszedł. Rafał skosztował owego napoju i znalazł, że jest dobry nad wszelki wyraz. Wypił do dna.

Zaledwie zgasił świecę, uczuł się znowu w mocy niezwykłego wstrętu. Nie były to wspomnienia, gdyż te pieściły go raczej i władały nim jeszcze, nie były wyrzuty sumienia, tylko nieznośne, przemierzłe uczucie obecności złego.

Zamykał oczy, poczynął myśleć o czym innym, budował plany na przyszłość, nerwowo grał w karty, wykonywał w marzeniu bohaterskie napady w gronie elegantów pierwszej wody, gdy oto nagle zjawiała się na jego piersiach ohydna głowa. To było właśnie samo, w osobie swojej — złe. Coś jak głowonóg-ośmiornica z kostnymi ssawkami, potworne, bez kształtu, zimne, oślizgłe, opasujące. Nie dawało się odtrącić ani zedrzyć z piersi. Zimny pot osiadł kroplami na czole pełnym ołowiu, a na duszy owa tajemnicza zmaza, której żadna z potęg nie mogła zniweczyć. Gdy ciężki sen zawarł powieki, i wówczas cierpienie zostało na piersiach. Głowonóg przemienił się w kobiecego trupa, w rozdęte, opuchłe, śliskie i lepkie ciało topielicy. Straszliwe zwłoki oploty szyję śpiącego grubymi rękoma, wygniłe oczy wlepiły się w jego sen, i dawno struchlałe usta przywarły do jego ust. Słyszał w głębi swej duszy przemierzyć podszept miłosny...

Obudził się późno w nocy i usiadł na pościeli, wstrząśnięty czymś obcym, jakby ręką mocnego człowieka. Łzy płynęły z jego oczu, zalewały twarz, łzy dobywające się z najgłębszego dna duszy. Ale zarazem wylewy ich oczyszczały tajemnicze, podziemne głębie, z których pochodziły. Całe ciało trzęsło się, gdy tak spływały, podobnie jak drży ziemia, gdy burza w dal i noc uchodząca grzmi i strzela piorunami. Nagle z mroków półsnu wywinęła się jasna myśl, zupełnie jak postrzegalny dla oczu, kształtny gzygzak światła:

— Cóż mi to jest?

Ale odpowiedź nie wysuwała się z ciemności. Tylko nowy potok bujnych, silnych wzruszeń, niby młoda krew z rany zadanej żegadłem zbója, spłynął i obmył twarz skrytą w dłoniach. I tak już prawie do samego rana trwało bezkształtne dumanie, walka nie-dająca się wyrazić słowami, jakoby zawód choroby z chorobą o całe bary i piersi, jakoby zapasy siły z siłą. Na podobieństwo przelotnych obłoków widziadła przemierzłe objaśniały straszliwe dzieje tych rzeczy, spraw i ludzi, z którymi stykał się wczoraj. Dolatywało do niego z próżni niewysłowione skowyczenie nędz ludzkiego motłochu, zionął z pojedynczych chwil wczorajszych, jak gdyby z zaklętych grobów, fetor gnojowisk podłogi, upadku, pomsty, zbrodni, zdychania w hańbie. Co kiedykolwiek słyszał o tych sprawach, to teraz z siłą roztrzaskującą głowę rwało obok, stronami. Ręce drętwiały z ohydy, że się nimi dotykał tych ran broczących siną, zgniłą krwią, głowa płonęła od myśli, których rozum, zdawało się, nie był w stanie objąć i zmieścić w sobie.

Nazajutrz wstał z łóżka blady, zdruzgotany na duszy, sam dla siebie odmienny i nie-zupełnie zrozumiały. Obojętnie szedł do sali, gdzie poprzednio zastał księcia. Już zbliżając się do drzwi żelaznych usłyszał rozmowę, która pod wysokim sklepieniem donośnie się rozlegała. Książę rozmawiał ze swoim towarzyszem, owym majorem wojsk pruskich. Obadwaj pochyleni byli nad księgami wielkich rozmiarów, oprawionymi w białą skórę.

Gdy Rafał wszedł, na chwilę zamilkli i przerwali swą pracę. Wojskowy, podobnie jak za pierwszym razem, skierował na niego swe oczy naiwne i badawcze, zdumiewające oczy olbrzymiego dziecka. Na ukłon Rafała odpowiedział przyjaznym pochyleniem wielkiej głowy i uśmiechem tak szczerym, pełnym dobroci, zachęty, jakiejś nieśmiałej przychylności, która narzucać się nie chce, lecz przyjętą być pragnie, że Rafał znowu uczuł się wzruszonym. Tylko dziś w daleko większej mierze...

— Miałem już zaszczyt — rzekł książę wskazując Olbromskiego oczyma — przedstawić mego sekretarza.

— A tak... Bardzo mi przyjemnie poznać waszmość pana.

— Będziemy teraz mieli możliwość szybszego dociekania w Augustynie — szepnął jeszcze książę jakby prosząco.

— To bardzo dobrze, osobliwie dla mnie. Waćpan przyjeżdżasz wprost ze wsi? — spytał major.

— Tak, nie był tu wcale i nigdy. Nikogo w Warszawie nie zna. Wszak prawda?

— Tak, prawda... — wyszeptał Rafał.

— Przez kilka lat sam gospodarował, własnoręcznie siał, orał... Wszak prawda? takes mi wasze donosił w liście?

— Tak, donosiłem...

Na twarzy majora zaświecił się uśmiech dobry, głęboki, jakby do dna rozwidniał całe jego ciało. Zarazem jakieś prędkie zachłyśnięcie, dające się często zauważyć u nieśmiałych chłopców, wstrząsnęło kilkakrotnie jego olbrzymią, niedźwiedzią figurę.

— Praca na zoranej roli — zaczął mówić głosem wstrzemięźliwym, dopraszającym się o łaskawy posłuch — wydaje mi się być najwyższym szczęściem, jakiego człowiek dostąpił. Tak sędzę, tak w głębi serca mniemam. Nigdy sam nie byłem do tyła szczęśliwy, żeby tej łaski dostąpić. Jestem żołnierzem... Mieć w ręku swych możliwość wyprowadzania z nagiej ziemi czegoś tak tajemniczego, cudnego w swej budowie, w swym życiu i śmierci, jak kłos pszeniczny, nie jestże to być współtwórcą cudu?

Rafałowi nie trafił do przekonania ten wywód. Toteż na twarzy jego odmalował się mętny jakiś wyraz. Major niezrażony mówił dalej głosem cichym, z niemiecka akcentując wyrazy i zdania:

— Nigdzie potęga, niewysłowiona mądrość, miłość jednako zawsze silna, bez początku i końca, wiekuiście ta sama, wielki duch Budownika świata, nie objawia się bardziej niż w dojrzewaniu ziarna, w rodzeniu się traw na łące, gdy przygrzeje słońce wiosenne — i w umieraniu ostatniego potrawu, gdy sloty października zasłaniać je zaczyną. Czyś waszmość kiedy widział taką chwilę, czyś okiem wewnętrznym z głębi siebie patrzył na to, jak naga ziemia drży pod słońcem, jak wody stojące na niej trzęsą się i raz wraz polśniewają, a mech drobniotkiej trawy schyla się i wałęsa za wiatrem jakoby nikły dymek?

— Widziałem... — rzekł Rafał ze drżeniem.

W myśli jego jak żywa stanęła taka chwila. Zdawało mu się, że wypukłe, przymglone oczy majora widzą tę chwilę dokładnie, jasno, nie gorzej od niego. Jakiś nieprzyjemny lęk obszedł go dookoła.

— Już w duchu dawnych, mgłą czasu zakrytych plemion żyła ta sama trwoga i wytryskała z niej cześć dla trawy rodzącej się z małego ziarna, które wiatr nosi, dla drzewa wypuszczającego śliczne liście i niedościgłe gałęzie, dla kwiatu, co kielich swój kształtuje w mrokach nocy, przed zimnym porankiem...

Zadumał się na chwilę, jakby zapomniał, że ma słuchaczy, i z uśmiechem niemal radości, z oczyma zaszklonymi sennymi łzami, mówił:

— Dawny, zapomniany bóg... Mithras! Władca, od którego woli zależy barwa młodych listeczków, kiście zbóż, kielichy kwiatów na tej całej cudownej ziemi... Boski ogrodnik! On, który sprawia, że owoc gruszki dojrzewa, że jabłka wonne wyciekają z żył prętów, że czerwienieją pod zwiedłymi liśćmi, zwiedłymi tak samo, jak więdnie piękna matka z nienasyconej miłości dla czerstwego synka... On sprawia, że ciemne śliwki okrywa cudowna, jedyna barwa, a winograd zwisa z wątego szczepu i ciąży, jakby się klonił do snu. U pelazgijskich, pono, plemion wykwitło inne widziadło, którym tylekroć poiłiśmy się z księciem. Nieprawdaż?

— Tak jest, Mistrzu...

Ziarno, Rośliny,
Zmartwychwstanie, Religia,
Odrodzenie, Bogini

— Widomy kształt Demetery zwanej „Pelagis”, to jest niby to osoby, ducha tego, czym jest rodzenie się z ziarna. Demeter jest symbolem ziarna nasiennego, ostatniego tworzącego żywota wszystkich na ziemi roślin. W ziarnie ustaje twórczość rośliny, a ono samo staje się twórcą, macierzą, rodzącą niezliczone pokolenia. Ziarno nasienne jest obrazem prawzoru, z którego pierwsza roślina poczęła się przed wiekami. Demeter jest obrazem praziarna i wszystkich jego potomków, jest zarazem widowym znakiem siły, która nigdy się nie wyczerpie, potęgi, która była, jest i będzie aż do skończenia świata. Ja... przepraszam, że nadużywam właściwej cierpliwości... Ja tak jestem porwany tą boską opowieścią o dziejach Demetery i, co jest najciekawsze, o jej uroczystościach w Eleuzis, że często — może zbyt często? — rozpowiadam. Czy waszmość raczysz przebaczyć tej gadatliwej naturze żołnierskiej?...

— Ależ, miłośniwy panie!... — bełkotał Rafał.

— Czymże jest znane wacpanu porwanie Persefony-Kory? Sławny *katodos*? To dzieje ziarna każdego po szczególe, więc dziecięcia Demetery. Pochłonięcie zasianego przez skibę ziemi. Ciężka żaloba matki Demetery — to zima, szereg dni mrocznych i dżdżystych, w których ciągu ziarno leży ukryte w gruncie. Persefona przebywa tam u swego podziemnego małżonka. Ale nadchodzi radosny *anodos*. Niewolnica w pełnym blasku piękności wydestaje się nad ziemię i łączy z rozkwitłym Dionizosem. Ziarno wypuszcza ze siebie kiel, przebija ziemię, wystrzela jako łodyga, ozdabia się kwiatem i nowe rodzi ziarna. W Eleuzis oddawano cześć tej właśnie wiecznej sile natury, jej precudownej nieskończoności. Przez hymny, święte tańce, sceny mimiczne, nagle zjawienie się kształtów przy brzmieniu w tej samej chwili słów uroczystych, nakazów wygłaszanych przez hierofanta z rodu Eumolpidów, wlewały się do serc i otaczały czciami należną wszystko żywiące promienie słoneczne, której my zapomnieliśmy zgoła...

Demeter szuka swej córki po całej ziemi przez dni dziewięć a dziesiątego przybywa do Eleuzis... — mówił major, coraz bardziej zwrócony do księcia i zapominając zupełnie o obecności Rafała. — Niesie w ręku swych dwie pochodnie, znak widomy oczyszczającej siły ognia. Spoczywa w Eleuzis i łamie długotrwały post przez popijanie napoju z wody i miodu, zwanego *kikeon*. To wszystko działo się przed nocą tajemnic. Ci, którzy są *mystaj*, bez różnicy pici pozostają sami, oddzieleni od profanów. Z pochodniami w ręku zwiedzają miejsca boleści Demetry, więc źródło Antion i Smutny Kamień. Tajemniczą część uroczystości zwiastował głos *hierokeryksa*, nakazujący tym, którzy są *mystaj*, zupełne milczenie... Milczenie, milczenie... — mówił z wolna, topiąc wzrok w oczach księcia.

Obaj siedzieli naprzeciwko siebie uśmiechając się prawie ze szczęściem do jakichś myśli, Rafałowi nieznanym.

Pierwszy książę odwrócił głowę i schyliwszy ją nad książką rzekł z cicha:

— Ponieważ jest sekretarz... wrócimy może do Augustyna...

— Ach, tak... Ponieważ jest sekretarz... ilekroć zetknę się z pięknym światem Greków, staję się poganinem...

Książę przez chwilę wyglądał niecierpliwie w ręku kartę wielkiej książki, a wreszcie rzekł obracając się do Rafała:

— Chciałem cię właśnie prosić, żebyś mi wytłumaczył ten oto ustęp z łaciny na polskie.

To mówiąc posunął ku niemu olbrzymi wolumin.

Rafał skwapliwie jął się tej roboty, uszczęśliwiony, że nareszcie zyskuje w tym towarzystwie jakąś wyraźną rolę. W tej samej chwili książę mówił do majora:

— Świat grecki... Co do mnie, nic mi jeszcze nie mogło zastąpić wspomnienia odлюдnych pieczar pustyni. Kryjówki dziś drapieżnych zwierząt tam, gdzie wykołysał się duch ludzkości, gdzie w bezgranicznym odosobnieniu Paweł z Tebaidy sto lat przepędził, pierwszy pustelnik, gdzie Antoni w świętych marzeniach wyhodował nadziejską duszę swoją! Nigdy i nic już na świecie nie mogłoby przewyższyć uczuć zdumienia, skruchy i trwogi, jakich się tam doznaje.

— Na pewno tak jest, na pewno, jak mówisz, Bracie Straszny, a jednak... Ja się do tej wysokości wznieść nie mogę. Jestem ciężki jak kłoda ściętego drzewa, jestem jak głaz na pastwisku, który tylko od własnego ciężaru w ziemię wrasta. Oto wszystko. Wzruszenie moje jest tak leniwe, tak poziome... Jeżeli coś jeszcze wzruszyć mnie jest w stanie, to

wiosna. Gdy — jak mówi stary Hezjod w *Dniach i pracach* — „w liściach dębu pierwsza kukulka zakuka i rozraduje ludzi na ziemskim przestworze”... moje zbutwiałe serce uderzy jeszcze. A kiedy indziej...

— Należy wyteńczyć siły... — mówił książę głosem przejmującym, a tak cicho, że ledwie go było słychać. — Skierujmy dusze ku wzniosłości! Pomyślmy tylko, zanurzmy wszystek umysł w ten potężny widok, gdy Fortunatus, kapłan manichejski, po dysputcie ze świętym Augustynem odchodzi z Hipponu. Znowu na puszczy! Wczoraj czytaliśmy dysputę. Całe zdania świętego stoją mi w pamięci, jakby promieniami ognistymi wysmalone. Te proste słowa: *versatur ibi quaestio — unde sit malum?*... To nie dwaj ludzie mocują się w słowie, nie dwaj kapłani, nie wyobraziciele dwu kultów, lecz zaiste dwa olbrzymie symbole, dwa żywioły. *Unde sit malum?*... Święty biskup, który tak słusznie nosi miano *divus*, czyli Mąż z Boga... mądry i myśli przeźroczyściej jako krynica w górach, twierdzi, że zło urodziło się w człowieku z jego wolnej woli. Człowiek sam jest winowajcą. On jest grzesznikiem przed wiekuistym Panem. A tamten przychodzień z pustyni, gdzie ze swej pieczary w ciągu wielu lat wpatrywał się w niebiosa, gdzie przez szereg dni i nocy w samotności rozważał, ośmiela się głosić, że natura złego współwieczna jest Bogu. Rzuca przed rodem ludzkim ten olbrzymi cios, to brzemię myśli, tak ciężkie, że, zda mi się, ziemia pod nim zadrzeć musiała. Ale następnego dnia, po dwu stoczonych dysputach publicznych, Fortunatus wyznaje, że nie znalazł dostatecznych odpowiedzi na kwestie zadane mu przez biskupa. Wyznaje, że jest zwalczony w słowie. Zarazem wszakże zaznacza, że nie jest przekonany w duchu i do katolików się nie przyłącza. Dziś już owego miasta *Hippo regius*, gdzie numidyjscy królowie władali — wcale nie ma. Kamienne domki, zamki, termy, świątynie, place — zasypał piasek. Przekreślona jest potęga miecza i zmazana. Został przecież każdy dreszcz dwu duchów spierających się o poznanie wieczności, i nas tak samo jak ich przenika. Ci, którzy odtrącili wszystko, aż do napoju i jadła — żyją wiecznie.

Oto w zwątpieniu stokrotnym, tysiącokrotnie rozbity i niepewny bardziej, niż gdy do miasta przyszedł, Fortunatus oddała się na pustynię, by znowu w samotności żgać, podniecać i wyostrzać myśl swoją, palić ją srogimi żagwiami głodu, biczowań i udręczeń ciała. Zacznie tam na nowo zgłębiać, ważyć i przenikać duchem widziadła staroparskie Azji... Spójrzmy, jak samotnego, niby gęste obłoki, otaczają Angramajniu i Ahuramazda — *in exordio duae substantiae a sese divisae*... Jakże się nie ulitować nad nim, gdy w ciemnej nocy spogląda na ziemię głębokością mroku okrytą, i żrenicą wlepioną w niebiosa usiłuje zobaczyć cień przedbytu, pierwsze ciała ogniste, światy rozproszone, słyszeć huk wichrów straszliwych pędzących światy i głos jedyne wodza ich, jak mu kazano uwierzyć. Jaskinię jego otacza ślad lwa i hieny, przelatuje nad nią cień orła i sępa, głowę okrąża myśl o krokodylu i skorpionie, którzy się pasą mordem słabych a żywią śmiercią niewinnych. Przelatują nad nim samum i kamsin, dzicy, bez rozumu zabójcy wszystkiego, co żywie. We dnie pali go słońce aż do śmierci, a w nocy udręcza zimno, za którym czai się choroba. Mdła mucha roznosi śmierć wyssaną ze zwierzęcego trupa i zaszczepia ją w ciało dzieciątka, które już mówić i myśleć zaczęło, którego oczy stawały się cudniejsze niż złote wino, a zęby bielsze niż mleko. Któż jej nakazał taki uczynek?

Patrzmy, jak oczy Pustelnika wyschły i spalone wznoszą się do niebios szukając tego, który jest *Propater* czyli *Bythos*, co znaczy Głębia, który jest *Arretos*, co znaczy Niewypowiedziany... Za plecami swymi ma plemię ludzkie. Widzi całe jego dzieje i wszystek żywot. Wiekuisty tryumfliktor i wiekuiście zdeptany duch. Widzi, że wszystko, co jest, jest materią swaru, przyczyną bitwy, że zaiste wojna bez końca, *Polemos propater*, jest losem człowieka, a ginie w niej słabszy i lepszy. W sobie samym ma żywioły nieznanne, gdzie rozkosz spleta się z boleścią, gdzie mądra myśl wyrasta wolno i wśród większego mozołu niż palma w szczerej puszczy, a jeden wybuch namiętności do cna łamie i niweczy przez setkę nocy i dni trudu wypielęgowaną...

Gdzież wzrok obróci? W dziecinne lata... Tam, dokąd chodzi najchętniej ludzka niedola, żeby się wśród łez uciszyć. Ale przenikające i badawcze wejrzenie mądrości ujrzy tam jeno bytowanie cielesne, pełne dziedzictwa złości, wyniesionej z żył ojca i z łona matki. Spójrzy w idącą bezlitośnie starość i z przerażeniem zobaczy złe najstraszniejsze: choroby ciała, jak z bezrozumną głupotą — młotem z żelaza rozbijają przemądrze zbu-

dowane kości i doskonale tkanki. Ujrzy ruinę ducha równego Bogu, który wśród nędzy i rozpaczki upada, drży i skamle... Któż uczynił to wszystko złe? Któż je wysnuł ze swego łona? Skąd się poczęło trzęsienie ziemi i burza na szlakach morskich? Azaliż człowiek stworzył jadowitą żmiję i podłą hienę? Azaliż on wymyślił śmierć?

Skierujmy dusze nasze ku wzniosłości! Idźmy za wzrokiem Fortunata... Oto wpatruje się ze swej pieczary w najwyższą potęgę ziemi, w najzawilszą sprawę świata, w sprawę odrodzenia rodu ludzkiego. Widzi na brzegu morskich zalewisk pelikana, który błąka się nad falami i znosi dzieciom swym strawę. Jest on jakoby znak hieroglificzny wszęgo żywota, napisany w chwili poczęcia ziemi między morzem a lądem suchym. Mówią dawne legendy, że pelikan krwią żył swoich wskrzesza zabite dzieci, że rozdziera dziobem pierś swoją... Stamtąd wychodząc, Fortunatus przejrzał wszystko, przemyślał wszystko. Widział w dumaniu szczęśliwego ojca, któremu los dał kości twarde a w nich niepożyty szpik. Widział go, jak się doczekał siwizny syna, jak w nim po wtóre przeżył dojrzały żywot, zamknął w pamięci ogrom zdarzeń, od dziejów pierwszej miłości aż do dziejów ostatniego złudzenia. Z nich wysnuł niewzruszoną mądrość męską. Widział go, gdy się doczekał wnuka i w jego szczeciocie trzeci raz usłyszał gwarę swego niemowlęctwa.

Widział go wreszcie zaszłego w lata, w głęboką, „dobrą”, jak mówi Pismo, starość, kiedy z wolna, a chętnie i z pociechą, stawał się jakoby rolą niską i płaską, gruntem spokojnym i niemym, próchnicą, gliną i piachem bez imienia, w który wrastają korzeniami rozłożyste, szumiące drzewa. Z niego idzie w gruby śniat, w tęgie konary i w oble gibkie gałęzie, w lotne, poświsne za każdym wietrzykiem różgi i witki — sok żywota... Widział go, gdy się w głuchej tajemnicy przed resztą ludzi kłonił do snu wiecznego i chętnie marzył o wypoczynku w śmierci, nad którym unaszać się będzie gwar i szczebiot pokoleń. Widział tę jego chwilę, kiedy znudzony długością a niskością zabiegów i zdobyczy żywota zapragnął odpocząć i usnąć tęgo. Położyć, jako Jakub patriarcha, spracowane i osłabłe nogi na łożu i nie wstawać już, lecz na wieki umrzeć.

Katodos Persefony!... Ale wnet wspomnił mu się inny... Tamten, dojrzałych lat, któremu grozi rozstanie z synkiem maleńkim. Patrzy nieszczęsny ojciec na białe kudelki swego jedynaka, na okrągłe rączki i nogi, na małe barki, które będą musiały dźwigać wszystką niedolę życia, wszystkie jego męczarnie, zbrodnie, krzywdy, widziane i przeżyte w ciągu ubiegłych lat. Wdycha oddech bezwonny, przenika wzrokiem krynice oczu, pięknnością równie gwiazdom świecącym po nocach. Przytuła do ust jasne czołeczko, w którym przeglądają się myśli młodociane na obraz białego obłoku, kiedy stoi nad tonią jeziora w górach — do kości piersiowych przyciska główkę, jakby ją pragnął wgnieść, wprowadzić na powrót we wnętrzości żył swoich, wtulić całego w serce rozszarpane od boleści i z nim razem ująć w zaświaty, na pagórki wieczności. Widzi z pieczary swej Fortunatus nieszczęśliwego, kiedy dojrzał już śmierć idącą ku wezłowi i bawi się po raz ostatni rączkami dzieciny swojej, zlewa nań błogosławieństwo, jak mówi Pismo, piersi i żywota, a ona krekorze i gędzioli wesoło jak ptaszek w wiosenne rano, pyta się o nędzne rzeczy bieżącej godziny, nic a nic nie wiedząc, jaka to ręka nad nią się wznosi. Nie mógł doczekać piątej rocznicy urodzin swego jedynaka, jako ów Hektor, który w szyszaku bojowym, syna drogiego całując i pieszcząc rękoma, mówił modlitwę do Zeusa i bogów: „Niech o nim kiedyś powiedzą: O wiele był lepszym od ojca”.

Któż stworzył dzieje tamtego żywota? Azali ta sama ręka tworzy dobro i złe? Czemu tak bez rachuby skrzywdzony jest umierający na korzyść szczęśliwego Jakuba? Jakaż to nagroda niebios okupi boleść opuszczenia bezsilnego dziecka, stracenia go z oczu, wydarcia z ramion? Cóż jest gorszego pod słońcem nad ową przepaść cierpień ojcostwa? Puścić samotne chłopiátko w świat owładnięty przez krokodyle i skorpiony, na ląd, w który uderza niespodzianie trzęsienie ziemi, na morze, które gonitwa wszechwichrów zamienia na bezrozumnego kata... Myśleć konając, że pójdzie samo jedno pomiędzy zbiry ludzkie, że je bezbronnie otoczą przemądrze, chytrze ukryte, niezbadane choroby — trąd i syfilis, ospa i tyfus, że stokroć gorsze od chorób otoczą je zbrodnie ludzkie, nieprzeliczone wymysły łajdactwa, co się już formą żywota stały, rozuzdane chuci i brudy... Myśleć, że czystymi oczyma, w których zamknięty jest firmament niewinności, będzie widziało ową walkę zbójców ze zbójcami, że z czasem stanie się samo jedną więcej sztuką jakiejś gromady...

Oto powiedział w duchu swym Fortunatus, że złem jest ojcostwo i rodzenie. Zaprzysiął przed swoją duszą, że nie chce mieć syna, że zamordowałby zrodzonego wespół grzechów. Sam wyniesie ducha swego w pustyni ponad ludzi, jedyne urobi na obraz Ahuramazdy, i wówczas wyda wojnę ciemnościom. Wywiedzie duch swój z bagna grzechów ludzkich, wydzwignie z błot Arymana i stanie ponad światem jako wiekuista pochodnia.

Rafał miał oczy spuszczone na wiersze książki, ale rozmowa, chociaż półgłosem w jego obecności prowadzona, przeszkadzała mu rozumieć tekst owego rozdziału *Contra Fortunatum quendam Manichaeorum presbyterum*.

Książkę, wypowiadając zdania na pół rozumiane przez nowego słuchacza, co chwila zwracał nań oczy swe przymglone, ściemniałe, niewidzące, skierowane do wewnątrz. W pewnej chwili oczy te ożywiły się i książkę rzekł innym głosem:

— Tu ci będziemy przeszkadzali rozmową naszą. Zdaje mi się, że wygodniej ci będzie w pokoju, który jest obok.

Rafał zabrał ową księgę, ciężką jak naręcze bukowego drzewa, i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Była to pracownia. Na środku mieścił się ogromny stół, a dokoła niego stały fotele obite skórą. Okno było otwarte i na prost niego sunęła się w dół stara grabowa aleja. Rafał przymknął drzwi i usiadł w fotelu. Skoro tylko poczuł, że jest sam, zaraz upadł w łóżko duchowego lenistwa, dał się ogarnąć doskonałej bezwładności woli. Głowa jego zsunęła się na rozłożone karty książki jak ciężki lity, nędzny kamień. Ani jednej myśli, ani najslabszego uczucia! Jedno jeszcze, co by mogło dźwignąć i podniecić, to znowu burgund. Z wolna, jak parny obłok, przesunęła się tajna żądza w czystej swojej postaci, niepochwyciona jeszcze przez myśl ani nawet przez chęć. Czuł to, że skoro się tylko oblatwi z tłumaczeniem łaciny, pójdzie znowu do Jarzyskiego. Nic to, że przychodzi w nocy obmierzłe uczucie złego...

Z największą niechęcią zabrał się do przekładu. Przyszło mu to z łatwością, większą nawet niż przewidywał. Nawykły w szkołach do zagadnień sofistycznych, z pewnym rodzajem satysfakcji wciągnął się w przedziwną dysputę św. Augustyna z przeciwnikami Kościoła.

Minęło południe i jesienny wieczór nadchodził, gdy wreszcie skończył wyznaczoną pracę. Odsuwał ją z dziwnym uczuciem. Zdawało mu się, że myśli, które przełożył, ożyły i że się weń wpatrują zastygłymi oczyma... Z kart tej olbrzymiej książki wionęła ubiegła noc, jej widma i wzdychania.

Liście o barwie jasnego mosiądzu i liście o barwie rdzy żelaza, wolno spływające z grabów, z topol i lip, zasłały sobą całą długość i szerokość alejki. Roztrącały promienie słońca, które przez miejsca ogołoczone, przez pustki świeżo powstałe wlewało się do głębi. Chłód zimny powiewał z wąskiej, dalekiej uliczki.

LOŻA UCZNIA

W mroźny wieczór marcowy Rafał jechał z księciem saniami na ulicę Mazowiecką do pełnego tajemnic „czerwonego domu”. Otulony w niedźwiedzie futro, wzdrygał się jednak od przykrych dreszczów wewnętrznych i napadów gorąca. Zdawało mu się, że konie biegną za prędko, pragnął nawrócić jeszcze, prosić o chwilę przejażdżki po mieście... Jeszcze, jeszcze... Tymczasem furman zatrzymał konie na rogu ulicy, i młodzieniec poddał się konieczności. Wyskoczył z sanek, zrzucił z ramion szubę i śmiało wszedł za księciem w ciemne przejście za bramą. Kiedy przewodnik jego zastukał do pierwszych drzwi, otworzył je stary, zgarbiony służący, odebrał płaszcz i wskazał ręką korytarz prawie ciemny, bo rozwidniony tylko przez płomyk latarni daleko umieszczonej. Mimo woli Rafał zapinał swój czarny frak na wszystkie guziki i przyciskał do boku kapelusz.

Napotkane drzwi otworzyły się. Książkę wprowadził swego sekretarza do małej salki i wyszedł. Gdy za chwilę powrócił, był we fraku zapiętym na wszystkie guziki, w czarnych ponczochach i płytkach trzewiakach ze stalowymi klamrami. Spod jego fraka wysuwał się biały fartuch z jedwabiu, niedosięgający kolan, a z lewego ramienia na prawy bok szła szeroka, biała szarfa. Na rękę miał rękawiczki.

Przeszli teraz w milczeniu przez dwa puste i zupełnie ciemne pokoje. Z nagła drzwi się piorunująco otwarły i Rafał znalazł się sam jeden w sali wysokiej, sklepionej, ciemnej prawie, obitej sukmem. Był tam stół czarny dziwnego kształtu, a na nim trupia głowa,

Obrzędy, Tajemnica, Brat,
Cnota, Przyjaźń

w którą wstawiona świeca tliła się bynajmniej nie tajemniczo. Przychodzień powiódł oczyma wokoło i nie bez drżenia zobaczył w kątach czaszki, piszczele, gnaty ludzkie. Zamiast wszakże spodziewanego dawniej wzruszenia doświadczył raczej drgawek gniewu. Wściekał się, że oto zostawiono umyślnie trupie piszczele i głowy dla przestraszenia go jak durnia.

Wspomniał swoje nocne przeprawy i zaśmiał się czaszkom w oczy. Zamiast modlitwy i skupienia, tylekroć zalecanej mu na tę chwilę przez księcia, czuł niecierpliwość sprzeciwiającą się wszelkiemu nabożeństwu. Za drzwiami słyszał gwar przemów uroczystych wygłaszanych podniosłym tonem albo okrzyki chóralne, jakby żołnierskie na placu musztry potwierdzenia. Ale oto po ciszy chwilowej wydzwignęła się z mroku i ciszy pieśń. Zrazu przez jeden głos zaczęta rozlała się w chór szeroki:

*O, selig war dieses Pilgerleben
An meines Freundes Arm durchlebt,
Fest steht er wie ein Fels im Meere,
Von Ungemach sein Haupt erhebt...*

Jeszcze brzmiała pieśń, gdy błysło światło jakoby w rozdzielonym murze. Miętko odsunęły się niewidzialne drzwi i stanęli w ich świetle trzej mężowie ubrani tak samo jak książę. Znajdujący się pośrodku miał na ramieniu obnażoną szpadę. Zbliżywszy się do Rafała ów mąż środkowy począł mówić po polsku głosem cichym i łagodnym. Z długiej jego przemowy słuchający zapamiętał powtarzane wielokrotnie wyrazy: zaufanie i szczerłość, miłosierdzie dla ubogich, posłuszeństwo, łagodność, cierpliwość, odwaga i milczenie. Na zapytanie: czy trwa w zamiarze pełnienia wszelkich wymagań? — odpowiedział twierdząco. Wówczas trzej mężowie znikli, znowu pozostawiając go w samotności.

Nim wszakże zdołał przyjść do siebie i uczuć przyjemność odosobnienia, drzwi, jak poprzednio, rozstały się i te same osoby weszły powtórnie. Stojący pośrodku zaczął mówić na temat wymienionych siedmiu obowiązków, każdego z nich znaczenie, ważność i rozciągłość oznaczając w długim wywodzie. Gdy na zadane w końcu pytanie: czy chce należeć do zgromadzenia praktykującego te cnoty? — znowu twierdząco odpowiedział, mówca dał znak a jego towarzysze przystąpili do Rafała i zaczęli go rozbierać. Ściągnęli z niego frak, kamizelkę i obnażyli lewą pierś; ściągnęli trzewik, pończochę i obnażyli do kolana lewą nogę. Szeroką i grubą chustą zawiązali mu oczy. Wówczas usłyszał głos mówcy:

— Zabieram kapelusz waćpana, szpadę, zegarek i wszelkie metale, jakiegokolwiek masz przy sobie.

Drzwi cicho zaszemrały i dał się słyszeć podniesiony głos, a po nim trzykroć hałaśliwe przyklaskiwanie i chóralny okrzyk:

— *Huze, huze, huze!*

Po chwili Rafał uczuł, że stoi między dwoma ludźmi, że ktoś jest przed nim i dotyka jego piersi końcem szpady. Głos tak łagodny poprzedniego mówcy brzmiał teraz dziko i nienawistnie w brutalnym zapytaniu:

— Czego tu chcesz?

— Chcę być przyjęty do społeczności wolnych mularzów — rzekł Rafał.

— Stanie się zadość twej woli — odpowiedział ten sam głos — może z niezmiernym narzekaniem twoim. Bacz, co mówię.

Dwaj towarzysze, stojący u boku przychodnia, poprowadzili go naprzód. Idący przed nim zastukał. Obcy jakiś głos znowu kilkakrotnie zapytywał Rafała, kim jest? z jakiego kraju? ile ma lat? czy oddał wszelkie metale, czy trwa w zamiarze wstąpienia do towarzystwa? — a gdy udzielił odpowiedzi na każde z tych żądań, z trzaskiem drzwi się otworzyły, i pytający przed chwilą pchnął go w ręce dwu dozorców stojących obok, z wołaniem:

— Precz, nieszczęśliwy! Oddaję cię losowi twemu...

Wówczas Rafał uczuł, że go prowadzą do sali wielkiej, ciepłej, pełnej ludzi i światła. Ustawiony twarzą w jakimś kierunku, którego ruchami nakazano mu trzymać się ściśle i ciągle, usłyszał znajomy sobie dobrze głos książecego przyjaciela, majora wojsk pruskich. Ten mówił:

— Zuchwalco światowy! Jakież przedsięwzięcie wiedzie cię tutaj! Może prosta ciekawość? Może chęć przeniknięcia skrytości? Drżysz! Drżysz, nieszczęśliwy! Stoisz nad brzegiem przepaści, która ci się odgraża zgubą ostateczną. Odpowiedz! Czyli prosta ciekawość wiodła cię tutaj?

— Nie.

— Słowa twe nie starczą za dowód. Bracie Dozorco! przyłóż koniec szpady do serca zuchwałego! Każ mu dla poszukiwania światła odbyć drogę z Zachodu na Wschód, a gdybyś ujrzał najłżejszy w nim upór, przesyj mu na wylot zdradzieckie serce!

Wówczas Rafał uczuł znowu mocno o pierś swą oparte ostrze szpady w tym miejscu, gdzie bije serce. Ktoś ujął go za prawą rękę i prowadził w półokrąg sali. W pewnym miejscu kazał mu złożyć głęboki ukłon, o kilka kroków dalej zalecił, żeby się nisko schylić, jak gdyby się przechodziło pod nawisłym sklepieniem, to znowu wysoko podnosić nogę, jak dla ominięcia przeszkody. Gdy go nareszcie prowadzono, jak sądził, na dawne miejsce, dało się słyszeć tępe uderzenie drewnianego młotka — i zaraz potem hałas, krzyk, szczęk broni. Rozległo się drugie uderzenie — i wszystko ucichło.

Wtedy ktoś po niemiecku pytał drugiego: jak się „przychodzień” sprawował? — a tamten odpowiedział, że z odwagą.

Dał się słyszeć głos majora mówiącego po polsku:

— Prowadźcie go pod stalowe sklepienie...

Młodzieniec usłyszał szczęk wielu szpad uderzających jedna o drugą i szedł pod stalowym szczękiem schyłony, w półokrąg. Na końcu drogi znów oddał pokłon.

Po raz trzeci ozwał się major:

— Prowadźcie go w te okropne strony, do których my sami zbliżamy się ze drżeniem. Każcie mu doświadczyć skutków palącego ognia. Tak, Bracia moi! Dajcie mu poznać gwałtowność wszystkich żywiołów, a jeśli zadrży, rzućcie go w otchłań obok niego krążącą!

Rafał uczuł, że około jego twarzy płonie sucha żywica, to znowu, że z dwu stron leci nań wiatr z miechów. Za chwilę obalono go na taczki i wieziono po nierównej pochylni. Wreszcie, pozostawiony na chwilę w spokoju, zajął miejsce w końcu szeregu osób, które się wciąż naprzód posuwały.

W pewnej chwili usłyszał głos majora:

— Każ mu zgjąć lewe kolano, położyć rękę na ewangelii, daj mu cyrkiel w rękę. Niech koniec jego do serca swego przyłoży...

W tej chwili po raz pierwszy Rafał doświadczył niewymownego, panicznego uczucia przestraszenia. Słuchał łagodnej przemowy Mistrza, który mu tłumaczył ważność złożonej przysięgi... Zawahał się. Jeszcze chwila, jeszcze jedno mgnienie oka — i zerwie się na równe nogi, zedrze z oczu osłonę. Precz! Zimny pot oblał go całego...

Wtem rozległo się drewniane uderzenie młotka i wolę jego przetrząciło. Uczuł, że w tej samej chwili na ciemieniu głowy jego spoczęły zimne końce kilkudziesięciu szpad. Został tym dotknięciem jakby do ziemi przybity, jakby przykręcony mutrami. Wola zginęła do ostatniego źdźbła, do znaku. Tuż nad nim rozległ się miękki, dobrotliwy głos księcia Gintulta, który czytał słowa przysięgi. Rafał uradował się do głębi, do cna, jak wówczas, kiedy spostrzegł, że uratuje Krzysia Cedrę. Zaczął powtarzać cudze słowa z owym głębokim, przeraźliwym, a przecież wciągającym niezrozumieniem, z trwogą dochodzącą znów do szaleństwa, do furii, do zanikania tchu, jak wówczas w Sandomierzu, kiedy pierwszy raz miał przystąpić do konfesjonału.

— Przysięgam — powtarzał — przed Bogiem Najwyższym całego świata Budowniczym, na zbawienie moje i na honor mój nieskalany, jako skrytości Mularstwa z jak największą dochowam pilnością. Przysięgam, iż póki życia mego — nie dam żadnej pobudki, ażeby skrytości rozniesione były, nie dopuszczę, żeby do wiadomości publicznej bądź napisane, szychowane lub innym jakim bądź sposobem podane były. Nadto przysięgam i obiecuję jak najświętobliwiej dochować, a w razie konieczności krwią i życiem wszystkich statutów najpoważniejszej społeczności bronić. W przypadku przestąpienia pozwalam mieć gardło przetrzięte, serce i wnętrzności wyszarpane i do morskiej rzucone przepaści, ciało moje na popiół spalone i po wszystkich częściach świata od wiatru rozproszone. Niechaj mi Najwyższy świata Budowniczy udziela swej pomocy! Na potwierdzenie przysięgi całuję słowa Zbawiciela mego...

Ledwie nowy mularz ostatnie słowa wymówił, rzekł Mistrz katedry:

— Bracie Poświęcicielu, przybliż czarę do krwi!

Rafał rozpoznał, że to książę stoi obok niego i że on nosi miano Poświęciciela. Przystawiono mu pod serce chłodne naczynie mosiężne. Zarazem usłyszał głos majora, którego już w myśli nazywał Przewielebnym Mistrzem katedry. Mistrz przytknął ostrze cyrkla do lewej piersi nowego ucznia i mówił po niemiecku:

— W imię Najwyższego Budownika świata...

Nacisnął mocno cyrkiel i głośniej rzekł:

— *Im Namen der gesetzmässigen, verbesserten und vollkommenen St. Johannis-Loge, genannt „Zum goldenen Leuchter“...*

Trzeci raz nacisnął cyrkiel i wygłosił:

— Mocą powierzoną mi, za zezwoleniem wszystkich Braci, przyjmuję cię jako ucznia Mularza. Podnieś się. Prowadźcie go na Zachód.

Uczeń miał znowu obok siebie dwóch ludzi.

— Bracie Dozorco! — mówił Mistrz — zapytaj go, czy pragnie dostąpić pierwszego stopnia światła?

— Pragnę... — rzekł Rafał.

Poczuł gaszenie światła, śwąd świec i zadmuchiwanie płomienia żywicy. Zarazem usłyszał, że wszystkie kroki kierują się ku niemu, i uczył ostrza wszystkich szpad na swoich piersiach. Znowu *Meister vom Stuhl* rzekł uderzając młotkiem:

— Bracie Dozorco, daj mu pierwszy stopień światła.

Wówczas odsunięto nieco z oczu Rafała przepaskę.

Ujrzał płomień spirytusu palący się na wzniesieniu, gdzie siedział Mistrz. Twarz majora, oświetlona kiedy niekiedy przez migotliwy płomień, ukazywała się jakoby w chmurze. Rozległo się drugie uderzenie i znowu wyżej odsunięto opaskę. Gdy po raz trzeci miał uderzyć młotek, Mistrz mówił groźne słowa głosem tak niegroźnym, że Rafał pełen był wesołości i figlarnych conceptów:

— Drżij waćpan, gdybyś miał zostać wiarołomcą! Drżyj!

Nie drżał ani trochę.

— Wszystkie zwrócone ku tobie orężę przeszyją zdradzieckie serce twoje, gdybyś kiedy złamał przysięgę!

Z wolna zaczęto łożę oświetlać, a w całym zgromadzeniu stała się solenna cisza. Rafał znowu został sam między dwoma dozorcami, ci zaś, którzy przed chwilą kierowali przeciw niemu swe szpady, uszykowali się we dwa szeregi, inni zajęli poprzeczne ławy, jeszcze inni — odosobnione miejsca przy stolikach. Stojący w szeregu trzymali szpady w rękę.

Najprzewielebniejszy zapytał:

— Czego chcesz, mości panie?

— Światła — rzekł Rafał.

— Dozorcy! udzielcie przyjętemu wielkiego światła!

Za trzecim uderzeniem zdjęto z oczu Rafała zasłonę.

— Bracie mój — rzekł Mistrz swoim dobrym, radosnym głosem — jesteś do nas za ucznia przyjęty. Jeśli na to zasługiwać będziesz, nie tylko te wydobyte, ale wszystkie na całej ziemi orężę Braci pośpieszą ku twej obronie.

Brat Rafał ogarnął to miejsce ciekawym spojrzeniem.

Był w sali obitej suknem niebieskim. W głębi jej stał tron ze złotymi ozdobami. Przed tronem był ołtarz, a wyżej stół ze świecznikiem trójramiennym. Po bokach wznosiły się dwie spiżowe kolumny. Na jednej z nich dostrzegł literę *B*, na drugiej *J*. W pobliżu kolumn stały dwa wielkie lichtarze z płonącymi świecami, w głębi, obok ołtarza — trzeci. Tuż przed sobą miał kobierzec z dziwnymi znakami

— *Zur Ordnung!* — rzekł Mistrz.

Wszyscy schowali szpady do pochew. Nareszcie zasłoniono nowemu uczniowi ramię i kazano mu iść naprzód, stawiając stopy pod kątem prostym. Gdy postawił siedem takich kroków, rzekł Mistrz:

— Postawcie go na cyrkle mądrości, na węgielnicy szczerości, na gwieździe płomienistej.

Wykonał znowu trzy trudne kroki we wskazanych miejscach. Mistrz zwrócił się do niego z długą i serdeczną przemową, wręczając mu podane przez mistrza obrzędów na

aksamitnej poduszce: fartuch haftowany z jedwabiu, białe rękawiczki męskie i białe rękawiczki damskie (znak czci dla kobiety), a wreszcie nauczył go znaku ucznia, to jest przykładania do gardła ręki złożonej w kształt węgielnicy oraz powitania braterskiego.

Gdy te wszystkie ceremonie zakończyły się pocałunkiem Mistrza, Rafał, oddany dozorcom, wysłuchał długiego i zagmatwanego wykładu kobierca. Niewiele z tego zrozumiał. W głowie miał szczególny szum i ogień, w skroniach czuł bicie krwi. Nieznane mu twarze braci przejmowały go teraz uczuciem nieokreślonym. Wiedział, że jest z nimi złączony na zawsze, a przecież byli dla niego obcy i jakby wrogowie.

Przewielebny uderzył młotkiem i zapytał:

— Bracie Pierwszy Dozorco, która jest godzina?

— Północ.

— Ponieważ jest północ, oświadczcie w rzędach swoich, że zamysłam tę sprawiedliwą i doskonałą lożę ucznia zamknąć przez trzy uderzenia wielkie i otworzyć lożę stołową.

Trzy uderzenia Mistrza, powtórzone przez dozorców, zamknęły posiedzenie. Zgromadzeni przeszli korytarzem do innej sali, gdzie już były zastawione stoły. Była to długa izba z nagimi ścianami. Mistrz katedralny zasiadł pośrodku, obok niego z prawej strony książe, a tuż przy tych dygnitarzach posadzono Rafała. Stoły były ustawione w podkowie i nowy mularz widział ze swego miejsca wszystkich współbraci. Sądził, że teraz skończą się już obrzędy, ale się zawiódł. Mistrz, zwrócony do dozorców, oświadczył uroczyście:

— Loża stołowa ucznia jest otwarta i każdy brat może pracować wedle projektu pracy, jaki dany będzie.

Gdy uderzył młotkiem, milczące aż dotychczas towarzystwo poczęło rozmawiać. Bracia sami roznosili potrawy. W drugim rzędzie poza nakryciami stały butelki z winem i szklanki okrągłe dziwnego kształtu, ze rżniętymi symbolami, a dnami grubymi na cal. Po trzecim daniu Mistrz uderzywszy młotkiem mówił:

— Bracia, napełnijcie strzelby prochem tęgim!

Bracia usługujący napełnili szklanki winem białym.

— Czy wszystkie strzelby nabite są prochem tęgim?

— Wszystkie — rzekł brat Dozorca.

— Damy ognia ten pierwszy raz na zdrowie króla i pana naszego Fryderyka Wilhelma! Ręka prawa do strzelby, strzelba do lica, do ust, ognia!

Wszyscy spełnili puchary. Ujrawszy to Mistrz komenderował:

— Strzelba do lewej piersi, do prawej, do środka piersi, dwa razy uczynić trójkąt!

Bracia sprawnie, jak jeden, wykonali tę komendę. Stawiając szklanki uderzyli nimi jednocześnie wszyscy z głośnym hałasem. Po wtóre w ten sam sposób wypilo zdrowie Wielkiego Mistrza, *Landes-Gross-Meistra*, Brata Fryderyka von Castillon, profesora filozofii w król. Akademii Berlina, później zdrowie Wielkiego Wschodu, Mistrza katedry, urzędników loży „Złoty lichtarz” i świeżo przed miesiącem powstałej „na wschodzie” Warszawy loży pod nazwą *Friedrich Wilhelm zur Säule*, wreszcie zawiązującej się loży siostr masonek. Wypite wino działało na Rafała w sposób nadzwyczajny. Nie był pijany, nie był nawet podochocony. Teraz jego myśli zaczęły żyć. Widział jasno, rozumiał jak nigdy w życiu, co się z nim dzieje — i był wszystkiemu rad. Męska, potężna siła płynęła teraz w jego żyłach, ramiona dźwigały się do czynu, umysł był ostry jak topór. Spoglądał w oczy nowych swych braci, w jedne oczy po drugich, w twarze Niemców i Polaków, po raz pierwszy widziane, i w każdym oku widział siłę nieubłaganą, taką samą jak w sobie.

Wtem Mistrz katedry wstał mówiąc:

— Ostatni ten raz wystrzelimy za zdrowie wszystkich masonów, od bieguna do bieguna ziemi, więc przed wystrzałem uczynicie, Bracia, na znak tej tajemniczej ligi, ciągły łańcuch, łącząc ogniwo z ogniwo.

Wówczas rozległa się pieśń Braci, mówiących po polsku:

Jedność jest kamień węgielny
I przybytek okazały,
Gdzie Budownik Nieśmiertelny
Żąda od nas wiecznej chwały.
W nim to moralni Mularze,
Wzgardziwszy przesądem świata,

Cnocie stawiają ołtarze,
W cnotliwym uznają Brata...

Wszyscy stanęli w otworze stołu i podali sobie ręce. Mistrz podał ręce dozorcóm, ci bracióm służącym, urzędnicy między sobą wszyscy aż do Rafała, najnowszego ucznia. Łokieć prawej ręki każdego łączył się z lewym łokciem sąsiada, a dłoń spoczęła na jego ramieniu. Wszystkie oczy skierowały się ku oczóm Mistrza, utopiły w nich i tak na długo zastygły. Jakże dziwnymi stały się te oczy Mistrza katedry! Jakże były wzniosłe, potężne, jakże były silne i wszechobjmujące! Ogromny, straszliwy dreszcz jak cios zatrzęsł całym ciałem Rafała, spadł powoli do jego stóp i zdało się, jak gdyby wsiąkł w ziemię...

LOŻA PROFANKI

Książę Gintułt przy pomocy „brata” Rafała pisał swe dzieło szczególne. Była to niby historia zakonu templariuszów, ale dzieje stanowiły tylko tło rzeczy. Właściwie zaś był to wykład systematu filozoficznego. Rafał z konieczności, wbrew woli, pogrążony został w surowe studia źródeł do tej pracy, poczynawszy od zamierzchłych kultów religijnych Azji i Afryki, badania sekt u ich źródeł, a kończąc na materiałach do historii Jakuba Bernarda Mollaya, arcybiskupa z Bordeaux Bertranda de Got, późniejszego Klemensa V, Filipa z przydomkiem *le Bel* i żony jego, królowej Joanny. Osobliwie król Filip stał się osobistością, z którą się niemal przestaje. Ciągłe również miał przed oczyma dzieła św. Bernarda, nade wszystko jedno z nich, mianowicie *Exhortatio ad Milites Templi*. Często pisał te słowa, które z dziwną rozkoszą to tu, to tam, w różnych miejscach tekstu książę mu dyktował:

„Żyli nie mając żadnej własności, a nawet własnej woli. Prosto odziani, pyłem zakurzeni, opaleni słonecznym promieniem, zdawali się być śmiertelnymi za życia, jak wiara, co ich żywiła. Nic ich odwagi zachwiać nie mogło, żadna przeciwność nie oziębiła. Wielkość niebezpieczeństwa zdołała im zwycięstwo. Każdy krok ich był krokiem ku potomności”.

Te studia niewiele wpłynęły na usposobienie Rafała. Ani jeden krok jego nie zmierzał ku potomności. Znużony i znudzony pisaniem wymykał się wieczorem w sekrecie do Jarzýmka. Grał i hulał. Książę żyjący odludnie nie wiedział o tym trybie życia swego „brata” sekretarza, a jeszcze mniej mógł wiedzieć gruby a ciężki *Meister vom Stuhl*. Zresztą Rafał ukrywał się doskonale. Miał własny klucz od mieszkania, i nikt, z wyjątkiem starego sługi, nie wiedział o jego nocnych wycieczkach. Do łoży uczęszczał jak najpilniej i nigdy nie zasłużył na karę za spóźnienie. Sumiennie płacił składki (z pieniędzy wygranych w karty) i z wolna zyskiwał sobie opinię dobrego brata u ludzi najlepszego towarzystwa. Wprowadzony do łoży przez księcia poniekąd z konieczności, dla zupełnego utajenia prac i schadzek z Mistrzem katedry, stał się nie tylko członkiem najlepszego towarzystwa, lecz i poprawnym mularzem.

Nikt nie zwracał teraz uwagi na jego sekretarstwo. Wszyscy wiedzieli, że jest to rola przygotowana, jak urząd w łoży.

Na uroczystość świętojańską łoża warszawskie niemiecko-polskie: *Zum goldenen Leuchter* i *Friedrich Wilhelm zur Säule* pragnęły wystąpić okazale; by mieć o czym donosić Wielkiemu Wschodowi „na wschodzie” Berlina. Postanowiono tedy powołać do życia rozsypane łoża siostr masonek i złączyć je w jedną. Kilkanaście siostr z łoż dawnych Wschodu polskiego mieszkało w Warszawie. Były nowe kandydatki, pragnące z nudów i dla mody wstąpić do łoży, byleby się jaka otwarła, więc Polacy, pracujący pospołu z Niemcami, zakrzętnęli się żywo. W początkach czerwca powstał związek łoży niewieściej i wnet był „afliowany” do łoży męskiej na wschodzie Warszawy, pod nazwą *Zum goldenen Leuchter*. Odbyło się wkrótce pierwsze wspólne posiedzenie, wzbudzając nadzwyczajne zainteresowanie w świecie masonskim. Szeptano ciągle, że Mistrz katedry pragnie wprowadzić do łoży swą młodą małżonkę, przed rokiem poślubioną, z ciekawością wyliczano imiona siostr, które miały przybyć. Rafał z zapalem wybrał się na tę niezwykłą uroczystość.

Łoża tego wieczora była przybrana nieco inaczej niż zwykle, choć tymiż barwy. Mistrz zasiadł na wzniesieniu. Brat Straszny stanął za nim z mieczem i łańcuchem w ręku. Wśród

ogólnego napięcia Mistrz katedry zabrał głos i polecił mistrzowi ceremonii oraz wielkiemu przewodnikowi udać się do sali sąsiedniej i prosić zgromadzone tam siostry dawnych łóż polskich, aby weszły do świątyni. Nim się ukazały, na dany znak Bracia zanucili śpiew:

Witajcie, siostry swobody,
Witajcie w świątyni chwały,
Którą ręce świętej zgody
Dla dobra świata działy!
Wznoście z bratnimi ofiary
Podstawy cnoty ołtarzy
I złóżcie na nich te dary,
Co zdobią wolnych mularzy!

Po odbyciu ceremoniału wkroczyło do sali kilkanaście przekwitających albo już zupełnie przekwitłych piękności z ostatnich lat Stanisławowskich. Siostry złożyły naprzód gałązki oliwne u stóp ołtarza, a później zajęły miejsca w kolumnach. Wielki mistrz otworzył lożę i wygłosił w języku francuskim powitanie i naukę. Gdy wyrzekł ostatnie słowo i pięćkroć uderzył młotkiem, który dnia tego był przewiązany wstęgą błękitną, z cicha, jakby oniesmielony, zapytał, czy nikt nie ma żadnego przedłożenia. Mistrz ceremonii odpowiedział, że jest profanka, która pragnie być przyjętą do towarzystwa masonek. Na pytanie: czy nikt się nie sprzeciwia tej prośbie, gdy zgromadzeni powstawszy wyciągnęli prawe ręce ku obrazowi, Przewielebny wysłał jednego z braci, aby kandydatkę przygotował. Rafał doświadczał silnego uczucia niesmaku i zawodu.

Damy, które miał przed oczyma, nie budziły w nim entuzjazmu, a i kandydatka, jak należało przypuszczać, powiększyć miała liczbę tych malowanych i fryzowanych zwalisk, przyłożyć nowy grymas zalotności do sumy wystudiuowanych, ale dawno bezskutecznych uśmiezków. Toteż z jawną niechęcią myślał o długich ceregielach czekających go tej nocy w loży, dusznej jak łaźnia rzymska. Brat Stuart znikł był za drzwiami sali rozmyślał, dobrze Rafałowi pamiętnej, i długo nie wracał. Tymczasem Mistrz zadawał siostrze Mistrzynie masonek pytania z rytuału, na które ona wprawnie i z wypróchniałym wdziękiem odpowiadała:

— *Que faut-il pour rendre une loge juste et parfaite?*
— *Trois la composent, cinq la rendent juste, sept la rendent parfaite.*
— *Qui sont-ils?*
— *Le Vénérable, deux Surveillants, deux Compagnons et deux Apprentis.*
— *Dans quelle loge avez-vous été vécu?*
— *Dans la loge Saint-Jean.*
— *Pourquoi nos loges sont-elles dédiées à Saint-Jean?*
— *Parce que les Frères Maçons qui s'étoient unis pour la conquête de la Terre Sainte avoient choisi Saint-Jean pour patron...*

Wtem rozległo się twarde uderzenie we drzwi, i po zwykłych pytaniach oraz odpowiedziach stanęła na progu profanka. Oczy jej były zawiązane bardzo szeroką przepaską, która prawie całą twarz od czoła aż do ust zasłaniała. Złota frędzla przepaski spadła na ramiona śnieżnej białości, na piersi obnażone. Spod zasłony widać było tylko przepych bujnych pozłocistych włosów, w grecki pukiel *krobylos* związanych, i uchylone usta. Niepewne światło sześciu lamp spirytusowych rzuciło na tę postać przerywany blask. Rafał spostrzegł uchylenie ust, trwożliwe uchylenie jak u trzyletniego dziecka, spostrzegł je i zamarł w oczekiwaniu, tęsknym aż do boleści. Ani jedna myśl nie była w stanie wydzwignąć się z jego mózgu. Serce biło coraz wolniej i tylko same wargi bezdźwięcznie lkały:

— O, włosy, włosy złote... O, usta, o moje usta...

Bracia i siostry na widok profanki trzykroć przyklasnęły uderzając ręką po prawym biodrze. Dwaj bracia Stuarci oprowadzili przybywającą dwakroć dokoła loży, trzymając ją pod ręce, po czym umieszczona naprzeciwko Przewielebnego Mistrza katedry, z pochyloną głową czekała.

On rzekł:

— Kobieto, kim jesteś?

— Nazywam się Helena de With.

Usłyszawszy ten głos Rafał o mało nie krzyknął. Zdławił głos w piersiach i tylko palce jego prawej ręki wpiły się jak szpony w dłoń lewą. Rozpacz i szczęście płynęły przezeń jak wiatr przez gałęzie drzewa.

Przewielebny mówił coś do profanki i plątał się w tej przemowie jak żaczek wydający lekcję. Nareszcie po nieskończeniu długich pytaniach i odpowiedziach, po ceremoniach, które, zdawało się, trwały dziesięć lat, Rafał ze drżeniem usłyszał te jego słowa:

— Damy ci pierwszy promyk światła, który ma kierować twoimi krokami. Niech dadzą pani de With pierwszy promyk światła.

Mgła leż zasłoniła oczy Rafała. Widział, że ktoś zbliża się do pani de With i odwiązuje przepaskę. Machinalnie podniósł swą szpadę jak wszyscy, żeby nad kandydatką utworzyć stalowe sklepienie. Błyski kling zasłoniły mu twarz odkrywającą się spod przepaski, ale ją ujrzał za chwilę. Bez oddechu, jakby bez wzruszenia, zimnym, obłąkanym wzrokiem zobaczył tę twarz, oczy królewskie, łuki brwi i policzki cudniejsze od woni kwiatów wiosennych. Usłyszał znowu głos jej, gdy przysięgała wobec Stwórcy wszechrzeczy i na wszystko, co może być świętego dla kobiety uczciwej, że dochowa tajemnic pod karą miecza Anioła Niszczyciela. Rafał trząsł się i dygotał z zimna słysząc te wyrazy. Włosy jeżyły mu się na głowie, a wiatr śmiertelny owionął czoło. Kły i pazury wilcze werżnęły się w jego gardło, młotem biły go w dekę piersiową, włamały się pod żebra, a zielony blask ślepiów ozonał go wychodząc ze strasznej nocy. Przecudny głos brzmiał jakoby pieśń spod nieba:

— Oby ogień panujący w wyższych powietrznych sferach ogarnął moją duszę, a oczyszczając ją oświecił na drodze cnoty...

Brat Straszny potrząsnął łańcuchem, założył go na szyję nowej uczennicy. Rafał nie widział, co się działo, nie rozumiał, czemu wstępującej siostrze przypięto biały fartuch i dano białe rękawiczki. Nie rozumiał ani jednego słowa z przemowy Mistrza; patrząc nie widział, jak Mistrz z uśmiechem szczęścia oddał nowej siostrze, a żonie swej, pocałunek pokoju, mówiąc:

— Pozwól, abym ci dał pocałunek pokoju, a ty go oddasz braciom i siostram, równie jak słowo, znak i dotknięcie.

Rafał był wtedy w sobie samym. Na nieznanym, tamtym świecie. Krwawymi oczyma patrzył się w duszę swoją leżąc na dymiącym śniegu wśród pól. Widział śmierć, która idzie. Nowo przyjęta siostra posuwała się z wolna, jak piękny duch, jak wzniosły a rozkoszny dźwięk wydobyty z najczarowniejszych strun wiolonczeli, oddając braciom i siostram pocałunek pokoju. Wyciągniętą ręką dotykała palców każdego i z cicha, z uszanowaniem i pokorą wymawiała tajemnicze „słowo” — *Feix*, co znaczy: „Szkola”. Oczy jej były spuszczone, a cudne, prawie odsłonione piersi oddychały głęboko. Kiedy zbliżała się, obszedłszy środek, do kolumny, w której na samym końcu stał Rafał, powiodła okiem z wyrazem lekkiej, mglistej niechęci. Szła przeciw dalej, wykonywając rozkaz Mistrza. Tak przyszła przed Rafała. Wyciągnęła rękę i dotknęła stawów jego ręki, podniosła oczy z szacunkiem i cichą trwogą, pewnie dla zbadania, czemu ta dłoń tak drży, podniosła oczy jak na twarz każdego z braci... Ale ujrawszy tego, ostatniego w szeregu, oniemiała. Oczy jej nagle zastygły, twarz odchyliła się jeszcze bardziej w górę. Kolana pod nią zgięły się. Zdawało się, że padnie w tył. Wolno udźwignęła lejącą głowę. Wtedy uśmiech...

— *Feix* — wyszeptała drżąc jeszcze, ale w uśmiech cała pogrążona jak w blask miesiąca.

Usta jej zbliżyły się do warg Rafała i dotknęły ich cichym, strasliwym muśnięciem rozkoszy. W tej samej chwili szept, szept szczęścia przemieniony w strach piorunowy, spłynął z nich w usta kochanka:

— O, Boże...

POKUSZENIE

Helena de With błąkała się po swym buduarze. Gruby dywan tłumił szelest jej kroków, adamaszkowe ściany zasłaniały od zewnętrznego szmeru. Było dokoła niej cicho i ciemno. Parna noc czerwcową zesła na ogród i dom, objęła wszystko wrzącym uściskiem. Liście drzew zasłaniające okna wisiały nieruchomie i ciężko, jak płyty młotem wykute z żelaza...

Helena zbliżała się do okien, wychodziła na balkon wiszący ponad trawnikiem, znowu cofała się w głąb pokoju, miotając się bez wiedzy, bez woli...

Palila ją suknią na ramionach i biodrach, cisnęły ją ciężmy ze śliskiego atlasu, dolegało jej związanie nieobjętych, nieogarnionych, ciężkich włosów. Tysiąc już razy pomyślała, żeby zrzucić suknie i rozpuścić włosy, ale za każdym razem ręce jej opadały bezwładnie i splatały się z boleścią. Spoglądała w czarną noc stojącą między pniami drzew, w noc słabo poczerwieniałą u brzegu od niezastygłej jeszcze żarnicy wieczornej czy nadchodzącego już wschodu, w noc upalną jak żelazo gdy stygnie, i usta jej szeptały ciche, sekretne, zakazane, w tęsknocie poczęte wyrazy. Wlepiała wzrok w aleje niewidoczne, których głębokie jaskinie przejmują zmysłowym lękiem, rozkosznym strachem, i słuchała, jak przed nią i za nią nieruchomą i wieczną jest cisza nocy. Wyciągała ku ogrodowi stęsknione ręce i stęsknione usta, przycisnęła do pustki czoło pragnące wsparcia, kładła je na ramieniu nocy, a rozchyłonymi nozdrzami chwyciła cierpką woń narcyzów, głuchą, niemą, bezdenną woń tęsknoty. Jakże dziwną była dla niej ta duszna noc, jakże była osobną, odmienną i jedyną w życiu! Porywała ku sobie, ku głębiom pełnym rozkoszy niewysłowionej, których przecież nie da zaznać nigdy...

Długie pogody, suche wiatry i morze upału składały się na nią, tworzyły ją od tygodni. Stała teraz nad ziemią straszna i urocza, mocna a nieprzemierzona, wołając z głębokich ciemności. Radość wznosiła się na kłębach zapachów z mroku jej, radość wszystko ogarniająca, wspaniała, olbrzymimi ruchy wyzwalająca ciało i duszę. Ale nie sama ta radość dawała szczęście. Och, nie! Była tylko jak gdyby nadzieją szczęścia, które jest w pobliżu, krąży dokoła domu, czai się w słupach dymiących aromatów, czeka i lękliwy krok stawia bez szelestu. Serce biło w Helenie de With twardymi ciosami, a uderzenia jego rozlegały się w uszach jak kroki szczęścia nadchodzącego. W jednym miejscu, między obłokami liści, widać było czyste, granatowe niebo i miliardy na nim gwiazd. Gwiazdy były jaskrawe, bliskie ziemi, brylantowe. Zdawało się oku, że widzi ich bryły i ostre kanty. Helena wzniosła oczy ku wiekuistej nieskończoności nieba i stała tak długo, kołysząc się łagodnym, melodyjnym ruchem. Słyszała w sobie jakoby melodie gwiazd, śpiew ich wdzierający się do serca niewidzialnymi drogami, jak wdziera się do duszy zapach kwitnącego ogrodu. Mówiły gwiazdy:

— Czymże ty jesteś, który chciałeś nazwać mnie żoną? Ktoś ty jest i skąd wzięłeś prawo nad moją pięknoscią? Cóż mi ty w darze przyniesiesz? Czy masz oczy, które bym kochała aż do śmierci za dziewiczość moją? Czy masz włosy, które się śnią uśpionej w nocy i w zamyśleniu chodzącej we dnie?

Potworny jesteś i obmierzył w twojej mądrości i dobroci, z uśmiechem cnoty na ustach i od szukania po ziemi prawdy ze zmarszczkami na czole. Głowa twoja jest zimna i ciężka, słowa twoje żelazne, mądre i obojętne. Nie pachnie ani jeden wyraz, nie obudzi żalu ani tęsknoty... Gardzę wszystkimi słowy twoimi wysnutymi ze starych ksiąg, wspaniałym, wszystkim wiedzącym uśmiechem i gorzkimi a szczerymi łzami nad nędzą i małością zachodów człowieczego rodu! Gardzę twoim niezwykłym rozumem i wspaniałym sercem!

Jeśliś jest wyższy nade mnie, to tobą za to właśnie gardzę.

Jeśliś jest lepszy ode mnie, to tobą gardzę po stokroć!

Nie chcę, żebyś miał prawo do jednego palca mej ręki, do jednego włosa mej głowy. Wszystkam jest jego w marzeniach całej młodości, wszystka jestem od stóp do głowy, od włosa na głowie do małego palca u nogi, wszystkam jest jego! Słowa jego szeleszczą za mną, wzdychają we mnie i pogrążają się w moje oczy. Czy patrzę na falę morza, na widoki ziemi, na obłoki nieba — widzę jego spojrzenie. Usta jego czerwienią się od krwi jak róże w moim ogrodzie, czarne brwi zsuwają się potężnie od władzy strasznej i słodkiej nade mną, nad moją duszą i ciałem, od władzy, którą tak kocham. Za jego szczęście na ziemi dałabym sobie bez żalu uciąć tę rękę, za jego taką samą miłość dałabym sobie wyrwać piersi, a za to, żeby w głuche noce być jego, dałabym sobie wylupać oczy...

Lkała nie roniąc łzy z oczu. Szarpała cudnymi palcami żelazne ozdoby balkonu jakoby powrozy niedoli, które ją opasywały, i wila się na miejscu jak nadeptana żmija.

Ale oto ramiona jej zadrżały od niewiadomych dotknięć zapachu klombów. Wzburzona nienawiść ucichła w sercu. Coś jak wietrzyk lekkie i wonne owionęło jej czoło, głowę, poruszyło włosy i spłynęło na obnażoną szyję. Uczuła w sercu swym z niewy-

mowną pokorą powiew szczęścia. Złożyła ręce na piersiach, schyliła głowę... Przez serce jej płynęły wtedy marzenia:

— Widzę usta jego przy moich piersiach, a czoło przy nagim ramieniu. Włosy jego głowy są na ręce mej obnażonej, a białe czoło naprzeciwko ust. Czerwone są jego wargi jak róże z mego ogrodu, a ruchome są i żarliwe jak krew, kiedy wytryśnie ze świeżej rany i uchodzi. Białe zęby błyskają między uśmiechniętymi wargami jak krótka wiosenna błyskawica. Któż to mię całuje w tej ciszy i ciemności? Czy to ty mię całujesz, błyskawico? Czy to wy róże? Czy to ty mię całujesz, młody mój cieniu? Echo moje w górach, błękitne widmo na drogach morza, obłoku mój na niebie? Duszo mej duszy?...

TAM...

W pierwszych dniach lipca pani de With wyjechała z Warszawy na kurację do Bardyjowa. Do granicy austriackiej nad Pilicą jechała swymi rozstawnymi końmi, a dalej odbyła podróż dyliżansem pocztowym. Niezwykle krótko zatrzymała się w Krakowie. Co dziwniejsza, powzięła nagle postanowienie odwiedzenia swych stron macierzystych, Dersławic, dóbr swoich w Sandomierszczyźnie. Ochmistrzyńni i pannom służącym kazała czekać na siebie w Krakowie, a sama wczesnym rankiem wyjechała, gdy służące jeszcze spały. Uczyniła to tak niespodziewanie, bez poprzedniego rozważenia sprawy, jak to miała we zwyczaju, że stara Balbisia, ochmistrzyńni, która ją wyniańczyła i wychowała, z podziwu wyjść nie mogła.

Tymczasem pani de With jechała co prędzej, ale nie w stronę Sandomierza. Suto płaciła pocztylionom od stacji do stacji, zmieniała konie i pędziła w tumanach kurzu po urwistych górskich drogach. Gdy w ostatnim miasteczku, którego już w nocy dosięgła, wysiadła przed nędzną żydowską oberżą, była okryta pyłem od stóp do głowy. Rozognione jej oczy szukały czegoś — i znalazły. Rafał Olbromski stanął przy drzwiczkach powozu i uściskiem mocnym jak wieczny ślub objął jej rękę. Zaśmiała się krótko, gardłowym śmiechem i równie mocno rękę jego przygarnęła do serca.

— Pojedziemy dalej... — szepnęła.

— Nie! Tu zostańmy — błagał pochylony ku niej.

— Pojedziemy dalej! — rzekła stanowczo, zamknawszy oczy przed jego oszalałym spojrzeniem. — Czy są konie?

— Są... ale tu zostańmy...

— Jedziemy!

Rafał odszedł, żeby wydać rozkaz. Helena wyskoczyła, weszła do oberży i usiadła w kącie pustej izby. Świeciła się tam już na szynkwasiu łożowa świeczka. Po chwili on przyszedł i stanął w taki sposób, żeby ją od światła i żydowskich oczu zasłonić. Ale korzystał z tej samej chwili: patrzył na nią. W półciemności widzieli wzajem tylko swe oczy i tonęli w nich zapamiętawszy się na śmierć. Była to rozkosz zaiste śmiertelna, wyzwolona, naga, szczęście jednej chwili, trwające przez wieczność. Teraz dopiero czuli oboje, jak straszliwie i nad życie się kochali. Gdyby jedną chwilę trzeba było oddać, cofnąć, odjąć sobie za cenę życia, zrzekliby się życia z drwiącym śmiechem. Słowa, jak ciężary bez wartości, zwały się i upadły na dno dusz. Tylko anielskie uśmiechy wzajemnego pozdrowienia, jak o świcie mgła sucha z ziemi ukwieconej, wstały i rozszerzyły się w oczach i ustach.

Dał się słyszeć na brukowanym podcieniu radosny tętent kopyt końskich i hulaszczy a do gromu podobny turkot kół. Rafał uczynił znak głową, że już czas. Ale jego towarzysza nie podnosiła się z miejsca. Odsunął się od światła i zajrzał w oczy. Siedziała nieruchoma z oczyma idącymi za nim, z uśmiechem zaczarowanym. Rondo kapelusza związanego pod brodą oskrzydlało jej twarz. Tylko niektóre pasma włosów wymykały się wzdłuż policzków. Szary płaszcz podróżny z pospolitego płótna okrywał ją całą od stóp do szyi. Ręce leżały bezwładnie, splecione na kolanach. Była tak przecudowna, tak nieznaną, tak obca, a zarazem tak do jego istoty należąca, wydartą z głębi piersi, że jak skamieniały nie mógł się poruszyć. Toż jest Helena z Dersławic?

Stał w obłoku powietrza uszczęśliwiony przez jej obecność, i powtarzał stokroć ów pewnik, że ona jest na pewno tu, gdzie na nią czekał tyle godzin w spazmach tęsknoty i paroksyzmach zwątpienia. Nierychło, nierychło przesunęła się w jego duszy smuga łaskawego światła, ciepła i wonna myśl, że to jest pierwsza chwila, pierwsza godzina

i pierwszy dzień, że nastanie szereg godzin błogosławionych, dni szczęśliwych szereg nie-skończony.

Ta sama myśl odbiła się w jej oczach, w ustach i na czole. Ujrzał ją wszystką rozkwitłą jak jerychońska róża. Serce nie biło w jego piersiach, lecz drżało, ręce same się splotły i błogosławieństwo wypłynęło na wargi. Tak samo splotły się jej ręce i oczy zasłoniły powiekami. Stał patrząc w swe zniszczone szczęście i modlił się bez słów, bez poruszenia zastygłą wargą.

Za chwilę, rzuciwszy karczmarzowi sztukę złota, wsiedli do kutej krakowskiej bryki. Tęgim klusem ruszyli z miejsca spasio, rosło konie. Na gościńcu za miastem poszły jeszcze lepiej z kopyta. Zakochani siedzieli przytuleni do siebie, czując, jak w ich żyłach przepływają te same strumienie ognia. Kiedy niekiedy tylko oddawali sobie wzajem kilka słów, słów-pieszczot, słów-uściśnień. Konie parskają na równym, wyschłym gościńcu. Obłok kurzawy wstawał spod ich kopyt, otaczał wasąg i podróżnych.

Noc była księżycowa, widna. Nie powstała na niebie ani jedna chmurka. Wiatr rzeźwy ciągnął od gór, gdzieniegdzie wywabiał z dolin wilgotne opary, mgiełki w tych miejscach zrodzone i niechzące odejść. Dźwigał je po zboczach i garbach wyniosłych regli. Gości-niec biegł dolinami gór, które wierzchołki swoje wznosiły coraz wyżej i wyżej. Szerokie lasy, czarne puszcze przelewały się z góry na górę, wznosiły i zniżały. I droga — to leciała w dół, ku rzece błyszczącej na kamieniach, to znowu wspinała się na przełęcz, wdzierała na strome zbocza. Tu i owdzie wzywał ze szczytu góry kadłub skalisty i szarzał w świetle miesięcznym. Czasami droga szła przez modrzewiowe aleje, przez jaworowe ulice i świerkowe podgaja. Często bryka leciała z łoskotem wzdłuż uśpionych wsi podkarpackich, między stadami psów, skaczących na wysokość drabinek wozu. Wsie spały, były puste i jakby wymarłe. Ani jedno światelko nie zapowiadało w nich życia. Psy ze wściekłością odpędzające wędrowców od tych schronisk rosły w oczach i zdawały się być potwornego kształtu i ogromu.

W jednym miejscu konie krótko wytchnęły przed zatarasowaną we wsi karczmą. Obok karczmy stała chata pod cieniem wielkich modrzewi. Światło księżyca przenikało ruchome, miękkie, delikatne, żółtawe w tym blasku gałęzie, których szczyty chwiały się z wolna, stykając się i rozchodząc pomiędzy sobą. Jedna ściana domostwa i połamane linie górskiego dachu z szerokim okapem oblane były światłem księżyca, a cały dom w mroku ginął. Na tej ścianie ubogiej światło uczyniło sobie królewski przybytek. Śniło na niej przedwieczny swój sen. Widzieli każdą od lat szerniącą belkę, każdy w niej cios siekiery, każdą okrągłą wypaść sęka, rysunek rdzenia i warstw drzewa. Płazy te miały teraz nie swoje barwy. Któż wie — może śniły tej cudnej nocy sen o życiu na pochyłości urwiska góry, w szumie gałęzi, w poświstach zielonych igieł, gdy huczą trąby górskiego wiatru...

— To nasza droga, nasza biała, szczęśliwa droga... — szepnęła Helena. — Tam pojedziemy. Ta jest droga prowadząca do szczęścia...

— Patrz, a ta biała ściana domu... — mówił Rafał cicho, jakby zwierzał tajemnicę i nie chciał przerwać zaczarowanego snu ściany.

— Nie, nie! Tam...

— Przecudna, biała ściana...

Głos obojga był inny, odmienny, zgoła niepodobny. Słuchali się wzajemnie z radosnym zdumieniem, a każde słowo, każdy dźwięk spadał w tajemniczą skarboneę, jak diament bez ceny. Woźnica skoczył na koział i ruszyli dalej.

Gości-niec biegł teraz chyżo w dół, ku rzece lśniącej, z szumem i zawodzeniem rwącej po kamieniach. Łóżysko jej, wysłane szeroko rozmięcionymi głazami, widać było z od-dalenia. Nad brzegiem stały wierzby o wąskich a długich liściach, które teraz w świetle księżyca jaśniały od rosy szarobiałej. Liście te chwiały się i wyginały ku światu, hucząc, że to one szemrzą tak głośno.

Wysoko wzbil się księżyc. Było po północy. Szczyty leśnych gór odrzynały się w zrze-dłym błękitnie nieba kudłatą i potarganą albo kędzierzawą i wełnistą linią. Zimno było coraz bardziej, jak na nizinach w późnej jesieni. Na prawo i na lewo leżały przy białej drodze cienie tak głębokie i czarne, że zdały się być otchłaniami bez dna. Szły przed oczyma w głębokość gruntu jakby wskroś ziemi jaskinie dolin. Tam to rzucala się droga

w rozwartą paszczę. Oczy wierzyć nie chciały, że ta jasna, srebrnolita wstęga tam pójdzie, że tam właśnie ośmieli się powieść za sobą. Serca wołały na nią, gdy nagle zwracała w bór czarny i zimny, w gęsty jego mrok, w knieję ziejącą mroźnym oddechem. Olbrzymie świerki wychylały niespodziewanie kolosalne swe szczyty jak gotyckie wieże otoczone bogactwem kwiatonów. Słychać było, gdy konie szły pod górę noga za nogą, szept drzew, ni to mowę wysiłu tych miejsc niezdobytych przez człowieka, ni to przestrach pustyni ze snu ocknionej. W cieniu śniące gałęzie, cicho zwieszane ku ziemi, wzdrygały się niespodzianie i pochylały z cichym a złowieszczym sykiem. Łoskot kół bryki huczał, a porywcy tętent kopyt rozlegał się na sennej drodze. Leciał stamtąd w martwy las na podobieństwo tysiąca toporów rozrąbujących kamienną ciszę.

Strach-nie-strach owiewał dusze. Patrzali w ten kraj jakoby w obraz miłości swej, w tajemnicę swego życia. Skądże przysła ku nim ta ziemia przedziwna? Kto ją dla nich uczynił? Oczy nurzały się w nią, nurzały bez końca i, zapamiętawszy się w cudnym blasku miesięcznym, nie mogły objąć piękności. W sercach powstawał niesłychany żal, przeobrażał się w krzyk przerażenia czy radości, w hymn święty, na który w mowie ludzkiej nie ma słów. Dusze, jak niemowy, chciały z siebie wydrzeć choćby jeden dźwięk, jedną nazwę, jedno imię, a tylko głębokie westchnienie, do stworzenia sylaby niezdolne, zawierające w sobie całkowite czucie — wyrывało się ku gwiazdom rozsyanym w niebiosach.

Wtem droga zawisa nad urwiskiem i skręciła się w miejscu. Las uciekł sprzed oczu i, jakoby ciemne skrzydło, chyżo poleciał w bok, na dół. Helena krzyknęła. W dali, w przestworzu, w odległej dolinie między dwiema górami, których czarne puszcze zlewały się ze sobą, ukazał się inny świat. Zdało się, że się odchyła kraina księżycy...

Z daleka, z nieskończoności, zza czarnych lasów płynął poziomo złoty dym obłoku i rozwiewał się w błękitną nicość. Nad nim, spomiędzy miękkich zwojów podnosiły w niebo kamienne głowy bezlesne turnie, rozszarpane, jakby były skamieniałym na wieki wiatrem. Zimne ich oblicza uśmiechały się w złotawym niebie. Helena przycisnęła ramię swe do ramienia kochanka i nachyliła ku niemu usta. Usłyszał jej szept:

— Widzisz! Tam jest nasze szczęście. Widzisz? To jest szczęście...

Cichy śmiech, cichy śmiech zadrzał jej w krtani. Po chwili znowu szeptała:

— Czekałam na ciebie tak długo, przez całą młodość, o szczęście, o złote moje, o niebotyczne, o najwyższe, uśmiechnięte!... Tu, na twoich piersiach, był wilk, tu, gdzie tak bije serce! Aleś go zabił. O panie mój! Straszna morda wilcza i białe kły były tu, obok gardła. Krzywe pazury wbijały się między żebra, a ślepie patrzyły w twe oczy! Jakżeś jest mężny, silny i straszny! Jakżeś jest niezwyczęzony! Mocniejszy jesteś niż zima, niż lód, niż wichur! Mocniejszy jesteś niż wilk. Ty się nie boisz nikogo na ziemi! Masz przy sobie sztylet, nabitą kulami broń, ale nade wszystko ty jeden masz serce z żelaza. Drwisz sobie i śmiejesz się wesoło z ludzi, z przysiąg i ślubów. Nie boisz się nikogo, nikogo, nikogo na ziemi. Ani ludzi, ani zwierząt! Któż może wyjść naprzeciwko nas? Powiedz... Nikt! My jesteśmy sami jedni na świecie! Jesteś straszny! Jesteś piękny! Drzę na samą myśl... Jestem twoją służebnicą... O, miły! Tam...

GÓRY, DOLINY

Chata ich stała samotnie u skraju puszczy. Czarny jej dach ginął w cieniu odwiecznych jaworów. Z wielkich pniów świerka wyciosane były ściany chaty, jakoby zamek. Spiczasty a rozłamany pośrodku dach jej wysuwał się poza ściany i tworzył chodnik pod okapem, od dżdżu chroniący. Ściany domowe dawno szerniały: były ciemnobrązowe jak odświętna cucha górala. Mocne drzwi nabite kołkami prowadziły do tej świetlicy, gdzie się przed ludźmi schowało ich szczęście. Kochane były te drzwi!

Jakże im miły był śliski zgrzyt zasuw, gdy o świcie stary gazda przynosił pod ich próg mleko jeszcze dymiące, placki z owsa, ser owczy, miód i poziomki! Jakże im miłe były te drzwi grube, składane niezwykle, okrągłe u góry, spojone drzewną swą mocą, nabite jesionowymi kołkami, a uroczyście jako organy, gdy w późną, dżdżystą noc, znużeni i głodni, przemokli i senni, przychodzili do nich z daleka i kolatali w nie hałaśliwie, mówiąc: Otwórzcie się, drzwi kochane, prowadźcie nas do domu szczęścia, do świetlicy miłości... Odemknij się, wrzęciadzu bukowy, litościwy bracie, coś nas już puścił za wysoki próg ciemnego domu szczęścia, za próg wysoki świetlicy miłości...

Przed chatą ciągnął się w dół smug łąki aż do potoku, który się pienił między kamiennymi złomami. Otaczał cały ten smug wał z drobnych kamieni, niby wąż różnobarwny, w rudą i sinawą rdzę obleczony. Gdy słońce ranne, jak przez witraż, wdzierało się przez tęczowe i małe szybeczki chaty i gdy przesuwano po ciemnych, sękatych ścianach malowidła zza świata, wstawiali, żeby zanurzać oczy i dusze w łące-kochance. Łąka zmieniała się jak ich dusze. Co dnia była ta sama, a co dnia inna, wciąż piękniejąca. Było w niej coś z wiatru, z płynących w niebie obłoków, coś ze spienionej wody. Leżała na zboczu pochylonym ku południowi. Szeptający spomiędzy korzeni, z podmokłego mechowiska, ukryty między ziołami ponik leśny tu i ówdzie rozkisał w młakę. W tych miejscach rozpleniały się trawy nasiąkłe wodą, o barwie najżywiej, najjaśniejszej zielonej, która wznieca w żyłach i kościach radosną siłę. Zagajnikami stały tam skrzypy i miękkie błotne paprotki zielonowłose, końskie ziele z białymi puszkami i nikle sity. Na suchych wzgórkach, do których woda przystępu nie miała, szerokimi bryzgami miotano się koniczyna i bujne fale mietlicy zawsze rozkołysane. W dole, gdzie w kamiennym łożysku pieniała się zdyszana, niemilkająca chuć potoku, młodego syna źródełk podziemnych, co przeżarł granitową skalinę Tatr, aż się wyrwał w ciepłe niziny, kępami rosły niezapominajki. Łagodny zapach wznosił się z łąki-kochanki, mlekiem i miodem płynącej, w ciche, błękitnawe nadednia.

Jasna woń miodu płynęła z lepkiej koniczyny i szorstka woń z cząbrów. Patrzyły z jej głębi w okna chaty oczy łąkowych złocieni i ruchliwe liliowe dzwonki z łonami rozdartymi przed chwilą za sprawą słonecznych promieni, patrzyły wysokie kwiaty ostów o barwie gasnącej zorzy i przyziemne, żółte, zanikłe polne bratki. Pozdrowiały wstającą ze snu Helenę słodyczą swoją i mówiły do niej, że dla nikogo, dla samych siebie kwitły przez wieczność, że nieskończone szeregi wiosen, których myśl ludzka nie obejmie, minęły już, nim przyszła w to miejsce ze swym kochankiem. Pozdrowiały ją od wieczności, która dawno przeminęła, i kiwały ku niej fioletowymi, żółtymi i rumianymi głowami. Pojmowała ich sekretną mowę, wielbiła ją westchnieniem krótkim i trwożnym, tajemnicę bytu wiecznego, jakby niemowlętko poczęte w drżącym łonie.

Cóż im miała odpowiedzieć, żeby przeraźliwego krzyku o wieczności nie rzuciły jej w serce? Jakże je miała zakłąć? Co na swoje usprawiedliwienie powiedzieć? Nie mogła nic... Mówiła im, że jest grzesznicą, przytakiwała swemu potępieniu... Kiwała jasną głową ku kwiatom, spowiadała się ziemi rodzącej, wodzie, która pokazuje uciekanie wszystkiego, dalekim poświstom wiatru. Nie mogła nie przyjąć w to miejsce ze swym kochankiem. To tylko, co miała do powiedzenia.

Częstokroć z sennych objęć wstawała po północy, gdy księżyc-wietek, z rogami zwróconymi w stronę zachodnią, niechętnie, rude swe światło wtrąca do ziemskiej ciemnicy, zbliżała się do okna, by widzieć, co czyni łąka. Ale kwiaty unikały wówczas jej oczu. Kryła je tajemnicza zasłona z rosy i z nikłego światła utkana, tuwalnia cieńsza od najniklejszej pajęczyny. Z nieprzełamaną wówczas chęcią zbliżała się ku progowi, żeby boso i tak jak stała iść cicho, zrazu po kamiennych skrzyżalach za progiem, a potem wskroś tej łąki, nie deptać kwiatów, schylać się nad każdym i wydierać z niego, gdy śpi, zelżywe tchnienie wieków.

Do dnia, w pogodne czasy, szli w góry. Helena ubierała się w kierpce góralki i w lekkie, wykwintne, najzodobniejsze szaty z jedwabiu, przeznaczone niby to do wód w Bardyjomie. Rafał przywdziewał strój myśliwski. Miał zawsze przy sobie damasceński puginał, przywieziony z Azji i darowany mu swego czasu przez księcia, oraz nabite pistolety. Ścieżkami najmniej znanymi wzdłuż szlaków, które były zazwyczaj suchymi łożyskami potoków, wskroś leśnych ostępów, po korzeniach, urwiskach i głazach przedzierał się dokąd oczy poniosą. Na wyniosłych wierzchołkach, gdzie żywej istoty nie było nigdzie, jak daleko i szeroko sięgną oczy, obejmowali się w pół i zapadali w głuchy sen albo splótłszy się na wzór dwu limb zrosłych od lat, szli oczyma po niezmiernych obszarach niebios i ziemi.

Strudzenie wydzierało z ciał ludzką namiętność. Wtargnąwszy na te wyżyny, odtrącali precz nie tylko suszę i wodę, strząsali ze stóp proch ziemski, ale również wychodzili duchem z kości swych, żył, ciała i krwi. Przystępowali wówczas do rozkoszy najwyższych, jakoby do początku szczęścia wiecznego, do granicy tamtego świata, do namiętności niebieskiej. Otoczeni przez gęste obłoki gór, w świetle przezczystych promieni słońca, po-

zostawali dla siebie siostrą i bratem, którzy się na wieki wieczne kochają. Przyciskając do piersi schudłe w miłości ciało, wyszczuplałe a zawiedłe i twarde od słońca, od wiatrów barki — przestawał widzieć w niej radości cielesne, szczęście człowiecze. Nie mógł odszukać w niej kobiety i niespodziewanie, a wciąż w oślepiającym jasnovidzeniu, które trwało bez przerwy, w radości nieznanego porządku, spostrzegł ducha. A gdy oczyma zatapiał się w jej oczy, gdy wdzierał się w nie, wstępował i przebywał nieznanne światy, tracił wiadomość o tym, że sam jest drugim duchem, odmiennym ciałem, innym człowiekiem. Na jawie, w biały dzień, własnymi oczyma widział w niej swojego własnego ducha.

Mijały długie godziny i rozległe czasy, w których przeciągu zapatrywali się w swe oczy aż do śmierci. Tylko uśmiech, kiedy niekiedy przepływający przez oczy, przez usta, przez powłoki ziemskie, przez ręce uściskiem zwarte, przypominał, że nie są odłamami góry, obłokami płynącymi w lazurze nieba, dwiema falami lecącej wody, że jeszcze żyją na ziemi. Wtedy przedziwne pragnienia wznosiły się z ich serc, podobnie jak z nicości wstają w szczelinach granitu błędne chmury, pożądania, które idą coraz wyżej, coraz wyżej i widzą pod sobą obszary niedosięgle.

Czasu jednej z takich minut wyszeptła:

— Umrzemy już...

Nie zdziwił się. Podnieśli czoła i, sparszy je na rękę, długo patrzyli za krawędź, na której były ich głowy. Śliska, czarna ściana spadała w przepaść zionącą z głębi ziemi. Potok szumiał na dnie, rojąc się w nim jak biały pędrak, który trupa pożera. Dokoła wąskiej czeluści jakoby kamienne ostrza, grotty, obuchy, piły, łańcuchy i kleszcze katowskie czekały w zimnym milczeniu.

Rafał rzekł:

— Śmierć... Już nas nie będzie. Przestaniemy być, widzieć się nawzajem.

Uśmiechnęła się wesoło i łagodnie jak matka, kiedy objaśnia naiwny błąd dziecięcia.

— Zaczęłyby się naprawdę wieczność. Tak jak teraz, na zawsze, bez odmiany. Sen dusz, kiedy spoczywają w objęciach.

— A jeśli nie to?

— To! Już większego szczęścia być nie może. To jest granica. Widać tamto jak tę otę węgierską stronę. Wejdziemy do krainy szczęśliwości...

— Więc zdejm ubranie. Podrzemy suknie twoje na pasy, zwiążemy się nimi, żeby spadając nie rozlecieć się w rozmaite miejsca przepaści.

Ona powoli, jak przez sen, wstała i ze swym spokojnym uśmiechem poczęła rozrywać stanik. Ale gdy spomiędzy czarnego jedwabiu zajaśniało ramię bielsze od czystego obłoku, przywarł do niego ustami. Łzy spłynęły z oczu obojga... I znowu pochłaniał ich sen na jawie, pełen uludy bardziej istotnej niż twarde granit, na którym leżały ciała, bardziej rzeczywistej niż łoskot wód spadających w dół, w przedwieczne czary z kamienia, niż widok zaklętych żlebów, w które przez stulecia sypią się rzeki piargu. Dokoła twarzy fruwał wiatr szczytowy, osadzający na skórze coś jakby suche nici pajęczce. Niby rozlane wino pachniały z dołu kosówki przygrzane przez słońce. Daleko w głębiach rozpadlin widać było odległe hale, jasnozielone niby ogrody, obwiedzione kamiennymi płoty. Na zboczach niższych gór, obdartych z murawy, bielejących wiekuiestymi ranami i nigdy nieginącymi rzeki ospisk, zwisały królewskie delie lasów prastarych, puszc macierzystych. A wokół pobratymczo stały poszczerbione turnie. W mroku ich złomów wisały czarne łachmany śniegu o barwie trupiej kości, którą wichur, słońce i deszcz w próchno obracają. Czaiły się tam jak olbrzymie, białawe nietoperze z rozciągniętymi skrzydłami.

Zdarzyło się innym razem, że halny wiatr zastał ich na zrębie skały wapiennej, pod szczytem leśnej góry. Rzeźwe, gorące powiewy paliły im twarze. Siedzieli nieruchomo, trzymając się rękoma skały, którą czas łupał w tafle drobne a deszcz ścigał w doliny. Helena, z głową opartą na kamieniu patrzyła w małą, zwiędłą gencjanę, która pośród rudego mchu samotnie dogorywała. Białe, długie, prześliczne palce dotykały z czułością stulonych błonek chorego kwiatuszka, podnosiły je i usiłowały ocucić. Z boku nad przepaścią wrastały w skałę niewielkie świerki rozwarne, a u góry spłaszczone. Szczyty kolosalnych smreków, gdzieś w dole, jakby u samego podnóża góry wrosłych korzeniami, nachylały swe włochate wierzchołki obwieszzone szyszkami do samych jej wysmukłych nóg, łąsiły

się na obraz dzikich zwierząt, które by ugłaskał widok piękności.

Wiatr halny mącił las, jak mistral mąci Liguryjskie Morze. Ciskał weń z nagle wzbuchający pocisk burzy. Kiedy przeciwko niemu chcieli stawić czoła i barki, chwycił się z nimi w zapasy. Uczuwaliby wtedy rozkosz porwania, stawali się podobnymi do świerków, jodeł i buków.

Była w tym rozkosz zamknięta, niewyrażona, osobna. Z radością patrzali, jak potężne świerki zwiły się do wewnątrz, wokół pnia. Był to znak, że idzie podmuch-moc, powiew-wódz. Pod ciosami jego tchu schylała się od korzenia wszystka puszcza. Jęk czolobitny z cicha zamierał, gdy przeszedł w chwale poświstów. Zdało się wówczas, że góra rusza się w swoich posadach, chwije z wolna na fundamentach i głucho skrzypi w węglach i przyciesiach.

Ale oto trzask gałęzi, łoskot i chaos nacichał i płynnymi falami przelewał się w szum, a z szumu wychodził w obszar milczenia. Trwało chwilę oczekiwanie nabożne, głuchy bezwład i odpoczynek w niemocy, dopóki cienkie gałęzie nie poczęły trzepać się i obłądnymi skoki bić pnia, podobnie jak zrozpaczony człowiek bije samego siebie w piersi i głowę. Gaje kosodrzewiny zaczynały szumieć żalobnie. Z dala, po górach zasłanych lasami, przechodził z hukem wicher.

Helena rękoma objąwszy kolana wpatrywała się w bure, gorące chmury, które pędem wylatywały z kamiennych dolin w szalejące lasy, i śpiewała pieśń złożoną z dziwnych słów. Nazwy uwielbiające moc wichru, pochwały piękności jego wybuchów płynęły z jej piersi tak samo jak owe śliczne a niespodziane chmury z łona gór. W ustach zmieniały się na śpiew solowy, dostrojony do melodii szumnych poświstów, do niezgłębionych akordów ryku puszczy wylatującego z dolin ku niebu, a w którym słychać jakby śmiganie olbrzymich ptasich skrzydeł po niezmiernych obszarach.

Niejednokrotnie długotrwały deszcz trzymał zamkniętych w jakiejś kolebie skalnej u wejścia do jaskini albo pod cieniem olbrzyma-świerka, którego dolne gałęzie obwisły i dach nieprzemakalny dokoła stworzyły. Bawili się wówczas i opowiadali „historie”. Rafał malował życie swoje, rozповідаł o świecie, jaki widział, jej niedostępnym i nieznanym zgoła. Nic w tych spowiedziach nie było tajnego, nie został ukryty ani jeden szczegół, nie zatajony grzech ani jeden, nie przeceniona cnota. Wszystko wychodziło na jaw w słowie tak, jak było. Tak samo mówiła ona. W tych godzinach nieporównanych wypełzała na światło całkowita jej natura, dobywał się wszystek instynkt aż do korzenia. Stawała się wówczas prostą, kryniczną, jasną, przeźroczą jak woda stoku, i tylko nowe kłęby przeźroczystości, wciąż z dna jej duszy bijące, czyniły ją pełną rozkoszy wciąż nowej a nieprzebranej, ciągle odmiennej, a zawsze jednak silnej. Wieczną falą biła z niej doskonała lekkomyślność, rzeczywista istota i pierwiastek natury, wesołość wszystko zwyciężająca, mądre, spokojne i jedyne w świecie lekceważenie tego, co jakoby jest wielkie, i tego, co jest jakoby małe.

Nic między nimi nie było, co być „powinno”, lecz wynurzało się wszystko, co jest w istocie, co było naprawdę, co przeczuwali, że z pewnością będzie. Z tym właśnie twarzą w twarz obcowali. Cieszyli się patrząc naga a nieustraszoną żrenicą w sprawy i zajścia ducha niebezpieczne, zakaźne, trujące. Byli dla siebie nowi, niespodziewani, rozciekawiający w tym, co było szczere i istotne. Stali się jak dwa kwiaty, co zawierają w sobie woń i truciznę. Kochali w sobie z natarczywą i porywającą gwałtownością owe jaskinie i zaułki, skrytki i sekretne rozpadliny dusz.

Zdarzało im się wśród ciemnych nocy, kiedy niewyczerpany, pracowity deszczyk górski z cicha siąpi, a woda kapie z każdej igielki świerkowej, błędzić bez celu po niedostępnych drożynach, które zdają się gardzić przechodniem, deptać go wzajem, za każde postawienie na nich nogi oddawać jej tysiące uderzeń. Po wygrodzonych żerdziami drogach, obok których stoją szeregiem modrzewie i szemrzą w ciemności jedwabne baśnie, lubili błąkać się w pobliżu swego domu. Świerki wyłaniające się z mroku zdały się być wówczas obojgu krzykami ciemności. Daleka woda potoków szumiała...

A gdy przemijał deszcz, rozdzielały się chmury i odmieniała niepogoda, wchodzili ciekawie w las, patrzeć, co się z nim stało. Badali pilnymi oczyma, jak przecudna nowa zieloność, trwająca jeden dzień, wpełza w pomrok pod ciemnymi smrekami, otacza pniaki drzew dawno ściętych i niebieskawoszare kamienie. Nad łuną jej płomieniejącą

zwieszają się tu i tam mokre, ciężarne gałęzie, niby ciemne dymy. Helena wciągała płucami zimną woń mokrych paproci, rozmiękłego próchna pniaków i zakrzepłej, stężalej od chłodu żywicy. Czystą rozkosz z serc wydobytą i ukazaną w zewnętrznym świetle odnajdowali patrząc w ściśle potoki, które się wyrwywają spomiędzy kamiennych głazów. Długie spędzali godziny pieszcząc oczyma nici wody wytryskujące spomiędzy pniów, ze mchu, jakby z przebitego boku góry.

Wielkie żabice, rozdzielające strumień na niezliczone potoczki, odziane były grubym, zielonym kozuchem. Świerki, co wysysają podziemne źródło, były w tym miejscu potwornej wielkości. Zwierzali sobie myśl, że ta dziwna woda rodzi się z niczego, a zjawia znikąd, że jest od początku rozdzielona przez głazy jak ich miłość, a później łączy się sama ze sobą, ażeby gnać w kamiennym łożysku, wśród rozkoszy, pian, rozdymać w banie i wiry, miotać się w szumnych, niespodziewanych wybuchach, aż do przepaści wodospadu... Czy i przepaść wodospadu będzie w ich życiu jak w tym potoku? — pytali się nawzajem...

W jednym miejscu znaleźli drzewo wyrwane, leżące w poprzek strumienia. Woda je jadła przez lata. Chciwą i wściekłą żuchwą, białymi kłami pian gryzła je wciąż, bez jednej chwili wytchnienia. Więc litowali się nad przeklętą dolą na poły zgniłego kłoca, brali udział w życiu jego, jak częstokroć żyjemy cudzym życiem we śnie, odchodzili stamtąd zasmuceni, jak gdyby w nich zamieszaly na nowo małe, dawno wygasłe, dobre dusze dziecięce.

Nade wszystko jednak kochali jeziorko. Zwali je „Zmiennym”. W odległej nieraz stronie zwracali na się oczy i bez wymienienia nazwy, pewnym ruchem brwi i powiek, pewnym uśmiechem wiadomym wspominali sobie o nim. Wtedy wstawszy z miejsc szli do niego prędko w odwiedzinę. „Zmienne” leżało na szczycie kamienistej wysokości, otoczone głuchym, zewsząd idącym lasem. Nie było do niego ani drogi, ani perci. Pełne było ciemnej a przezroczystej wody, gdzie zawartym kołem zielonym odbijały się świerki odwieczne i niska kosodrzewina. Czasami przeglądały się w nim żółte, dalekie turnie, jakby je ku tej wodzie samotnej i dalekiej gnała tęsknota. Nikt tam nigdy nie był. Ani człowiek, ani zwierzę. Nad głębią fruwały tylko niebieskie łątki.

Kiedy niekiedy zabłąkał się aż tam z odległych regli pomarańczowy motyl. Leśny ptaszek, siwarnik, ukryty w czarnej głębi smreków, z cicha i rzewnie świergoił. Zresztą była cisza. Las obejmował staw silnym ramieniem. Jak mąż ślepy, głuchy i zdziczały w mękach zazdrości, osłaniał wiekuistym uściskiem łono tej cudnej, mieniającej się wody, która zamykała w sobie wszystkie cuda niebios, poranną i zachodnią zorzę, różnobarwne obłoki, wiatr i złotą błyskawicę, gwiazdy, księżyc i samo wieczne słońce. Uwieczona woda czyniła sobie igraszkę ze wszystkiego, co wolność jej krępowało: ze świerków, kosówek, brzegów i złotego szlaku wędnących szuwarów. Ciągnęła w swoje odmęty las, pozwalała mu składać kosmate gałęzie na łonie swym spokrewnionym z zorzą poranną, na łonie swym niepochwytej barwy jak kolor piór na szyi pawia, ale nim chwila minęła, rozgarniała jego gałęzie, czyniła z nich smugi długie, jakoby włosy zielone, przędła je w sploty cudaczne, ciągnęła w poprzek swej tafli i kołysała powłóczyście zwoje na falach szklitych. Jak niespodziany uśmiech wznosiły się i cicho gasły ruchome wełny.

I oto ginął w nich kaprys. Wizerunki drzew odmieniały się w widma długie, niepodobne do niczego na ziemi, niby to w kliny włochate, nastrzępione, mokre, ostrzami zanurzone w głębinie i dosięgające tak nieskończenie niskiej granicy, że ją ludzkie oko ledwie mogło pochwycić. Widma drzew wracały stamtąd, umykały w górę, strwożone i chwiejne, wałęsały się drząc to tu, to tam, jak muzyka złowieszcza, szybka i okropna, piorunującymi zmianami swymi wyrażająca dokładniej niż rachunek bojaźń nocy bezsennej, bojaźń rozwartej przepaści bez dna.

Helena, skoro tylko na brzeg jeziora przypadła, siadała w nieruchomości i mówiła do wody:

— Cóż mu dziś zrobisz? Jak się odmienisz? Siostrzyczko-niewolnico, jakże się będziesz dzisiaj bawiła? Ach, sama nie wiesz, sama jeszcze nie wiesz, co się z tobą za chwilę stanie...

I oto, jak gdyby w odpowiedzi, rozwierało się lazurowe łono jeziora i z nieopisanym przepychem płynął w nim obłok oślepiająco biały, namaszczony królewską mocą i potęgą wszystkiego blasku słońca. Kształt swój przemieniał z wolna: cudowna, złoto-biała jego głowa układała się inaczej, coraz inaczej, by lepiej śnić jej było, śnić-myśleć o niebie bez-

miernym, ojcu wiecznym, o ziemi, ślicznej matce. Wskroś obszarów lazuru szedł rozwiązać się w postać inną, w coś innego się zamienić, przeistoczyć — i zginać.

OKNO SKALNE

Wysoko, wysoko, ponad szerokim, rozległym lasem, leżeli tego dnia u wejścia do pieczary. „Okno” skalne wychodziło na przepaściste zbocze grani. Stamtąd dopiero widać było dolinę, jak długa i szeroka. Wewnętrzna ściana wapiennej skały, wznoszącej we mgłę swój połupany szczyt, otwierała się w pewnym miejscu i ciasny otwór prowadził tamtędy do skalistego *asylum*, jakby na straszny dziedziniec zburzonego zamczyska. W górze, na zrębach podobnych do piór skrzydła pancernego rycerza, chwiały się odwieczne kępy świerków i zwisał rudy mech. Z owego kotła skalnego schodziła dokądś w dół grota ciągnąca się długim a ostro sklepionym korytarzem. W cieniach jego leżał lód ziemią okryty, a ze ścian sączyła się wilgoć obmierzła. Dzikie ściany tej niedosiętej fortecy i czarny las nad nimi stały nad rozkoszną słoneczną doliną, która leżała nisko, otulona w jasne hale, nadrzeczne murawy, wzdychając ciągle odmiennym szumem Dunajca, podobna do uśmiechu srogich i straszliwych gór. Strome turnie wychylały się ponad urwisko, wychodząc poza swoją podstawę, jakby mierzyły przepaść u ich stóp. Dziwnie uroczy mech przykrywał ich szczeliny. Wszczepiały w nie żarłoczne korzenie małe świerczki i nikłe drzewka jarzębiny.

Na bujnych trawach o szerokim liściu, na kępach zeschniętych borówek, co otulały luzem leżące kamienie, wypoczywali jak na puchu. Wygrzewali się w słońcu przy otworze pieczary i w szczelinach skalnych.

A gdy słońce zbyt doskwierało nagłością płomieni, z chichotem kryli się przed nim do wnętrza jaskini, zawierającego w swej głębi bryłę wiecznego lodu. Śmieli się w głos ze słońca, wyczuwając plecami jadowity chłód pieczary. Chwyтали czerstwe zimno zdrowymi płucami i spalone twarze znowu obracali ku słońcu. Tak im długie godziny spłynęły na wypatrywaniu ziemi i nieba. Sennymi oczyma witali pracowników górskiego południa, lekkie, wydłużone pomłody, białe obłoczki, jakoby tchnienia wiatru stężałe i w kształt zakłęte, kiedy z gór w cichości świętej wychodząc przepływają nad najpiękniejszą doliną świata. Ociężałymi źrenicami wodzili po otchłaniach leśnych szarozielonych, skąd pojedyncze skały wynurzają się niespodzianie, skąd wykwitają żywą barwą kiście buków. Od szczytów gór leciały ich oczy w dół za cieniami, pełnymi czarnego błękitu. Setnym i tyśiącznym spojrzeniem pozdrawiali pionowe skały, obwieszane subtelnym złotem żółkłej jarzębiny. Napotykały ich oczy miejsca tak cudne, niewiarygodnie piękne, że Helena załamywała ręce i płakała z zachwytu. Kiedy niekiedy rzucali w ten wielki a bezludny przestwór, w ten olbrzymi kraj niczyj, krzyk zgodny i śpiewny.

Wywoływali swe imiona spieszczone, przemienione w pocałunek i, zachwyceni, z nabożną rozkoszą słuchali, jak wysmukłe, rzeźbione szczyty wapieniaków i niedostępne zwały dalekiego granitu, jak niezgłębione lochy i podziemia, lasy i potoki, hale i ścieżki skaliste wołają ich po imieniu, wzywają ku nim zewsząd. Rozkoszny dźwięk imienia Heleny oblatwał przestwór daleki, aż jak melodia najcudniejsza tej ziemi wracał do nich i owiewał radością niewypowiedzianą. Wydawało się im wtedy, że to góry wołają same, że się góry i rzeki tak samo w nich kochają jak oni w sobie. Osiągali chwile szczęścia największego na ziemi. Cały świat zewnętrzny przemienił swą istotę na rozkosz, a rozkosz była na usługach miłości. Wywołując tak po drugie i po trzecie echo swych imion, wyrzucali zarazem z piersi błogosławieństwo nieba i ziemi, wychwalanie wszystkiego, co jest pod utwierdzeniem, hymn dusz wzruszonych do samej głębi, owo, jak mówi Pismo, błogosławieństwo niebieskie z wierzchu, błogosławieństwo przepaści leżącej w dole, błogosławieństwo piersi i żywota. Nie byli w stanie odejść stamtąd. Nie mogli oderwać się od doliny, bali się stracić z oczu najmilsze turnie, rozkoszny szum potoku i swoje echo kochane.

Zostali tam na noc. U wejścia do pieczary rozłożyli ognisko i zwyczajem swoim, płaszczem wspólnym okryci, usnęli.

Świtało, gdy Rafał zbudzony został z twardego snu przez straszne uczucie. Targnął się z ziemi... W mgnieniu oka poczuł, że jest związany. Chciał prawą ręką dosięgnąć sztyletu, który miał w zanadrzu, ale ręka nie ruszyła się z miejsca. Uczuł, że sztyletu już nie ma. Leżał twarzą ku ziemi, z rękoma w łokciach i dłoniach, z nogami w kolanach i stopach spętanymi powrozem, przywiązany do świerkowego pnia. Gdy to w północy

uczował i zaczął rozumieć, nagle usłyszał rozpaczliwy jęk Heleny. Szarpnął się ze wszech sił, wygiął jak żmija i zdołał odwrócić głowę.

Ujrzał wtedy w płomieniach buchającego ogniska bandę zbójców, złożoną z siedmiu czy ośmiu osób. W przerażeniu, które mu język wbiło do gardzieli, nie chciał uznać rzeczywistości, wlepił w nią oczy i nie był w stanie uwierzyć temu, co widziały. Przypatrzył się rzekomo sennemu widziadłu, wysokim czapkom tych ludzi, do których jeden przyczepił sobie ogon lisa, drugi skrzydło wyrwane zabitemu orłowi, trzeci kły i paszczę niedźwiedzia, czwarty pazury wilcze... Widział, nie wierząc oczom, ich broń: zakrzywione sztylety, strzelby nabijane srebrem i mosiądzem, za pasem wąskie siekiery, pałki-bunkosze w ręku. Oglądał ich koszule czarne, wysmarowane tłuszczem, portki czerwone, cyfrowane bogato, szerokie pasy, wspaniałe cuchy...

Wydarł się raptem z taką mocą, że postronki werznęły się w niego aż do kości, a same kości zatrzeszczały. Ujrzał między tymi ludźmi Helenę, jak ją jedni drugim wydrzeć usiłowali. Ryk, jak nóż z żelaza, rozdzierał jego piersi i gardło, głowa, siepiąc się ślepych rzuty, trzaskała w pień smreka, a oczy wywracały w dołach. Krzyk Heleny wzywał go na pomoc... Zobaczył, jak ją jeden z chłopów powalił na ziemię. Widział, jak się zaciekłe, straszliwie, zębami bronila, jak ręce zbója zdzierały z niej suknie, szarpały koszulę, a wreszcie to najstraszniejsze, co mógł zobaczyć na ziemi. Począł żreć kamienie obłąkaną gębą, nanosić się od wściekłego wrzasku, od bydłowego ryku, od wycia wariata. Ciało jego wiło się w sznurach, palce wszczepiły w żwir skalny. Ktoś siadł mu na plecach i potężną dłonią przydusił łeb do ziemi. Nie słyszał już wtedy nic i nie mógł nic widzieć. Płaty krwi zaczęły bić go w oczy, a ogień buchnął w mózgu. Udało mu się dźwignąć głowę. Dojrzał, że Helena z rąk drugiego zbója, który ją wśród chichotu bandy powtórnie obalić chciał na ziemię i, jak poprzedni, posiąść, wydarła się. Westchnął z ulgą, gdy półnaga, skrwawiona, jednym susem skoczyła przed siebie na wystający, najwyższy brzeg turni, a stamtąd — w przepaść.

MOC SZATANA

Był jasny dzień, kiedy się ocknął z morderczych objęć snu. Leżał długo bez ruchu, bez zdolności udźwignienia ręki, nogi, powieki. W chwili tej wspomniał, co się z nim stało... A kiedy wszystko przeszedł myślami, otworzył oczy, żeby zobaczyć, gdzie jest, z niedbałością tak wielką, że nie sprawiła mu zmartwienia wiadomość o śmierci własnej. Ujrzał dokoła siebie jamę skalistą, czarną i zaciszną. Olbrzymia wana, jak wystający okap, zwieszała się nad tą doskonałą i ciepłą kolebą. Pod głową miał obfitą kępę naniesionego mchu, na sobie obszerną, zbójcejącą cuchę. Słońce świeciło, a zielone upłazy łagodnie zniżając się w dół uśmiechały się dobrotliwie. Gdy dźwignął głowę i odsunął brunatną cuchę, spostrzegł, że jest odziany w jakieś cudackie ubranie, w czerwone spodnie obcisłe i wyszywany serdak. Obok postania leżał nóż kończysty, wygięty niby turecki jatagan, oprawiony w rękojeść z cisowego drzewa, z mosiężnym okuciem. Tuż leżała, cieńszym końcem podsunięta ku ręce, jesionowa maczuga z bulwami w grubszym końcu, którą od jednego razu można by zabić konia. Leżały dwa duże placki, owczy ser i trocha wina w grubej, brzydkiej butelce, Rafał uczył na głowie swej i na ciele bandaże, a pomacawszy rozeznał, że głowę ma obmytą i rany jej zawiązane czystymi szmatami.

Próbował wstać, ale skoro się z miejsca poruszył, uczył po raz pierwszy, że Heleny nie ma. Boleść runęła na niego, jakby się zwała owa nawisła skała. Leżał pod nią bez protestu, zabity i rozmiądzony. Długo to trwało, tak długo, jak tylko zmysły mogły udźwignąć. Ale po upływie niewiadomego czasu boleść zaczęła przemieniać się i doskonalic. Nie zechciała być dłużej nędznym głazem, który rozgniata ślepym i głupim ciężarem. Stała się jakoby chytrym a podłym człowiekiem. Wyrosły z jej kamiennego cielska dwa organy: wspomnienie i marzenie. Tymi dwiema rękoma ujęła głowę zbudzonego z niewiedzy i poczęła ją równo, łagodnie kołysać. Raz ją obracała oczyma ku ubiegłemu szczęściu, drugi raz ku przyszłości tonącej we mgle marzeń. Między jednym a drugim ruchem, jak mechaniczne wahadło, wydawała z żelaznych trzewiów swych szczęk suchy, przeraźliwy w zimnej łagodności, miękkki, dokonany głos: Nie ma...

Rafał leżał zrazu jak przedtem, zwyciężając wszystko siłą ciała, ale ona była mocniejsza nad wszelką siłę. Jej długa praca była nieskończenie wytrwała, obrachowana przed wiekami, zastosowana do wszelkiego oporu w ludzkim gatunku. Głos jej wdzierał się do

skrytości duszy niepostrzeżenie jak żądło komara, a działał straszliwie jak uderzenie kuli działowej. Nadeszła zła chwila.

Nieszczęśliwy zerwał się ze swego posłania. Wyszedł z koleby. Był w jakimś miejscu nieznanym, w zacisznej dolinie otoczonej lasami. Patrzył w te miejsca spłoszonymi oczyma. Uczuł katowskie prześladowanie, jakiego dopuszcza się na jego duszy ten obcy widok. I oto nagle rzuciła się na niego rozpacz. Zwalił się na ziemię, zaczął rwać włosy, zdzierać bandaż, targać na sobie szmaty, tarzać się po kamieniach... Zaczął krzyczeć wniebogłosy, byleby nie słyszeć cichego szcęknięcia, melodyjnego poszeptu bóleści: Nie ma... Czaszka jego tłuła się o kamienie i bujna krew znowu broczyć zaczęła na jasne kwiatuszki hali, którym na słońcu tak dobrze było wysysać przedpołudniową rosę.

Głęboki ból w głowie, choć sprawiał ulgę zagłuszając nieszczęście, opamiętał go i wytrzeźwił. Przycichło zarówno marzenie jak wspomnienie... Wstał tedy, związał głowę szmatami, wziął w rękę bunkosz, za pas wetknął nóż. Z pośpiechem wypił wino i zjadł podplomyk. To uczyniwszy poszedł przed siebie z zamiarem szukania miejsca, na które spadła Helena. Dziwił się, jakim sposobem nie uczynił tego aż do tej chwili. Szedł wielkimi krokami, rozwalając po drodze piargi, miażdżąc młode smreki, wbijając w ziemię stopami górskie zioła. Było południe, gdy wyszedł z owej doliny. Skoro stanął u jej wylotu, spostrzegł natychmiast, że jest w bliskości podnóża skały, na której spędził ostatnią noc. Rozgarniając rękoma gałęzie świerków, szedł do podnóża niebotycznej krzesanicy...

Schyłał się ku ziemi, ku kwiatom jeszcze w wilgoci pogrążonym. Wszystkie były świeże, soczyste, szczęśliwe... Szukał na nich śladów krwi sercem zatwardziałym, okrutnym, pełnym zbójckiego męstwa, patrzył znieczulonymi oczyma. Przebiegły był w chwili tej jak pies, a władał wszystką siłą swych zmysłów, jak człowiek zimny i mężny. Tam jednak, gdzie przewidywał, śladów nie było. Dopiero gdy po stokroć wzduż i w poprzek obszedł podnóże skały, wciąż oddalając się od niej, i stanął u brzegów strumienia, nagle uczuł uderzenie w serce. W tym miejscu gałęzie świerka były oddarte od pnia, murawa zdeptana licznymi śladami stóp i umyślnie zatarta surową ziemią. Wzniósł oczy i dojrzał miejsce: podchmurny ów zrab na skale, wystający daleko.

Począł szukać wyraźniejszych dowodów i znalazł je w zdeptanej ziemi... Czarne, wilgotne zlepki gruntu były przesycone tak obficie krwią, że uwierzył. Znikło ostatnie złudzenie. Ślepy topór ściał ostatni sen czuwającego, czyli nadzieję. Serce poczęło na nowo szarpać się w piersiach, jakoby istota osobna, nienależąca do człowieka, jakoby siła samostna, jakoby druga nieużyta władza. Czyniło teraz rzecz swoją w piersiach nagle i strasznie, jak grabarz z trumną najdroższą. Wybladły, na drżących nogach, zlany potem, stał na tym miejscu z oczyma wlepionymi w ziemię. Słuchał. Łudziło mu się, że jest przed sądem, że mu czytają wyrok. Słyszał nie słowa, lecz przeraźliwy sens wyroku. Teraz dopiero zrozumiał, czemu wszystko stało się tak, jak się stało. Teraz dopiero wiedział, co z nim samym było, co jest i będzie. Jakże się niegdyś ludził sądząc inaczej! Ale głos przebrzmiał.

Dawał się słyszeć naokół tylko szorujący, kamienny szum potoku, płynna jego melodia, jak się przez wilgotne igły świerkowe przelewa. Stojąc tak bez sił, na cudzych niejako nogach, dziwił się i zdumiewał, że w żyłach jego nie płynie już zdrowa krew ludzka, lecz że błyskają i trzeszczą pryskając iskrami gibkie płomyki, że w kościach głowy buzuje się pożar, a mózg trawi ognisty wybuch. Ręce konwulsyjnie ścisnęły narzędzia służące do zadawania śmierci, a pełna żaru głowa o czymś strasznie skutecznym w struchleniu, w podnieceniach, wśród rachunku i łez zaczęła marzyć...

Poszedł na prawo i poszedł na lewo dla odszukania najgorszej prawdy. A gdy porwócił w to samo miejsce, upadł na niego głową, ustami i sercem, sercem samowładnie teraz chodzącym po bezmiarach niedoli, po ojczyźnie trwogi, wśród półmroku narodzin nowego dnia, straszliwej doby nieświadomości.

Zbliżał się wieczór, gdy powstał i z trzeźwością drugiego człowieka, który dawno, przed secinami, zdawało się, lat, z jego ciała został wytrącony, zaczął szukać mogiły Heleny, ciała jej, śladu zabójców. Niekiedy wśród tej cudzej trzeźwości przelatywała głupkowata chęć zemsty, jak gdyby chęć rozrywki u człowieka, który się nudzi. Wtedy szedł prędzej, dopóki nie zaczął śmiać się ze swych kroków, ze swej ręki obwisłej, niezdolnej do wywleczenia zza pasa sztyletu, do podźwignienia pałki. Z łatwością odnalazł ślady zbójników na trawie, choć już była wyschła i odprostowała się w ciągu upalnego dnia. Ślady szły

w górę doliny i potoku. Tam i sam znajdował miejsce, na którym składano ciało zabitej. Spozstrzegął krew zaschlą na kamieniach i trawie. Ale w pewnym miejscu ślady weszły na kamienistą perć i prawie zginęły. Gdzieś tam czerniała jeszcze na szarym głazie grudka ziemi wilgotnej, przyniesionej na podeszwie kierzca, rozartej i dotychczas niewyschłej. Raz jeszcze znalazł dużą kroplę krwi. Potem wszystko ustało. Szedł tedy naprzód i wracał. Szedł i wracał. Szukał miejsca, w którym banda zboczyła ze ścieżki, i nie mógł go już znaleźć.

Przeląkł się bardzo, gdy ujrzał dokoła siebie nagły górski mrok. Porwał się naprzód i poszedł percią w górę, biegł szybko, co prędzej, jakby uciekających przed nim ścigał na oko. Zdziwiony i pełen strachu stanął nagle u brzegów „Zmiennego” jeziora. Głos obcy, głos okrutny, jakby głos skał otaczających, powiedział mu, że w tę wodę musieli wrzucić ciało zabitej, przywiązawszy do szyi, do rąk, do nóg nadbrzeżne głazy wielkości młyńskiego kamienia. Pragnął odszukać potwierdzenia tej prawdy w zdeptanych szuwarach, w tatarakach i trzcinach, w zmaczonej mulem wodzie, ale noc już schodziła z turni, noc ciemna.

Jakże straszliwą wydała mu się ta noc zbiegająca szybką stopą ze szczytów górskich! Wietrzyk przenikający doliny, chłodnawy, rześki podmuch, nie mocniejszy od powiewu wachlarza z kości słoniowej skropionego wonią fiołków, był już dla jego zmysłów nie wiatrem, lecz żywym zbójcą, który się skrada, żeby zdradzieckie pchnięcie zadać pod serce. Nim chwila upłynęła, ten sam wiew odmieniał się, przeistaczał w wytrysk mądrości, przy którego dźwięku ubiegłe rzeczy ukazywały się osłepiająco wyraźnie jako ułamki całości, jako fragmenty i ziarna olbrzymiej a wszechmocnej sumy. Cicho w ostatnim blasku zorzy lśniła woda jeziora. Czasami zakołysała się wątła fala w tej samej chwili zrodzona, poruszyła wysmukły badyl trzciny i, uwikłana między szuwały, zasnęła wśród ich zastępu. Kiedy niekiedy coś na powierzchni plusnęło cicho, że ucho ledwo mogło rozeznaczyć ten głos. A nim serce zatrwożyć się zdołało, nim zdążyło zacząć oczekiwanie, już szmer ów na wieki wieków utonął w milczeniu.

Rafał siedział na brzegu jeziora objąwszy rękoma kolana. Tak tu zawsze siadywał z Heleną. Wszystko wiedział, wszystko pamiętał. Na czułych wagach ducha wszystko z kolei przeważał. Bezsilne nadzieje sączyły się z jego serca. Obiecowały przez mgnienie oka, że z fal tej wody wyjdzie utopiona, że się na płaskiej tafli zakolysze. Ale nim jedna chwila przeminęła, nadzieja spadła na ziemię, jak łza spada z rzęsy, a towarzyszył jej śmiech, potępiający ją jako głupstwo.

Ponad głową, w której myśli huczały i grzmiały, rozwalalo się milczenie na prawo i lewo, milczenie większe i cięższe od gór. Szeroka ciemność ogarnęła wszystko, ukoila snem wszystko, dała wszystkiemu spoczynek, z wyjątkiem jednej boleści. Na ciemnym niebie czerniejące ostrza świerków wrzynały się w duszę jak piła i rozszarpały ją na drzazgi. Niejasne zarysy skał zawisły nad głową jakoby młoty i obuchy siekier. Czarne niebo zaciężyło na ciemieniu, niby wieko skrzyni z żelaza, ustawionej między zachodem a wschodem słońca. Wtedy z piersi wydarł się głos, równie twardy, zimny i wyzywający, jak były te zjawiska:

— Cóżem wam uczynił? cóżem uczynił?

Czemu prześladowacie mnie, grozicie mi i mścicie się nade mną w straszliwej mojej męczarni?

Kochałem was nie tylko swoim sercem, ale i jej sercem, która w pośrodku was została zamordowana!

Męczarnia moja straszniejsza jest niż wszystko, co przecierpiane było na ziemi... Zmiłujcie się nade mną, góry skaliste! zmiłujcie się nade mną, drzewa czarne i ostre! zmiłuj się nade mną, wodo cudowna, wodo straszliwa, któraś miłość naszą widziała... i ty, o niebo...

Ale gdy te westchnienia wrywały się z jego piersi, uczył w sercu i w mózgu, że nie słyszy go nikt i nic. Pustynia na zachodzie, pustynia na wschodzie... Świerszcz tylko nocny w suchej trawie ukryty skrzypiał. Wówczas krwawa, bezrozumna, z każdą chwilą coraz dziksza pomsta wybuchnęła w piersiach, zapaliła mózg i oczy.

— Precz odejdźcie, widziadła!

Któż was uczynił współnikami mojej męczarni w ciągu jednego dnia! Któż was przemienił w części prześladowania, w narzędzia rozpasanej tyranii!

Stańcie się tym, czym jesteście...

O góry, góry — stańcie się na nowo zimnymi górami, budzącymi młode siły i radość...

Ty, lesie, bądź znowu szumiącym lasem...

O zmienna wodo, bądź tą, która nas oboje kochała...

Ty, niebo wieczne, bądź sobą, które wzrok nieszczęśliwego ku sobie przyciąga i każdą boleść uśmierza...

Odejdźcie od mego serca! Niech spocznie w dobroci nocnej, niech wytchnie na posłaniu lasów, na wodzie cichości, niech się splacze i ukoi w niebie wiecznym...

Mrok zachował swoją niezmienną potęgę.

Tak noc minęła. Nade dniem zaczęły wstawać z jeziora mgły. Wiotkie postawy rozpościerały się nad nieruchomą wodą. Nikłe ich włókna oplątywały wyniosłe badyle trzciny, o suche szypuły zaczepiały się niemi wiotkimi. Kołysząc się sennie, tkwały jakąś wiadomość, huśtały na płótnach swych bezdźwięczny wyraz niedocieczonej tajemnicy. Nim udęczone oczy mogły obaczyć pracę ich, dostrzec, co czynią, plątały ją chyżymi ruchy. Burzyły drogocenne, śniade tkaniny, zrywały nici subtelniejsze od księżycowych promieni i cisnęły je na wielki stos. Wznosiły się kłęby dymów, okrągłe fale czyniły szybkie obroty, zataczały się bystre, rozpędzone koła. Faliste, a za chwilę wzdęte opony jak żagle unosiły się nad czarną tonią. Oto wypływa spomiędzy nich obłoczek leżący na wznak, senne ciało, które woda niesie, dokąd chce. Płaczą się długie, faliste włosy dokoła bladej twarzy. Płyną na łono odsłonięte żalodne zwoje. Drżą i stulają się ze wstydu a trwogi okrągłe barki, kształtne biodra zanurzają w wodzie czarnej, w wodzie miedzianej, którą jaśniejąca pleśń rannej zorzy powleka. Coraz jaśniejszą, coraz bardziej wyraźną stawała się mgła nadwodna. Mrok spływał z wierzchołków leśnego ostępu niby szata posępna. W dali, na rozjaśnionym niebie ukazały się szczyty gór. Oblicza ich były przepiękne, ozdobione wspaniałością wschodu. Trupie czoła turni wdziały diademy ze złotych blach, uwieńczone kwiatami. Szaty mgieł owiewały ich tułowia, głębokie cienie fioletu spływały po nagich pieszczelach.

Nieszczęśliwy na widok tej nowej zimnej piękności, obojętnej na śmierć, która się tu dokonała, zapłonął gniewem, jakby i jego w zimną bryłę bytu przeistoczył pozłocisty ogień poranku. Chwycił rękojeść noża i poszedł przed siebie mocnym, wyteżonym krokiem, krokiem-czynem. Gniew spalił w nim wszystko prócz pragnień ruchu i gwałtu. Jak kozica wdarł się na wyniosłe pasmo. Stanąwszy na przełęczy jął orlimi oczyma wypatrywać wrogów. Był teraz silny, zwinny, pełen potęgi. Rzucił w kamienny świat krzyk z całej piersi. Na wschód, na zachód, na północ i na południe... Głos nieszczęśliwy leciał w ciemne doły, w błękitne przepaści, jak anioł z wątłymi skrzydłami, rozbijał się na krawędziach, roztrzaskiwał o strome gzymsy i skończył w łożyskach otchłani.

Wróciło echo imienia Heleny, żalobne i przebite, wróciło z północy i południa, ze wschodu i zachodu. A później cisza... Ale już wyważone zostało z zawias wszelkie uczucie i runęło w proch. Szedł przełęczami, szczytami. Mijał puste doły granitu, gdzie wiekusta pustka leży. Spoglądał w lasy dziewicze, gdzie tytaniczne drzewa rosną niedotknięte siekierą. Przeskakiwał przepaści, w których czeluściach marzy cementarny śnieg i skąd cieką wody ku ziemi, zaglądał w błękitne, zielone i litworowe jeziora... Ze żlebów, rozpadlin wdzierał się na nowe, coraz wyższe wierzchołki. Widział w drodze swej niedźwiedzia i orła, ale nie zwracał na nie uwagi, płoszył tu i tam stado kozic, ale nie śledził ich oczyma. Póki słońce w błękitnym niebie świeciło, szedł naprzód. Dawno zjadł resztkę chleba i okruchy sera. Nie czuł głodu. Usta mu wyschły i potrzaskały się, gardziel miał pełną ognia, a w piersiach dźwięk i tętent rozszalałego serca, które teraz łoskotem swoim napełniło obszar pustyni. Nieraz zdawało mu się, że już te same turnie widział, że już je deptał i przeklinał, że z ich wierzchołków strącał już głazy, które tylko mógł udźwignąć. Ale o tym wiedział jakby przez sen.

Szukał teraz ludzi. Ludzi! Wbijać w ich piersi ostry sztylet, miażdżyć ich głowy jesionową maczugą, rozdzierać podług gardła i deptać nogami nikczemne trupy! Po łokcie uwalcać ręce w dymiącej krwi i płuć w nikczemne, zastygłe, wywrócone oczy! Nigdzie ludzkiego śladu... Nigdzie w nocy nie widać ogniska... Otaczały go krzesanice, turnie, wirchy — żółte, szare, czarne i niebieskawe. Więc je wymijał lub zdobywał, co siły w kolanach. Wbiegał na nie jak na pagórki. W nocy nie spał. Przytulony do skały czatował na zbójców.

Śniło mu się na jawie, że jest lisem, do którego jamy wdarły się jamniki. Widział oczyma, całym mózgiem i wszystkimi nerwami skoki lisa, sztuki jego i fortele. Widział, jak się pomyka na coraz wyższe piętra i kominki jamy i, cierpliwie siedząc, bada niebezpieczeństwo. A gdy niestrudzone psy podkopią jego kryjówkę, skacze na inną, na inną, aż do ostatniej. Nie opuszcza go nadzieja, wyrachowanie, wiara. Ale oto wydarte zostały ostatnie podstawy i najwyższy, ostatni krużganek lada chwila runie. Wówczas lis chybkiem i pewnym susem skoczy na łby psów przywalone gliną i, przebiegłszy po nich, popędzi do wylotu jamy. W struchlałym sercu słyszy huk strzału myśliwca, który tam nieruchomy czatuje. Nim wysunie głowę, przez mgnienie oka mierzy przestrzeń, a później rzuca się naprzód, wyczekując strzału nastawionym uchem, strzału, który już zna, który już wielokroć zadał mu rany straszliwe.

Oto on sam jest lisem i czeka na huk strzału. Za chwilę ma skoczyć z nory i wlec się później z odstrzelonymi nogami i przetrąconym krzyżem. Za chwilę, za mgnienie oka... Bo teraz ciężki jest jak głaz. Ręce jego, nogi, głowa, a osobliwie stopy — to głazy takie same jak naokół. Tym się tylko różnią od otaczających granitów, że w nich ani na sekundę nie zasypia cierpienie.

Skoro tylko wstał nad dalekimi krańcami świt i pierwszym promieniem ukazał mu długą drogę, nieprzebyty szlak, wstał z miejsca swego cierpienia i szedł co prędzej. Tak minął trzeci dzień i czwarty... Słońce budziło go i popędzało ognistą różgą do pochodu. Stał się podobny do czarnego cienia, do zgorzałych zwłok, w których płonie duch i oczy... Leciał w pustynię, nie widząc już skał ni drzew...

Nareszcie spotkał ludzi...

Szedł onego dnia w dół rozległego zbocza, które gdzieniegdzie porastała niska świerczyna. Okrągłe głazy wymiecione przed wiekami siłą lodowca leżały tam i sam. Kryształowych przestworów nocnego jeszcze chłodu wszystka potęga młodocianego słońca nie mogła przełamać. Z rzadka stojące wznioślejsze świerki rzucały na krótką trawę, jeszcze mlekiem rosy okrytą, nadzwyczaj długie cienie. Zacerwienione badyle goryczki zdobiły oddalone zakątki, jak kwiaty samotne, pełne smutku... Las w dole zapełniony był mgłą poranną o barwie ziarn jałowcu wczesną jesienią.

Wyniosły czub buka zabłąkanego między świerkową czeredą zdawał się spływać z chmur. Rafał z wolna szedł w las i trafił na potok płynący z boku góry. Poznał go... Zwalone drzewo i wodospad... Stanął nad jego brzegiem i patrzył, jak wartki nurt niesie między głazami liście przez wiatr zdarte z czoła buka, jak z nich tworzy rude groble, wiry krążące po pianiach i szerokie zatory.

Myślał żalobnie o liściu buka, który był niegdyś maleńki u łona matki-gałęzi, pełnego słodczy soków, o burzach wiosny, co nad młodym liściem przeleciały, w kościste turnie trzaskając ogniami piorunów, o halnych wiatrach, wydzierających z łona gór przepiękne chmury... Ten sam liść pędzi teraz pospołu z innymi, by stworzyć kupę gnoju, z dala od matki-gałęzi, z dala od rodzimej, wapiennej gleby buka, nawet z dala od ziemi.

Wtedy, gdy o tym myślał zwilżając zeschnięte wargi kwaśnym owocem dzikiej maliny, z nagłą otoczyli go ludzie. Nareszcie ich widzi! Porwał za sztylet, ale już było za późno. Kilkanaście rąk chwyciło go za ramiona, wydarło nóż zza pasa. Poczul, że mu ręce skrępowano na plecach, łącząc dłonie za pomocą spojenia wielkich palców żelaznych pierścieniem. Gdy nogi zakuwano w kajdany, obejrzał tych ludzi wzgardliwym spojrzeniem. Byli to żołnierze. Poznał, jakiej są broni. Widywał za szkolnych czasów tych augsburskich piechurów. Kazano mu iść na dół. Nie chciał. Wówczas przystawiono do niego kilkanaście bagnatów. Nie chciał. Wtedy dźwignęły go z ziemi razy bata. W dolinie za lasem obaczył rozłożony obozem oddział kirasjerów lotaryńskich. Żołnierze przypatrywali mu się ciekawie i mówili do niego po niemiecku. Rozumiał ich doskonale, ale milczał zubojećniały na wszystko, co nie miało styczności z jego duszą. Cieszyli się, że pojmali zbójnika...

Sześciu jeźdźców przywiązało go do swych siodeł. Skoczyli na koń, dobyli szabel i poprowadzili go między sobą w daleką drogę. Szedł teraz rozdołami, po podgórzu węgierskim, mijał łąki, wsie piękne, leżące spokojnie pod cieniem jaworów. Przebywał czystą, zieloną rzekę po drewnianych mostach, sztucznie wiązanych. Tu i tam sennymi oczyma widział byddo rozrosłe, z niezmiernymi rogami. Kilkakroć w górskiej wiosce żołnierze przystanęli na chwilę, żeby się napić wody. Czasami który z nich wymienił nazwę wsi:

Krasnohorka, Krywe, Lekotka... Były to jedyne dźwięki, które od nich słyszał. Gnali go dalej a dalej...

Coraz częściej trafiały się wsie długie, ciasno zabudowane, z bielonymi chaty o dachach ze słomy albo szerniałego gonta. Z dała wśród nich widać było białe, grubomure kościołki z gontowymi dachami i baniami pokrytymi zardzewiałą blachą. Naokół widać było pod górami folwarki z murowanymi budynkami. Wyżej lasy świerków, buków, dębów. Szła obok drogi wierna towarzysza rzeka, zasłana żabicami. W jednym miejscu siedział w czółnie kudłaty dziad czekając na tych, co by się na drugi brzeg przewieźć chcieli. Zgonionemu przyszło na myśl słowo „Charon”... Ale co znaczy to słowo? skąd przyszedł taki do głowy dźwięk?... Gryzł oczy i wargi biały kurz gościńca. Twarda i długa jest droga nieszczęścia. Załamuje się w stu kierunkach, zwija się w tysiące pierścieni. Na jeżyła się wszystka ostrym głazem jakoby grotami włóczy i stanęła nieprzyjazna a mściwa przeciwko bezbronny stopom.

Oto w trakcie tego pochodu wytrysnął w rozległej dolinie zamek na stromej skale. Kręty, kamienisty dostęp prowadził konwój do jego żelaznych drzwi. W dole szumiała zielona Orawa, w dali widać było polskie wielkogóry. Jeniec ujrzał przed sobą mocne, kute drzwi, odwieczną rdzą pokryte, krzywe zawiasy i haki z żelaza... Ciasne przejścia pod murem niezmiernie grubości, idące w półokrąg, zamknięte dziedzińce... Potem potworne podobizny dwu lwów z szarego kamienia, schody kamienne, wyszczerbione, ciemne przejścia, ganki, lochy podobne do kominów, wreszcie zimno podziemi, wydrążen omurowanych i jam we wnętrzościach turni... Trzask zardzewiałego rygła, przed oczyma nikły jakiś brzask światła, nad głową strop półokrągły, wykuty w skale, z którego cieknie szkliwo wilgoci... Cisza nareszcie i legowisko...

„WŁADA”

Zostawiony w ciemności, usiadł na ziemi i z uciechą wsparł plecy o zimną ścianę. Głuche mroki lochu roztrącał w jednym miejscu promień światła padając spod sklepienia. W skale niezmiernie grubej wybita była kwadratowa jama. Kraty w niej kazały wierzyć, że to okno. Do tego źródła światłości prowadziła framuga tak głęboka, że zdała się być drugą izbą. Na warstwach skały, zwojami idących, na wsparciu ich i umocnieniu z granitu, przyniesionego pracowitą ręką człowieka, światło dnia pełzło niepewne, wylękle, kamienne jak wszystko naokół.

Więziń spoczął. Nie biegnie już krwawą stopą między cuchnącymi kadłubami zgrzanych koni, nie słyszy tętentu kopyt, dzwonięcia pałaszów i ostróg, trzaskania strzemion i trzęzli, nie czuje żądy oporu ani wybuchów gniewu szlachcica, którego chamy... Głowa leniwo zwisała na piersi, włosy zsunęły się na czoło i wśród delikatnego mrowienia na skórze czoła, gdy się zsuwały, przepływa żalosna myśl:

— Czemużeśmy się wtedy sznurami z sukni nie związali i nie rzucili razem?...

Straszliwe widmo żalu, *infelicissimum genus infortunii*, stanęło obok i napój z żółci a octu przykłada do warg.

W tej samej chwili ktoś w pobliżu wyszeptał, wysyczał słowo, drugie, trzecie... Więziń z odrazą i trwogą dźwignął głowę i zmrużonymi oczyma jął patrzeć w daleki kąt ciemnicy. Gdy oczy jego przywykły do mroku, zobaczył człowieka. Nieznany towarzysz siedział na ziemi. Przykuty był do swego miejsca, do haka, poza nim w białego w ścianę. Kilkakrotnie szeptał coś z cicha, wymawiał słowo tajemnicze. Gdy nie otrzymał wcale odpowiedzi, rzekł głośno po polsku:

— Cóżes jest za jeden, człowieku?

Rafał z najgłębszą odrazą usłyszał w tym miejscu mowę ludzką. Milczał.

— Cóżes jest za jeden, człowieku? Węgier, Liptak, czy nasz z Polskiej?

I teraz przybysz nie dał żadnej odpowiedzi. Ale tamten nie przestał mówić. Głos jego dygotał z rozkoszy. Coś w tonach jego drgało i zanosilo się od wytrysków uczucia. Zadawał nieskończoną liczbę pytań prędkich i namiętnych, dowiadywał się, czy też już jesień, czy buki po reglach czerwienieją, czy też już kurniawy jesienne były, czy nie. Pytał się i odpowiadał sobie, że pewno kierdele zeszyły w dół, a bace idą przy koniach, perciami. Hale puste, ino się ta niedźwiedz kole schronisk wałęsa...

Ten szepczący głos był tak silny, tak potężny, że zdawał się huczeć pod sklepieniem i w kątach ciemnego lochu, ale w tej samej chwili Rafał usłyszał w szumie swej głowy,

który go na chwilę nie opuszczał, w łoskotach i osłupiałych wzdrygnięciach serca — inny głos. Tamten rozlegał się między niebem a ziemią, strzelał jako młoty gromu i trzaskanie piorunu w głuchą noc, lecąc nad wielkim obszarem w odgłosach świstu bicza i ciosów rzemienia. Człowiek słuchał zdrętwiały w sobie aż do ostatniej kropli krwi, aż do korzeni włosów:

— Wyrwę ci z serca ostatnią pociechę, jakobym wyrwał ślepcowi kij z ręki, gdy się do przepaści przybliża.

Otoczę cię trwogą tak nieprzejrzaną jak ciemność głębokiej nocy, długą jak żal.

A później spuszczę na cię nie wątlą trwogę, lecz smycz zgłodniałych nędz aż do nieznanej, aż do ostatniej, której jeszcze nawet wśród snu ciężkiego nie oglądałeś w mglistym przeczuciu.

Spojrzysz wtedy przy blasku piorunu w moje otchłanie, nad które górską koza nie chodzi, gdzie ptak w locie truchleje, gdzie wąż nie pelza, gdzie promień słońca na mgnienie ludzkiej źrenicy chyłkiem zagląda, gdzie odrętwiała ciemność leży przez wieki. Tam przebywa zemsta, która jest moją.

Wezmę na własność każdą chwilę, którą swoją przywykłeś nazywać, wyciągnę ją na długość rozleglejszą niż wszystkie władza twej wyobraźni.

Zatrzasnę drzwi mego zamku i zatarasuję okiennice, żeby ani jeden twój jęk nie doleciał do mego ucha.

Zapomnę, żeś jest na ziemi.

Niech cię upadającego potraça w samotności twoja zła dola, jako chce.

Przepadnij.

Zimne ciało słuchacza zsunęło się na ziemię. Głowa upadła na twarde kamienie, a spalone na węgiel usta uczuły smak więziennej wilgoci. Do serca spływały krople gorzkie jak zółć i ocet. Ciemność, ta ciemność, w której przebywa zemsta, ogarnęła jego głowę, a kolana swe wgniotła mu w piersi. Był jak kamień na drodze, który każda noga potraça. Wtedy to poczęły mu się wspominać odległe, odległe poszumy, jakoby świst-poświst na leśnej górze Łysicy w Świętokrzyskim paśmie. Przyjdą z daleka, nadciągną z końca świata, przepłyną dookoła ze śpiewem i zginą. Oto dźwięk łaskawy twarz mu owiał leśną jodłową wonią. Nim nadpłynął drugi, czoła dotknął błogosławionymi rękoma i trzeci, tamtych dwu towarzyszy. Uczuwać powiew i ich zapach, dotknięcie, uczuwać na ustach, w sercu — tak było dobrze. Płynęły przyniesione na skrzydle anielskim z dziecinnych lat... Zeschłymi wargami, nie wiedząc czemu, wymówił do Niego:

— Boże, bądź miłościw...

Serce nie szalało już teraz jak zamieć zimowa, nie burzyło wiązań piersi, nie szarpało się jak niewolnik w łykach. Szło znużonym, obojętnym krokiem wędrowca przybywającego do głuchej mety, która gdzie jest i jaka... komuż wiadomo?... Zdało mu się tylko przez niewyraźne drzemanie, że owa meta to wąskie, długie, z czarnego piachu i skał międzymorze, gdzie jedynie drapieżny ptak czasami spoczywa. Zdawało mu się za chwilę, że on sam to jest nie co innego, tylko wichur bezgraniczny lecący nad morzami. Wały pod nim morskie, brunatne, równie pod nim, porznięte w szkliste granitowe skiby. Granatowe ciemnowode wełny ubrały się w piany. Łąd zginął. Skaczą olbrzymie potwory, wiekuiście młode góry morza, przez niski łąd z okrzykiem swoim straszliwym.

Huczają zielone fale przypląwu przebiegając wydmę czarnych piachów, pękają u tej samej mety i z niepowtórzonym jękiem, z okrutną skargą wydają z łon ten sam głos odwiecznej żalości, głos wypływający z ludzkiej duszy... W sercu zostaje pusta ciemnica, miejsce, skąd odszedł nawet żal, nawet wyrzut, niby miejsce w domu, z którego wzięto na barki i wyniesiono trumnę.

Nie jest już wichrem, lecz topielcem wywleczonym za długie, mokre włosy z niezglębionego oddechu. Ręce ma zimne jak woda, nogi zdrętwiałe, oczy z lodu, serce nieruchome i obojętne bardziej niż podwodny kamień, przez który spienione skaczą fale. Głowa spoczywa jakoby na czyjejs dłoni dobrotliwej, zaznając ciszy i nicości.

Tymczasem drzwi się dawno otwarły i dozorca więzienny, przestąpiwszy próg kaźni, postawił obok Rafała posilek i wodę. Był to chłop barczysty, w jakimś wyszarzałym urzędniczym kostiumie. Skoro tylko stanął w progach, więzień przykutą zaczął go o coś błagać jęcząc i skomląc.

Dozorca przez czas pewien śmiał się oschle. Miał przy tym różne wyrazy niemieckie i węgierskie, polskie i słowackie:

— *Die schwerste! Jo... Die schwerste! Die Kerkerstrafe des dritten Grades... Ne mohu...*

Więziń znowu zaskomlał jak pies. Strażnik ruszył ku niemu i kluczem żelaznym odeknął obręcz, która w połowie korpusu obejmowała skazańca. Zbój, spuszczone z łańcucha, stanął na nogi i zawył radośnie. Wyciągnął ręce do góry i rozprostował zgięty krzyż. Dozorca cofnął się do drzwi i zaparł je swoją osobą. Wtedy uwolniony zaczął biegać w kółko po izbie, dzwoniąc kajdanami ręcznymi i nożnymi. Zawracał w miejscu i skakał aż do sufitu, zwinnie, pomimo kajdan, wyrzucając nogi. Splótł ręce i założył je na tył głowy...

— No, Mocarny, potaćnuj... Zbójnickiego! — mrucał dozorca śmiejąc się po swemu.

Góral puścił się w tan. Przeginał się w tył, ciskał naprzód, wywijiał rękoma i skakał w prawo, skakał w lewo, od jednej ściany do drugiej. Jego nogi w mgnieniu żrenicy dokonywały błyskawicznych skurczów i wygięć nie do uwierzenia. To elastycznie ginęły, to znowu, jak doskonała stal, kuły kamienne płyty posadzki. Prędko, coraz wścieklej miotła się jego oszalala głowa. Była i pod stropem, i nad ziemią, leciała kołem. Czarna koszula migąła to tu, to tam. Z piersi wypadał obłąkany krzyk, ptasie czy zwierzęce pogwizdywanie, pochutnywanie sylabowe, wilcze czy rysie.

W pewnej chwili ten ogromny chłop jednym skokiem znalazł się we framudze okna. Nim dozorca zdążył słowo rzec, gest uczynić, wdrapał się po murze, wszczepiając bosc stopy w szczeliny między głazami. Uchwyciwszy się rękoma żelaznych prętów małego okienka, zawisł pod sufitem jak pantera. Jego wychudła twarz, obwieszona pozlepianymi kudłami, przywarła do żelaznej kraty, a całe ciało znieruchomiło nagle i zastygło.

— Mocarny! *Halt!* Mocarny, ja tobie mówię! *Nieder!* — ryczał dozorca chwytając go za bary.

Góral nie poruszył się i nie odpowiadał. Oczy jego były wlepione w widne na niebie, dalekie polskie góry. Długi, czarny policzek przywarł do zardzewiałych krat, włosy zwisły w tyle zadartej głowy długimi strzępami jak nastroszone ptasie pióra. Tak wisząc w oknie zaśpiewał, zaklął, zaszlochał:

Ej, wirsycku, wirsycku, ej, dałbyk cię ozłocić,
E kieby mi się mogła, ej, moja wola wrócić...

Był to krzyk przeciągły, prawdziwy krzyk z głębi duszy wołający na góry, które żyją i czują. Całe podziemie, cały zamek nappełnił ten głos. Zdawało się, że zatrzęsł jego podmurowaniami i sufitem kowanym w skale. Dozorca siepał się z więźniem. Ten jakby zapomniał, gdzie jest i co się z nim dzieje, śpiewał jeszcze mocniej:

Ej, wirsycku, wirsycku, ej, dałbyk cię ozłocić...

— Mocarny! — wrzasnął dozorca bijąc go kluczami.

Ej, wirsycku, wirsycku...

Udało się wreszcie strażnikowi grodu chwycić zbója za kołnierz i zwlec na dół. Stanęli obaj w smudze światła, tuż nad głowę Rafała. Góral wstrzymał pilnowacza i pokazując leżącego spytał szeptem:

— Cóż to za człowiek?

— A kto jego wie? Taki tam pewnie zbój z gór jako i ty.

— To ta nie zbójnik.

— No?

— To jakisi sponiewierany ceper. Ka ta takiemu!...

— A skądże na nim cyfrowane portki zbójnickie, cucha i pas?

— Cy ja wiem skąd? Moze kany ukrad...

— Zbójom ukrad! To musi być chwata!

— Chwaty som ta jest wselnijakie.

Za chwilę góral, wtłoczony w obręcz, przykuty do haka, na swoim miejscu siedział już w kucki. Podbite obcasy strażnika zadźwięczały na chropawych głazach, zgrzytnęła zasuwa we drzwiach. Ucichł odgłos kroków na schodach.

Rafał od dawna ocknął się już był ze swego upadku, widział taniec i słyszał rozmowę. Wszystko, co przecierpiał, całe nieszczęście, którego udźwignąć już nie mógł, zwałił na głowę towarzysza kaźni. Gniew osobniczy wilka skupiał się w nim. Poczul w duszy nową siłę, jakoby w mocnej dłoni poczul nagle jedlca ciężkiego miecza. Z wolna przez jego głowę waliła się olbrzymia myśl, że to jest może jeden z tych, którzy się poważyli na nią, na tę, której już nie był w stanie wspomnieć... Zła krew załała mu mózg i ogniem dymiącym napelniła żyły. Wstał ze swego barłogu i twardymi krokami zbliżył się do górala. Czul w garściach dziką siłę do zduszenia gardzieli, która przed chwilą napelniła to miejsce podłym krzykiem.

— Słuchaj — rzekł stojąc nad zbójem — zaduszę cię jak psa! Jesteś skuty. Nie ruszysz się. Zaduszę cię. Mów prawdę...

Góral skulił się, zwinął w siebie. Patrzył weń z mroku stalowymi oczyma. Milczał.

— Dawno tu siedzisz?

— Musi dawno!

— Ile czasu?

— Od siedmiu lat siedzę.

— Od siedmiu... — powtórzył Rafał głosem szyderczym, który się z niego samego natrzęsał jako wróg.

Spytał jeszcze:

— Za co siedzisz?

— Za co? A tobie na co wiedzieć?

— Nie powiesz?

— Co mi ta! Cłeku! Powim. Za cóż byk miał siedzieć, kieć dezenterował!

— Kiedy?

— He! Kie ja z wojska! Kęś casu, bracie. Wzieni me w halak. Kiecki nam koło usy pozaplatowali, porteckie cyrwone dali i hybaj! Do pandurów. Poślimy we Węgry, het! ku morzu, w takie strasne równie, pustacie, co nie daj Boze. Wytrzymalek bez jeden rok, bez drugi, alek ni mógł dockać końca, kraju... Telo me docliwiło, cok wzion i zdezenterował. We dnie jek się krył, a na mroku leciał ku halom. Ale się w jednym mieścisku, na węgierskiej stronie, do mnie przyznali. Wzieni łapać. Dopadli me w takiej wąskiej ulicce, zaparłek sie do muru plecami — byłek chłop! — wzionek skalami prać, byłbyk to poprał na kupę, nie daliby rady. Ale me štukom wzieni. Zašli me ze zadku, postronek na syje zarucili i łapili. Toz to w seści me bez miasto wlekli. Musiałek bez takom ulice biegać, co me z dwok stron bili. Cosi pięćset kijów wyspali. Dobrze! Juści odesłali me z wartownike do Prěśburku, do regimenta. Ale w drodze useptaliśmy się z jednym wojakiem, co me wiód, co był z Luptowa, juści zdezenterowaliśmy oba. Kaz było iść? He, bracie! Co ino raz wiatier nas obleciał, wiedzielimy ka! Dopadlimy do hał, ozdobierali się, Luptak był za harnasia, i pošli na zbój. He, to było życie honorne! Ślimy w Polskom, cy ta na Węgry, na Śląsk, na Morawę, sedy nas było pełno, ale po kómorak ludzkich pusto...

Pandury a wojaki wse nam deptali po pięćtak a ślakowali. Na ostatek źle nam wysło. A syćko bez babe! Kto sie frajerek rad trzymał, ten niedługo zbójował. Zabawilimy sie hań u jednej nieskoro w nocy i po ćmie nas przysiedli. Pięcioro uciekło — ja zaś w pazdurak im ostał.

— Cóż wtedy?

— W sifcug, bracie.

— Cóż to jest?

— Nie wis? To sie lepiej ani nie pytaj...

— Ja się niczego nie lękam. Powiadaj.

— Sifcug, wis, to je tak: Hań nad okrutnom wodom, nad Dunajem, ka Sigedyn, wis? som ta jest młacyska, bory strasne, topiele, co ik ani nie zgruntujes, ani nie przeżres, bo to kansi idzie, aze do kraju świata. No, toz to nas hań przywiedli, śleje kie koniowi zarucili i wprzagli do takiego sifu ze siacem, psenicom — jako padło. Sif wodom seł, a tyś sie po kraju potykał ciągnęcy... Kieś nie wytrzymał a padł i skapiał, no, to cie hnet w tym

błocisku zagrzebli. Ale to ta nic. Dy lekcej hań na dnie w borze gnić z pniakami, niżli tak żyć. Gorzej było, kieś zesłał a nie zdek i nie zdoł iść, kie cie postrzał ozbił abo ci gicale w tej młace pokręciło, abo gad uzar. Praśli cie na tym sifie, i tames cekał abo końca kary, albo śmierci. Kie przysła noc, toś, jako stał, pokalany po syje, w tyk stoplanyk gałganak, seleś spać. Ale przód ci łańcuski na ręce, na nogi włożyli, a do belki przykuli. I takeś gnął w tym gnoju i gawiedzi, a zima cie trzęsła. Bo w tyk młacyskak, kie sie zmirkało, sła ze ziemie taka mgła gęsta, brzycka, z takim pukem — to cie tak przejeno, coś zębami piknie kłapał jako wilk. A na raniu, lemze malučko namieniało na świtanie, hybaj! we wode, w młacysko! A nie kces, to cie tak kijem dobili, coś nie kciał a wstał i seł, choć ci płacki z oc durkały...

— No, dobrze, dobrze... Słuchaj! A żebyś tak spróbował wydać kryjówki tamtych wszystkich. Lżej by cię sądzili.

— Ni! To ta nic nie płaci. Choćbyś sto razy prawdę powiedział, to telo bedzie, co i przez niej. Wezmo cie na spytki, na męki.

— Na męki?

— Zje ba jakoz! To ino zabawa, kie ci myske na pępek pod garnusiem puścili. Więcej nie trza. Ale ja ta wolem dobrom, bo krotkom męke niżli długi kryminał.

— Słuchaj, a jakżeś wytrzymał, jakżeś wyżył tyle lat?

— Jakek wyżył? He, bracie, powiem ci, jako... Mas tu siedzieć — ani ja wiem, coś za jeden — ale cobyś wiedział: syćko przetrzymies, ino trza wiedzieć sposób.

— Sposób?

— Na jedno musis przystać: abo sie głodem zamórz, łeb se o mur ozwał, abo kieś chłop, kie mas siłę w zylak i kościak, to se upatrz takie jedno misce w sobie, chyc sie ónego pazdurami — i trzym, a powiedz se tak: Niekze ta! Niekze... Bij, kie mas wolom...

— Nic mi z twojej nauki... — rzekł Rafał śmiejąc się ze swej doli gorzkim, ostatnim śmiechem.

— Bedzie cię biło rok, bedzie dwa. Ty się trzym! Nic nie pytaj. Stępi sie to złe, kij mu sie na drzazgi ostrzepie, straci władę i pójdzie se w dyasi. Nie dam ci rady — rzece — boś chłop! Insy bedzie niby w sobie tęgi, ale go bieda w miesiąc stępi, bo siły nijakiej ni ma, jako ten pniak w lesie: po wierchu mocny, ale go kopnij — ozleci się próchno ś niego jak ciasto. Taki se będzie banował, a to na nic — to nagorse. Ty się trzym! Choć i płono, choć i boli... Wytrzymies, nie bój sie nic. Ha, kie juz telo zdoles wytrzymać, to sie w tobie, bracie, siła zsiadnie jak krzemień. Włada na cie przyńdzie telo, co każdej biedzie do gardła skocys... A zdusis! Hej!

ARCYKAPŁAN

Pomimo uwag woźniców i rad najdoświadczeńszych a najśmielszych górali księżę Gintuł uparł się, żeby jechać dalej. De With ani się nie opierał, ani go nie zachęcał. Był wciąż tak samo obojętny, tak samo pozornie wesoły. Uśmiech, niezłomną potęgą woli wydobyty, uśmiech stworzony chceniem z nicości wesela, uprzejmy i trwały, pozostał na jego ustach taki sam jak w zaraniu podróży. Wcześniej wyruszono z Waasen. Kilku wieśniaków szło przodem, żeby odwalać zasy, jeśli gdzie drogę przecięły, a obadwaj podróżni wybrali się w ich tropy pod opieką trzech silnych Szwajcarów.

Kiedy wstąpili w czelusć kamienną Reussu za Göschenen, przewodnicy nakazali surowe milczenie. Wszyscy szli wolno, skradając się na palcach. Pod chmurami, między szczytem a szczytem krzesanic, na zrębach i gzymsach, lekko i wdzięcznie przechylone w dół, marzyły w słońcu lawiny. Śliczny poranek wyzłacał ich łapy złożone na krawędziach, szyje i głowy zwisające dla zasłyszania grzmotów, skowyczeń, dzikiego szumu i samotnej pieśni górskiej rzeki, która przeraźliwymi skokami miotała się w czarnych turniach, w śnieżnobiałych zaspach, między zielonymi soplami i wśród tafel lodów olbrzymich jak same skały. Ze drzeniem, odsłoniwszy głowy, mijali Szwajcarowie diabelski most, oślizgły przesmyk w otchłani, gdzie przeszywające gwizdanie Hutschelma oddech tamuje. Dwaj podróżni szli z przymkniętymi oczyma. Trwoga śmiertelna obchodziła ich wokół. Spod ścian, z głębi bulw i garbów zielonych soplów patrzyły w nich oczy poległych w tym miejscu.

Potęga szumu zdziczałej wody powiadała dzieje boju. Kiedy noga za nogą idąc przebyli most i kamienne galerie, de With podniósł oczy po swojemu, sennie, w uroczystym oczy-

nieniu przypatrywał się temu miejscu, skałom, rozjuszonej rzece i tajemnicom przeszłości drzemiącym w czarnym cieniu.

— Jakież to urok!... — rzekł do towarzysza.

— Prawdziwie...

— Mówiłeś mi, że miejsce bitwy, Lecourbe?...

— Tak jest, miejsce bitwy. Czy chcesz może, kochany, poznać dzieje zdarzenia?

Skinął głową z wyrazem mniemanej ciekawości, sztucznego zajęcia. Rzucił pośpiesznie oczyma po skałach, po drodze, po moście... Już za chwilę oczy jego utknęły w próżni i powlokły się ze wstrętem na kulach niedoli, swą własną drogą, jak żebrak idący bez celu szlakami świata. Książę zamilkł.

Ruszyli dalej, ale tylko do Hospenthalu udało się im dotrzeć. Wnet słońce zaszło za garby Furki. Nikt z mieszkańców nie chciał słyszeć o drodze. Wypadło tedy nocować w tej ostatniej mieścinie przed łańcuchem gotardzkim, dokąd sięga gwara niemiecka. W małej, starożytnej izdebce z krzywą podłogą było duszno nad wyraz. Książę nie spał. Słyszał w drzemaniu wersety litanii do Wszystkich Świętych, którymi, głośno je wyśpiewując, stróż nocny zaznaczał kwadrans mijających godzin. Skoro świt ruszono dalej.

Szła już przez przełęcz gotardzką nowa, w roku 1800 zbudowana droga, ale w tym dniu śladu jej nie było. Zamiecie przywalały dolinę niezmiernymi zaspami. W poprzek drogi i rozdołu, wiodącego na szczyt, runęły nowe lodowate góry, nowe przełęcze, łańcuchy i doliny. Były to twory równie bezcelowe i niepojęte jak węzeł łańcuchów górskich, które się tu schodziły z czterech stron świata. Jechali zrazu konno, potem przesiedli na sanie. Ale zimno nie dawało pobłażania. Na połowie drogi do szczytu puścili się piechotą. Brnąc w sypkim śniegu, a torując sobie wciąż drogę łopatami, posuwali się w górę.

— Jesteśmy w samym siedlisku przyrody, na kalenicy dachu Europy. Jakże się to tutaj gmatwa kłęb jej pomysłów! Sama nie wie, co robi... — mówił książę. De With uśmiechnął się łagodnie.

— Po cóż są te góry, te bezgraniczne, ledwie ogarnione myślą łańcuchy kamienia i przepaście? Po cóż są te zasy? Na co była okropna zawieja, która je tu przyniosła?

Mistrz katedry patrzył w pole śnieżne czystymi oczyma, jakby szukając tam słów, które wyrzec należy. Wzruszył po dziecięcemu swą wielką głową i chrapliwym głosem, naraz zwróciwszy się do księcia, rzekł:

— Nie wiem.

— Dla człowieka, ażeby człowiek...

— Nic teraz nie wiem.

Na szczycie, około martwych jezior, które o tej dobie zginęły bez śladu pod lodami i zwałiskiem śniegów, zerwała się zamieć tak straszna, że obaj podróżni zwątpili o swym ocaleniu. Stali w samych chmurach, w lodowatej pracowni śniegu. Nie wiedzieli, czy dokoła nich krąży noc, czy dzień. Wicher straszliwy ryczał w trąby jaskiń niewidzianych. Przelatując tamtędy z północy na południe globu ziemskiego, grał na harfie łańcuchów górskich, świstał w szczeliny lodowych pieczar, gdzie już nie masz życia. Gardziel przepaści wyrzucała w chmury chichotem drgający dech.

Serca były przyśpieszonym tętnem a nogi drżały. Na pół skostniali, śmiertelnie znuzeni, upadając co krok w lotne zasy przywlekli się do schroniska. Tam przewodnicy po długich mozołach rozniecili ogień, zgotowali wody i jaki taki posiłek. Zawinięci w futrzane płaszcze, podróżni spędzili tę noc na drzemaniu w pobliżu ogniska. Następnego dnia z równym mozołem zeszli do Airolo na włoskim zboczu Alp. I tam leżały zasy, a zadyмка kryła światło. Najętymi końmi ruszyli co prędzej w dół przez Biasca, Bellinzone, Lugano. Dopiero w lombardzkich nizinach wionęły ku nim powiewy italskich ogrodów i ciepłych mórz. Ziemia była jeszcze szara i zimna. Sennie nad jej mokrymi płaszczyznami, dokoła nieskończonych rowów, stało drzewo oliwne, podobne do wierzb Północy. Ale już tu i owdzie lśniąca murawa płonęła się w ciepłym zaciszu przykop zwróconych ku południowi. Wieśniak wychodził do pracy w polu i z uśmiechem zdumienia a mimowolnej wzgardy poglądał na ciepłą, zabawnie obszerną odzież ludzi przybywających z gór. Nigdzie nie zatrzymując się dłużej, rozstali się podróżni na nizinach z rzeką Ticino, którą byli widzieli, gdy zlatęła potokiem ze śnieżnych jaskiń Gothardu. Przebyli leniwą, mułem i kamieniami zawaloną Po.

W pierwszych dniach marca dosięgli liguryjskich Apeninów i wjechali w ich wąwozy. Po górskich drogach wlokły się ładowne zaprzęgi o dwu olbrzymich kołach i prastarym, starorzemskim hamulcu, ciągnięte przez osły, muły i konie. Woźnica trząskając wesoło z bata, pędząc w doliny, gdzie stał perłowy zmrok wiosennych mgieł, wdzierając się na skaliste przełęcze, i znowu lecąc dołu. Gdzie rzucić okiem, słały się oliwne gaje powleka-
jąc srebrną szarością wyschłe, kamieniste pagóry. Lśniły się pod słońcem chropawe jak zeschnięta ziemia ściany domostw wieśniaczych. Po nadrzeczu tuliło się tam i sam zwarte, spiętrzone miasteczko o domach jasnożółtych. Zwiślał z ogrodowych murów przypoludnik o trójgraniastym liściu, a tu i owdzie kwiat jakoby naszego ostu wytryskał z jego zwojów. Potworny kaktus wwiercał w szczeliny skał i ścian szpony swych korzeni i wystawiał na słońce krzywe pazury łap rozplaszczonych. Za żelaznymi kratami domów załśniła kiedy niekiedy rabata lewkonii, przemknął dokoła twarzy cudowny odór gajów różanych, musnął oczy daleki widok kamelii w kwiatkach, siejących dokoła swych ślicznych osób białe i pąsowe płatki uwiedle.

De With, który był w tym kraju po raz pierwszy w życiu, patrzył na wszystko okiem zgasłym tak samo, jakby miał przed sobą ściany i piec zimowego mieszkania. Na szarą barwę jego twarzy gorący wiatr, przylatujący zza morze, wywabił słabe rumieńce. Między zsuniętymi brwiami została posępna rysa. Wjechali w granice Rzeczypospolitej Liguryjskiej, niegdys Genueńskiej. Góry były coraz wyższe, coraz bardziej skaliste.

Nareszcie po tylu dniach rozwarły się wyloty dolin, rozstąpiły się skały. Na widnokre-
gu lśniło się morze dalekie. Książę miał w oczach płomień, a okrzyk szczęścia w ści-
śniętych ustach. Nie mógł powstrzymać myśli, która, jako prawda nieujęta, niejasna, niedająca się zawrzeć w słowie, rozpierała mu piersi. Rzecz wreszcie:

— Jakże obmierzłymi są kraje, w których los postawił naszą kolebkę! Oto jest ziemia godna człowieka. W niej się zamyka świat i jego dzieje. Przybiegliśmy do tych brzegów nie tylko cieleśnie, ale duszami, tak samo jak tu ciągnęły barbarzyńskie plemiona ze wszelkich obszarów i stron Północy, ze Wschodu i Zachodu. Nie mogę się zaprzecć... Kłamałbym mówiąc inaczej: jeżeli kocham jaką krainę, to tylko tę. To jest ojczyzna mojej duszy... Spójrzysz...

Na krańcach widnokre-
gu wyginał się lśniący huk morski, wiecznie napięty. Promienista strzała słońca leżała w jego cięciwie. Wzrok nurzał się w zieleni obszarów wodnych z taką rozkoszą jak w powietrzu. Chwiały się fale w świetle, podzielone przez wstęgi błękitne jakoby na chóry anielskie, śpiewające pieśń morza.

Daleko, ze skalistych w dole brzegów, olbrzymie pinie wychylały nad wodami czarne korony, a najdalej na cyplu kamienistym strzelała w niebo kępa cyprysów na podobieństwo pięciu czarnych płomieni. Z nicejskiego brzegu we mgle białeły liguryjskie Alpy, a na lewentyńskim czarną masą rozsiadły się Apeniny, chropawe od piargów, czarne, jakby spalone przez *sirocco* góry Rocca, Giugo, Santa-Croce...

— Genueńska Zatoka... — mówił książę do siebie. — Melodią fal swoich wykołysała dziecięce i młodzieńcze wichry marzeń, straszliwe burze żądź czynu Krzysztofa Kolumba. Jej to nawałnice ciosały w jego duszy wolę strasliwą. To ta zatoka wywiodła go w tajemnicze pustynie wód, w nieskończony, siwy ocean, w szlaki jego młodocianych marzeń, do Indów. My nędzni ledwie wątłymi myślami zdołamy obejść te drogi przezeń odkryte, przepłynione aż do ostatniej granicy, skąd mógł napisać do królowej Izabelli te dumne, zaiste królewskie słowa: „Ziemia nie jest tak wielka, jak pospolity lud mniema, przeciwnie, ziemia jest mała”. To samo błękitne morze wyrzuciło ze swoich pian na łód starego świata Korsykanina, pierwszego konsula, co teraz zbrodniami tyranii napęlnia grozą Francję...

De With grzecznie potakiwał albo słuchał cierpliwie.

Powóz skierował się na prawo i wbiegł na główny gościniec prowadzący do Genui. Wkrótce podróżni znaleźli się w jej wąskich ulicach, w tych ciasnych lochach, wiodących z góry w otwarte morze. Krótco tu jednak bawili. Celem ich podróży była posiadłość „brata” Vicini w okolicach miasta. Przebrawszy się w hotelu w suknie lżejsze i cieńsze podążyli we wskazanym kierunku. Willa Vicini leżała na górze obrosłej krzewami. Było południe, kiedy stanęli u wejścia.

Wpuszczeni do ogrodu przez starożytną żelazną bramę, szli przez czas pewien w górę wąskim korytarzem, utworzonym przez dwa wysokie mury. Fale bluszczu przesadziły

Polak

szczyty murów i płynąc, kapiąc, wisząc soplami długimi aż do ziemi, uczyniły z tej drogi majestatyczny a zarazem cudnie przychylny krużganek. U krańca jego były drzwi domu. Jońskie i korynckie kolumny białe na słońcu, barwiąc dalekie tło ciemnych gajów niewymowną plamą. Służący prosił przybyszów, żeby zechcieli zaczekać na przebudzenie starego margrabię w salonach dolnych czy w ogrodzie. Wybrali ogród i poszli w górę po ścieżce wysypanej żwirem drobnych kamyków, które morze z dalekich stron przyniosło i na brzeg wyrzuciło, a pracowity człowiek na tej drodze rozsypał. Małe jaszczurki przebiegały słoneczne place, zatrzymując się chwilami i patrząc zielonymi oczyma na nieznanym ludzi. Ludzie Północy szli krok za krokiem, wielbiąc oczyma cudne drzewa, a raczej niewysłowioną ich piękność. W jednym miejscu mur był niższy i można było, wspinając się na palce, zajrzeć na drugą jego stronę. Rósł tam na południowym stoku, ze wszech stron okolony ścianami, wirydarz owocowy. Wiosna go już dotknęła.

Jak senna rozkosz ukazały się przed oczyma pod przeciwległym murem wysmukłe różgi brzoskwini, oblepione jasnorożowym kwieciem, które same liście wyprzedza. Stało pod słońcem. Książę zmrużył oczy od przelatującego ciała dreszczu. Marzył. Zdało mu się wskutek osobliwego złudzenia, że widzi jasną, niewinną, zawstydzoną dziewczynkę lat piętnastu. Byłaby to jego siostra, czy inna, obca? Widział ją kiedy, czy nie? Taka właśnie jak te gałęzie: wszystka różowa, skromna i siostrzanej duszy... Ma ją w oczach, a od tego widoku bezcennymi kroplami szczęście spływa w zaskorupiałe rany serca.

— Bądź pozdrowione, drzewko...

Całą przestrzeń zwartym gąszczem zarosły rozłożyste pomarańcze i cytryny. Każda gałązka była obarczona płomiennymi kulami dojrzewającego owocu. Jasnosrebrzyste cytryny liczne były jak liście. Już figa puściła ze swego szczytu nowotne, wątłe, prawie białe listowie, a słodki kasztan pąki, które ozdobiły końce jego nagich a powikłanych gałęzi.

Weszli do parku. Stanął przed nimi eukaliptus z pniem prostym i wyniosłym jak maszt, ukazał się jego cielisty odzimek, który zrzuca korę na podobieństwo człowieka pod zwrotnikiem, zrzucającego ciepłą odzież. Sięgnął od stóp do połowy, zda się, wysokości góry. Tam, w wyżynie rozpostarł swe nieogarnione konary i gałęzie, pręty i liście zwisające jak u topoli, ciemne i twarde niby pergamin. Wychylił się z gąszczów bukszpanu laur kamforowy z małym i wątłym liściem i magnolia, olbrzymia jak lipa wielowiekowa. Co krok zastępowało drogę i zasłaniało pół nieba inne zjawisko. Więc w jednym miejscu chwiał ciemnymi sukniami i żółtymi kwiaty, liśćmi jakby wyciskany ze skóry — bukszpan, dziwny obraz świerka i mirtu... W innym, między garbami góry, dumały brazylijskie i afrykańskie palmy. Ich pnie chropawe i włochate, najeżone tarczami i kleszczynami, książę przywitał westchnieniem. Łuszczaste kadłuby wydzwignęły się w przestwór i miały tam kity piór. Wśród ich gałęzi leżały już na złotych prętach żółte, okrągłe, tęgie gruzły niedojrzałych daktyłów. Wkroczyli w głęboki cień. Podniósłszy oczy ujrzeli niezmiernie widły, odnogi i pędy libańskiego cedru o korze brunatnej ze srebrzystą tam i sam poświęcą mchu, ze złotymi bulwami żywicznego obaru. Obwieszony niezmierną liczbą szyszek, obszar korony cedru tworzył sam z siebie puszcę. Stojąc na wyniosłości tej góry patrzył już może w liguryjskie wybrzeża tysiąc lat, a może dwa tysiące, bo długości jego wieku nikt nie wie i nie zbada... Może gałązkę jego zasadził tutaj pierwszy żeglarz fenicki, może rzucił ziarno idący światami Żyd Wieczny Tułacz.

Tu i owdzie otwierały się między gajami rozległe, pochyłe trawniki, zamknięte ze wszech stron łączki, usiane kwieciem tymianku i rozmarynu. Zza drzew dochodził wesoły i niespokojny plusk małej fontanny i ciche szemranie wody, uchodzącej w głąb płaskiej cysterny z białego marmuru. Któż by się zdziwił, gdyby na jego spotkanie wyszedł z wilgotnych, lśniących zarośli nagi faun o ciele brunatnym i włochatym, gryząc złotą pomarańczę i śmiejąc się z łotrowską rozpustą? Któż by się zdziwił ujrzawszy na gżemse marmurowym białe jak on ciało nimfy? Ucho słuchało, czy nie odezwie się radosny głos piszczałek i krzyk wiosennej radości...

Przezierają w istocie z głębin liści białe ramiona. Ale to była podobizna człowieka wykuta w marmurze. Kiedy zbliżyli się do tego wizerunku, ujrzeli, że źrenice jego i powieki były wyżarte przez czas i deszcz. Patrzyły bezkształtnymi dołami. Ust już nie było, a spięcie togi na obnażonym ramieniu było tak samo porośle mchem jak czoło i brwi.

— Śpij w spokoju, potężny patrycjuszu... — rzeki Gintuł odchodząc z tego miejsca.

Drzewo, Wiosna

Z zadumy i znużenia wyrwał ich szelest listków cienkich jak jedwab, wątlých, gładkich i subtelnie kreślonych niby wodnymi znakami, a ruchliwych i czułych na każde tchnienie bardziej niż puch. Szept kończystych listków, gdy się jedne do drugich z trwogą tuliły ostrymi w brzegu powierzchniami modrawej barwy, wzbudzał szczególną litość. Białe, równe, okrągłe pędy, poprzedzielane obrączkami kolan, rosły tu w kępach odosobnione od reszty roślin, jak cudzoziemcy wyrzuceni na niegościnniej łąd. Był to biały bambus. A dalej o kilka kroków czerniały, lśniąć i świecąc, i dzwoniły tą samą zaiste mową kępy czarnego.

Wskutek ciągłej wędrówki pod górę podczas upału przybysze byli bardzo znużeni. Siedli na kamiennej ławce. Książę Gintuł wydobyl teczkę i ją przegladac listy i papiery, które należało wręczyć „bratu” Vicini, skoro go według znaków poznają.

Wtem podniósł oczy — i papiery upadły mu z rąk na kolana. Naprzeciwko ławki, po drugiej stronie placu zasypanego szarym żwirem, stały cyprysy w grupie tworzącej jakby czarną i ciemną kaplicę. Szczyty ich strzeliste, zionące w niebo ostrymi języki, schodziły się w górze. W głębi, pomiędzy ich pniami, w mrocznej nawie, skąd ranna rosa jeszcze nie odeszła, stało rozłożyste drzewko rododendronu, na wysokość nieprzechodzącej wzrostu człowieka. Cała jego korona była w olbrzymich kwiatach, a wątłe listki ginęły między nimi. Barwa kwiatów była karminowa, a w głębi kielichów ciemniejsza aż do najcięższego karmazynu. Wytryskała z cyprysowej ciemnicy jak gdyby krzyk symboliczny, znak — zwiastun prawdy, pierwszy raz spadającej między rzesze ludzkie. Ten krzak ognisty, zionący najpotężniejszym ogniem przyrody, stał w swym ciemnym odosobnieniu jakoby arcykapłan, wznosząc ku niebu tajemniczy, najwznioślejszy głos życia.

Obaj podróżni wstawszy zbliżyli się ku niemu. Z rozkoszą i czcią patrzyli na jego kwiaty olbrzymie, których głąb purpurową nakluwają czarne znaki, jakoby ukąszenia ciemności. Książę Gintuł podniósł rękę i ułamał jedną gałązkę otoczoną kwiatami. Podał ją Mistrzowi. Ten wziął ją i przez chwilę trzymał w ręku ściśniętych. Oczy miał spuszczone na kwiaty.

Z nagła ciężkie drżenie przebiegło całe jego wielkie ciało od stóp do głowy. Upuścił gałąź na ziemię i stał nad nią ze zwieszoną głową jak nad otwartym grobem. Książę poznał jego cierpienie.

— Nie ma już, bracie, tej — rzekł de With — która była godną tych kwiatów. Dla niej tu rosły. Ją wysławiają. Duch mój poznał...

Schylił się jeszcze bardziej, zgarbił. Splecione kurczowo ręce przycisnął do piersi. Z niewidocznych oczu jego padło na kwiaty kilka samotnych łez, a z ust te słowa ciche:

— Któraś wzgardziła mną i odeszła, któraś zdeptała głowę moją i serce, i duszę moją... Odpuszcza ci się twa wina... Tak żywej jako i umarłej. Niech będzie błogosławione szczęście twoje... We wszystkim, coś uczyniła dobrego i złego... A jeśli już odeszłaś z ziemi, bądź błogosławiona... na wieki... Na wieki...

NIZINY

Jednego z pierwszych dni września 1804 roku Rafał Olbromski wyszedł z dolin i lasów i zmierzał ku nizinom.

Rok z górą przesiedział w więzieniu na zamku orawskim jak pospolity zbrodniarz, aczkolwiek nie popełnił czynów, o które go posądzano. W ciągu kilku pierwszych miesięcy milczał wzgardliwie i nie chciał wymienić nawet swego nazwiska. Jako odmawiającego wszelkich zeznań, według nowej procedury austriackiej z roku 1803, karano go ciężkim więzieniem za samo milczenie. Nie mógł przecież inaczej. Musiałby był odsłonić całą nagość swego nieszczęścia, wykryć tajemnicę śmierci Heleny de With, opowiedzieć dzieje miłości i śmierci. Musiałby był wydobyć z lochów wspomnienia cały sekret, zniesławić po śmierci tę, która z jego winy zginęła, dla uratowania swego życia, życia, co obmierzło... Powiedział sobie, że lepiej tak, jak jest. Leżeć w barłogu więzienia, aż koniec jakiś będzie! I wzgardziwszy samą śmiercią czekał na nią obojętnie. Śmierć nie przyszła. Wysłała naprzód służebnicę swoją, chorobę. Tyfus więzienny porwał go w szpony i trzymał tak długo, jak chciał.

W trakcie tej choroby sprawa wykryła się nagle i prosto. Oddział piechoty — drugi regiment pandurów, Panalisten Croaten grafa von Nadasti, w kierpcach, czerwonych

Więzienie, Prawo,
Milczenie, Kara

majtkach i baranich czapach, „ślakujący” zbójników nowotarskich — wykrył podczas rewizji w chacie gazdy, u którego Rafał czasu szczęścia przemieszkował, jego paszport i niektóre rzeczy. Zabiegliwy gazda pieniądze na wszelki wypadek dobrze ukrył, a o papiery dbał niewiele. Sędzia obieralny, prowadzący na Węgrzech w komitacie najbliższym sprawy zbójckie, otrzymał te dokumenty po upływie znacznego przeciągu czasu, domyślił się jednak od razu, że należą do tajemniczego więźnia. Stwierdzenie tożsamości osoby było już tylko kwestią czasu. Kiedy w chwili badania sędzia wymienił jego nazwisko, ten zadrżał i wlepił weń oczy ślepe z bóleści. Ale za chwilę, gdy go pytano, gdzie jest kobieta, z którą, według świadectwa gazdy, mieszkał na Podhalu, skłamał z prostotą, szczerością dziecka i nadwyzwyczajnie bezczelnym sprytem, jakoby to było dziewczę lekkich obyczajów, spotkane przezeń na ulicach Krakowa. Sprzykrzywszy ją sobie, wygnał. Oto wszystko. Poszła do miasta z płaczem. Gdzie jest obecnie, tego nie wie. Zapewne w spekulacjach miejskich prowadzi swe rzemiosło. Przebranie swoje za zbójnika wytłumaczył łatwo i jasno, umiejętnie przeinaczając szczegóły rzeczywistego wypadku.

We wrześniu puszczonego został na wolność. Jako szlachcic nie otrzymał nawet zwykłej porcji kijów, którą prawo austriackie żegnało swoich pupilów więziennych. Z całego dostatku otrzymał paszport swój pruski i kilka strzępów zbójckiego ubrania, w które nie sposób było się odziać. Dozorca więzienia z litości darował mu, co mógł zbyć bez żalu: zdarte zawadiackie buty węgierskie z cholewami, kaszkiet urzędowy pozbawiony oznak, wreszcie krótki i wyszarzany spencerek furmański. Tak odziany, Rafał wziął kij w rękę i ruszył z tego miejsca.

Kiedy minął żelazne drzwi zamczyska, nie obejrzał się poza siebie. Czmychał jak lis, którego rana się podgoiła. Co pary w piersiach, dolinami Wagu... przed siebie! Był zniszczony do ostatniej kości, zniweczony do ostatniej żyły. Twarz miał żółtą z sinymi plamami, nalaną, opuchłą, włosy przerzedzone, brodę zarosłą. Był tak słaby, że nogi w goleniach wyginały się pod nim, kolana same raz wraz leciały ku ziemi, a w dłoniach czuł wciąż ogień, jakby w nich ścisnął dwa płomienie żywe. Jedna w nim tylko była chęć mocna i niewzruszenie twarda: — Uciekać! Rwał też bez wytchnienia. Czasem na wozie Słowaka, wspinającego się w górę po drzewo, odpoczął i skrócił sobie drogę o zuchelek. Czasem przysiadł na rozworze bryki żydowskiej i niepostrzeżony przemknął kilkaset kroków.

Wśród nieopisanego mozołu przedostał się dolinami ku Czacy. Miał w tym miejscu odpocząć, ale ujrzał przy drodze kamienny słup z obrożami na łańcuchach do zamykania szyi a rąk skazanego na pręgierz, więc w nocy kopnął się dalej. Na przelaj, rzadko kiedy dopytując się o drogę, ciągnął ku Krakowu. Omijał trakty, szersze drogi, ludne wsie, aby go zaś kto nie poznał i nie zaczepił. Jeśli noc była ciepła, nie dżdżysta, sypiał w stogach siana, w kopach potrawiu, pod stertami zboża. Pożywał się, jak mógł. Zachodził na odludne plebanie kościelne i udając wędrownego Słowaka, który w „Polskom” idzie za zarobkiem, zdobywał miskę warzy albo kromkę chleba. Lepiej nieco podjadł sobie u braciszków w pewnym klasztorze, gdzie mu dano nocleg pod dachem; później tylko w ostatniej potrzebie zbliżał się do ludzi. Kilkakroć udało mu się nakopać rzepy albo kartofli w odległym stajanku i upiec je na zaraniu w jałowcowych gąszczach. Do chłopskich mieszkań wstępował kilkakrotnie w ostatnim głodzie. Słowo prośby, zwrócone do pańszczyźnianego chałupnika, nie mogło mu przeleźć przez gardło. A jednak musiał żebrać i jadł chłopskie kluski z mlekiem, zapraszany życzliwie do misy. Rozpowiadał kmetonom żalosne a z przedziwnym artyzmem zełgane historie i bawił się żywo rozdziawionymi gębami słuchaczy.

Nareszcie wzgórze poczęły się zniżać, doliny rozciągać szeroko. We mgłach stanęły przed okiem równie omglone...

Rafał powitał je z niewysłowioną radością. Jego nienawiść do gór równała się teraz ich wysokości. Niziny zapowiadały coś lepszego, odmianę, nadzieję...

Był pochmurny dzień. Obłoki o kształtach ledwie dostrzegalnych grubą nawałą zasłaniały niebo. Posepna ich barwa ścigała i tępiła wypieki schorzałego światła, co się gdzie-niegdzie chyłkiem przekradało w przestrzeni. Północno-zachodni wiatr nadlatywał i zacięwał miecąc po polach przewiędłe i zeschłe źdźbła. Naokół stały ścierniska opustoszałe, czerniejące, brunatne od krwawnika. Tylko zarośla wysokich ostów zostały na miedzach po to, żeby wiatr mógł obdzierać ich posiwiałe kudły i roznosić po świecie. Tam i sam stojące wysmukłe brzozy nie straciły jeszcze letnich liści, ale kuliły się już i gięły bez dzie-

Więzienie, Prawo,
Szlachcic, Pozycja społeczna

wiczego wdzięku, gdy wicher podwiewał ich nadobne, strzępiaste suknie. Rzadko gdzie leżały jeszcze na zagonach krwawe garście tatarski i gęsto czerniały badyle ziemniaczanej naci.

Szedł przez bezpłodną piaszczystą okolicę. Włókł się suchymi lasami po niezmiernych wrzosowiskach, które, jak oko sięgło, okrył prześliczny kwiat liliowy, po zeschniętych mchach trzeszczących pod nogą. Czasami las się otworzył i okazywał rudą przestrzeń piachów, porosłą ciemnymi kępami jałowca.

Wąski szlak przemykał się kręto między krzakami, a na nim dwie zastygłe koleiny, wyorane w piasku i dawno przybite od deszczu, prowadziły do wsi dalekiej, z chatami krytymi słomą, szarymi, jak szarym jest piach i mech. Niekiedy wśród tej przestrzeni, tak pustej, jakby po to tylko istniała, żeby deszcz przelatujący tymi strefami miał na co padać, ukazywało się stojące między wydrami miasteczko, to znaczy — kościół wyniosły, a dokoła niego komunikiem zwartym żółtawe tyły stodół. Nad dachami kilka wielkich drzew obłamanych u dołu. A dalej znowu przymglony widnokrąg. Z niego przywykłe oko wydzieli mgliste smugi lasów, bliżej niebieskie ich pasma, i szare, suche szkielety topoli a wiązów, sterczące na straży jakiegoś folwarku. Głuchą ciszę przerwie tylko z dala niesione naszczekiwanie psiny, która kwaśnym, ochryplym dyszkantem złości się na swoją dolę. Czasem wrona przelatująca wystraszy się śmiertelnie, ujrawszy niezwykłą posturę wędrowca, i z wraskiem poszybuje do najbliższej kniei.

Ta chmurna, spłowiata strona o barwie obłoku, niezawierająca w sobie nic zgoła, przygarnęła wędrownika jak żywioł rodzimy. Wciągał płucami jej powietrze i nie mógł się nasycić widokiem. Po stokroć przystawał; nakrył, bywało, ręką oczy od światła i partrzał. Czuł pieśczołość tego widoku prawie fizyczną. Było mu ciepłej. Odczyniało się samo przekleństwo uroku. Żeby tak jeszcze posłyszeć swoją własną, sandomierską gwarę, swój domowy akcent, żeby tak dobrać do swego dnia i swojej nocy!

W pewnym miejscu drożyny uboczne wywiodły go na ludny gościniec, na bitą, szeroką drogę. Boczną ścieżynką, twardym szlaczkiem ludzi ubogich, szedł szparko, nóg nie żałując. Był do kolan zblocony, schlastany przez wiatr, przeziebły do szpiku kości, a głodny jak pies bezpański. Raz wraz walila tym gościńcem to karetka czterokonna, to bryka krakowska, to lekka wolantka. Szły fury frachtowe, wlekli się najętymi szkapami pejsaci Żydzi.

Pod wieczór ukazała się przy tej drodze w szczerym polu murowana oberża, przed którą niemal wszyscy podróżni zatrzymywali się na dłużej. Rafał niewiele myśląc, aczkolwiek złamanego cwancygiera nie miał przy duszy, przesadził rozciapane bajora wejściowe i wkroczył do głównej stacji. Była to izba ogromna, wilgotna, zimna i pusta. Pod ścianami stały szerokie ławy i ciężkie stoły na skrzyżowanych nogach. W jednym rogu mieścił się szynkwas z wódką, piwem i pewną kolekcją zardzewiałych kiełbas. W subtelnym półcieniach antałków uwijał się chudy czelczyzna z oczyma krzywoprzysięcy, biegającymi na wszystkie strony. Indywiduum to milczało zawzięcie i było złe, jakby jego goście byli członkami band karpackich.

Rafał kiwnął karczmarzowi niedbale głową i usiadł sobie wygodnie w ciemnym kąci. Zapach kiełbas przewracał mu kiszki i doprowadzał do głodowych mdłości, a odór wódki sprawiał szum i zamęt w głowie. W karczmie siedziało kilkoro prostactwa. Jakiś furman grał w zatłuszczone karty ze sługusem w liberii, drąc się i swarząc. Leżały przed nimi pieniądze. Obok stały półkwarcia z piwem. Kurzył się na misce tłusty schab i wódka szklila w zielonej flaszce.

Olbromski podlegał napadom potyfusowego głodu. Domyślał się, że za chwilę coś przedsięwzię: wydrze mięso foszmanom albo zerwie kiełbasy wiszące w półmrokach szynkwasu i połknie je w mgnieniu oka... Siedział przecie jeszcze znieruchomiał jak jastrząb na żerdzi i przewracał oczyma szukając, co by rozszarpać. W pewnej chwili, daleki od samowiedzy, co się z nim dzieje, wstał ociągając się, poziewając nieszczerze, i z odległości a hardo spytał oberżystę:

— Słuchaj no... te... jegomość, masz tam co do jedzenia?

Szynkarz zatrzymał się w swych kieliszkowych czynnościach i, wykluwając zęby z karygodną niedbałością, odparł zapytaniem:

— A cóż byś tak... te... jegomość... kazał?

— No, coś z mięsiwa. Z mięsiwa! Z gotowanego, smażonego...

Karczmarz pomilczał chwilę, jakby wyliczał sobie w głowie szeregi potraw, następnie zmierzył drapichrusta wzrokiem nikiej łokciem i odrzekł:

— Nie. Nie mam ani gotowanego, ani pieczonego.

— A to, co zjadają tamci? To skąd?

— Co jedzą tamci? Tamci, jedzą gotowane.

— No, to i mnie podasz zaraz, co tam masz upitraszonego, i kwita! — wrzasnął rozkazującym tonem. — Słyszałeś, wasan?

— Słyszeć, słyszałem...

— No, to żywo! Bo czasu nie mam.

Karczmarz wycierał pracowicie jakąś szklanę.

— Myślisz może, że nie mam czym zapłacić za twoją chabaninę? — dodał Rafał z pogardą tak szczerą, jakby miał kieszenie pełne dukatów, zgoła nie wiedząc o tym, że nie ma przy duszy jednego grosza.

— Ja nic nie myślę — mruknął oberżysta. — Płacić to płacić. Co mam dawać?

— Dawaj, co masz, tylko żywo, żywo!

Mówił to z najzupełniejszym spokojem, ani myśląc, co będzie dalej. Byleby tylko jeść! Jeść kupę mięsa, które się dymi, chleba, co trzeszczy w zębach...

Grający w karty nie przerywając swej zabawy zwracali spojrzenia w stronę sierdzistego oberwańca. Z uśmiechami pobłażania i mrużeniem ironicznym powiek zwrzali sobie nawzajem jakieś o nim ciche półsłówka.

Karczmarz wyszedł małymi drzwiami do tajemniczych ostępów swoich, a jego miejsce zajęła błada dziewczynina w brudnym fartuszku i zdartych trepciach. Rafał szybkim ruchem zbliżył się do graczy i kiwnął głową na przywitanie, jak to szlachcic, posiadacz ziemski, kiwnie czasami z łaski a dobrej woli głową, odpowiadając na ukłon pracowitego wieśniaka. Tamci odpowiedzieli na ten niby ukłon w sposób niezdecydowany, ni tak, ni owak, i grając wciąż, pochrząkiwali i pokaszliwali, nie wiedząc, jak sobie począć. Rafał zajrzał w karty z wyniosłością, której mimo usiłowań nie mógł w sobie przytłumić.

— Nędzna jakaś dziura to karczmiszko.

— A bo i pewnie... — odrzekł furman.

— Wasan tutejszy jesteś? co?

— Nie, ja nie tutejszy.

— A z daleka?

— Z daleka.

— To jest skąd?

— No, a wasaneś skąd?

— Ja idę od węgierskiej strony wprost na Kraków.

— Od węgierskiej strony? — z niejakim szacunkiem zapytali gracze.

— Ba, ba! Od Pesztu... Od... Czacy — dodał ciszej.

— Sztuk drogi! Nawet nie umiem wyrozumieć, gdzie to być może.

— Żebyś wiedział! Człowiek się setnie zmitrężył, a tu jeszcze ten łajdak jadła nie daje.

— No, on tu pewnikiem w te pędy wyniesie...

— Jak też on to przyrządza — zadał sobie pytanie, spoglądając z ukosa na „boczek” wieprzowiny leżący na misce.

Nie pytając się o pozwolenie, odłamał partykę chleba, ukrajał porządny gnat mięsa i zaczął prędko i kategorycznie próbować, jak też smakuje. Okazało się, że owszem, jako tako. Wobec tego nalał sobie kieliszek wódki i wychylił go niedbale, przepijając do oszołomionych dworaków.

— Jeść mi się chce diablo, a tu jeszcze ta pokraka marudzi... — mruczał zabierając się do lepszej, tłuszcieszej części boczku.

Chleb zniknął w jego ustach ogromnymi skibami.

— Wasan u kogo służysz? — zapytał furmana nalewając sobie drugi kieliszek z jego butelki.

— A ja tu czekam na pana.

— Co za pana?

— A czekam z rozstawnymi końmi... — odrzekł woźnica, w głupkowskim osłupieniu patrząc na praktyki Rafałowe.

— Pan wasanów skąd jedzie?

— Z Wiednia.

— Jakże się, u kaduka, ten pan nazywa?

Furman zawahał się przez chwilę, a później udając, że nie dosłyszał pytania, zwrócił się do towarzysza:

— No, tera ty dajesz...

Olbromski nie nastawał.

Karczmarz wyniósł wreszcie ze swego laboratorium żelazną rynkę na trzech nogach i podał gościowi skwarzący się w czarnym tłuszczu kawał diabelskiej kielbasy oraz par-tykę razowego chleba. Przedziwny był smak i uroczy zapach tej potrawy! Rafał zmiotł ją do ostatniej kruszyny, a tłuszcz do kropli wytarł chlebem, głodu jednak nie uspokoił. Był o tyle pewniejszy siebie, że mógł pomyśleć, co przedsiębrać dalej. Zaczął od oględzin karczmarza i wymiaru jego sił na wypadek walki, gdyby przyszło bez pożegnania z karczmy czmychać. Miał zamiar znowu się zbliżyć do stangretów i skorzystać z nich w jakiś sposób. W tym celu przysuwał się do nich, gdy przed gospodą rozległ się łoskot i tętent zajeżdżającego powozu. Furman i jego towarzysz wyjrzeni przez okno i na łeb na szyję rzucili się do drzwi.

Wędrowiec żywił marzenie, że uda mu się skorzystać z rwetesu i wypaść za drzwi, ale przezorny właściciel kielbas stał sobie pobożnie u wejścia i skłaniał już grzbiet przed niewidzialnymi jeszcze przybyszami. Nie pozostało nic innego do zrobienia, tylko zaszyć się w ciemny kąt i czekać na uśmiech fortuny. Drzwi otworzono szeroko i z wolna wszedł do stancji wysmukły pan, modnie i pięknie ubrany. Jego kapelusz, płaszcz, wysokie buty z cholewami, aczkolwiek zabłocone i pomięte w drodze; czyniły w tej karczmie wrażenie przepychu. Młodzieniec rozejrzał się po izbie przymrużonymi oczyma i zaczął jednego ze służących rozpytywać się o zdrowie swej rodziny, o dom i tysiące drobiazgów. Znać było, że wraca z dalekiej podróży i po długiej nieobecności.

Olbromski przypatrywał mu się z bolesnym strachem. Od pierwszego rzutu oka poznał tego człowieka, ale jeszcze pocieszał się ile mógł, że go oczy mylą. Był to Krzysztof Cedro, towarzysz ze szkoły sandomierskiej, powiernik i przyjaciel... Głuchy wstyd, ruszt rozpalony, wsunął się pod ciało byłego więźnia. Ogarnęła go jakoby matnia wielkiego włoku niedoli. Oto najgorsze, co mógł jeszcze przeżyć: zetknąć się z dawnym kolegą w takiej odzieży, w takim położeniu i w takiej chwili! Nie mógł już nawet uciekać, gdyż hańba jego stałaby się jeszcze bardziej głośną i jawną. Zakrył twarz dłońmi.

Tymczasem Krzysztof Cedro zrzucił płaszcz i chodził po izbie, zadając służącym pytania. Gdy tak z kąta w kąt defilował, spostrzegł Rafała. Zwrócił się zaraz do oberżysty i zapytał, czy na czas swego pobytu w zajeździe może być sam. Zapłaci za to, ale chce zjeść posiłek bez świadków. Karczmarz w podskokach przybiegł do Rafała i więcej niż dobitnie żądał zapłaty tudzież wyniesienia się za drzwi. Wędrowiec wolno dźwignął głowę i rzekł mu przez zęby, że nie myśli wychodzić.

— Zapłacę ci, kiedy zechcę, i wyjdę, kiedy zechcę, a teraz bądź łaskaw odejść ode mnie, jeżeli chcesz nadal mieć całe oko i wszystkie zęby.

Oberżysta skrzywił się, a jego szczęki zadrżały jak u psa.

— Słuchaj no, czleku — rzekł szeptem, dobrotliwie — idź z godą. Zawołam parobków i na przykładkę każę ci gnaty połamać. Co ci to po tym?

Odraza do tej nędzy zbudziła w piersi Rafała wybuch postanowienia. Pojedynczym ciosem z dołu huknął karczmarza w brodę z taką siłą, że ten odleciał aż pod szynkwias. Potem wstał i zbliżył się do Cedry. Stał w świetle okna i rzekł:

— Czy też mię poznasz, koleżko Krzysiu?

Cedro z okrzykiem zachnął się w tył i wydobywszy szkiełko w rogowej oprawie, zaczął mu się przypatrywać z lekka otwierając usta.

— Krzyś!... Sandomierz, Wisła, nocna wycieczka pod Zawichost...

— Rafał... — rzekł tamten z cicha, zbliżając się ku niemu i wytrzeszczając swe krótkowzroczne oczy.

— Ten sam, bracie...

— Cóż ty tu robisz? — mamrotał — z przerażeniem, oglądając jego kostium z góry na dół, z dołu do góry, unikając widoku twarzy.

— Historia długa, a świadków zbyt wielu. Czy chcesz mi dopomóc w nieszczęściu?

— Ależ!... Na miły Bóg... Rafuś... Olbromski... To on!

— Wszystko ci powiem z czasem, tylko mię o nic teraz nie pytaj.
— Jedno mi powiedz, na Boga! Skąd się tu wzięłeś?
— Idę w stronę Krakowa.
— Idziesz?
— Tak.
— Czemuż, na Boga! idziesz piechotą?
— Bo jestem w ostatniej nędzy.
— Rafał!
— Umieram z głodu.
— Miłosierny Boże! Jacek, puzderko! Walus... — wołał Cedro nachylając przed Rafałem swą piękną twarz, jakby z zamiarem oddania mu pocałunku.

Wnet jednak cofnął się gwałtownie i z odrazą, uczuwszy fetor bielizny zgniłej na ciele i okropnego potu więźnia.

Służba wniosła puzdro z zapasami podróznymi, rozłożyła obrus, i za chwilę Rafał wobec zdumionych świadków jego nędzy pił chciwie burgunda, pożerał kurczęta, pieczone i przysmaki. Cedro sam usługiwał mu z nerwowym pośpiechem. W pewnej chwili odwrócił się do służących i namyślał... Rzekł do karczmarza:

— Nie macie tutaj osobnej stancjki?

— Nie, jasnie panie, osobnej nie ma.

— W takim razie...

Podniesionym głosem zakrzyknął:

— Prosiłem, do pioruna! żeby stąd wszyscy wyszli. Chcę zostać sam na sam z przyjacielem. Przynieść mi tu walizę, i wszyscy precz!

Wkrótce Rafał ujrzał bieliznę kolegi rozłożoną na stole.

Cedro rzekł:

— Sam nie wiem, co robić... Nie podobna, żeby mój człowiek i furman widzieli, że przebierasz się w moje suknie. Chyba zostań w tym, co masz na sobie. Tylko co tchu zmieniaj bieliznę!

Odwrócił się i zaczął pilnować drzwi, a Rafał przebierał się tymczasem. Ohydne, zgniłe gałgany, które miał na sobie, zwinął w kłęb i zatrzymał pod połą kubraka.

— Dawaj tamto! — syknął Cedro. — Sługa wyrzuci...

— Nie!

— Dawaj, to ja sam...

— Nie, to tylko ja sam mogę wyrzucić... — wyszeptał Rafał z uśmiechem krwawego sztyderstwa. — To jest moje dotychczasowe życie. Tylko ja sam mogę je odtrącić...

Wstał od stołu i wyszedł na dwór. Obszedłszy karczmiśko dookoła, znalazł gnojówkę i rzucił tam swoje wstrętne zawiniątko. Uczyniwszy to oparł się o mur i w ciągu krótkiego momentu przemyślał bardzo wiele. Czuł wciąż na piersiach swych leżącą zdradę, jak płytę z granitu. Chciał się otrząsnąć i w nadchodzący spokój uwierzyć, ale mógł to czynić o tyle, o ile chore ramię może dźwignąć bryłę granitu. Ciężko westchnął i wrócił do towarzysza. Ten już zabierał się do dalszej drogi.

— Mówiłeś mi — rzekł — że dążysz w stronę Krakowa. Ja pędzę wprost na Tarnów, do siebie. Kraków omijam. Ale jeśli ci na tym zależy, walmy na Kraków.

— Broń Boże! — zawołał Olbromski. — Nie pragnę bynajmniej widoku Krakowa.

— Powiedz mi... Czy później... to jest, czy miałeś zamiar wracać do domu, do Tarnin?

Rafał namyślał się głęboko. Rzekł z wolna:

— Prawdę mówiąc, to żadnego nie miałem zamiaru dziś, wczoraj, onegdaj... Myślałem o tym, żeby z głodu pod plotem nie zamrzeć...

— Zlituj się!

— Juścić pewnie, że trzeba będzie do domu.

— Słuchaj!...

— Choć w tym nadzwyczajnym kostiumie wracać w progi rodzinne... Brr!

— Otóż to właśnie, otóż właśnie! — wołał z pośpiechem Krzysztof.

— Ale cóż mam czynić? Jestem jak trup. Przebyłem bardzo ciężką chorobę...

— To samo właśnie miałem na myśli. Słuchaj — jedź do mnie!...

— Jak to? do Olszyny?

— Do Olszyny, nie do Olszyny, ale wprost do mnie. Mam własny folwarczek.

— Masz własny?
— Jakże? Stokłosy!
— Bój się Pana Boga... Wstyd mię wracać do rodzinnego domu, a jakże ja pojedę do ciebie! Co na mój widok powie twój ojciec?

— Przede wszystkim pojedziemy do Tarnowa. Tam się przedzierzniesz w eleganta pierwszej wody. Chodzi tylko o to, żeby służba nic nie wiedziała. Co zaś do ojca, to wierz mi, że przyjmie cię jak rodzzonego syna. Wszakże jesteśmy w kuzynostwie. A zresztą... Rafalku, błagam cię...

Powiedział to głosem dawnym, dziecięcym, sandomierskim.

— Rad bym z duszy-serca, ale zważ tylko...

— Wszystko rozważam. Przecież mówię ci, że mam swój własny folwark. Tam mieszkam i robię, co mi się żywnie podoba, wróciwszy z Wiednia.

— Wróciwszy z Wiednia... Czy ty stale w Wiedniu mieszkasz?

— Czy stale? Prawie...

— Co tam robisz?

— Co robię?

Przeciwnął się i uśmiechnął z goryczą.

— Robić nie nie robię, ale... staram się...

— O pannę?

— Na szczęście, jeszcze nie o pannę. Choć i to wkrótce spadnie na moje barki.

— Jakże to?

— Na teraz, uważasz... staram się o szambelanię...

— Bagatela!

— Ale *à propos*... Dochodziły nas wieści, że bawisz w Warszawie, że się ocierasz o najlepsze towarzystwo. Ktoś nawet wspominał, że należysz do kompanii spod Blachy.

— Tak, tak... byłem w Warszawie... Ale to już dawne rzeczy.

— A masz zamiar wracać tam kiedy?

— Do Warszawy? Przenigdy! — zawołał z ponurym na czole marszem na wspomnienie księcia Gintulta, masonów i ich przewodniczącego.

Teraz dopiero pomyślał, że powrót do Warszawy i w ogóle w granice Prus Południowych groziłby mu kryminałem, a co najmniej śledztwem z powodu zaginięcia pani de With. A na samo wspomnienie więzienia krew ścinała się w jego żyłach. O tak! Zniknąć w odległym folwarku przyjaciela, zaszyć się w głuszy, przypaść w kotlinie między zagonami jako zaszczyty szarak. Nie wiedzieć o niczym, o niczym... Podniósł na Krzysztofa oczy i rzekł:

— Jeżeli ci to będzie na rękę, to z rozkoszą, z prawdziwą rozkoszą pojechałbym do ciebie.

— *Voilà*. To lubię. Jacek, zakładać!

Wkrótce wygodna wolantka, ciągniona przez kasztany w lejc zaprzężone, unosiła ich tym samym gościńcem w dal zasnutą sinymi lasami. Olbromski miał teraz to, czego tak pragnął: nie wiedział o niczym. Okryty był burką przyjaciela i ta go chroniła od deszczu, który tego dnia był mu wrogiem osobistym. Nie czuł głodu ani pragnienia. Znużenie wyciągał ze strudzonych kości miarowy, rozkoszny ruch.

Zanosilo się na deszcz, i lekkie krople niekiedy muskały po twarzy. Wiatr rzeźwy i coraz surowszy powiewał. Wskutek odrębnych dziejów uczucia Rafał teraz dopiero zaczął pojmować swoją niedolę. Patrzył na ścieżkę biegnącą brzegiem błotnistej gościńca i widział tam siebie. Czuł swe schorzałe nogi w lachmanach uźebranych w więzieniu, jak idą po twardym gruncie. Spoglądał na gliniane przykopy i widział w nich miejsca swego spoczynku. Spoglądał w odległe strony i dostrzegał jeszcze swe podłe, nędzne, plugawe uczucia, lachmany gnojowe. Wzbierał w nim bezprzykładny gniew i bunt. Z całej duszy i ze wszystkich sił szukał winowajcy, ofiary...

Dzielne konie parowały, żwawo i ostro sadząc gościńcem. Kadłuby furmana i lokaja miarowo, sennym ruchem kołysały się w prawo i w lewo, do taktu z wahaniami pojazdu. W miarę tych ruchów w duszy Rafała tworzyć się poczęły fale myśli tak niestałe jak nachylenia wolantki, zależne od czegoś z zewnątrz, od byle trącenia do taktu. Pływały długimi smugami jak muzyka niestała, podarta, poszarpana, niepewna minuty, niepewna sekundy.

Oto pola, pola żalobne pod jesień. Zbrudziły je już nowe zagony. Żółta, czerwonawa glina wybija się w nich spod jałowej szarości piachu, sama bardziej od niego jałowa. Przewracaj, pracowity kmiotku, ten szczyry piach i szczyry il, przewracaj do ostatka drewnianą sochą! Zlewaj go potem i łzami, zasypuj chudym ziarnem, odjętym od ust dzieciom w brudnych gałganach...

W szczyrym polu, na ugorze, pasą się dwie krowiny, a obok nich kuca na ziemi pasturka, wózkem od deszczu i ziąbu nakryta, podobna z dala do szarej skiby czy do kamienia polnego. Bose nogi, nagie kolana podwinęła pod się, ręce wtuliła w zanadrze, okryła się wystrzępioną spódniczną. Grzeje się jak może, to workiem, to płaczem, to piosnecką dziewczynką:

Oj, da moja, da-da-da!

Oj, da-da-da da moja...

Oto ugór, tak widać nędzny, że go tknąć nie chcą ręce niczyje. Trawa go ledwo-ledwo porasta. Na zagonach strzelają proste, wysokie złote dziewanny. Teraz okrywa je jasnożółty kwiat-złotogłów. Kwiat nędza. Zatknij go sobie za śmierdzącą czapczynę, kmiotku pracowity, gdy idziesz z karczmiska na rozstajnych drogach! Niech się serce twoje rozweseli, a oczy roześmieją do szczerozłotej dziewanny — nędzy...

Jarząb przydrożny. Niższe gałęzie obłamane ręką pracowitego, gdy idzie z karczmiska na rozstajnych drogach. Wydarto z pnia wiszą i suchymi listkami szeleszczą. Na wysokich, na niedostępnych różgach płoną cierpkie jagody, wyszczerzając się spomiędzy liści żółtych i rumianych, jak śmiech obrzydły, nie do zniesienia...

Z obu stron drogi zbliżały się coraz bardziej ku jadącym skrzydła rozległe szerokiego lasu. Padał zmierzch, kiedy bryczka znalazła się u jego skraju. Gościniec zanurzał się w ciemną głębinę i ginął zupełnie, jakby tam kres ostatni znajdował. Las był suchy, na piachach. Nędzne, cienkie sosny ledwo było widać w smutnej oćmie, co wolno zewsząd spływała. Zdawało się, że śniady, błękitnawy dym napelnia przestwór i widok drzew z oczu wydziera. Smutek się flańtał na tej ginącej, na niepewnej drodze. Niemila odraza oblała wszystkich: furman coś szeptał do lokaja, Cedro przeciągnął się i tego zawinął w płaszcz. Było cicho, chociaż górą, po szczytach drzew, przewracał się wiatr i kołysał je w prawo i w lewo. Na głębi spokój panował jak pod dachem i między domowymi ścianami. Słychać było nieustające poświstywanie późnych koników polnych.

Rafał uczył, jak serce w nim ściska się i drętwieje. Pierwszy to raz przestała go bić dola od tamtej chwili. To ciche, niecierpliwe ćwierkanie zdało się biec za nim, czepiać się wartkich kół bryczki i żelaznych podków końskich, a wołać z ziemi za uciekającym...

POWRÓT

W kilka dni później, dobrze po północy, obadwaj przyjaciele dojeżdżali do Olszyny. Zabawili dzień w Tarnowie, gdzie Rafał przeistoczył się w eleganckiego młodzieńca, a następnie w ciągu całej niemal doby, dwa razy przeprzągłszy konie, dążyli ku ostatecznemu celowi podróży.

Jakiś czas jechali brzegiem rzeki płynącej w dość wąskiej dolinie, którą zasypał kamieniec, żwir i piasek. Nad wieczorem dopiero powóz zjechał z wynioślejszych płaskowzgórz, z garbów bezleśnych w sam rozdół Wisłoki. Rafał poczuł nozdrzami powiew z ziemi nasiąklej wodą, zadrzewionej, wikłowej. Oczy jego nie mogły dojrzeć w szarzącym krajobrazie przeciwnych, zawiślańskich brzegów... Każdy szczegół był dla nich tutaj poniekąd znajomy. Mijali wsie długie, zamożne, gęsto zabudowane, gdzie pleciak wikłowy wygradza każdy zakątek, każdą ścieżkę. Pędzili alejami wierzb i brzoź, złożonymi z drzew tak grubych, wyniosłych i rozłożystych, że zdawały się być utworami ludzkiego snu o widziadłach. Latarnie powozowe ciskały w zapłocia, w podwórza i sady wiejskie raptowne smugi światła. Widzieli wtedy ogromne tarcze słoneczników, jakby przestraszone gęby prostacze, gapiące się zza parkanów... Wysokie, badylaste malwy i jaskrawe georginie przypominały Rafałowi wsie z tamtej strony... Tak samo jak tam śliwkowe drzewa gięły się w pół pod ciężarem owocu i, podpierane drągami, chyliły się ku przechodniowi gałęzie z nieskończonych sadów. Gruszki jak dzbany i śliczne jabłka migały między strzechami. Suchy liść łopotał już wszędzie po drzewach i przejmował serce szczególną tęsknotą

do rodzinnego domu, troską o swoich.

Krzysztof opowiadał przyjacielowi o tych miejscach szczegóły co ciekawsze, legendy, dawne podania i dzieje. W umyśle słuchacza tworzył się jakoby welon, zasłona drogocenna, osłaniająca tajemniczo te siola ledwie widoczne, wzgórza, łągi, lasy, krzyże przydrożne...

W nocy powiał ostrzejszy wiatr od Wisłoki i odwieczne aleje wydały z głębin swych głos stary i potężny. Rafał nastawił twarz przeciwko temu powiewowi rzecznemu. Rzeźwo serce uderzyło mu w piersi, ale wnet je zdławiły wspomnienia... Znowu zamknęło się w sobie.

Dojeżdżając do Olszyny, Cedro nie mógł usiedzieć na miejscu. Stawał w bryce, przechylał się to na tę, to na tamtą stronę, o coś wypytywał woźniców... Czasami wyskakiwał i szedł prędko pod górę, wesoło gwizdząc i pośpiewując. Z pewnego pagórka dały się widzieć w oddaleniu światła.

— Nie śpią! — zawołał Krzysztof dziecięcym prawie dyszkantem.

Zawstydził się zaraz tej swojej czułości i dodał tonem sztucznie chłodnym a drwiącym:

— Będziesz musiał, kochanku, asystować przy ministranturze czułych scen familijnych od początku do końca...

Powóz stoczył się ze wzgórza i chwilę zatrzymał przed bramą. Ale nim służący zszedł z kozła, żeby otworzyć, już wierzeje rozwarły się z trzaskiem. Słychać było zajadłe naszczekiwanie psów, wrzawę i wołania ludzi z latarniami biegnących do powozu. Wprędce obadwaj przyjezdni znaleźli się na stopniach szerokiego przedsionka. Krzysztof rzucił się w ramiona czyjeś, co stał w cieniu. Szeptał najczulsze nazwy, oddawał najrzewniejsze pocałunki. Rafał zażenowany stał z boku. Był onieśmielony i wściekły na przyjaciela za te czułości.

— Zaczyna się ministrantura... — myślał w pasji.

Krzysztof porwał go za ramię i ciągnął ku drzwiom. Tam przedstawił go ojcu mówiąc:

— Oto papa ma przed sobą mojego wybawcę z nurtów Wisły. Sam we własnej osobie — Rafuś Olbromski!

— Proszę, proszę... Witam! — mówił przyjaźnie stary pan, którego Rafał miał przed oczyma.

— Siłą go zabrałem z drogi...

— Wchodźcie, wchodźcie do pokoju, bo zimno. A gdzieście się to zdybali? To dobrze, że przybywasz, panie Rafale... Cieszę się podwójnie, boć jesteśmy w kuzynostwie, aczkolwiek dalekim. Ojca pańskiego pamiętam jeszcze z roku... czekajcież...

Rafał widział to doskonale, jak wielkiego wysiłku owocem było zastosowanie względem niego koniecznej grzeczności w chwili, gdy stary pan tak dalece był zajęty synem, że się potykał na progach, potraçał o odrzwia i zawadzał o rogi stołów.

Był to szczupły mężczyzna lat około sześćdziesięciu, z twarzą schorowaną, wydelikacowaną, subtelną i jeszcze piękną. Głowę jego osłaniała gładka peruczka bez pudru, a górną wargę okrywał mały, podgolony i przyczerniony wąsik. Ubrany był we francuskie, jedwabne szatki, w pończochy i pantofle. Żabot i chustka na szyi, koronkowe mankiety, utrzymanie paznokci i rąk, sposób trzymania ich na stole, nawet wówczas gdy oczyma i słowami pieścił syna, dawało możliwość w starszym panu Cedrze poznać eleganta pierwszej wody, człowieka najlepszego towarzystwa. Oczy jego były przymglone łzami szczęścia, gdy patrzył na syna, ale i wówczas nie ustał w nich wyraz badawczości i siły. Wśród najczulszych słów i najrzewniejszych uścisków padały z jego warg rozkazy, które w mgnieniu oka wykonywali lokaje kręcący się dokoła stołów.

Gdy przybyli zasiedli do wieczerzy w wąskim pokoju przylegającym do wielkiej sieni, z drzwiczek ukrytych w kącie za szafą kredensową wybiegła młoda panienska lat czternastu, piętnastu, w nocnym szlafrocuku. Rzuciła się w ramiona brata.

— Mery! — zawołał młody Cedro z uczuciem radości.

Panienska wnet podniosła głowę i spojrzała na niego z zabawnym uśmieszkiem. Za chwilę szepnęła:

— Czy przywiozłeś?

— Naturalnie! A teraz patrz no, trzpiocie...

— Jakżem szczęśliwa!

— Jesteś ubrana jak pasterka Filis, a tymczasem... Przedstawiam ci naszego kuzynka Rafała Olbromskiego.

— Kuzyna... — wyszeptala z najgłębszym zdumieniem, odgarniając loki i wlepiając w Rafała oczy tak oszołomione, jakby jej przedstawiano białego niedźwiedzia albo jaguara.

— Masz go czcić, szanować, poważać i *comme de raison* kochać, jest to bowiem wybawca z nurtów Wisły twego brata, szambelana Jego Cesarskiej Mości, rozumie się, szambelana *in spe*, a oprócz tego jest to przedstawiciel socjety warszawskiej, który właśnie wyda wyrok o twoich koafiurach. Ależ prawda, gdzież Kurtiwronka?

— *Elle dort...* — szepnęła siostra nie spuszczać oczu z Rafała. — Śpi ślicznie, złożyła ręce...

Krzysztof z błazeńską miną pokazał, jak to Kurtiwronka trzyma rączki złożone nadobnie na sześćdziesięcioletnim łonie dziewiczym.

— Ile razy ziewnęła przed zaśnieciem?

— Siedemnaście grubo i trzy w wiolinie.

— Siadajcie, siadajcie do stołu!... — wołał ojciec. — Jutro będziecie mieli dosyć czasu na plotki wiedeńskie i olszyńskie. Patrz no, Krzyś, co to tu podają...

Najstarszy z lokajów, uśmiechnięty z tak szczerą radością, jakby to jego rodzony syn zawitał pod strzechę domową, wlewał pieczołowicie na talerz Krzysztofa zupę z owoców, zaprawioną śmietaną. Młodzieniec ujrawszy to widowisko wyciągnął ręce ku niebu i zawołał:

— Garus! Nareszcie, nareszcie... O, Niemcy, jeśli wam kiedy przebaczę, że blisko rok nie kosztowałem ludzkiego jedzenia... O, Niemcy, narodzie filozofów i kiepskich generałów! Skarz mię, gromowładny Jowiszu, pozbaw mię nadziei otrzymania klucza szambelańskiego, wydrzyj mi z piersi serce hrabiowskie...

— Krzyś, już drugi raz... lekkomyślnie... — syknął ojciec wznosząc uroczyście palec do góry.

— Milczę, papo, gdyż jem i jestem wzorem kochających synów... A czy są i kartofle ze skwarkami?

— Ze świeżuteńką młodą szperką! — szepnął mu prawie do ucha ów najstarszy między lokajami.

Kilku młodszych z nabożnym niewolniczo zadowoleniem przypatrywało się, jak to jaśnie panicz zawija prostacką zupę.

— A gdyby też tak domniemany szambelan... przepraszam, papusiu... — mruczał Krzysztof — gdyby też wasz młody pan i dziedzic, przybywający z dalekich Niemców, dostał jeszcze „pędziźrybię”? Cóż wy na to?

— Jest gotowe... — uśmiechnął się lokaj wstawiając nowy talerz.

Za chwilę Krzysztof z błyszczącymi oczyma krajał na ćwierci *pain de gibier*, mrugając na Rafała, żeby czasu nie tracił. Ojciec i siostra w milczeniu i zachwycie przypatrywali się młodemu. Mery czasami odrywała wzrok od jego twarzy i zabawnie śledziła Rafała.

— Czy papa widzi, co za koafiura! — mówiła parszcząc śmiechem i wskazując ostrzyżenie głowy brata z pozostawieniem na ciemieniu wysokiego, ufrizowanego czuba.

— Nie śmieć się z elegantów wiedeńskich, bo zostaniesz starą panną i będziesz wtedy przed zaśnieciem ziewała siedemnaście razy grubo i trzy w wiolinie.

— Rafuś! czemu nie jesz? — wołał rzucając się z nożem i widelcem na ulubione potrawy. — Zlituj się, nie zwlekaj, bo ja za nic nie ręczę. Mogę zjeść wszystko. Tylko jeszcze pieczone kartofle...

— Już podają...

— Myślałam, że zgubisz nareszcie w Wiedniu swe furmańskie gusta... — szydziła siostra.

— Tylko jeszcze pieczone kartofle...! *Herr Je!* cóż za kartofle!... Tylko w Polsce, to jest w Zachodniej Galicji, ta amerykańska sierotka... Niemcy, jeśli w ogóle jedzą...

— Później będziesz obmawiał Niemców, teraz musisz, musisz opowiadać. Już mogłeś zaspokoić głód, więc zaczynaj. Ostrzegam, że jeśli nie będziesz mówił rzeczy ciekawych, wcale nie dostaniesz ciastek cioci Matyni.

— Opowiem wszystko, tylko dawajcie dużo ciastek cioci Matyni, dużo, jak dla choro! Rafuś! nie żyłeś jeszcze na świecie, jeśli nie znasz ciastek...

— *À propos...* gdzieście się panowie zetknęli? — spytał stary pan.

— W Tarnowie — szybko rzekł Krzysztof. — Rafał powracał właśnie z Bardyjowa, gdzie na wodach bawił z przyjaciółmi, szukając... czyż mam wyznać?

— Tu leży sekret... — śmiał się starzec.

— Ale nic sobie nie upatrzył. Niemieccki, Czeszki, Węgierki... To nie dla nas. Miał już z Tarnowa wracać do siebie w Sandomierskie, ale go namówiłem, żeby zamiast gnuśnić u rodziców zawitał do mnie, żeby poznał oryginała Trepkę. Obiecałem mu dla zachęty, że papuś obmyśli dla niego jakąś doskonałą karierę... — dodał bez wahania, widząc dobrze, jak ojciec skrzywił się i wzruszył ramionami.

— Opowiadaj... — nastawała Mery przypatrując się wciąż Rafałowi jak dziwowisku.

— Zaraz, zaraz... Nie można od razu, mościa panno... Ale skoro się tak wszyscy niecierpliwią, więc *incipiam...* Od czegoż? Naturalnie... Skoro zjawia się w domu rodzicielskim *hrabia* Krzysztof Cedro...

Policzki starego pana wolno się zabarwiły i radość śmiała się w jego oczach, z lekka przysłonionych rzęsami.

— Skoro zjawia się w domu rodzicielskim hrabia Krzysztof Cedro, to od czegoż ma zacząć swe wiedeńskie epos? Naturalnie od poszukiwań w archiwach. Okazało się, że Marcin Cedro...

— No, tak, tak... — rzucił ojciec z nieszczerym lekceważeniem — wiemy dobrze, kto był Marcin Cedro.

— Ależ kiedy wynalazłem nową jego misję, jakiej oko nie widziało ani ucho nie słyszało. Za Michała Korybuta jeździł w misji sekretnej...

— Kto tam dziś na takie rzeczy zwraca uwagę!... — rzekł ojciec sentencjonalnie. — Dziś dla nas powinno być maksymą to samo co za Rzeczypospolitą: równość szlachetka. Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. Posłuchaj, co mówi Trepka. Nieprawdaż, kuzynie?

Rafał mruknął coś niezdecydowanego. Uczuł tylko po tym pytaniu bardziej niż przed chwilą, jak go twarz pali, zarówno od schłostania drogowego przez wiatr jak od nawału wrażeń.

— Filut z papusia... — szepnął Krzysztof nachylając się ku ojcu i całując go w rękę. Po chwili rzekł głośno zwracając się do lokajów:

— Od dnia dzisiejszego macie, zbiry, tytułować jaśnie pana nie inaczej, tylko jaśnie panem hrabią, panienkę — panną hrabianką, a mnie... Mnie tymczasem jeszcze nie! Jak ma być równość, to równość. I tak jestem szlachcic na zagrodzie, więc równy temu... panu hrabiemu i pannie hrabiance.

Stary pan poprawiał mankiety, uśmiechał się, ale i sykał niecierpliwie.

— Jesteś hrabianką z mojej łaski... — rzekł Krzysztof zwracając się do siostry. — Przynies za to jeszcze ciastek. Gdyby nie ja, siedziałabyś między parafialnymi makolągwanami jako równa pierwszej lepszej na zagrodzie. Aha! Nakaż Kurtiwronce, żeby do ciebie nie przystępowała bez *comtesse'y*.

— No, teraz już opowiadaj o Wiedniu, Krzyś... — błagała siostra wieszając się u jego ramienia.

Rafał przypatrywał się tej pani, gdy tak z roziskrzonymi oczyma brała udział w rozmowie, z uczuciem nieuchwytnie prawie odrazy. Jej loki, białe czoło, różowe policzki, ładna, ściągła twarzyczka przypominały mu o istnieniu kobiet i napełniły głowę niejasnym udręczeniem, piersi szlochaniem, których opanować nie ma czasu wśród ożywionej rozmowy. Nade wszystko gdy pochylała się z szeptem gorączkowym ku bratu, gdy zatapiała w nim oczy, Rafał wzdrygał się i cierpiał na całym ciele. Czuł, jak się w nim wówczas zatapiają niewidzialne kły męczarni.

Na szczęście, po wieczery wszyscy przeszli do pokojów paradnych, znajdujących się po prawej ręce od wejścia. Były świeżo, widać w przewidywaniu pełnoletności Mery, wyrestaurowane w guście angielskim. Wszystkie meble były z drzewa mahoniowego, a proste bez ozdób. Ściany pomalowano w arabeski albo widoki ruin i bladych pejzażów. Dwa niewielkie gabinety odznaczały się szczególnie ową modną *simplicité*; były powleczone nikiłym kolorem z wątlymi szlaki, a ozdobione niewielkimi obrazami szkoły włoskiej. Ale w głębi domu istniały jeszcze stare, nieodnowione, zapomniane pokoiki, saloniki, nie

na pokaz, gdzie ocalały podniszczone, staromodne obicia szpalerowe i brokatele, dawne meble w guście francuskim, esowate, na wygiętych nóżkach z rzeźbionymi kwiatami i bukietami. Tam jeszcze marzyły o ubiegłej świetności i dniach tryumfu chińskie stoliczki, pooblamywane i starte inkrustowane szafki i cacka. Straciwszy prawa modnego bytu i laski w salonie, zdawały się kryć swoją nędzę po kątach najmniej widocznych.

Przechodząc obok dużego zwierciadła w pierwszym salonie, Rafał rzucił w taflę spojrzenie — i cofnął się na widok swojej osoby. Pomimo przebrania w przyzwoite, a nawet wykwentne suknie wyglądał na zamaskowanego zoczyńcę. Nalana twarz była w tej chwili pokryta sinymi i szkarłatnymi plamami, rzadkie włosy oblepiły czoło poorane w bruzdy, a oczy spoglądały z dzikością i drapieżnym brutalstwem. Wszedł prędko do sąsiedniej saliki. Staremu panu sprawiało to oczywistą przyjemność, że przed dalekim a niezamożnym krewniakiem może pochłubić się nowomodnym urządzeniem domu. W istocie salon był obszerny i pięknie umeblowany, ale Rafałowi nie zaimponował.

Lokaje zapalili świece w kandelabrach ściennych, w świecznikach wiszących i stojących. Krzysztof obrócił się do pantaleonu stojącego w rogu i zagrał ulubioną, widac prawie domową piosenkę;

*La nuit tomboit dans la prairie,
L'Echo dormoit dans le vallon,
Près du ruisseau chantoit Amélie...*

Stary pan usiadł w fotelu, przymknął oczy i z uśmiechem rozkoszy, z niewymowną radością w zażawionych źrenicach oddychał tą melodią. Nogi jego, obute w płytkie pantofle i pończochy, nieruchomo spoczywały na dywanie; splecione i zaciśnięte ręce zdawały się przytulać do serca oddalone głowy dzieci.

Panna Mery, wsparta na ramieniu brata, z początku nieśmiało, a później coraz wyraźniej, piękniej zaczęła nucić bez słów. Głowa jej otulona obłokiem loków, nachylona była zrazu ku bratu, ale stopniowo wznosiła się, zwracała ku ojcu, wreszcie ku niemu, ku gościowi. Z piersi dziewiczej płynęła coraz wyżej i wyżej, uroczysiej i piękniej, bujna melodia piosenki. Wreszcie popłynęły wyrazy:

*Au matin dans les prés de Flore
La rose à l'instant de s'ouvrir
Attend que la vermeille Aurore
Sur son char amène Zéphir...*

Ale Krzysztof przerzucił się wnet do innej melodii. Siostra z początku nie mogła jej znaleźć w pamięci. Zawołał nie przerywając gry:

— *Air: „Dans un bois solitaire et sombre...”*.

— Aha, już wiem!

Zacząła śpiewać:

*Auprès d'une féconde source,
D'où coulent cent petits ruisseaux,
L'Amour fatigué de sa course
Dormoit sur un lit de roseaux...*

Stary pan nie mógł udźwignąć powiek ani rozerwać uśmiechu leżącego na ustach. Nie chciał może sponżyć chwili głębokiego, śpiewnego szczęścia, co napelniało po brzegi zaciszne pokoje wiejskiego domu...

DZIWAŁ

Tylko kilka dni młodzi panowie zabawili w Olszynie. Krzysztof wrywał się do swoich Stokłosów, folwarku odległego o dobre pięć wiorst od Olszyny. Aczkolwiek dobrze mu było w domu rodzicielskim, pragnął przecież pochwalić się przed Rafałem swą własną chudobą i uwolnić go od dosyć ceremonialnego życia we dworze.

Pojechali nareszcie. Folwark leżał w lasach, między dwoma płaskowzgórzami, a w dolinie niewielkiej rzeczki wpadającej do Wisłoki. Trudno było wyobrazić sobie coś pięknieszego nad owe lasy. Każdy parów napelniony był ostępami buków, dębów, brzoź, grabów, klonów. Każdy pagórek był pięknym parkiem. Teraz, na jesieni, owe wzgórza i wąwozy płonęły od żółtej i rdzawej barwy. Jadącemu tamtędy pierwszy raz serce biło ze wzruszenia. Zdawało się, że płomienie i dymy kłębią się, buchają z tych wyniosłości i rozdołów. W głębi kryły się zimne polanki, tym zieleniejsze, im bardziej płomienista była barwa zwisających liści. Sam dwór w Stokłosach stał w lesie, między sosnami, na wysokim brzegu rzeki. Dach jego był już mocno zmurszały, wielokrotnie naprawiany świeżym gontem, a mocno tu i owdzie wygięty. Modrzewiowe ściany zasuwały się w ziemię. Dookoła rozsiadał się ogród, przechodzący w las. Tuż za oknami kwitły, podobnie jak obok chłopskich chałup, wysokie malwy, żółte albo brunatne georginie, jasne nagietki i ogniste krzaki nasturcji.

Gdy bryczka zatrzymała się przed gankiem, na spotkanie przybywających wyszedł jegomość średniego wzrostu, zawiedły, w wieku, który trudno by było określić, gdyż mógł wahać się między czterdziestym a sześćdziesiątym rokiem życia. Twarz miał smagłą, ciemną. Gęste jego włosy związane były staromodnie, z niemiecka, w tyle głowy. Wystający, cienki nos sterczał nad ustami tak wąskimi, że stanowiły niemal linijkę. Podobnie oczy znać było jakoby dwie szpary pod czarnymi i grubymi brwiami.

Jegomość ów miał na sobie dosyć dziwaczne ubranie, bo żakiet, niegdyś wykwiłtany, krojem francuskim, z jedwabnymi wyłogami i kamizelką, a na nogach grube buty z cholewami do kolan, dobrze lojem smarowane dla uchronienia stóp od wilgoci. Zamiast żabotu, niezbędnego przy francuskim surducie, miał szalik, wełniany, obwiązujący kołnierz koszuli najzupełniej sarmackiego kroju.

— Upadam do nóg pana hrabiego!... — wołał schodząc ze stopni ganku bez zbyteń pośpiechu. — Nareszcie pan hrabia raczył sobie przypomnieć dziedzinę swoją... cha, cha!... Pewny już byłem, że pan...

— Hrabia... — dorzucił Cedro.

— Że pan... cha, cha! — nigdy do nas nie zjedzie.

Było rzeczą oczywistą, że podkreślał owe tytuły i że z nich właśnie śmiał się tak wesoło... Ku zdumieniu Rafała Krzysztof począł śmiać się również, choć nieszczerze i z przykrością.

— Witam i ja pana posła, dobrodzieja mojego, mentora... Jakże cenne zdrowie?... — krzyczał wyskakując z bryczki.

— Pan hrabia łaskawość swoją roztaczać raczy jako to słońce. Miło mi jest ogrzać się w promieniach łaski.

— Pan poseł siwiejesz nie na żarty...

— Z trosków o dobro pańskie... cha, cha... Ośmielę się zapytać nawzajem o zdrowie... choć to od jednego rzutu oka widać, że tyjemy na niemieckim chlebie...

— Czy być może?

— Prawdę mówię. Zupełny butrym!

— Cha, cha!... — śmiał się Krzysztof stając naprzeciwko i biorąc się pod boki.

— Jakże się cieszę!

— Pozwoli pan poseł dobrodzieju, że mu przedstawię przyjaciela a najbliższego socjusza od serca, kolegę z lat szkolnych, i że poproszę dla niego o gościnę w Stokłosach. Jest to imię pan Rafał Olbromski. Rafałku — imię pan Szczepan Nekanda Trepka, *ci-devant* posiadacz wielkiej fortuny, którą na polityczne interesa przefacjendował, prawie poseł na sejm, wielki peregrynant, wolterianista, encyklopedyk, tudzież szyderca z rzeczy, że się tak wyrażę...

— Cieszę się mocno z poznania przyjaciela pana hrabiego i służby moje pokorne polecam. Zarazem muszę zaprzeczyć nadawanej godności: nigdy w izbie poselskiej nie byłem.

— Ale mogłeś być. Był wybrany... Ale uważasz, upór, coś tego... cyrkumstancje...

— Zbyt wysoka godność jak na chudopacholski rozumek. *Nec sutor*... A co do uporu, to może i prawda. Twarde łby i karki rodziła nasza ziemia lubelska. Proszę pokornie do pokojów.

Weszli do izb wybielonych wapnem, o małych oknach i wielkich belkach podtrzymujących powałę. Stare, drewniane sprzęty, bardzo dawne karła, stoły, ławy i szafy były w porządku utrzymane. Krzysztof Cedro zrzucił płaszcz z ramion i objął Trepkę serdecznie a czule. Śmieli się obadwaj do rozpuku, leżąc w ramionach.

— Długo też pan hrabia myśli zabawić w tej dziurze?

— O, długo, stary adherencie diabłów, bardzo długo! Włazimy ci na kark obadwaj oto z Rafciem. Będziemy gospodarowali. Bierzemy się do roli.

— Pan hrabia także!

— Sądziś może, Szczepanku, że tylko ty masz prawo do gospodarki na roli dlatego właśnie, żeś swoją lekkomyślnie puścił z dymem?

— E, cóż tam moje sądy! Oto przyjaciel pana hrabiego mógłby w istocie myśleć, żeś wielką jakowąś fortunę diabłom przyniósł w ofierze. Bynajmniej! Mierna to była, pośrednia fortunka szlachecka. Fenomena klimatyczne tudzież inne zmniejszyły jej okrągłość, a ostatecznie lubelski upór popchnął wyż wzmiankowaną Wólkę z przyległościami nad nieprzyjemną rzekę Kocytus. Dziś nie masz dla mnie nic z niej innego okrom pragnienia, ażeby terazniejszy właściciel udławił się jej dochodami. Oto wszystko.

— Nie wszystko. Opowiedz historycznie.

— Treść niewarta formy. Chyba na rozkaz hrabiowski. Byłem właśnie w stadium peregrynacji po obcych krajach, kiedy z mego dziedzictwa zostało jeno pewne *quantum* druków, traktujących o uzdrowieniu tego, co już było na dobre strupieszalo w grobie. Wówczas ten oto tutaj przytomny rodak, imię pan Krzysztof Cedro, spotkawszy mię w ciężkiej opresji na *ringach* wiedeńskich, zaprosił po sąsiedzku. Chodź, prawi, stary włóczykiju, na rezydenta do Stokłosów... Poszedłem *volens nolens*. Co większa, fomalów posłał aż do Wólki i ze starego lamusa zabrane kazał przywieźć dwa półkoszki druków oraz skryptów do tego oto Tusculum. Słyszane rzeczy? Przybywszy ja zaś *personaliter*, aby pożegnać *paterna rura* i zapłakawszy...

— Tyś zapłakał, szyderco!...

— A obaczywszy siedzącego w pradziadowskim gnieździe szczygiełka udałem się za książkami i razem z nimi znalazłem gościnę...

— Żebyż to gościnę! Zaczął się tu, Rafalku, rządzić jak szara gęś! Włada majątkiem, wtrąca się w interesa całego dominium, rachuje nas jak fiskus, akcydensa wydziela jak skąpy dziadzio. Toż z Wiednia musiałem go zasypywać słodkimi listami, żeby mi przysłał choć parę czeskich na makagigi. Pędza nam mandatariuszów tak dalece, że ani jeden wytrwać przy nim nie może...

— Przesada!

— W sztuce ekscytowania pejanów przeciwko zwierchności gruntowej przeszedł samych urzędników krajzamtu. Chaty im buduje z pałacowatymi oknami, felczerów sprowadza, gdy się w karczmie pokrawiają, dni na pańskim zmniejszył *usque ad absurdum*...

Trepka cmokał ustami.

— Ale co najzabawniejsza... cha, cha!... szkołę umyślił wybudować tu w Stokłosach. Sam powiedz, Rafalku, mogąż pozwolić na takie marnowanie mienia? Sam ja tu teraz popatrę na twoje sprawki!

— Naprzód trza było waści same sprawki obaczyć we wzorze. Ale tego w Wiedniu nie znajdzie.

— A gdzie to trza jeździć, żeby obaczyć? Do Paryża?

— Nie, na honor, tylko do Puław, do Włostowic, do Pożoga, do Końskowoli, Celjowa... cha, cha!... — śmiał się Trepka.

— Cóż bym zobaczył w owej Końskowoli?

— Wielką kulturę. Jak mamę kocham! Wielką polską kulturę... Warsztat pracy dawno już rozpoczęty, a sprawki dokonane. No, ale po temu trza być wielkim panem... Mały panek polski szuka, czego nie zgubił, po całym świecie, a jeśli co znajdzie, to...

— Tytuł hrabiowski... — rzekł Cedro do Rafała.

— A waszmość również z Wiednia zstępujesz w te powiaty? — zapytał Rafała.

— Nie, on nie z Wiednia, tylko z Warszawy.

— Reprezentanci dwu stolic na mnie jednego. *Eheu me miserum!*

— A jakże też pan hrabia myśli brać się do roli, jeśli spytać wolno?

— Rękami, chudopacholku, rękami i nogami.

— Nowe jakieś podrygi mody wiedeńskiej?

— Niech sobie będzie...

— Pewnie jaki Turn-Taxis zakopał się w swoich folwarkach i teraz moda runęła na młodzież.

— Jakbyś wiedział. Powinieneś chodzić po odpustach i zbierać cwancygiery za prokowanie.

— Kiedyż znowu z powrotem do naddunajskiej stolicy?

— Nic nie wiadomo. Aj, Nekando, Nekando! żebyś ty wiedział...

— Do diaska!... Cóż takiego?

— Żebyś ty wiedział, jak ja jestem znudzony. Powiedz no mi, braliście też już psy w pole?

— Tędy go wiedli!...

— Mówże!

— Brać się brało.

— Lotkę?

— Była Lotka, był i Dskocz.

— Któż jeździł?

— Ja, nie chwalcąc się, i Grzesik.

— Powiedźże, na czymże ty jeździłeś?

— Na karym.

— Mój koń kochany! Chodzi!?

— Chodzić chodzi!

— A czy ja z moimi ślepiami nie zwałę się z niego pierwszego dnia?

— Koń uważny, mądry... Reszta zależy od jeźdźca.

— A w której też stronie zakładaliście?

— Od Jałowcowego Smugu ku Bielom.

— Paradne pole! Rafciu, będziemy szaleć co się nazywa! Powiesz mi, co myślisz o moich chartach...

— Charty! — zapalił się Trepka, aż mu oczka zablęsnęły — charty lekkie jak upiory!

— No, mości panie pośle, cóż tam teraz badasz, studiujesz? Powiedz prawdę.

— Pan hrabia przybywasz z jednej ze stolic świata i mnie, chudeusza, wypytujesz o nowiny? Toż ja winien bym dowiadywać się czegoś nowego!

— Wiesz dobrze o mnie, że nie jestem szczurem książkowym; więc czego się ze mną droczysz! Jeżeli chcesz nowin, to ci o jednej wspomnę; przywiozłem ci w darze taki sztucer dziwerowany, jakiego jeszcze twoje oko nie oglądało na tym padole. Teraz na ciebie kolej. Mów, co czytasz?

— Sztucer... — szepnął Trepka przymrużając oko: — to mogłoby być ciekawe. Ale gdzież on jest?... niech go obejrzy moje oko na tym padole! Co do mnie, to czytam sobie na przemiany... Raz odczytuję jakiś rozdziałek z *Miasta mistycznego* Marii Agreda a Jesu, to znowu dla odmiany jakieś kazańko księdza Łuskiń... Oto i wszystko.

— Ty wolterianisto! czytujesz księdza Łuskiń... Kto by cię nie znał, toby cię kupił. Toż lada dzień diabeł cię porwie w nocy i tylko kałuża mazi w tym dworzyszczu po tobie zostanie.

— Pan hrabia żartuje sobie nieprzystojnie.

— Skończ no, proszę cię, z tym hrabią!...

— Albowiem?

— Trepka! żebyś ja ci kości nie nadwerężył...

— Może tedy można pana tytułować przynajmniej szwabskim, niemieckim, austriackim hrabią, bo jakże tak bez niczego? Nie przystoi szlachetce na dwu wioskach w Zachodniej Galicyi być bez tytułu, a cóż dopiero dziedzicowi tytułu kluczów!...

— Nie jestem ani niemieckim, ani żadnym innym! Nie jestem wcale hrabią! — zawołał rumieniąc się dziewiczo. — Wiesz sam dobrze, że to ojciec mój życzył sobie tego tytułu, no więc, przynasz... musiałem... Ma, czego pragnął.

Trepka spuścił głowę i spode łba świdrował Krzysztofa ironicznymi spojrzeniami. Ostra drwina czała się w jego wargach zaciśniętych, jakby na zamki zawartych.

— Cóż tak patrzysz? — krzyknął Cedro.
 — Patrzę i tyle.
 — Nie radzę zbyt długo!
 — Postanawiam i ja kupić sobie tytuł austriacki. Cóż u diaska! Przecież to wiadoma rzecz, że Trepkowie, Nekandy, Toporczyki z Grzegorzewic, ba! ba! Najstarsze w Polsce nazwisko: za Lechów byli wojewodami!
 — Może nie wiesz, Rafał, że Rzepicha była Trepczanka z domu?
 — A właśnie!
 — Oni także świętego Stanisława ze Śmiałym królem zasiekli.
 — Kłamstwo!
 — I stąd wszyscy są wolteriani... Cóż tak patrzysz?
 — Patrzę, którędy z waści niemiecki rozum wylezie.
 — Myślisz, szlachciuro, że dam ci się zjeść w kaszy... Śni ci się, że będę tańczył, jak mi zagrasz. Wezmę ją się teraz do ciebie, Szczepanku!
 — Może i to być.
 — Zacznę ja cię edukować w polityce.
 — Wszystko, okrom polityki. Nie bawię się. Teraz dopiero widzę, żem do polityki od urodzenia był dureń. Nie mam ucha do tej melodii. Sadzić ziemniaki, orać, żąć, konie leczyć, a nawet owce — oto moja dziedzina.
 — Wcale nie przeczę. A po co się do moich spraw wtrącasz! Ja politykuję...
 — A no, wyznaję, nie wiedziałem.
 — Musimy, uważasz, żyć. Rozumiesz?
 — Rozumiem.
 — Samym sadzeniem i kopaniem ziemniaków nie wyżyjesz.
 — I to rozumiem.
 — Gdybyśmy, się wszyscy zamknęli w borach, w polach, schowali między kupy nawozu i sterty żyta, tobyśmy do reszty zmarnieli.
 — Racja! Powinniśmy leżeć do Niemców.
 — A tak! Tyś sam nie laził? Nie włóczyłeś się po Francji, po Włoszech, po Niemczech?
 — Jam się włóczył z rozkazu starszych, jam żebrał. I nie przypominaj mi waść dróg moich, do wszystkich diabłów! Nędza, wywłóczenie gałganów, dziur i skamlanie — bodaj to!...
 — Ja... — mówił Cedro przez ściśnięte zęby — nie żebrzę i nie bawię się z własnej woli. Ojcowski rozkaz jest dla mnie najwyższą świętością. To wszakże jest moja myśl, że musimy poznawać świat, rozumieć europejskie życie. Powinniśmy iść do Niemców! Właśnie do nich, do ich domu, przypatrywać się ich żywotowi, poznawać ich siłę. Jakże inaczej odwrócić ciosy? Trzeba zawiązywać stosunki, aby je wyzyskać. Gdybyś wiedział, ile razy ja nędzny przydałem się... Nie dla chwalby mówię, ale wyznaję jak bratu, żebyś wiedział. Palce nieraz do krwi gryzłem czekając w poczekalniach, składając wizyty, jeżdżąc, chodząc, wyczekując, prosząc...
 Twarz Treпки była dziwacznie wykrzywiona. Śmiał się szyderczo.
 — Bynajmniej mi waszmości nie żal... — cedził zmrużywszy oczy. — Wcale to jest zbyteczna fatyga.
 — Zbyteczna fatyga!
 — Owo zgoła.
 — Tak... — przedrzeźniał go Krzysztof, szybko chodząc po pokoju. — Zamknąć się we dworze, zatarasować gumno — i niech się wali! Alboż to moja rzecz?... nie przy mnie się zaczęło i nie za mnie się skończy!
 — A żebyś waszmość wiedział, że szydząc sobie lekce, prawdy samej dotykasz. Tyłem się odwrócić i swoje robić — oto wszystko. Żadnych a żadnych podłażeń i tych tam łagodzeń. Pyszneś słowo powiedział: nie przy nas się zaczęło i nie za nas się skończy! Nie tak to łatwo zmiamać, jak się byle amtowi wydaje. A odrobić! Ba! Miazga dopiero... Sama jeszcze nowina, nietknięta sochą. Życia mało, żeby ją w tylej cząsteczce przeorać, a waść swój czas, siłę, duszę i rozum tracisz na wysiadanie w antyszambrach. Starczy honoru na wyrabianie za pieniądze cudzoziemskiego tytułu, ale go nie ma na tyle, żeby w sobie zbudzić dumę.

— Jeżeli możesz powiedzieć, że ja tylko tego...
— Jeszcze nie powiedział, że tylko... Ale ja znam naturę ludzką. Ta natura — to jest szelma co się zowie. Wiem po sobie, a i napatrzyłem się świata. Widziałem duchy czyste, jak przemieniały się w glinę podłą, którą rzekomo gardziły. Środek w przeciągu niewielu lat staje się celem, osobliwie pod miękką dłonią podwiki.

— Aha, już swoje!

— A swoje... Bo zawsze, ilekroć waszmość wracasz znad modrego Dunaju, patrzę z abominacją, czy nie jadą za tobą niemieckie bety i kołyski.

— Ech, Rokito! nie będę z tobą rozmawiał. Rafał, chodź no, pokażę ci skrytkę tego szczura.

— Cóż znowu!

— Tak, odkryję cię w całej nagości.

To mówiąc młody Cedro otworzył drzwi do sąsiedniej stancji i ukazał ją Rafałowi. Pokój ten dawno, widać, nie był bielony, bo nagie, jędrne, brunatne belki z modrzewia gęsto przegłądały spod wapna. Cała ściana w głębi zastawiona była ogromnymi półkami najprostszej, ciesielskiej roboty, a na nich bez ładu i porządku stały i leżały książczyska. Stosy pism i bibulastych gazet piętrzyły się na szerokim stole pośrodku izby. Tu i owdzie wisiały na ścianach mapy, stare sztychy i karykatury. W ciemnym kącie stało sosnowe łóżko z lichą pościelą, a nad nim wisiała broń: pistolety, sztucery, dwururka i przybory myśliwskie.

— Tu siedzi i knuje swoje przemierzone myśli.

— O chorobie pyska i racic, o księgosuszu i kołowaciźnie... — odciął się Trepka.

Rafała na widok tych książek ogarnął nieprzełamany wstręt, właściwy jego naturze od pewnego czasu. Uczuł duszenie jak we śnie. Trepka, bystry spostrzegacz, nie dopuścił, żeby to uczucie rozwinęło się w gościu. Zajął się nim ze starannością człowieka zdrowego, który baczy na wszystko, a nerwy swoje trzyma na wodzy. Zaczął pokazywać fuzję i rzemienie, żeby odwrócić uwagę obecnych od książek, tak niemiłych szlacheckiemu oku.

— Więc o samych jeno zolzach i zawłokach traktują te wszystkie bibuły? — czepiał się jeszcze Krzysztof.

— A nie, owszem — i o motylicę zawadzają...

— Polityki ani za szeląg?

— Za szeląg może by i kupił, ale sam sprzedający nie radzi tentować o towar tak nędzny.

— Także się to zraził, przez tyle lat oną nędzą się bawiąc?

— Prawdziwie... Politycy, przewidywacze, znawcy! Jedno pole należycie zorane, jeden rów z loiką wybrany, żeby przerznął i wygoił sapowatą od wieków niwę, więcej mi znaczy niż sto broszur o rządzeniu narodem.

— Zaślepienie! Sto razy powtarzam: zaślepienie! — krzyczał Cedro zbliżając twarz aż do twarzy przyjaciela i wlepiając w niego krótkowzroczne oczy.

— Nie! Wiem, co mówię.

— Nie wiesz! Nie znasz Niemców! To jest nie naród, ale wprost zakon straszliwy, zorganizowany mądrze i bezwstydnie do wytępienia takich oto jak my rolników i marzących na jawie. Nad Łabą, nad Weltawą! Słuchaj!...

— Widziałem toto wszystko. Drwię ja sobie z Niemca, dopóki siedzę na roli, na swojej czy na cudzej. I cóż poradzi, choćbyś sto razy podpatrzył ich zakonne statuta, jeśli sam swoich nie tworzysz? Czy myślisz, że słowiańska nasza dusza przeistoczy się w duszę niemiecką od patrzenia i nauki? Nigdy! Jesteśmy inni, odmienni. Ty traf w to, co jest twoją naturą i twoją siłą, w rolniczą potęgę, którą beużytecznie trzymasz w ręku. Jeśli potrafisz wydobyć z niej wszystkie zasoby, to cały zakon niemiecki na tobie jednym zębem sobie wyłamie.

— Nie wiem, co mi ty mówisz. Ja się duszę z rozpaczy widząc, co się dzieje, czując w rozmowach pomysły zagłady, wytępienia. On ze mną politycznie mówi, grzecznie się bawi, a zarazem sondę zapuszcza...

— Wytępienia! — śmiał się Trepka — zagłady... Mnie tu kto zgładzi, mnie wytępi w Stokłosach? A no, owszem, niechże przychodzi ze swoim planem i zamysłem. Chłopów, których ja pracować, żyć, myśleć nauczę... — rzekł chwytając Cedrę za rękę.

— Otóż ja ci mówię, że się ludzisz okropnie! Jam zajrzał w duszę ich, głupca udając podszedłem ich skrytości. Wśród szelestu jedwabów w salonach, wśród koronkowych balów śledziłem ich zamysły. Ludzie ci nie cofną się przed niczym. Czy wiesz? — krzyknął błady i przerażony. — Ci ludzie mogą to sprawić, że ci oto twoi chłopci podejną w nocy pod dom, wywleką cię z łóżka i łeb ci utną toporem!... Ich polityka tak daleko sięga...

Trepka śmiał się wesoło.

ZIMORODEK

Kilka długich tygodni Rafał spędził w Stokłosach w zupełnym próżniactwie. Był chory. Trepka, który wśród mnóstwa wiadomości miał niemało lekarskich, nie mógł odgadnąć, co mu jest. Toteż nie zalecał żadnego lekarstwa. Kazał tylko wynosić dla niego pod sosny łóżko polowe, i Rafał leżał w ubraniu, z oczyma zwróconymi ku niebu. Sam nie mógł odgadnąć, co mu dolega. Nie czuł żadnego bólu i nie doświadczał żadnego pragnienia. Jedno, co go pociągało, gdy się budził, i co zamykało jego dzień, to była leniwa chęć: nie być...

Otoczające życie, zarówno bliskie jak dalekie, nie miało dla niego żadnej literalnie wartości. Śliczne konie, w których tak się dawniej kochał, psy gończe, broń myśliwska, wrzawa, opowiadania o przygodach Krzysztofa i Treпки, gdy nad wieczorem z chartami wracali, wszystko to męczyło go tylko i przyprawiało o coraz większe zamknięcie w sobie. Ze wszech sił przymuszał się do uśmiechu, do rozmowy, a szczególnie do tonu i trybu życia ludzi tęgich i zdrowych. Na szczęście, nikt go o tajemnicę życia nie pytał.

Cudna była jesień.

Codziennie, gdy otwarto okiennice, wlewało się do bielonych izb roztopione w zlocie, chłodne powietrze. Gałęzie sosen zaglądały do okna, kiwając się sennie i szumiąc w ów głos rozkoszny, który zagłusza myśl i nakazuje poddanie się prześlicznej woli swojej. Ze wschodniej strony pnie sosen obite były jakoby złotolitymi blachami. Sroki pokrzykiwały na ich gałęziach, wiewiórki przychodziły aż do futryn okiennych, zięby i ciecioriki pogwizdywały nad dachem, okrytym grubo mchem. Cała ziemia w lesie odziana była suchymi igłami, po których noga ślizgała się jak na parkiecie. Woń grzybów i woń żywicy, płynącej z obarów na sosnach, napełniała powietrze.

Rafał budził się daleko wcześniej niż wszyscy w obejściu. Słyszał, jak pieją pierwsze koguty; nie otwierając oczu, przy zamkniętych okiennicach, wiedział, kiedy słońce wstaje. Poznawał to po szumie drzew wzmożonym, po odmianie głosów natury. Słyszał każdy dźwięk, każde we wsi szczeknięcie psa, krzyk wrony, każdy powiew wiatru. Wszystko to odbijało się w nim jak w kamieniu. Czasami z jego piersi wydzierano się westchnienie — i na tym koniec. Kamień leżał na sercu.

Ale w niskości swego ucisku nie umarło serce. W głębinach nocnego milczenia, kiedy ostatni szmer rozproszył się i oniemiał, ono jedno słyszało odgłos kroków niepewnych, lękliwych, przemierzających próżnię czasu. Echo wołania z głębi gór wychodziło z ciemności. Wtedy serce dźwigało kamień swój i samo nasłuchiwało bez nadziei usłyszenia po wtóre, patrzyło krwawym wzrokiem w ciemności bez wiary zobaczenia i lkało w ciągu godzin nie dlatego, żeby się ukoić. Bo taki padł mu ciężki los, że im dłuższy był płacz jego a narzekanie, tym większa boleść. Dopiero fizyczna wola, wysiłek ciała, odporna moc zwierzęcego bytu była w stanie ukrócić melodię tęsknoty. Ale była to czynność tak okropna, jak gdyby kto gardziel dwuletniego dzieciątka dusił muskularną garścią chłopską, żeby usmierzyć jego żalosne kwilenie. Serce upadało w swój grób i leżało w uspokojeniu niemocy aż do nadejścia nowego powiewu.

W czasie trwania tych zapasów usiłował nieraz naprawić swoją odrazę do głosów życia, do barw roślin, do wdzięku niewysłowionego światła i cienia. Na próżno! Ustał w nim wzrok żyjący i słuch szczęśliwy, który pozwala widzieć i słyszeć. Teraz obce było dla niego wszystko. Każdy przedmiot, każdy promień słoneczny i każdy cień, każdy zapach i kształt stał się sobą tylko. Przestał już służyć duszy. I oto została sama jedna. Szła, jakoby wśród ruin strzaskanych przez trzęsienie ziemi, wśród rzeczy odrażających dla niej i bezużytecznych. Stopniowo każda z tych spraw, wszystko, co mogło być osiągnięte przez spojrzenie, traciło swoją wartość i stawało się bytem nieprzyjaznym. A żeby nie czuć ciżby tych wrogo nastrojonych zjawisk, zamykał oczy, zaciskał usta, zacinał zęby i pogrążał się w sztuczny letarg milczenia. Był wtedy jak płomień zagasły. Ale gdy się

ludził pewnością, że rozszerzy tę chwilę mocy na godzinę, na dzień, rozlegał się daleko szept, głos, imię wymówione miłośnicie... Wiatr zniszczenia odzywał się w przestworzu i pustoszył wszystko, co pracowita wola z pośpiechem i mozołem dźwignąć zdołała.

Jednego ranka, w samym już końcu września, nie mogąc zgoła dać sobie rady, a nie będąc w możności uleżeć w barłogu, wstał o świcie i wyszedł z domu. Było chłodno. Wiatr południowy wzbudził szum sosen oblewając ciało zimnym strumieniem. Rafał sam nie wiedząc czemu poszedł nad rzekę, która w odległości kilkudziesięciu kroków od domu płynęła w korycie daleko niższym od poziomu piaszczystego płaskowzgórza. Jeszcze tam nigdy nie był. Szeroko, płytko rozlana woda bez najlżejszego szelestu toczyła swe migotliwe, bystre, drobne fale pomiędzy długimi smugami piachów, które jej łożysko tu i tam przegradzały. Cały horyzont był tu szczelnie zasłonięty przez zwarte olszyny, wyrastające już w drzewa. Rzeka snuła się w ich cieniu, jakby ukryta przed światem. Dołu widać było, jak zakręcała się i ginęła pod zwieszonymi gałęziami niby w grocie czarnozielonej, zostawiając po sobie wspomnienie w kształcie srebrzystego szlaku. Tam były już drzewa bardzo wysokie: strzeliste, nachylone brzozy, olbrzymie nadwiślańskie topole i wierzby, wici swe taplające w ruchomej wodzie. Spomiędzy nich buchała w przestwór wyniosłą koroną rozwidlona, stuletnia sosna. Bliżej, wśród samego koryta rzeki, były ostrowy z dawien dawna porośnięte drzewami, nad wszelki wyraz urocze ogrojce, dziewicze kępy, których człowiek nie przejął jeszcze w posiadanie od ptaków. Blisko i w dali rozciągały się mielizny, uzbrojone w suche pale, w sękate tramy i korzenie ściętych olch, w zeschnięte karpki, sterczące z wody na obraz potwornych kłów. Obwieszał je śluz szuwarów, zeschnięte jelita grąźelów, kępy zmulonego siana, chrusty i trzciny — pamiątki ubiegłych powodzi. Około tych miejsc woda zwijała się wartkimi, mrówczymi skręty, bez szelestu, bez szmeru, bez głosu. Suche ławice piasku leżały bezwładnymi smugami, jakoby trzewia i polcie równo rozcięte toporem a rzucone tutaj na wieczną pastwę czasu. Najlżejszy chwast nie czepiał się ich bezpłodnej nagości.

Słońce ostrymi grotami padało już na rzekę, przestrzeliwszy gęste zarośla. Woda żywa spłoneęła barwą ognistą. Tym głębszymi stały się cienie tam, gdzie nie dosięgło słońce. Olchy stanęły nad czarnym zakrętem jako ściana niezdojta. Odór czerniejących liści przeniknął powietrze. Rafałowi wydało się, że to tak dziwny zapach ma rosa, białym szronem leżąca na ziemi i liściach...

Wspomnienie czegoś bardzo dawnego — Włynanki, Wyrw czy Tarnin, a raczej nie wspomnienie, tylko na nowo przeżyte szczęście straconych na wieki dni dzieciństwa objęło go za szyję niby ręce siostry, którą jedno i to samo łono wypielęgnowało. Na chwilę oddał się temu uczuciu. Skruszyła się odrętwiałość serca i oczy zaszyły łzami ulgi. Z rozkoszą, jakiej zawsze doświadczał na widok nowych miejsc w kraju, z ową rozkoszą nienasyconą, zbliżającą się aż do granic bólu, wlepił oczy i przez łyby patrzył w owe zakręty rzeczne, w dzikie kępy olszowe. Wciągnął w piersi wilgotny zapach i nasłuchiwał pierwszy raz od tak dawna, jak z cicha jesienne liście szeleszczą. Z dala, z pół, polatał chłodny wietrzyk.

Rafał zatrzymał się w miejscu jak wryty i pierwszy raz od tylu czasów roześmiał się w głębi, z gruntu duszy, do myśli nowej dla niego, nieznannej jakoby obcy świat.

Zadumał się nad tym, jak to dobrze jest żyć... Poczł wolno sam z siebie przemyśliwać, jak piękny jest i jak niewysłowiony świat, jak wielkim a błogosławionym cudem jest życie, jak dziwnymi sposobami godzina cierpień przeistacza się w stokrotne bogactwo radości, płynące z widoku ziemi...

W tej samej chwili nad wodami, wzdłuż gałęzi, wskroś całego bugaju brzoź i olch, sosen i wierzb, zimorodek przeleciał z ostrym, zgiełkliwym, donośnym śpiewem. Lot jego ledwie było można pochwycić okiem, tak bardzo prędko przesył powietrze. Wydało się tylko, że to szafirowa czy lazuruobłękita nić, że cudnobarwny krzyk radości opasał, objął i związał ten bukiet ziemski. Krzyk ten przesył duszę słuchacza na wskroś, do dna. Cisza już była zupełna, a głos ten długo jeszcze w nim drżał i na zawsze pozostał w duchu...

RANKIEM

Jak z bicza strzelił, upłynął rok pobytu Rafała w Stokłosach. Jesień jako gość przepolował, zimę przetańczył, a na wiosnę gospodarował, już jako współrzędca, w towarzystwie Trepki, a poniekąd i Krzysztofa. Zdrowie i kawalerski humor nie zawodziły go w tym czasie. Osobliwie zimową porą czuł się jak w raj. Nie było tygodnia, żeby w okolicy nie wypadła

Szczęście, Radość, Natura,
Ptak, Jesień

zabawa, zabawa co się zowie, do białego dnia, do ciemnej nocy i znowu do białego dnia. Rafał był rozrywany, jako dobry tancerz, gładki kawaler i polerowany warszawiak. Toteż tu i owdzie puszczał się w konkury, szukając dużego posagu. Przebierał, namyślał się, a tymczasem bawił jak nigdy.

Trepka polubił go bardzo. Na wiosnę, w lecie i pod jesień stopniowo oddawał mu gospodarstwo w Stokłosach. Sam kopał się coraz głębiej w swych książkach. Polowanie, leczenie chłopów i bydła a peregrynacje od chałupy do chałupy — to były jego rozrywki. Młody Cedro zimę spędził z ojcem i siostrą we Lwowie, gdzie panna Mery w świat wchodziła. Trepka nadrwiał się niemało z tego karnawałowania lwowskiego, choć w gruncie rzeczy rad był, że młody jego przyjaciel nie siedzi w Wiedniu. Tymczasem na jesieni r. 1805 Krzysztof, posłuszny woli ojca, znowu się udał do naddunajskiej stolicy. Trepka i Olbromski spędzali dni tej jesieni na koniu, za chartami, wieczory — na grze w szachy albo na czytaniu.

Trepka wywierał duży wpływ na towarzysza. W rozmowach, w śmiechach, w drwinach i uszczypliwościach jego siedziały szczególne żądła. Żeby nie doświadczać ich klucia, Rafał począł zagłębiać się w myśli starego dziwaka i im bardziej w nie wchodził, tym większą znajdował satysfakcję. Trepka był miłym człowiekiem, ciekawym na długą metę. Można z nim było rozmawiać o wszystkim, o rzeczach najbardziej trudnych, niewłażących do głowy, aż do najbłahszych, a nawet do rubasznie tłustych. We wszystkim był majster. Umiał tak oświetlać przedmioty i sprawy tego świata, że się wydawały zupełnie innymi, a tyle miał dowcipu, że nawet obcując bez przerwy nie można go było zgruntować.

Po długich słotach, jakoś w końcu października, rozwidnił się cieplejszy dzień. Mgła jesienna leżała na polach i na zwiędłych już liściastych lasach. Drogi były tak rozkisle, że tylko konno, i to na zgrabnym koniu, można było przemknąć się wśród bagnisk. Obadwaj w długich butach, zachlastani aż do czapek, jechali wczesnym rankiem z zamiarem puszczenia chartów, gdyby się okazało, że na polach płaskowzgórza role obsiały. Mieli zamiar dotrzeć do gościńca ciągnącego się w stronę Tarnowa, a stamtąd boczną, leśną drożyną przetrznąć się na owe pola przez lasy bukowe. Nieodwiedzana dróżka na gliniastym gruncie w lesie była twardsza, ale jak lód śliska.

Zimna, żalośliwa trawka ostro się zieleńiła pod ciemnymi drzewami. Liście na bukach, na dębach i klonach były już ciemne, przemokłe, nasiąknięte zgniłą cieczą. Zwieszały się ku ziemi bezsilnie i z gnuśnym bezwładem. Gdy wiatr powiał z pól, leciały za jego wolą te chore liście, jedne już zarażone żółtą barwą śmierci, inne tknięte dopiero szarą bladaczką. Na ziemi, pod kopytami koni, szemrały dawno spadłe. Cały las pełen był uczucia lęku i rozstania, rozłąki i żalu.

Trepka jechał przodem i nucił, sobie nie komu, starą a ulubioną swoją i jedyną romancę:

Kiedy twoje spotkam oczy,
Nim postrzęę, żem widziany,
Już się na bok wzrok twój toczy
I martwe przebiega ściany...
A mnie wówczas z głębi duszy
Wszystkie czucia żal poruszy...

Smutne, leśne milczenie, cichość płaszczyzn okrytych jesiennymi mgłami, ów posępny dzień domagały się niejako tej piosenki. I Rafał chętnie jej słuchał... Gdyby był Trepka przestał ją śpiewać dla siebie, sam by ją zaczął nucić...

Wyjechali z leśnej drożyny na równinę i skierowali się w stronę gościńca. Charty, idące samopas, skoczyły w mgnieniu oka i poszły lotem w dół. Rzucili się za nimi w mgłę polną. Z nagle stanęli jak wrzyci. Z tej mgły, na całej widzialnej długości gościńca, wywalala się zwarta masa ludzka połyskując tysiącem kolorów.

— Jakieś wojska... — wyszeptał Trepka osadzając wierzchowca.

Po chwili pilnego wpatrywania się dodał:

— Ależ to nie Austriaki!...

Nozdrza jego drgały nerwowo i zmrużone oczy świeciły się dziko ze swoich szparek. Puścił wolno konia. Obadwaj jeźdźcy noga za nogą zblizali się ku gościńcowi. Charty,

wyciągnięte jak struny, szły całkiem w tamtą stronę, ale stanęły wnet, jakby ich nogi w ziemię wrosły. Z nastawionymi uszama i wytkniętymi szycami wietrzyły bez ruchu.

Porzuciwszy bagnisty gościniec szły obok niego po niwach nieregularnie wyciągniętymi kolumnami roty grenadierów z ciężkimi karabinami na ramieniu a tornistrami na plecach. Olbrzymie, proste, dwubarwne kity na kaszkietach, kształtu wiadra przewróconego dnem do góry, chwiały się jak las. Białe nogi w sukiennych kamaszach aż do kolana nurzały się miarowo w rzadkiej glinie. Za grenadierami sunęły pułki jegrów pozbawione kit u czapek tegoż kształtu, objuczone wielkimi tornistrami, ładownicami, manierkami i pałaszami. Bagnety ich tworzyły jak gdyby ruchliwe jezioro, które wśród chmur i mgły idzie w nieskończoność, kołysze się stalowymi falami w ciszy i milczeniu.

Tam i sam fale jeziora zataczały półkole, zwijały się wirem w miejscu, kłębiły dookoła jakiegoś środka. Nekanda domyślił się, że tam ugrzęzły działa. W istocie, przyzwyczajwszy oczy, spostrzegli cały szereg armat zarzniętych w błocie. Około nich uwijali się artylerzyści w ciemnych kusych fraczkach, wyżej kolan taplając w bajorze sukienne kamasze. Szerokie białe pasy, na krzyż przecinające ich piersi, były uciaranne w bagnie, a wielkie czapy dotykały ziemi, gdy podkładając lewary dźwigali z topieliska koła, łoża i przodkary, ogony i jaszczyki.

Z dała za piechotę i artylerię ciągnęła bokiem konnica. Dragoneria ze strzelistymi kitami, ulani w czworograniastych czapkach, ozdobnym połyskującym strojem, wreszcie pułki białych kirasjerów na olbrzymich koniach. Wielkie ich czapy z włochatymi grzebieniami polśniewały. Zdawało się, że to żelazne legie rzymskich wojowników idą i idą falami bez końca z nieprzejranej nocnej mgły...

NA WOJENCIE DALEKIEJ

Dzień dogasał nad splowiałymi rolami. Tu i owdzie płonęła już ozimina, ale na ogół ziewało w polach pustkowie odłogów jesiennych. Na pastwiskach, po nadrzeczu lśniła się jeszcze jaskrawa zieloność trawników, a na równych łąkach jednostajnie połyskiwał ostatni, szorstki pokos otawy. Wśród drzew otaczających stary dom w Stokłosach rozpostarła się przejrzysta, śniada mgiełka. Nieprzeliczone gromady wróbla obsiadły nagie konary lip i zanosily się od jednostajnego szczebiotu. Stado wron z łopotem skrzydeł i krakaniem, spychając po sąsiedzku jedna drugą, drapało się na wyschłe szczyty włoskiej topoli. Stosy podmiecionych liści obejmowała w niepodzielne władanie wilgoć cmentarna. A z oddali, z południa, powiewał wiatr cichy i ciepły.

Trzej przyjaciele — Trepka, Cedro i Olbromski — siedzieli na ganku dworu, w milczeniu ciesząc się tym ostatnim dniem ciepła w późnym listopadzie. Każdy z nich przeżywał własne myśli, natrętą ciżbą oblegające głowę. Otwarte pola ciągnęły oczy człowieka w daleki, daleki widnokres. Piaszczysta droga w alei lip prowadząca do dworu, przyklepana od niedawnych deszczów, a teraz wyschła i stężała, z wolna tonęła w cieniu grubym i tęsknym pniów osierociałych.

— Czy też zważacie, mości pankowie, jak się to czule żegna z nami Favoni?... — rzekł Trepka.

— Iście całuje... — szepnął Cedro.

— Panu hrabiemu całusy zawsze nasamprzód do imaginacji przychodzą, kiedy mowa...

— Nie jestem jeszcze starcem zgrzybiałym, więc dlatego.

— Co innego Olbromsio! Ten myśli, dam głowę, o kolacji.

— A bo i prawda! Żołądek źle wychodzi na medytacjach i kontemplacjach.

— Miły wietrzyk! To wam powiadam pod słowem, że takiego oto dnia z takim wianiem wiatru w żadnych Florencjach nie napytacie, choćbyś latami czekał.

— Bo też pewnie nikt nie próbował latami we Firenze na jeden wietrzyk czekać.

Wtem psy, drzemiące na piasku przed gankiem, dźwignęły łby i nastawiły uszy. Szczeknął jeden, podniósł się żywo drugi i wnet jak na komendę zerwały się wszystkie zajadle pędzić w aleję. Głowy przyjaciół ociężale dźwignęły się w tamtą stronę w oczekiwaniu. Psy z nagła ucichły i z podwiniętymi ogonami trwożnie pojękując cofały się w podwórze. Z półmroku alei wolno wysuwał się na jaśnieź żebak na kuli drewnianej, w lachmanach. Ciężko utykając zbliżał się do rozwartej bramy. Tam się zatrzymał. Słońce już gasło i ostatnia jego fala poziomo przepływała nad ziemią. Trepka nakrył oczy dłonią

Jesień

Żebak, Kaleka, Żołnierz,
Polak, Historia

od blasku czerwonego, który mu prosto w źrenice padał, i rzekł:

— Żebrak.

Młody Cedro wydobyl z kieszonki cwancygiera i dał go kuchennemu chłopcu wskazując dziada ręką.

— Dać mu tam w kuchni rynkę warzy... — dorzucił Trepka. — Niech dziadowina podje i przed nocą wędruje dalej, bo tu psy złe i dziadom przeciwne.

Kuchcik skoczył ku wrotom i długo o coś z dziadkiem się spierał. Zdziwiło to wszystkich, że wrócił niosąc pieniążek na dłoni. Już z dala mówił ze śmiechem:

— Nie chce, jaśnie panie, ten dziadek brać pieniędzy. Pytał mi się, czy jaśnie panowie nie są z Niemców przypadkiem... Nie śmie, pada, wejść na dziedzinę.

— Jakiż to hardy dziad!

— Grosza nie bierze i w kwalifikacje dziedziców się zapuszcza...

— Prawi, że chciałby prosić o nocleg.

— Jeszcze czego!

Młody Cedro zwyczajem swym popędliwie skoczył do ubogiego. Za nim dla rozerwania monotonii ruszył się Trepka, wreszcie od niechcenia Rafał. Gdy do wrót dziedzińca podeszli, ujrzeli człowieka w łachmanach, z sakwami na krzyż przewieszonymi przez piersi, prostego i w średnim jeszcze wieku. Twarz jego była ogolona a ogorzała tak bardzo jak u żniwiarza, co przez lato cienia na zaznał. Włos płowy, od slot i pożaru słońca wypelzły, widać było spod czapczyny dziwnego kształtu; opończa i but zdrowej nogi pyłem były zasypane do cna. Patrzyły na nich oczy siwe, śmiałe aż do zuchwałości i czyste jak powietrze. Nie kłaniał się dziadowskim obyczajem, nie skamlał ani stękał. Czekał wyprostowany. Jasne jego oczy przechodziły z jednej twarzy na drugą, badając je do głębi. Wreszcie dłużej spoczęły na obliczu najstarszego.

— Cóż to, dziadku, tak nas bierzesz na spytki? — mruknął Trepka.

— Chciałem zapytać się... — rzekł ubogi śpiewną podlaską czy litewską mową — czy waćpaństwa który wojskowo nie służywał?

— A to ci na co wiedzieć?

— Wojskowy człowiek przyjąłby w gościnę kamrata, a postronny człowiek nie przyjmie. Noclegu szukam. Strudziłem się drogą idący kikut-štukut, och, bardzo...

— A skądże idziesz, człowieku, żeś się tak utrudził?

— Z daleca ja, kulhawiec, idę, bracia rodacy, z bardzo dalekiej strony.

Wszyscy trzej zamilkli i, szczególnym, prawie bolesnym uczuciem przejęci, patrzali w te prawdomówne, szorstkie i czyste oczy.

— Ta... — rzekł nierychło Trepka cicho i życzliwie — jeśli o nocleg chodzi, to możesz przemocować w tym domu, bracie rodaku.

— Bóg zapłać, mili, że nie odpędzacie od swego proga żebraka wędrownego. Ale, jeśli woła wasza, odprawcie dalej służbę, aby nie rozpowiadziała, że od was łaski takiej doświadczam. Niedobrze by to dla was być mogło. A i dla mnie...

— Bądź spokojny! Włos ci z głowy nie spadnie pod dachem tego domu... — rzekł Cedro zniżonym głosem.

Weszli w dziedziniec. Słońce się kryło za pagórkami i od wielkich drzew, od ciemnych sosen i wysokich lip cień już padał tak gruby, że w głuchą noc przepływał. Kazano żebrakowi podać wieszak. Panowie swoją z pośpiechem spożyli. Trepka wydał rozkaz, żeby służba szła spać. Przyjaciele sami pozamykali okiennice. Wędrowny dziad usiadł w kącie Nekandowego pokoju i zdjął swe sakwy. Spod grubej opończy wyrzucił resztki uniformu.

— Skądże teraz idziecie? skąd wracacie? — pytali wszyscy trzej otaczając go kołem.

— Do dom, do swego kukrzyśka idę z miejsca Austerlitz zwanego, gdzie my niesłychaną batalią wygrali, a ja nogę oto postradał.

— Toż w grudniu zeszłego jeszcze roku ta batalia była!

— Prawdę mówisz, panie bracie, ale ja po szpitalach polowych przeleżał tę ciężką zimę. A od wiosny wlekę się z miejsca na miejsce, z miejsca na miejsce...

— Mówże, bracie, jak to było. Powiadaj!

— Dużo by mówić... Cesarz zrobił swoje. Źle mówię — swoje. Dziewięć ja lat na jego sprawy patrząc, takiego dzieła...

— Dziewięć lat, mówisz?

— Dwanaście już lat upłynęło w tym listopadzie miesiącu, jak ja z towarzyszami odszedł z jakimowieckiego placu. Tak, zda się, jakoby wczoraj było. Z rozpaczą my broń cisnęli, złamali my broń na kolanie, o świętą ziemię strzaskali. A oto z młodego draba ja dziad starzeńki powracam z dalecyny... sam jeden. Wszyscy moi kamraci... gdzie nie wiedz... Za górami, za lasami, za morzami...

— Za morzami nawet?

— Za morzami, tak ja mówię. Prawdę mówię, panowie bracia. Bo i ja, powiedzmy otwarcie, szlachcic herbowy, choć i na jednej habendzie, i na jednym zagonie, ta szlachcic dobry. Ojrzyński Sariusz Jelitczyk moje zawołanie, a przydomek nasz starodawny — Mieczyk. Za morzami, panowie bracia! Na bardzo dalekich morskich wyspach Antylów... Jedni w San Domingo, drudzy w auzońskim kraju, inni w górach niemieckich, inni we francuskiej stronie. Na ziemi płaskiej i na dnie morza niezgruntowanym śpią braciszkuwie serdeczni, dobra szlachta podlaska, tęgie męże, wspaniałe żołnierze, zabici czasem przez obce, a nieraz przez braterską ręką z obcego szeregu rzucone groty. Jam najszcześliwszy ze wszystkich został na świecie.

Wracam oto w swoje płaszczyny. Idę obaczyć ojcowski dom, barniaki swoje po piachach, a tak sobie idący myślę, że już pewno ani ojcowskiego budowa, ani brata, ani siostry. Zapomniał ja już, co to dom, co brat, co siostra. Idę, ta ciężkie myśli przed sobą toczę, panowie bracia.

— Braciszku! — rzekł do niego z pośpiechem Krzysztof drżącymi ustami — gdzie stąpisz, na czyj próg, tam dla ciebie wszędzie otwarty dom rodzinny.

— Bóg zapłać za dobre słowo...

— Powiedźże nam o swoim życiu, o tym, coś przeżył i widział — nastawał Trepka — bo my tutaj na zagonie wiemy ledwie coś niecoś, ledwie ze słyhu, z wieści.

— Dobrze. Powiem wam wszystko, od początku do końca. Niech jeno myśli pozbieram. Ha, no słuchajcie... O scenach ja radoszyckich wspominałem... Bardzo ja się już otrząsał z wojną, a na myśl tamten dzień jak przyjdzie, serce od nowa gore! To tak dziś, a cóż wtedy! Młoda krew była w żyłach i wrzący honor w sercu. Było nas takich w szeregu dość, co my powiedzieli sobie: do dom wracać, półtorak broźnić, spokojnie grykę siać, zwady z sąsiadem o snopek prowadzić?... Taki koniec i skutek? A niedoczekanie! Jak ja dziś wspomnę a zliczę, panowie bracia, jak ja dziś pomyślę... Rada my w radę po zaściankach, gwaru dzień i noc pełno, krzyku między nami pocziwego. — Ta choćby brukanem z pola! — woła ten, woła drugi...

Dziwne to, dziwne zdarzenie — śmiał się żołnierz kiwając głową. — Zważcie ino, panowie bracia: między sobą, widziało się, paplali my, we swoich ścianach. Aż oto jednej i tej samej nocy we wszystkich okolicach szlacheckich wojsko na egzekucję zważyło. Kto ino głośniej mełł językiem, tego w rekruty... Już nas w Siedlcach, w Łukowie rozdzielili na partie, potem ubrali w kamasze i marsz, marsz w austriackie dziedziny. Jać nie byłem w gębie ostatni, więc, jak się patrzy, oparłem się aże w regimencie grafa von Koenigsegge-Rothenfels. W trzecim batalionie, aże w mieście Pilsen, w Czechach, wytchnąłem po marszu. Wdziali na mnie biały mundur półfraczasty, białe pantalony, białe kamasze. Żeby nie płytkie czarne ciżmy i płytki czarny kapelus, żeby nie mankiety, kołnierz i podszewka malinowego koloru — nic ino anioł.

Karabin, ładownica, biały pas przez piersi — i na musztrę. He, szelmy! Ile to kary, nim człowiek pojał, co taki kapral mamroce, co se pod nosem mruży leda oficerek! Nie upłynął rok czasu, poszli my w górną Austrię, w góry Tyrolu bić Francuza i papieża bronić. Ale nie samego Ojca Świętego. We łbie się przewracało, kiedy przed frontem wzięli z polska po węgiersku wyczytywać, kto to na one nasze męstwo wyczekuje. Uczyli my się tego jak pacierza. A to — pamiętam — Karol Emanuel IV, sardyński król, któremu szubienicznik Buonaparte wydarł jakisi Piemont, a to książę Parmy, to samo Karol i to samo czwarty, ale już nie Emanuel, a to książę Herkules z Modeny i sama królowa Karolina z Neapolu. Niemala ja z kamratami ziemi zdeptał, onych person broniący. Jak ja dziś wspomnę a zliczę, panowie bracia, to my w onczas ze trzysta mil nieustającym przemierzali krokiem. Szli my piechtami przez kraje niemieckie, zielone, leśne a rolne, przez bardzo piękne sioła, przez one szumne rzeki-strumienie... Boże mój, Boże! Dołami onych pagórów, precz w wyżyny, pomiędzy skały i aże ku białym śniegom... Zrazu nawet wierzył

Wspomnienia, Polak,
Żołnierz, Walka, Historia,
Głód, Bieda, Strój, Polska

człowiek z drugim, że świętą osobę Najwyższego Pasterza jegomości piersią swoją osłaniać idzie. Z kim się było zrozumieć, komu zaufać, zwierzyć się a ugwarzyć? Naród zegnany z wszech stron, z czterech końców świata. Wilkiem patrzył jeden na drugiego i jako ten zbój czyhał na oficera, a oficer znowu jak wilk szczyrzył zębce na podkomendnych. Nie zostawił ta zresztą komendant pobratymca jednego z drugim w glicie, ba! w kompanii! Niechże to kapral wypatrzy, że się dwaj między sobą w głuchą noc zszepczą, że jeden do drugiego niby to przypadkiem, z głupia frant szlusuje w bitwie, że do się z dala gadają oczyma albo przez znaki: pierwszy raz będą oba biegali bez żywą ulicę, a drugi raz — kula w łeb. Toś ta i język umiał dobrze trzymać za zębami, a ślepie pod powieką...

A taki swój swego gdzie nie wie, w dziesiątym regimencie, po oczach, po kościach lica, po smętku a milczeniu rozezna. Ileż to razy, braciszku moi, na pobojuwyszczu gonisz zajadły, święty ugór zranionych przemierzasz twardym krokiem i skrzywdzisz obcasem braterską pierś czy głowę! Dopiero krzyk rodziwy, dopiero jęk przebiję cię z dołu jako ten bagnet. A ile takich pól przemierzył ja w pierwszej wojnie! ile w drugiej!

W drugiej wojnie zeszedli my byli z gór w pola lombardzkie. Tam to one drzewa oliwne, jakobyś wierzbinę swoją obaczył, tam to brzoskwiniowe sady... Sama była wiosna. Jedni z naszych kamratów pod arcyksięciem Karolem poszedli w dół Renu na Jourdana, inni darli w Szwajcary na Massenę, a my pod felcajgmajstrem baronem von Kray zeszedli nad Adyge rzekę.

Wnet baron rozparł się lewym skrzydłem w Legnano, a prawe oddał pod komendę generała Kaim, i tamto stanęło za Weroną. Sam środek opierał się o to stare mieścisko. Generałowie Elsnitz i Gottesheim z siedmioma batalionami piechoty i trzema szwadronami huzarów zajęli stanowisko Bossolengo i Polo na prawym brzegu Adygi. Łańcuch graniczny od modrego jeziora Garda aż do miejsca zwanego Mamalagna trzymały dwa bataliony wojska granicznego, cztery kompanie strzelców i szwadron huzarów. W tej wsi Polo postawili na Adydze dwa mosty, a przed nimi usypali szańce ziemne. Dnia 26 marca od samego rana zwały się na nas dywizje francuskie. Młode bestie, żołnierz z pieluch, toteż to szło w biady, sięgało ci do gardła jak we szkole. Dywizja Grenier! Ale i cesarscy nie dawali się zjeść w kaszy. Żołnierz stary, wyćwiczony, w stu bataliach się terał. Tam to zawrzało! Skłębiły się i zagmatwały te dwa wojska, wżarło się jedno w drugie. Dawaj bić! Bagnet szczęka w bagnet, oczy łypią w oczy. A staremu wiarusowi spod Melasa czy spod Kraya nie tak znowu łatwo broń z garści wytrąci bele smyk, choćby, bestia, i młodymi zębami kłapał.

Ale był tam między nimi kto inny ku pomocy. W przedniej straży szedł batalion od innych odmienny. Walił środkiem, zaprawdę jak żywy mur. Chłop w chłop, ramię w ramię, puklerz przed nimi z bagnetów...

Panowie bracia! Spójrzę ja na tych ludzi krwawym ślepiem — w boju spracowany... Błąd się głowy czepia, gwer z ręców leci, włosy na głowie stają! Jezusie Maryja! Taże to nasze barwy i znak! Słyszę, przez Bóg żywy, swoja komenda! Pierwszy ja raz tak ich oko w oko zobaczył. Nim słowo rzec już ci ślocham w głębi szeregu. Nim słowo rzec, już ci z trupa bratniego mundur zwłóczę i na ramiona wciągam. A dokoła mnie swoi ludzie. Słyszę rozkaz. Wtedy! Myślę sobie: „A skoroś mi, Panie Jezu, takowego dnia dał dożyć i takowym miłosierdziem nad dolą moją zaświecił, toć i ja Ci pokażę, żem przecie sroce spod ogona nie wypadł!”

Z tym samym austriackim gwerem w Łapach jak pójdę! Jak stanę w szeregu, jak wezmę pospołu z bracią rznąć w batalion Koenigsegg-Rothenfels! Śmierć to śmierć! Tam w oczach moich poległ szef batalionu Lipczyński. Siedemdziesięcioletni starzec, pułkownik za naszych czasów, Darewski, walcząc na ochotnika jako prosty żołnierz w tym samym co i ja szeregu grenadierów, śmiercią mężną skonął. To samo porucznik Rafałowski, to samo dwaj Zaderowie na szańcach, to samo podporucznicy Borys i Majewicz u mostów na Adydze, a żołnierzy i podoficerów 150 chłopca.

Ale dywizje Delmas i Grenier po czterogodzinnym boju wzięły pazurami szańce z kompletem armat, wyparły moich Austriaków, przegnały ich na lewy brzeg, wzięły szturmem oba mosty i nie pozwoliły ich zniszczyć. W dywizji Victor był drugi batalion polski pod Rymkiewiczem generałem, co w wigilią tego dnia przybył z dalecyny, bo aż, mówili, z Konstantynopola. Męstwem swoim ten batalion samych zadziwił Francuzów.

Gnali my białasów aż pod mury Werony. Ale bitwa tego dnia kosztowała legion polski 750 zabitych.

Taką to ja drogą poszedł w one legiony... Wliczyli mię do trzeciego, co był ostatkiem, szcząteczkiem. Generał Scherer zaczął się cofać. Bataliony pierwszy i drugi w swoich dywizjach, trzeci z półbrygadą francuską i dwiema armat pod rozkazem Kosińskiego składał wystawioną straż w Rolta-Vecchia dla zasłonięcia obozu dywizjów Victor i Grenier od Marengo do Casteletto. A gdy armia francuska nie mogła dłużej ustać w tym położeniu bez obawy, że ją otoczą, wtedy Bartki francuskie uradziły, żeby się cofać. Generał Scherer — bodaj z piekła nie wyrzwał! — kazał nam dwustu nowym rekrutom, gdy główna siła naszych poszła do Mantui, zamknąć się w twierdzy mediolańskiej, co ledwie kilka dni bronić się mogła. Wiedzieli my, że leda dzień obsadzą nas Austriaki jak to morze, a skoro się poddamy, lby nam ukręca. Na nasze szczęście, splamiony Scherer opuścił dowództwo. Zaraz generał Moreau cofnął barbarzyński rozkaz. Wziął nas ze sobą, gdy za Ticino uchodził. Legion Wielhorskiego zamknięty był w Mantui i nasza z nim komunikacja zerwana. Poszli my z armią włoską. Byli my w boju pod Valence... Dawne męstwo odżyło, dawne się wspomniały czasy.

Wnet generał Macdonald, uchodząc z Neapolu przez wielkie włoskie góry, przyszedł na nieszczęście swoje pod Trebio i stoczył oną bitwę straszliwą. Złączył się potem z armią włoską i poszedł pod komendę generała Joubert. Bój pod Terzo i Medesima! Zginął mężny Joubert, prawdziwy żołnierz, gdy rankiem o godzinie trzeciej w pierwszym brnął szeregu... Bili my się tego dnia od świtu do późnej nocy we trzydzieści tysięcy przeciwko osiemdziesięciu zjednoczonych. Generał Colli z jednym batalionem francuskich mazurków i dwiema secinami naszych, co my się zwali legią trzecią, zasłaniał rejteradę. Po Joubercie — Championnet generał, a gdy ten umarł — Massena.

Legia pierwsza pod Dąbrowskim do połowy wybita przyszła w genueńskie góry. Tam my się spotkali. Ożyły nadzieje. Buchnęła w szeregi wieść o powrocie z egipskiej wyprawy „najstarszego Bartka”, jak zwali wtedy wielkiego wodza nasi żołnierze-wiara.

Oręż wrażał w dłonie od samego płomyka nadziei, że leda dzień, leda chwila przybędzie przed nasz front i powiedzie poprzez struchlały Wiedeń. Już my widzieli zjawę karpackich gór, krakowski rynek... Już my w pieśni przemierzali dalekie ziemie.

Wśród onych chrobrych dni wkroczyli my do Genui miasta, a bramy jego zatrzęsły się za nami. Z lądu, ze wszystkich dolin i gór, oblegał generał Ott, a okręty angielskie lorda Keitha z morza. Ustał dowóz żywności. Ziarno zboża nie doszło już od tej chwili do miasta. Zrazu dawali nam połowicę porcjów, potem ćwiartkę, a koniec końców po dwa luty śmierdzącego mięsiwa na człeka, po gloneczku chleba. Przyszła nędza bardzo wielka. I nie tylko na wojsko, ale na całe miasto Genuę. Ludzie poczęli mrzeć jak muchy, i nieśli ich ta tłumem na owo piękne Camposanto.

W parę tygodni wymarło ze zgnilej strawy i z zaraźliwych chorób dwadzieścia tysięcy ludzi. Z nas znowu, z żołnierzy wdrożonych do biedy i twardziny żywota, zostało w kupie osiem tysięcy prawdziwych kościotrupów. Siedzieli my na tych górach grzebieniastych ponad grodem, czyhając jak te sępy.

Nasz tam, wiecie, Polak krótko się martwi. Wzdychać se wzdycha w najgorszej chwili, jako i zaklnie aż w kościach trzeszczy, ale wnet się przecie skrzepi bele czym. I juźci słyszysz, śpiewa swoje... Aby ino razem, aby w kupie, to i dobrze. Samego zostaw na dwa dni — juźci się rozstęka, że najteższy chłop na nic. Widzieli my austriackie zastępy rozwleczone w dolinach i het — precz! — po suchych gołogórach, jak se ta na nasze trupy ostrzyli bagnety. Wołali my na nich: „Chodźże, chodź, nienasytku, a po drodze przemień się w kruka, żebyś nas przecie całych pozżera!”.

W dali przed nami było wielkie morze. Jak je sobie wspomnieć!... Dalekie, modre lądy idą stamtąd we dwie strony świata, na wschód i na zachód słońca, a giną i rozplywają się we mgłach niebiosów i we mgłach wód. Jest takie miejsce, gdzie ich już oko nie chwyci — wypsną się najbystrzejszemu — a długo patrzysz, żeby je gwałtem, jak idą między niebo a wodę, wysledzić, to ci ino ła z oka pociecze. Najbliższy ząb gór, Portolino, wrzynał się w morze z lewej strony, a na prawej za miastem Savoną już ledwie znać było ziemię. Morze dalekie było stamtąd widać, jak chodziło szumne, gromkie, zmiennobarwiste. Och, morze moje, morze!... Tam ja się poznał z tobą... Zatoko moja, zatoko... Jak to tam nad nią stały złomy nagie, w których spalone szczeliny wszczepia jastrzębie knykcie szary, drapieżny

kaktus. Jak to tam leżą w rozpadlinach uschłe łoża potoków, drogi, któredy ino chodzi złość a furia burzy wylęglej w morzach. Żyli my w pośrodku rumowisk, gdzie cienia nie znaleźć przed mściwym słońcem. Czasem się tam zabłąka pokręcony krzew bukszpanu i tuli pod sobą cień tyli, że w nim głowy nie schowasz.

Przyszedł na nas w ostatnich dniach obrony głód nie leda jaki. Spadziste ulice Genui! One ciemne a wąskie jamy, gdzie słońce nigdy nie dociera!... Puste były, gdyś tam szedł ku portowi, żeby choć z morza co nieco wyłowić na haczyk ze śpilki — jakby już wszyscy do nogi wysnęli.

Gdy my się tam szwendali jak psy bezpańskie, szukając byle ochłapa, żeby choć ducha odświeżyć, nieraz śmierć w oczy zajrzała. Skoroś ino ostrożnie wsunął nos i oczy z ulicy w czarną i zimną sień, wnet na cię warknął Włoszyn zielony z głodu albo ci lufę króciocy wprost między ślepie wstawił, albo ta na paluszkach szedł z nożem w rękawie, jak pies-milczek. To nieraz taka desperacka fantazja pchała człowieka, że właśnie szedł od nory do nory... Skutek zawsze był jeden: pustka w jelitach.

Kapitulowały wreszcie nasze „Bartki” — Massena i Soult. Resztki legionów wyszły z miasta w stronę Marsylii. Bez tynfa w wacku, bez butów i odzienia, w rękach starganych i zetlałych szmat, półnaczy i o głodzie, ciągnęli my w świat francuskimi górami. Zima była, deszcz, bieda! Gdyś się na bosaka podbił, stłukł a poranił nożyska, że popuchły jak bochenki chleba, brało się deszczułkę za podeszwę, szpagatem ją przytwierdzało do stopy — i dalej. Gałgany zlatywały z gnatów... Idziemy, bywało, przez włoskie w Morskich Alpach siedliska, śmieją się z nas piękne dziewczki stojąc przed progami murowanek i pokazują palcami nasze stroje. Tornistry na nas ino całe a czapki. Reszta dziury. Wstyd! Dopiero panowie dowódcy dawajże nas w ambit wbijać! idzie oto nasz Słoński, chłop osobisty, walny, z jednej sztuki, krokiem twardym a buńczucznie, a hardo. Mundur na nim białą nicią w stu miejscach ześcibany, buty jeść wrzeszczą, że to w szeregu całym sły chać. Kiszki w nim takiego marsza grają, że żadnej nam orkiestry nie trza... Wszystko — bajki! Wąs drze do góry, nadał się jak po trzech obiadach, mina jak sto tysięcy diabłów.

— Trzymaj się jeden z drugim! — wrzaśnie, gdy mu w glitach stękają. — Równaj się! Wiedz jeden z drugim, że najjaśniejszą Rzeczpospolitą w tornistrze dźwigasz!

Zaraz się ta mężniej nogi ruszały i głód się nie ważył doskwierać.

Trepka chodził po izbie cichymi krokami. Czasem stanął i, plecami oparty o ścianę, kołysał się tam i sam. Przez zaciśnięte jego zęby wydobywało się bezwiedne świstanie ulubionej melodii:

Kiedy twoje spotkam oczy,
Nim postrzegę, żem widziany..

Wędrowiec westchnął i zamilkł.

— Cóż się z wami stało później? — szepnął Cedro.

— W Marsylii równa nas czekała bieda. Rząd Dyrektorów nic o nas wiedzieć nie chciał. Za swój własny ostatni grosz oficerowie sprawiali żołnierzowi chusty, odziewali przybyszów w uniform i stawiali pod dawne chorągwie.

Przybyli oficerowie, w niewolę roku siódmego wzięci w Mantui, co w pustym klasztorze pod Leoben jedenaście miesięcy przetrwali. Uzyskawszy wolność, od razu ruszyli do nas. Za nimi ściągnęli żołnierze, co w czasie kapitulacji uszli byli, i przebywszy górę Cenis tułali się po Francji. Potem nie było już dnia, żeby po jednemu, po dwóch nie przybywali towarzysze wzięci w niewolę, co to w kajdankach rozesłani byli po regimentach austriackich, a teraz znowu, po wtóre, uszli z cesarskich szeregów i o setki mil szukali swojej komendy w legione. Objął nad nami komendę generał Kralewski a po nim Karwowski.

Nierychło, nierychło przeczytali nam wodzowie dekret Pierwszego Konsula, że idziemy na żołd Rzeczypospolitej Francuskiej. Na dwa my się rozpadli legiony. Pierwszy, z siedmiu batalionów piechoty i jednego artylerii, dostał się pod komendę naszego generała-porucznika i przyłączon do armii włoskich, a drugi, ze czterech batalionów pieszych, regimentu kawalerii i dwu kompanii artylerii konnej, pod komendą Kniaziewiczza poszedł do armii nadreńskiej. Wkrótce nasz pierwszy legion liczył sześć tysięcy ludzi. Ruszyli my się z Marsylii w Mantuańskie pod starego Massenę.

Polak, Żołnierz, Historia,
Walka, Wojna

Rok dziewiąty! Odparci cesarscy za Mincio. Część naszej legii poszła do obwołu Peschierzy, a ja w drugiej pod Mantuę. Dziwne losy zrzędzenie! Zważcie jeno, panowie bracia: przyszedli my w te same wądoły, nad one zgniłe rowy i murowane fosy, co je krew naszych braci zboczyła. Mieli my możność hojnie odplacić za podłą zdradę roku siódmego, za sekretny paragraf Kraya. Krzyk się w szeregach rozszerzył: „Nie darować!”.

Gdy my wyciągnęli linią na ćwierć mili, a białe wojska miały z murów wychodzić, legia jak jeden człowiek ścięła zęby i w bramę wlepiła krwawe oczy. Ci tu stali, co na tym miejscu hańbę ponieśli. Chwila, i rzucą się jak jastrzębie na schorowaną i bezsilną załogę. Broń u nogi, ale śmierć ziele z oczu... Wtem, jakoby na komendę, staną przed szeregami panowie oficerowie, i przemówią krótkim słowem do duszy wojska... Hańba by to, prawi, była i zmaza na honorze niepokalanym rycerzy plugawą i nędzną zemstą się parac. Nie fałszywymi przysięgi, nie zdeptaniem słabego, nie pobratymstwem z zakonem zbójców walczy Polak. Honor żołnierza rozkazuje równą wrogowi a kamienną pokazać stałość w niedoli i w chwili tryumfu.

Nie sprzeciwił się żołnierz legionowy swemu dowódcy. Stanęli my w porządnym szyku, gdy nieprzyjaciel wychodzić zaczął z twierdzy przez cytadelę. Zażądał tylko nasz pan generał, żeby wojsko austriackie nie krokiem paradnym szło, lecz żeby go odmieniło na prędko. Tak się też stało. A gdy tak szli bez sztandarów, a żywo, żywo — raz wraz z ich glitów występował żołnierz-Polak, roztrząskiwał broń w oczach komendantów i stawał w naszej kolumnie.

Ostatnia to była nasza piękna chwila. Pokój w Lunewilu! Zachmułyły się dusze... Wdzieli my, że przekrzęścił i opada ostatni kwiatek nadziei. Tak jakoby spod onych bram Wiednia... Legion drugi otrzymał rozkaz iść znad Renu w dziedzinę Toskanii, która Królestwa Etrurii wzięła tytuł. Rzucił mundur generał Kniaziewicz i co ognistsi jego oficerowie. Sokolnicki wiódł legią przez Szwajcary trzema szlakami na miejsce przeznaczenia. My w sile półsiedm tysięcy głów zajmowali Modenę i Reggio.

Nikt już teraz nie wiedział, co będzie dalej. Mówiono, że mamy iść w służbę króla Etrurii, to znowu, że na żołd cyzalskiński. Złękli się ludzie. Wdała się dezercja, nastał bezład. Szepotali co świadomsy, że zrobią z nami to samo co jakiś Wielki Fryc z najemnym wojskiem po siedmioletniej wojnie, a że nikt dobrze nie wiedział, co zaś za Fryc i co on zrobił z onymi wojskami, więc strach szedł coraz większy. Wtedy to powstał plan obrony...

Jeden mocny nasz batalion stał załogą w Mantui i był najsilniejszą częścią garnizonu. Myśl obronna była taka, żeby opanować bramę Pradelli, gdzie tyle krwi naszych wyciekło w fosy — i przez to miejsce wpuścić drugą dywizję wojska pod Sokolnickim. W tym samym czasie miał regiment kawalerii pochwycić Peschierę i całą linią nad Mincio, wszystkie mocne i niezdojbyte miejsca. Wtedy garnizon puścić na parol i iść w biady czy w układy z Rzeczpospolitą Francuską. To była myśl Fiszera. Wezwano do rady oficerów po kilku z każdego batalionu. Wszyscy w jeden głos okrzyknęli, że się zgadzają, i z zapalem najgorętszym oświadczyli gotowość do dzieła. Ale się oparł sam pan generał. Inną myśl podał. Wyjźdźmy, prawi, cichaczem z Modeny do Otranto, pochwycimy statki, usiądźmy na nie i płynijmy zbrojnie na Korfu, Cefalonię i inne wyspy, co składały Rzeczpospolitą siedmiu wysp Jońskiego Morza. Tam radził opanować silne punkty, ogłosić wysp niepodległość, jako ich armia osiąść i czekać aż do czasu. Z tym planem udał się pan generał Dąbrowski do Pierwszego Konsula.

Kiedy takie zamysły nurtowały w naszych korpusach, przybył z kwatery głównej do Modeny generał Vignolie dla wykonania nowej organizacji. Przywiózł nam słowo Pierwszego Konsula, że skoro legiami być już nie możemy, a wzdramy się iść w służbę króla Etrurii, żeby nas za najemnych szwajcarów nie poczytał świat, tedy on proponuje nam, abyśmy przyjęli poddaństwo Francji. Kto z was, mówił generał, nogą stanie na ziemi francuskiej, otrzyma wszystkie prawa francuskiego obywatela. Zawierzono. Zaraz tedy odjęto nam tytuł legiów polskich i zamieniono na półbrygady wojsk cudzoziemskich. Jedenaście batalionów piechoty zredukowali do dziewięciu, to jest zmienili na trzy półbrygady. Stu blisko oficerów straciło miejsce w nagrodę zasług. Dwa pułki przeznaczone zostały do służby cyzalskińskiej, a trzeci miał zostać w Etrurii. Sztab legionowy odsunięty od komendy. Pierwszej półbrygadzie natychmiast kazano maszerować do Mediolanu... Tak to korpusy nasze zostały rozzerwane. Usiłowania pana generała żadnego nie odniosły skutku. Projekt amarkowania się na siedem wysp i opanowania Morei nie znalazł aprobaty

chytrego ministra. W smutku powrócił wódz, oznajmiając upadek legionów.

Kiedy już się to dokonało, wówczas przez kilka miesięcy żołd trzeciej półbrygady został wstrzymany; a kiedy oficerowie dla wielkiego niedostatku nie byli w stanie z miejsca się oddalić, wyszła piąta i sześćdziesiąta ósma półbrygada, stanęły obie pod bronią z rozkazem użycia gwałtu w razie naszego oporu. Otoczono nas siłą przewyższającą i ponieniemem, pod paszczami armat przymuszono wsiadać na fregaty w Livornie...

— Dokąd? — wyszeptał Cedro.

— Dokąd? Zrazu mówili, że do Tulonu, a wreszcie wyznali wprost.

— Na Antyle?... — mruknął Trepka.

— Tak jest, panowie bracia.

— I to wy, co się honorem chlubicie, żołnierze z bronią w ręku!

— Z bronią w ręku...

— Trza było skonać, a nie iść ponieniemem.

— Słowo łatwiej powiedzieć, niż rzecz samą wypełnić. Onych i wtedy nie opuściła nadzieja. Mówili sobie: „Zginął nas jeden tysiąc, drugi, zginie trzeci — a taki zatrwamy!”. Dziesiąty tysiąc, a nie, to dwudziesty z kolei przyjdzie na miejsce swoje. Wielki wódz słowo dał. A żołnierz wodzowe słowo na czulej szali waży. Tylko widać tego ostatniego tysiąca, mówili wtedy, jeszcze nie wybiła godzina. A panowie oficerowie! Posłuchaj, panie bracie, chętnym sercem, a uważ...

Panowie oficerowie naszej półbrygady, choć wiedzieli, co ich czeka, nie chcieli się chyłkiem uwalniać ze służby, nie chcieli w tej bardzo złej godzinie opuścić żołnierza, któremu przewodzili w boju a z którym przeszli góry, niziny. Ani jeden nie uszedł z Livorna, żeby głowę ocalić, choć były po temu sposoby.

Słowem honorowym polskim przysięgli się dzielić los z bracią. Prawda, był później, słyszałem, jeden, co towarzyszący naszym w drodze do Genui, gdy szli naszymi tropy ambarkować się za morze, przystawił z boków i z tyłu szwadrony kawalerii francuskiej, żeby snadź żaden ucieczką się nie salwował. Z jego także naprawy wyszło posądzenie oficerów o spisek i bunt, co przyspieszyło rozkaz wsiadania. Sam ów został na lądzie, gdy fregaty wojenne od brzegu genueńskiego odbiły. Pierwsze to było i ostatnie złamanie wiary w legionach.

— Mówże waćpan, co z tobą — nastawał Cedro.

— Jam ci należał do 113 półbrygady, co w dniu 13 czerwca 1802 roku wstąpiła na pokład w Livornie. Ostrożność generała Rivaud, który z piechotą, konnicą i artylerią otoczył nas pierścieniem i pchał do portu, była całkiem zbyteczna. W porządku stanęli my na kamieniach portu. Rzędem czekały szalupy. Rozpacz tłukła nam piersi jak ona burza... Bo burza sroga wstawała tego dnia w morzu! Pomnę... One mury zimne, samotne płoty kamienne w morzu z południa, za cichą zatoką, jak na nie z czarnych dolów chlaszczą piany białe. Niebo wpośród dnia czarne jako o północy, a w nim niedaleka, zda się, tuż, tuż, grozi ponura skała Kaprai. Latarnia morska połyskuje na niej raz za razem, raz za razem, nikiej bolesny znak na trwogę. Ptactwo na żelaznym niebie z piskiem się chyba. Padnie piorunem w siwe, chodzące góry, w złe doły, w one dymy sieczne i palące — i znowuj lotem w górę, na skrzydłach, aż ta zginie. U nóg twoich, człowieku, morze między złomami chepa a ślocha. Jakie to ta w nim głosy! Jakie ta krzyki!

Stoi domek strażniczy na samym końcu molo. Przysiadł, zda się, i czeka. Tyłem się wykręci, mchy kamiennego daszku na się — i cierpi. Strzeli w niego bałwan rozbiegany z prawej, leci nań z daleka od Elby czy Korsyki góra wodna, jakoby dziki, zjuszony koń... W porcie wiatr przyciszony. Poszarpuje ino nasze korwety. Wydmie dolne żagle, naciągnie, aże zawarczą, zaświszczą liny. Górne zwinięte do cna. Wielki żagiel, co go nazywają marynarze *grand uual de mizen*, czasami ino rozciągnie się, jakoby siły swojej mocarskiej próbował.

Dali rozkaz: „W szalupy!”

Każą nam wyciągać kotwicę kontradmirałskiej fregaty. Werznęła się była w dno i zahaczyła o głazy. Stu kilkunastu nas dołożyło ramienia. Wreszcie poszła. Okręt manewruje żaglami i nastawia się... Wnet idzie spomiędzy kamiennych grobli na pełne morze. Nasza korweta dybie za nim trop w trop. Hejże, hej! Ledwie my się pokazali na głębokich toniach, na wiatrowisku, porwie nas i poniesie. W szyję między Elbą a Korsyką! Zda nam się krótko widzieć kamienny, pusty, ciemnorudy brzeg. Słyszymy, jak to tam dzwonią

Burza, Morze

w skały rozwścieczone welny, jak tam świszczą lasy po górach, jak grają skały czerwone. Wnet jeden maszt, złamany jakby ten pręt leszczyny i pospołu z żaglem ciśnięty w fale. Z trzaskiem lecą na pokład latarnie urywane z górnych masztów! Burza! Pójdzie nasz okręt w górę i na dół. Pocznie go zagon morskich wałów z boku na bok kłaść, bić w pierś jakoby belką! Straszne, siwe morze! Och, wściekle!

Dużo ja w życiu twardych dzieł widział, a nigdy jako wtedy. Strach me obszedł wokoło. Bliska a niespodziewana śmierć zajrzała w oczy, tchnęła w twarz... Rozmiotła burza naszą flotyllę z trzynastu okrętów złożoną w cztery strony świata. Dwa tylko zdołały na powrót do portu zawinąć. Trzy wpędzone zostały do kanału Piombino między wyspą Elbą a lądem suchym, okręt grecki rozbił się całkiem o skały i ze stu sześćdziesięciu ludzi tylko jeden kapitan Kastus ze swą żoną na brzeg się wydobył z toni. Reszta okrętów, a między innymi nasz, latała w morzach, miotana wściekłością żywiołów. Ani przez ten czas strawy, ani napitku. Kto leżał bez duszy i taczał się z końca w koniec sali pod pokładem, tego kapitan nie mógł brać do roboty, ale który mógł ustać na nogach, tego na pokład i do lin! Niejednego bałwan huknął w piersi i połknął pianami na wieki wieczne. Bosy, przemokły do ostatniej nitki, spracowany a zeszarpiany od womitów, bez siły w sobie ciągnął człek one liny.

Jednego razu w ciemną noc grzmotnęło okrętem w jakieś skały. Zatrzeszczał, zadygotał i legł na boku. Stanął. Usłyszeli my krzyk kapitana: „Siekiry! Tnij liny! Tnij drugi maszt! Armaty z zatopionego krańca w morze!”. Dali go wtedy, co mocy w ramieniu! Plusnęły nasze działa, wszystkie sześć jak jedno — i okręt wolno, wolno wstał, sprostował się.

Po czterech dniach i czterech nocach zaczął wreszcie żywioł nacichać. Dopiero ja z towarzyszami — spać. Zimnica trzęsie, sny straszne... Pić... Nie wiedziałeś, człeku, owo zgoła, gdzieś jest, co się dzieje. Tymczasem rozbite nawy znalazły się między Wyspami Balearskimi a brzegiem Hiszpanii. Łatał się tam nasz statek, stroił w żagle. Po kilkunastu dniach zebrał się wreszcie i popłynął ku Maladze. Tam już i inne członki flotylli zdążyły. Dopędził nas okręt, na którym był szef batalionu Bolesta starszy, który to okręt pod Syrty afrykańskie był zapędzon. W lipcu okręt nasz podniósł kotwicę, a sterując po podładziu, między brzegami Gibraltaru i Algeciras a Ceutą w Afryce, szedł wolno w stronę naznaczoną.

Widzieli my gołym okiem z pokładu starą ziemię... Cicho było i pięknie. Ledwie się marszczy, ledwie gzi morze. Jeszcze mi w oczach do dziś dnia stoją one dwa brzegi dalekie. Brzeg hiszpański, z którego strzelają w niebo góry skaliste, nagie, gdzieśgdzie porośle pinią i cyprysem... Pierzaste liście wierzchołków palmowych wznoszą się z kujaw piachu, płasko rozciągniętych na brzegu Afryki. Jakoby wikłowe chlusty widzą się z dala, jak u nas po nadrzeczu. Jeden za drugim szły okręty. Ludzie nasi odkryli głowy. Milczą i żegnają się oczyma z lądem, co ich wydał. Straszny żal...

Nazajutrz zawinęli my do Kadyksu. Półbrygada, mająca się przesiąść na inne okręty, wysiadła w Kadyksie i dwanaście dni straciła na przygotowania do odjazdu. W sierpniu dopiero z pomyślnym, północno-wschodnim wiatrem opuścili my port, ominęli cypel Tangeru... Idziemy między wyspą Maderą a Kanaryjskimi, potem jeszcze dalej. Wiaterek się odmienił, weszli my na wody krążącego oceanu. Odtąd stateczny, wschodni wiaterek przy niebie pogodnym dozwolił nam sterować prosto po kędziorowatych falach ku Antyloom.

Upały nastąpiły najstraszliwsze. Noce tylko przynosiły chwilę odetchnienia. Pod sam koniec sierpnia taka cisza nastąpiła w morzach, że nawy stały jak na murowanym fundamencie, na litym zwierciadle. Czekali my z upragnieniem zachodu słońca. Ledwie się utopiło w onych stojących równinach, wznosił się w tym miejscu, gdzie zginęło, błady, sinawy pas światła zodiaku. Dygotał wtedy każdy, bo było tak, jakby z trójkąta nachylnego nad wodami patrzyło w nas oko wieczne. Podobne my widywali dzieckami w kościołach rodzinnych wsiów. Ale wtedy! Deska onego trójkąta była u podstawy rozległa jak samo morze, a szczyt jej gubił się w schodzącej nocy... Nocami świecił nam księżyc. Nieraz my go opasali oczyma i tak oto całą noc leżym na pokładzie czuwający, dokiela błady i zimny nie odszedł w odmęty zachodniej strony. Świeciła nam gwiazda wieczorna tak wielka, że się od niej strzała pozłocista kładła na poprzek morza.

Nieraz, bywało, wyjdzie z topielów błędna sucha chmura i wszystkie oczy powiedzie na wschód, w niezmierność oceanu, rzuci na nas widzenie senne lądu ojcowskiego...

Morze, Słońce, Światło

Zmniejszono nam racje jadła i wody. Woda stała się brudna, cuchnąca, pełna robactwa, a i tej tylko kwartę na człowieka dziennie dawali. Par stał się taki, że mdlał najtęższy. Smaga w ustach dniem i nocą, że się wargi raz kole raz trzaskały. Język wysechł na suchą drzazgę. Żołnierz jako to żołnierz. Skakał z pokładu w morze dla ochłody. Żle się to najczęściej kończyło: jedni dostawali kurczów, a inni od rekinów i morskich wilków pożarci.

Około pierwszego września ocknął się wiatr wschodni i z największą szybkością pognął nas ku wyspom. Ale dopiero w połowie października ujrzeli my przylądek Samana. Wkrótce wpłynęli my do zatoki Mancenilla i pod miastem Cap-Français rzucili kotwicę. Odtąd zaczęły się nasze dzieje.

Już wtedy wódz zbuntowanych Murzynów, Tussen-Luwertiur, zdradą pochwycony został, odesłany do Francji i tam w jakimś ponurym zamku żywota tęgiego dokonał. W sierpniu 1802 roku rozeszła się po uciśnionej wyspie szeptana wieść o zaprowadzeniu pomiędzy Murzynami niewoli. Takie postanowienie francuskiego rządu wzbudziło powszechną zgrozę i stało się hasłem rokoszu. W górach San-Domingo stanęli na czele kreolów Murzyn Lamur de Rans, w Wilier wzbudzi bunt San-Susi, w Dondon — Noël, w Plesans — Sylla, w okolicach Port diu Pe — Makaja. Istotnym przeciw wszystkim wodzem był Karol Beller, a tego siedliskiem były góry Kaho. Prawie cała ludność murzyńska na wyspie złączyła się z mulatami i chwyciła za broń.

Kapitan jeneralny Leklerk, podszywany przez naczelników murzyńskich, co jeszcze w służbie pozostali, takich jak Dessalin, ten sam, co się potem za cesarza wyspy Haity pono ogłosił — postanowił szerzyć wśród nieprzyjaciela postrach morderstwami. Pastwiono się na jeńcach wojennych. Wyszła taka zasada, że każdy jeńiec wojenny ma skonać wśród tortur. Murzyn złapany z bronią w rękę, a nawet i bez broni, ale w polu, wszystko jedno: winny czy niewinny, śmiercią konał. Przeciwna strona czyniła to samo. Nowy to dla nas był sposób prowadzenia wojny.

Okropne choroby zaścierały pole, a nade wszystko straszliwa „ciotucha” — żółta febra. Dziwna to była słabość. Jednych zabijała na miejscu, jak piorun, bez żadnych poprzednich oznak, a dla innych była długim, bezlitosnym konaniem. Tak to nagle, pamiętam, umarł nasz podporucznik Bergonzoni na pokładzie fregaty. Pewnego poranka, o samym świtaniu, wszedł był do kajuty kapitańskiej, w której przebywał szef Małachowski. Gdy go ten spytał, czego by żądał, Bergonzoni, jako że był służbista, wyprostował się i oświadczył, jako przybywa oświadczyć, że umiera. Wziął go szef pocieszać i uspokajać. Nic nie rzekł i wyszedł na pokład. Tam postąpił kilka kroków naprzód, padł i skonał. Włożyli go w wór, kulę wielkiego kalibru uwiązali przy nogach — i w morze.

Inaczej było z przewlekłą chorobą. Żołnierz czuł w marszu jakoby cios od kuli. Nieraz przysięgały się stare wiarusy, że ich kula przebiła, gdy naokół było cicho, a nieprzyjaciela nigdzie. Zaraz następowało wielkie osłabienie, dochodzące aż do omdleń. Ręce i nogi przeszywał ból, jakby były połamane. Trzęsące zimno. Wszczywał się wielki trzask w czole, potem we wszystkich stawach i w krzyżu. Nieszczęśliwi słyszeli uderzenia pulsu w skroniach, oczy im wysadzało na wierzch i przemieniało w ślup. Straszliwa bojaźń i wielka, niezgruntowana tęsknota nie daje pono spocząć biednej myśli. Nigdzie ulgi. Dech pędzi, jakoby ci Murzyn piersi zgniótł kolanami. Już po upływie dnia twarz nabrzmiwa i zaczyna czerwienić się jak u człowieka mocno spitego winem. Myśli okropne hulają, a sen za oceany ucieka. Wnet skóra żółknie, a białka oczu staną się jak szafran. Na trzeci dzień zwidzi się choremu, że już przeszło, już lepiej. Duch mężniejszy, oddech wolniejszy. Ale oto zaczniesz ustami, nosem, uszami, a nieraz wprost ze skóry na szyi, na policzkach ciec wolno krew rzadka, czerwonoruda. Nogi zimne jak marmur, oczy ze szkła. Pot zimny, czarne womity, gangrena rąk i nóg — i wreszcie już upragniona śmierć. Ilu to ja tam kamratów wypatrzył w onych pochodach! Ile ja cierpień ich, zwierzeń, spowiedzi wziął na barki! Och, a tamten okręt...

Jednego razu zawinął z oceanu do przystani Cap-Français okręt pasażerski. Siedziałem ja wtedy na brzegu morskim, zabity na ciele i na duchu. Już to było po roku naszego wojowania na wyspie. Byłem zranion w nogę i kurowałem ją ta, zasypując ranę miałko tartym prochem strzelniczym, zalewając winem co najtęższym, a dla odmiany wodą morską. Kula murzyńska nadarła mi mięsa niemało, stłukła i roztrzepała kość. Spuchł kulas

Polak, Żołnierz, Historia,
Walka, Kolonializm

jak baran, więc pozwolili mi naczelnicy siedzieć i wylegiwać się u brzegu. A no siedziemy coś w dziesięciu czy we dwunastu towarzysza, wszystko kalek, i gwarzymy o naszej wyspie. A już my się na niej wyżej czuba nażyli. Co który powie zdarzenie, to jedno od drugiego lepsze, jakby je sam diabeł wymyślał. Duszy swojej to już żaden nie czuł czy nie miał... Każdemu wszystko jedno: śmierć — to śmierć, a żywot — to żywot. Darować komu życie czy mu je skrócić — jedna jedyna chwila. Ani ta przedtem zastanowienia, ani potem krzyny żalu.

Przygnały tedy fale pod brzeg okręt z daleka. Żagle na jego rejach rozpięte wisały trzema rzędami, jeden nad drugim. Czarne były, mokre, dziurawe jak lachmany na zbóju. Wietrzyk je czasem rozdał, i wtedy statek szedł kadysi w morze, to znowu środkowa połać żagłów zaczynała się flańtać i zwisać, a nawa do nas wracała, bezradna jak ten korek na fali. Podpłynął ta ku niej Murzynek portowy na swej pirodze z dębu korkowego, wdrapał się jak małpa po linach na pokład. Patrzymy: zrobił na nim krok, zrobił dwa — i jakże nie pójdzie w dół! Buch w łódkę i we wiosła! Tylko się migał. Wyskoczył na brzeg... Patrzymy: cały na popiół zbiełał ze strachu. Ślepie mu kołują, kołują, gęba się trzęsie, kolana tłuką jedno o drugie. Dopiero gdy my mu zagrozili, że kulą w łeb weźmie, jeśli nie będzie gadał a żywo, wybełkotał, co widział. Cała załoga, kapitan, sternik, wszyscy podróżni do ostatniego majtka, wszystko, co tchnie powietrzem, wymarłe na żółtą febrę, leży pokotem. Widzieli my go z dala, ów cmentarz chodzący po morzu, i śmieli my się z niego między sobą:

— Na taki ci to głupi koniec przyszło — mówili my — piękny okręcie!...

Fale były ciche i dobre, jak bywają nieraz rankiem w dzień jasny na jesieni. Przyplływ je dopiero zaczął poganiać różaną gałązką, żeby tańczyły dokoła kamieni sterczących pod brzegiem, żeby z pluskiem leciały w kamienne ostoje. Każda nowa fala rzucała nam pod stopy swój niezapomniany dźwięk, w którym słycać głos znajomy, jakoby prędkiego wiatru w podlaskim lesie. Zaraz po niej grzmiała druga, za tamtą pędziła trzecia. Jeden głos wlewał się w drugi; przenikały się wzajem, obejmowały wół i dzwoniły nad naszymi głowami, jak daleko huczące dzwony w podlaskim kościele. Na tych błękitnych wełnach, na błękitnych albo powleczonych barwą żywego srebra, przyplłynął potępiony okręt tak blisko, że my weń oczyma zajrzeli. Szalupa zaczepiona biła go w bok, tłukła się i kłapała. Zwisającą banderę wiały kiedy niekiedy wydał... Kadłub okrętu szedł ku nam to prawym, to lewym bokiem, to kręcił się wkoło, przechylał, jak gdyby pragnął koniecznie pokazać nam swój pokład i taczające się po nim żółte, rozdęte trupy. Śmiali my się z niego i z nich... Minęło południe. Wzmógł się wiały. Aż się ów statek weźmie i wściecze ze złości! Wydał tego żagle, przechylił się na bok, zatoczył koło świszczące i poszedł w morski ocean. Widzieli my go, jak się stawał mały, coraz mniejszy, czerniał, znikał, jak się zawlókł sińą mgłą i przepadł.

— Idź straszyć innych, głupcu — wołali my za nim. — Idź innym śmierdzieć swoimi trupami. Nam ta trupy nie dziwne...

Język ludzki tego opowiedzieć nie potrafi, co za bezrząd opanował wojsko francuskie. Trzecia ledwie część żołnierzy trzymała się na nogach. Każdy zniechęcony, drałas, w zniszczonym ubiorze, smętny, wypatrywał miejsca, w którym go śmierć dopadnie. Jeden tedy oddawał się najwścieklejszej rozpuście, swawoli i bezprawiom, jakich rozum nie obejmie, hulał, pił, rozbijał bagnetem, wydzierał majątek i cnotę, noce spędzał wśród kreolek, Murzynek, mulatek, a drugi gotował się na śmierć w postach i trawił noce krzyżem leżąc obok posłania. Szpitale pełne były chorych, zalegających pokotem na ziemi bez dozoru, pomocy i opatrzenia. Wszelka subordynacja ustała, porządki wojskowe zgoła znikły. Szeregowiec równy był wodzowi. Nikt ta już nie zajmował się myślą o wygrywaniu bitew, o sławie. Serca zlodowaciały, dusze się objawiły zbójcekie. Bagnet stał się ostatnim prawem. Każdy się tylko podle, haniebnie lękał albo jeszcze nikczemniej lajdaczył.

Była przecie jedna dusza, dusza bez trwogi... To Paulina Buonaparte, siostra Pierwszego Konsula a żona kapitana generalnego Leklerka. Nie straciła w owych czasach ani odrobiny fantazji. Przeniósłszy się z Cap-Français do miejskiego ustronia, wpośród nieustających uctw, zabaw, tańców, muzyki starała się zapomnieć o tym, co się rozgrywało dokoła. Był czas, kiedy my trzymali straż przy tej siedzibie. W lekkim i przewiewnym pałacu między palmami huczna muzyka, śpiew. Wino lało się brodem. Często wprost

z bału, z bezcennych kobierców podjęli my trupa tancerza, wynieśli za ogrody pałacu i zakopali w ziemię. Ale takie sprawy nie przerywały tańca. Mówiło się pięknym paniom i wesołemu gronu oficerów, że ten a ten poszedł spocząć na chwilę pod cieniem palm i magnolii.

Och, wyspo, wyspo!

Ziemiem zdalaś nam się rajem, gdy my z dala ujrzeli twą piękną górę Cibao, okrytą piniami i woniejącą jodłą. Śliczne twe rzeki wypływały stamtąd — Neira, Artibonit, Juna — o wodach przezroczystych jak drążony kryształ. Wilgotne ciepło biło na nas z niskich sawanów, z gęstwin lasów palmowych... Ona dzika, niewidziana obfitość ziół, co pokrywała wilgotne brzegi, poszarpane od fal morza. Oczy nie mogły się nacieszyć widokiem różowobarwnych ptaków, flamingów, jakby kwiatów latających, co uganiając się za rybami rozweselały płaszczyzny zatok. Ledwie my stanęli nogą na tym lądzie, oczu my oderwać nie mogli od palm wachlarzowatych i trzciniastych, co tworzą szemrające gaje i puszcze, od paproci wysokich jako nasze sosny i świerki. Szli my do pierwszego miasta szerokimi ulicami, które były wysadzone drzewami pomarańcz, cytryn i brezylią. Gdzieś okiem rzucił, widziałeś z radością figi, pola trzciny cukrowej, drzewa kakaorodne, tytuń, ryż, proso, kukurydzą...

Ale wprędce przyjdzie straszne ocknienie. Owe nadmorskie sawany są tak nisko położone, że się nie dźwigają ponad mielizny zatok. Porasta je drzewo manyles, podobne do blekociny. Te to smugowia mokną w porze deszczów, które się leją głównie w porze naszych godów zimowych. Kraby znowu, jaszczurki a gady zdychają i gniją zalane w swych karpach i dziurach od wylewu rzek. Takim tedy porządkiem wstaje zimową porą ponad morzem jedno bezgraniczne bajoro, pełne oknisk niezgruntowanych, duchowina, skąd wywała się ziew zgniły z zapachem smoły nie-smoły... Komar, zwany moskitem, tnie tak, że na miejscu ukąszonym zostaje krosta i bąbel jak od sparzenia ukropem. A dopiero gdy z wiosną pocznie ogniste słońce przepalać powietrze na wskroś! Nastaje taki par, że koniec świata. Rzuca się na człowieka kleszcz zaskórny, zwany *szik*, składa pod paznokciami torebkę z zarodkiem, a te we dwadzieścia cztery godziny urastają w gruczoł tyli jak laskowy orzech. Dopiero to *sklamantes!* Ból okropny, a po nim częsta gangrena i śmierć. Mrówki skrzydlate łążą po ścianach, po stołach i tną człowieka. Żebyś umierał ze strudzenia po całodziennym marszu, skoro ci się do łóżka dostaną, wstawaj, bratulu, i umykaj w pole! Potem nauczyli my się radzić sobie z nimi, ale w pierwszych początkach, cudeńki, co my cierpieli. Potem nie kładli my się spać inaczej, tylko w szalasach, gdzie mahoniowa deska zastępowała stół, łóżko było z surowej skóry bawołu, zawieszona na słupach, a przez całą noc dla odpędzenia komarów tliły się pniaki spróchniałe.

Och! noce, noce!

Nieraz już dawno wiatер począł wiać od lądu, noc późna, a ty, człowieku, usnąć nie możesz. Drzemiesz niby, a przez sen słyszysz, że żaby rechoczą jakoby u nas w parną a krótką lipcową noc... Konik polny poskrzypuje.

Przelatywały straszne burze, których słowo ludzkie nie wypowie. Wtedy w lasach, powiązanych lianami, wyrzywało dukty na parę wiorst, las walił się pokotem jak żyto po ulewie. Zwierz uciekał jak oszalały, a całe litwy ptactwa wicher straszliwy gnał w ocean i ciskał w wodę. Człowiek, nawykły do jagłów a do żelaznej kaszy, miał ci teraz, ile chciał pomarańczów, ananasów, moreli, cynamonowych jabłek, granatów. Mogłeś rabować w bród po plantacjach banany, pistacje żółto-różowe... Ale nasz żołnierz i tego nie czynił. Jak my pierwszego dnia po wylądowaniu dostali placki z manioku, zwane *kasaw*, tak my tym żyli ciągle, aż do ostatka, bo nam chleb swojski, sitny przypominało.

Ile to walk, ile pochodów, utarczek, śmiertelnych bojów! Od pierwszej do ostatniej chwili...

Pierwszy batalion pod dowództwem Murzyna, generała Klerwo, przyłączony do półbrygad murzyńskich, już w osiem godzin po wylądowaniu ruszył do boju. Wnet przeciw ów murzyński generał zdradził naszych i ze wszystkim czarnym wojskiem swoim przeszedł na stronę powstańców. Polacy pod kapitanem Wodzyńskim zatarasowali się w kościele i mężny dawali odpór, a później ze stratą stukilkudziesięciu żołnierzy wymknęli się z pułapki i uszli do fortecy pod Cap-Français. Dzięki tylko ramieniu polskiemu to miasto ocalone zostało od napaści i zagłady. Ale ten pierwszy batalion, walcząc tam właśnie pod

Zwierzęta, Owad

Żołnierz, Polak, Historia,
Walka, Kolonializm

Cap-Français, uległ zarazie. Z tysiąca ludzi, którzy weszli do miasta, w przeciągu jednego miesiąca zostało osiemdziesięciu kilku.

Drugi batalion pod wodzą starszego Bolesty, gdzie i ja służył, wyruszył pod rozkazy Dessalina, generała murzyńskiego, w kierunku rzeki Exter. Przeprawili my się przez rzekę Artibonit w czółnach pirogowych z jednego kłosa mahoniu i przyszli my do miejsca St. Marc. W kilka dni później Dessalin z całą dywizją Murzynów przeszedł w nocy na stronę powstańców, którzy stali naprzeciwko nas pod komendą Krzysztofa i Pawła Luwertur. Ech, bieda, bieda!... Jeden batalion tych Murzynów, czterystu chłopów jak heban, nie zdążył udać się w pochód za Dessalinem. Ledwie na doświtku dnia spostrzeżona została zdrada tamtego. Jeden jedyny nasz polski batalion Bolesty nie był w stanie utrzymać w karbach i zmusić do boju z rodakami kilkuset tęgich a uzbrojonych Murzynów. Co z nimi robić? Puścić na wolność, to powiększą armię wroga, wlec ze sobą, to zdradzą w najgorszej chwili. Generał Fressinet, nasz nowy dowódca, Francuz rodowity, rozkazał czarnym wystąpić do apelu, jak co dnia. Zwyczaj wojskowy każe stawać do apelu bez broni. Skoro na plac wyszli, nasz batalion z rozkazu Bolesty otoczył ich ze czterech stron. Generał Fressinet wyszedł. Dał znak. Murzyni nie spodziewali się nawet. Chwycili my za broń i wykłuli my bagnietami bezbronnymi, wszystkich czterystu, co do nogi. Nie upłynęło pół godziny, już ani jeden nie zapał.

— Milcz! — wrzasnął Trepka zataczając się na ścianę. — Milcz, nie mów do mnie!...

Żołnierz patrzył na niego chłodnym, obojętnym okiem. Na chwilę zamilkł.

— Po toście tam popłynęli... — jęczał waląc w stół pięściami.

— Wojna jest wojna — rzekł Ojrzyński. — Bóg nasz sędzia, nie waszmość. W parę tygodni czasu z naszego batalionu, który tysiąc miał ludzi, zostało nas stu kilkunastu. Żółta febra... Och, złe to czasy! Tam my w gorącej ziemi złożyli starszego Bolestę, kapitanów Osękowskiego i Rębowskiego... Złe to czasy!

Trzeci batalion 113 półbrygady wylądował był w Port-au-Prince. W ciągłych marszach, utarczkach, walkach, znojach, gdy dzień i noc trza było z wrogiem brać się za orzydło, z chorób samych utracił sześciuset ludzi. Tak to, panowie bracia: z 3700 chłopów jak dzwona bukowe, którzy wysiedli na ląd w San-Domingo, zostało nas żywych trzystu, a oficerów naszych kilkunastu.

Po śmierci Leklerka przyszedł nad nami przewodzić Roszambò. Ten powziął myśl — psy rozjuszone, ćwiczone głodem i chłostą, puszczać na Murzynów. Wtedy już druga nasza legia, czyli 114 półbrygada, wsiadłszy na statki w Genui przyplłynęła do Antylów. Pamiętam, jak zawijały z oceanu do zatoki wolno idące okręty, *le Fougueux, Héros, la Vertu, la Serpente, l'Argonaute* i inne. Stała nas garsteczka na brzegu, żeby przybywającym oddać honory i przywitać ich w progu wyspy. Ujrzawszy nas zadrżeli. Cóż dopiero, gdy posłyszeli z ust kapitana Przebendowskiego, który był osobistym adiutantem generała Roszambò, że przed nimi stoi połowa pierwszej legii...

Wkrótce nowi przybysze wyruszyli przeciwko Murzynom. Rozdzieliły się nasze drogi. Wnet usłyszeli my o śmierci porucznika Weigla i dzielnego adiutanta — majora Królikiewicza w bitwie u reduct Carvahanac... W tym to czasie ja sam przebyłem żółtą febrę, ałem się z niej wylizał. Leżałem w barłogu długi czas między życiem a śmiercią. Nie wiem, co się działo z braćmi na przeklętym lądzie. Dusza moja szczerstwiała wtedy i uczynił się z niej jakoby płytki brzeszczot, co krwią ocieka. Udało mi się wreszcie dostać z kilku towarzyszami zwolnienie i wrócić do Europy.

Wsiadli my na fregatę idącą do Brestu i dopiero w morzach człowiek westchnął. Szczęśliwie przybyłem do Francji. Wyznaczono nam na mieszkanie Châlons-sur-Marne, dano pół żołdu. Ale skoro człowiek przyszedł do siebie, natura pociągnęła w szeregi.

Obwieścili nową kampanię. Wciągnęli my się w kilku do szeregów francuskich — i znowu marsz-marsz! Zabiło serce, boć my szli wprost na Wiedeń. I weszli my w otwarte jego bramy. Austerlitz! Oto ja ujrzał te czeskie i morawskie wzgórza, com je jako piechur austriacki przemierzył. W dali, w dali siniały nasze wysokie góry. Ale nie sądzono mi było wstąpić na swoją ziemię. U samych jej drzwi musiałem przyklęknąć i czekać: strzaskalo mi nogę, urznęli...

— Sprawiedliwie mówisz... — rzekł twardo Trepka. — Niegodne były wasze nogi, żeby na ziemię tę wstąpiły. Bóg pewnie karze za takie czyny jak wasze na wyspie.

— Zemsta jest moja, mówi Pan... — głucho odparł żołnierz.

— Na skinienie uzurpatora, wskutek intrygi jego współzalbierców deptać wolne ludy, dusić plemiona...

— Zemsta jest moją, mówi Pan. Nic waszmość nie wyrokuj! Spójrzaj no, co się stało... Dwanaście lat my przelewali krew w zawrociach świata. Bracia moi co do jednego prawie wwalili się w mogiły z głuchą rozpaczą. A teraz... Rakuskie mocarstwo roztrącone jak kupa zgonin. Dodał ramienia pod Jeną! pod Auerstädt — i pruskie państwo roztrącone! Uzurpator! Ten sam uzurpator jest panem Berlina i panem Wiednia. Nie wiesz waszmość owo zgoła, co mówisz... Niech żyje Cesarz! Po stokroć! Po tysiąckroć! Chwała mu wieczna! A teraz, słyszysz waszmość, dopadła mię tu wieść w jednym miasteczku: idzie w Poznańskie, w Mazowsze... Do Warszawy! Przez żywy Bóg tak będzie! Armie przemierzają równiny moje, gdzie rządził Prusak. Obok nich wstają ze snu powiaty, miasta, wsie. I teraz dopiero pójdą w bary! Niemca tam już jednego człowieka nie masz! Ja tylko jeden jedyny, com obszedł świat czekając na tę chwilę, nie pójdę z nimi. Ale nim piach mi oczy zasypie — dowiem się reszty. Niech żyje Cesarz!

Rzekłszy te słowa żołnierz wsunął głowę w ramiona i cały się zgarbił, jak gdyby w sobie samym ukryć chciał resztę myśli. Już ranny świt przeciekać zaczął przez szpary okiennic. Woskowe świece dawno pogasły. Trepka pchnął okno jedno i drugie. Mokry, rezedą pachnący chłód ciemnego rana jesieni buchnął do dusznego pokoju.

Młody Cedro ukazał się w oświetleniu poranka jak inny człowiek. Stał na tym samym miejscu z rękoma splecionymi na poręczu krzesła. Twarz jego była blada i szczególnie wydłużona. Włosy były podniesione jak od wichru. Spod nawisłych powiek surowe, zamysłone źrenice nie schodziły z twarzy żołnierza.

Z nagłą westchnął i wstrząsnął się gwałtownie. Zimny uśmiech przeleciał po jego twarzy.

— Rafał! — zawołał głosem gromkim, szukając towarzysza oczyma.

Tamten siedział na niskim stołeczku, z głową bezwładnie leżącą na dłoniach. Podniósł leniwie i niedbale czoło. Rzekł z wyrazem szczególnej wzgardy:

— Wiem, wiem...

Obadwaj uśmiechnęli się do siebie czy do jakiejś myśli nowej, nieznaney.

— Bodaj to wszyscy diabli! — zgrzytnął Trepka wychodząc z izby i z trzaskiem rzucając drzwi za sobą.

STRZEMIENNE

Rzeka Pilica, na którą w dniu 28 listopada 1806 roku spadł niespodziewany zaszczyt stanowienia granicy między Królestwem Galicji a sześcioma departamentami popruskimi, była tak uważnie i pieczołowicie przez *Gränzregimenty* strzeżona, że o przeprawie nawet mowy być nie mogło. Rozstawione wojska, nie przepuszczając nikogo zgoła, nawet poczty listowej, strzelały bezwarunkowo do każdego, kto się do rzeki zbliżał. Kara główna, to jest śmierć przez powieszenie, naznaczona przez rządy Galicjów na śmiałka, który by się ośmielił przekradać „do Polaków”, paraliżowała wykonanie zamiaru, dawno powziętego przez Cedrę i Rafała. Wielokrotnie Szczepan Trepka wymyślał się bryczką to tu, to tam, upatrując dyplomatycznie znośnego miejsca przeprawy. Wracając przemarzły, zmoknięty, głodny i zły, a kłął na czym świat stoi. Trzy tygodnie czasu zeszyły na przygotowaniach i przeszpiegach. Nareszcie w połowie grudnia nadeszła sekretna wiadomość, że granica po Nadwiślu od strony Śląska mniej jest strzeżona, a przynajmniej, że kordon tamtejszy nie jest tak gęsty jak nad Pilicą. Postanowiono tedy korzystać ze sposobności i nie tracić ani chwili czasu. Dla niepoznaki obadwaj awanturnicy postanowili wyruszyć niby to na polowanie, konno i z psiarnią. Spod Tarnowa dopiero mieli wsiąść w dylizans jako młodzieńcy lekkomyślni, zdążający na karnawał do Krakowa. Trepka zostawał w domu. Był już, jak mówił, za stary do tego rodzaju wypraw i coś tam jeszcze na swoje usprawiedliwienie przyłączał bardzo uczonego, o czym młodzi jego przyjaciele słyszeć nie chcieli.

Co ostatecznie uradzono, zaraz weszło w życie. Osiodłane w nocy konie stały u żłobów. Strzelec Walek ze sforą chartów wyjechał poprzedniego dnia do znajomego myśliwca pod Tarnów. Wstało wreszcie owo do dnia zimne, wietrzne...

Deszcz ze śniegiem, chamerami przelatujący, powlekał grudę na drogach łańcuchem oknisk i kałuż, śliskich jak lód. Światło nie było w stanie wydrzeć się z powrozów nocy, choć dawno już był poranek. Zdawało się, że dzień nie nadejdzie... Ogień dymnie

i z oporem płał w czeluści pokojowego komina. Obadwaj spiskowi krzątali się z pośpiechem po izbach starego dworu, czyniąc ostatnie przygotowania. Byli ubrani w grube buty, w kurtki myśliwskie. Harapy mieli w rękę, kordelasy u pasa. W zanadrzu odzieży każdy z nich pieścił ukrytą krótką broń.

Trepka był zły, rozjątrzony, dokuczliwy. Mówił, że jest niezdrów, i o byle co wściekał się na służbę. Siedział w rogu sofy i co chwila zrywał się na równe nogi jakby z zamiarem ogłoszenia wielkiej tajemnicy. Kończyło się przecież na wybuchu przekleństw, w których mieszały się w chaos wyrazy niesalonowe polskie, francuskie, węgierskie, a może nawet i tureckie.

— W każdym razie — pomrukiwał — kiedy otrzymacie krótki a węzłowaty rozkaz wyrżnięcia co do nogi klanu jakich Kafrów czy Botokudów w domniemanym interesie skolataney... hm, hm, miejcie również niejaką klemencją na oku. Po prostu przez zaskórne wyrachowanie. Zawiążcie sobie węzłki na końcach wąsów, żeby nie zapomnieć o tej przestrodze. Dobrze jest być tyranem względem sąsiada w swoim czy swoich interesie, ale przezornie jest zostawić sobie choć skromną furteczkę na wypadek, czego Boże broń, sądu historii. *Magistra vitae*, uważasz, Olbromski.

— Każ no dawać śniadanie... — przerwał Cedro.

— Dobrze jest wydrzeć język nieprzyjacielowi w sprawie przyjaciela Napoleona, który idzie na Berlin, ale darować kiedy niekiedy życie również nie zawadzi. Wszystkich pruć — stanowczo nie radzę. Niechże choć na zarybek zostanie. A nuż między ulaskawionymi trafi się Klopstock albo i zgoła Gutenberg?

Ostatni raz wniesiono do jadalnej komnaty winną polewkę i przyjaciele zasiedli do wspólnego stołu. Trepka odsunął kubek, poszedł do swej nory i wyniósł stamtąd niewielką, starą butelkę. Kazał ją służącemu otworzyć i nalał trzy kieliszki. Podniósł swój w górę i usiłował wygłosić jakiś toast czy wypić czyjeś zdrowie. Długo w ustach miamał najrozmaitsze wyrazy, ale poza owe węgierskie i francuskie kłątwy nie wyszedł. Jego febra udzielała się Krzysztofowi. Padli sobie w ramiona i długo ściskali się w milczeniu, nim ów toast spełnili.

— Nekanda! — wołał Cedro.

— Czekaj! Oto... na starą naszą w dziejach świata rację bytu!... Do pioruna, głupio mówię... Żebyście, do milion set nędz! nowej hańby nie dodali...

— Słuchaj, zaklinam cię! — wołał swoje Krzysztof. — Skoro tylko wyjedziemy, siadaj na bryczkę i leć do Olszyny zawiadomić ojca.

— Dobrze, dobrze...

— Zrobisz to dla mnie. Chodzi o to, żeby go przebłagać, wystawić całą istotę sprawy. Powiedz mu to, słyszysz? powiedz mu to, żem wyjeżdżając wiedział, jaką spełniam względem niego nikczemność.

— Powiem mu, powiem, do stu tysięcy...

— Szczepanie, chyba rozumiesz, jaką misję wkładam na ciebie? Wiem, że nie zgadzasz się z ojcem, że nie możecie ze sobą przestawać, ale w tej chwili, gdy ja sekretnie uchodzę...

— I boję się swoją drogą papy... Nie ucz mię pan hrabia z łaski swojej, o czym powinienem pamiętać! W tej chwili!... W każdej chwili mego życia wiem, co powinienem robić. Pojadę do Olszyny i uniewinnię cię. Powiedziałem, że pojadę. Mam zdolności dyplomatyczne, więc nie będziesz wydziedziczony ani pozbawion dziedzicznego tytułu.

— Czyż i w tej chwili nie możesz mu przebaczyć małych słabostek?

— Czy i ja mogę albo nie — przebaczać słabostki? to już chyba ja najlepiej!... Mój Rafale, bądź sędzią, czy ja w ogóle...

— Każ nam, stary, konie podawać — szepnął obojętnie trzeci — widzę bowiem, że zaczynasz się alterować.

— Wściekłeś się! Niech słońce wszędzie! Będziesz zęby po ciemku zbijal i konia jeszcze hrabiemu skałeczysz. Niech się rozwidni.

— Nie marudź!

— Chłopak je śniadanie. Dajcież ludziom zjeść, do stu piorunów! Że sami się natkacie i opijecie grzany winem, to nie racja, żeby ludzie o suchej gębie przemarzali dla waszych wybryków!

— Lepiej, żeby nas wyjeżdżających jak najmniej oczu widziało.

— Nie róbcie no tylko wielkich rzeczy z tych spraw żakowskich! Wiem, że wróćcie z drogi! Na trzecim popasie zajęczy strach was obleci, i za uzdy przyprowadzicie te same wierzchowce pod ganek. Tyle że dedy zgonicie.

— Proszę cię, Trepka...

— Wielkie mecyje... Mojeże wojaki!

— Niech podają! — mruknął Cedro.

Przywołany chłopiec pobiegł ku stajniom i za niewielką chwilę dało się słyszeć miarowe po grudzie stąpanie ośmiu kopyt. Trzej przyjaciele w milczeniu podnieśli kielichy, znowu napełnione starym węgrzynem. Spojrzenia ich skrzyżowały się jak szpady przysięgających. Nakryli głowy futrzanymi czapkami, wybiegli i skoczyli na siodła. Trepka z odkrytą głową szedł za nimi jakiś czas przez podwórze, ale konie skoczyły żywo, pomknęły i znikły za stodołami.

Dzień był ohydny. Dęła śnieżycą, to znowu sypały krupy, raptownie przechodzące w zimny deszcz. Trepka chwilę przystanął i słuchał, jak to wiatr świszczę za każdym węglem domu, jak się z jękiem wałęsa pod drzewami ogrodu, jak leci oślizgłymi polami i gnie zeschnięte badyle.

Usłyszał w jego gwizdzie polotnym coś jakby dźwięk ludzkiego głosu, jakby słowo na pół wyrzeczone, które twarzą siłą na wieki urwała. Głos ten przebódl mu serce. Oczy zmrużyły się, żeby nie widzieć pustki roztoczonej dokoła. Uczuł w sobie starość i opuszczenie. Dawna miłość, która tyle już sercu zgotowała zawodów, owa miłość-krzywda, znowu dźwignęła się w piersiach, jako ów feniks z popiołów. Nowe zażęgła ognisko zgryzoty.

— Jak wtedy, jak wtedy... — szeptał, dużymi krokami wracając do domu. Usta jego drgnęły i słowa bez związku, własne, prawie niedorzeczne słowa-symbole, świadki dawnych udręczeń i starych rozmyślań, słowa-westchnienia porwał mu z warg lotny wichur:

— Plemię moje, plemię... Najbardziej moje...

Tymczasem dwaj młodzi ostrym klusem przebywali bezludną drogę, która prowadziła do szerokiego traktu. W dali czerniał las, a pod nim wioska. Ogieniaszki błyskały już tu i tam w małych, przyziemnych oknach grubo ogaconych chałup. Na prawo i na lewo szły w dal zagony, obleczone w czarne, zgniłe ścierniska. W bruzdach tuliły się smugi wody drżąc i marszcząc się z zimna. W pewnym miejscu oko Krzysztofa padło na kamionkę wśród miedzy, okrytą szkieletami uwiędłych pokrzyw. Ostatni, mokry, czarny liść jak lachman plątał się dokoła łodygi na falach krętego wiatru.

— Żegnaj i ty... — wyszeptały usta.

W głębiach ciemnego powietrza stała samotna gruszka polna z krzywymi a kolczastymi gałęziami. Pamiętał ją z najwcześniejszego dzieciństwa; widział z okna swego pokoiku, gdy jeszcze był małym Krzysiem. Wspomniał mu się jakiś dzień odległy, kiedy zbudzone ze snu jego oczy, jeszcze pełne łez po dziecięcej, sennej boleści, powitały widok jej daleki jako znak życia i pozdrowienie szczęśliwego bytu. Teraz krzywe pręty zadrgały, nagie gałęzie poczęły łkać, i głuche, ciemne szlochanie starej gruszy rozległo się wśród pola.

Zgłuszył je śmiały i potężny tętent konia pędzącego po śliskiej grudzie. Przybyli do miejsca, gdzie się drogi rozstają idąc w cztery strony świata. Stał na rozdrożu spróchniały słup, niegdyś pomalowany ciemną farbą. Pod jego szczytem widniał obrazek na blasze, przybity czterema gwoździami. Patrzyły z niego oczy miłościwe, zamazane jakoby łzami, wyplakane i skostniałe od żalu. Patrzyły w ciemną jaskinię nocy, uchodzącej za bory, lasy, w pustkę ugorów, w żal sennych dróg. Krzysztof ściągnął cugłami konia i osadził go w miejscu. Zwrócił go łbem do słupa. Zdjął czapkę i wznosił oczy na święty obrazek. Westchnął... Nie z głębi cielesnego serca, lecz z dna duszy wypłynęła krótka modlitwa. Nie za siebie, nie o zachowanie życia, nie za ojca, nie za siostrę i nie za duszę matki, lecz za one niskie i mokre zagony, za nieobeszły, spracowany kraj...

Wnet lecieli polem, wicher mając pełne uszy i pełne głowy. Minęli w skok drogę prowadzącą do Olszyny. Z dala na uboczu został rodzinny dom. Krzysztof raz tylko rzucił w jego stronę ukośne spojrzenie. Wśród mglicy nadrannej i przelatujących planet mętnie czerniały tyły stodoł z murowanymi słupami, dachy ich szeroko rozsiadłe, a nad nimi wielkie ogołocone drzewa, których szczyty chyliły się za wiatrem. Z głębin ogrodu

wznosiły się dwa białe kominy dworu, a z nich dym już się wymykał i rozwiewał między chmurami. Krzysztof stanął w strzemionach, poprawił się na siodle i ściągnął konia harapem. Mieli tylko jeszcze przebyć las brzozowy, żeby wyjechać na główny gościniec, zbliżali się właśnie do skraju...

Wtem Rafał zdarł konia z okrzykiem przerażenia.

Spomiędzy gęstych drzew wyszedł stary Cedro i brnął środkiem błotnego szlaku wprost na jeźdźców. Policzki jego były zapadłe, oczy wwały się w oczodoły, nieuczernione włosy siwymi kosmykami padały spod kapelusza. Ubiór był naprędce, krzywo włożony. Idąc nieprzerwanie starzec przywłókł się do szyi końskiej, do strzemienia, w którym była noga syna. Ujrzał go Krzysztof. Ręka wydelikaccona, biała, prześliczna, zgrzybiała ręka zaczęła ślizgać się bezsilnie po ubłoconym puślisku, po zachlastanej cholewie buta. Głowa z wysiłkiem dźwignęła się w górę i oczy zalane łzami, ośleplę z rozpacz, szukały twarzy dziecka. Usta, te usta zawsze uśmiechnięte, usta nigdy nieskażone gminną boleścią, teraz pełne były łkania, szlochu i bezzębego bełkotu:

— Krzysiu, Krzysiu...

Ramiona wzdrygały się, a ręce trzęsły jak od przypalania białym żelazem.

— Krzysiu, Krzysiu...

Stopy plątały się bezładnie, następując jedna na drugą. Widać było, że nie ustoi, że jak badył złamany od wiatru padnie za chwilę na ziemię. A ręce bezwiednymi ruchami usiłowały ściągnąć syna na drogę, czepiały się jego rękawów, kieszeni...

— Każę zawołać... parobków... zwiążę cię... zamknę cię... — miały usta.

Krzysztof puścił wodze wolnym, obłąkanym ruchem. Śmiertelna bladeść okryła jego twarz.

Oczy miał półzawarte, usta zacięte. Schylił się pomału i ujął ręce dziada, jakby go obezwładniał, jakby te ręce bolesne i cudne chciał związać, skrępować na zawsze. Podniósł je obie i z jękiem przycisnął do piersi. Głowy ich zetknęły się, oddechy zmieszały i bezsilne ciała ciągnęła ku sobie niewysłowiona potęga.

Zdało się Rafałowi, że ta chwila nigdy się nie skończy. Był pewien, że już wszystko przepadło.

Ale z nagła Krzysztof się ocknął i dźwignął. Oczy mu się rozwarły szeroko i straszliwy wyraz mocy z twarzy uczynił jak gdyby maskę żelazną. Twardym ruchem odsunął rozwarte ramiona ojcowskie. Westchnął. Zdzielił konia straszliwym ciosem harapa. Oba rumaki stanęły dęba, skoczyły z miejsca i runęły naprzód. Krzysztof swojemu nie przestawał zadawać ciosów. Lecieli z głuchym, ciężkim tętentem, na wyścigi z wichrem, schyleni na siodłach. Chwyтали zimną zawieję łkającymi piersiami. Pędzili coraz szybciej, szybciej, szybciej... Zanurzali się we mgłę oddalenia, w bezbrzeżny tuman, w świszczące wiatry.

STARA CIOTKA

W mroźny, grudniowy dzień, około południa, przybyli do Krakowa. Tęgie konie cugowe zaprzężone do kutej bryki krakowskiej były dobrze zgrzane a podróżni zniecierpliwieni. Pragnęli co tchu a niepostrzeżenie wjechać do miasta i stawić się u pewnego jegomości, kuzyna Trepki, który dalszymi losami ich miał kierować.

Podjeżdżając do Bramy Floriańskiej, z dala już spostrzegli znaczny ruch pospólstwa, a w pewnym miejscu za zburzonymi murami miejskimi — zbiegowisko.

Nagle Rafał ścisnął niepostrzeżenie przedramię przyjaciela i niemym ruchem głowy wskazał coś w oddali. Krzysztof wytrzeszczył oczy, ale dla krótkości wzroku nic osobliwego nie dojrzał. Wtedy Olbromski nachylił się ku niemu i z dziwnym uśmiechem rzucił mu do ucha słowo:

— Ciotunia...

Cedro raz jeszcze skierował oczy we wskazanym kierunku... Dostrzegł wreszcie dziwny znak... Wyniosły słup z długim poprzecznym ramieniem... Tłum dokoła tego miejsca krążył i wrzał a wrzał. Leciąco stamtąd echo gwaru — chargetu.

Wrzawa wznosiła się, wznosiła wciąż jako wówczas, gdy burza idzie z boru w bór. Chwila jeszcze i strzeli piorun. Straszliwy grom zwałi się w miasto i zatrząsę posadą ziemi. Wtedy gwar cichnie, przygasa, upada. Słychać jeno głuche krążenie szeptu.

Ponieważ Brama Floriańska była zawalona wyjeżdżającymi i wjeżdżającymi wozami, więc przyjaciele zeskoczyli z bryki i poszli w kierunku widomego kształtu. Wmieszali

Polak, Patriota, Ojciec, Syn,
Kara, Pozycja społeczna,
Lud, Tłum

się w tłum i zaczęli nasłuchiwać. Tylko urywki rozmów dochodziły ich uszu, bo każdy człowiek, aczkolwiek gadał namiętnie, przecie usiłował, żeby go słyszał tylko ten, komu szeptał do ucha. Posłyszeli jednak nazwiska. Dwa powtarzały się ciągle: Wysiekiński, Baum, Wysiekiński, Baum... Co parę kroków przystając za grupami rozmawiających i coraz lepiej nastawiając uszu, zrozumieli wreszcie, że wkrótce mają być przyprowadzeni na to miejsce stracenia trzech młodzieńcy, skazani na śmierć za to, że się „do Polaków” przekraść usiłowali. Ujęci na granicy przez patrol, pod gołymi szablami ściągnięci do Krakowa, w parę godzin osądzeni, mieli oto zawisnąć na hakach świeżo wkręconych dla postrachu setek i tysięcy.

Mróz przeszedł się po kościach słuchających. Na usta Rafała wypelzał z wolna więzienny uśmiezek, który już dawno, dawno znikł był z nich, czasu wytchnienia w Stokłosach.

— Baum, Baum... Ciekawość, czyby to miał być syn konsyliarza?... — mówił moszterdziej, w ciepłe futro po same uszy zakutany.

— A jakbyś jegomość wiedział: właśnie syn konsyliarza... — odpowiedział ktoś z tłumy.

— E, to mu ta stary łaskę wyprosi!

— Łaskę u wojskowego sądu wyprosi — a jakże! Będzie ją widział.

— Wysiekiński to samo ma brata urzędnika, więc mógłby na protekcję rachować, ale gdzie! Trzy haki w „ciotkę” wkręcone!

— Powiedzcież mi, ludkowie, któż to na trzecim ma dyndać?

— Nie wiem tego, moja imość.

— Potrzebne to było chłystkom!

— Ba, ba! We łbach się pali, mościpanku! Chuć do wojaczki gnała...

— Młode a głupie.

— Naści wojaczkę, jeden z drugim!

— Prawdę jegomość mówisz. Mondur z galonami osłom się spodobał. Zachciało się *parle franse*. A tu dragon w te tropy i za połę! Teraz ci po podgarlu powróż zrobi *parle franse*.

— Żal serce ściska...

— Ale za to co nauczą, to nauczą...

— Inaczej nie ma sposobu, boby kuźden w derdy leciał za Pilicę, robić by się żadnemu nie chciało.

— Bo i prawda! Sam smyka mam pod wąsem. Aże po sercu żga, jak se pomyśleć. O, stoi, patrzy... Stój, patrzaj! Odechce ci się, jak poczujesz, jak powąchasz, czym takie chętki pachną!

— Powiadali, że szło toto między posterunki, jak ja z imością między stragany na Kleparzu.

— I co też w takim łbie usiądzie! Żeby też tego rozumu nie mieć!

— To ta młodość szelmowska, widzisz pani. Krew takiego kluje ciągiem: idź, idź...

Mierzi go, widzisz pani, miejsce...

— Jedzie, jedzie!

— Kto jedzie?

— Dragony jada! Konnica! Zielone dragony Loewensteina!

— Białe dragony za nimi!

— Heskje dragony!

— Karabinierzy za nimi!

— Białe Althany za nimi!

— Bębny wała...

— Słyszycie... Za umarłe!

— Co to?

— Dzwon!

— Dzwon, dzwon!

W ulicy Sławkowskiej rozległ się głuchy, głęboki łoskot bębnow i strasznym urokiem melodii swojej pognął lud. Gwar coraz głośniejszy, coraz żywszy rozciekawionej tłuszczy, zdawało się, że go zagłuszy. Było coś niewymownego, coś żelazną obręczą ścisnącego serca słuchaczy w tym pokrzyku tłumów coraz bardziej natężonym, coraz

silniej podbechtanym i jak gdyby radosnym. Cedro i Olbromski, potrącani i pociągnięci przez ciżbę, szli, a raczej płynęli w masie z oczyma utkwionymi w nagie, żółtawe drewno z poprzecznym ramieniem. W oddali, w mrocznych czeluściach ulic, za opustoszałymi placami, w zdławionej, piersi miasta, rozległ się samotny, spiżowy głos dzwonu.

Tłum wychynął z ulic i wwałił się na wały, rozpierchł po gruzach murów i okrył je sobą. Wolno sunęła konnica dzwoniąc podkawkami, uprzężą a bronią. Za nią piechota środkiem ulicy. Bębny melodyjnym łoskotem biły wciąż jakoby wzburzone serce tłumu. Zmienacka ponad zbitą masą głów ukazały się trzy postacie. Trzy blade widma. Ręce ich związane w tył, szyje obnażone... Śmiało weszli...

Motłoch zamilkł, wtulił dobrze głowę w ramiona, znieruchomiał i zastygł. Wówczas i bębny raptownie urwały. Cisza śmiertelna. Nie ustał tylko samotny dzwon.

Dał się słyszeć jakiś jeden głos, dochodzący z dala, jakoby dziecięce gwarzenie, głos dziwny i okrutny, śmieszny w tej wielkiej gromadzie. Długo brzmiał, zlewając się w szereg dźwięków niezrozumiałych... Ucichł.

Wtedy na pomoście szafotu ukazała się czwarta postać. Wicher zduszonego westchnienia przeleciał po tłumie. Zdławiony strach zatrzęsł ludzkim jeziorem od brzegu do brzegu.

Ów człowiek zbliżył się do skazańców i pierwszemu z brzegu rozwiązał ręce. Potem go ujął za ramię i sprowadził z pomostu.

Tłum westchnął. Szept najcichszy, na obraz szelestu liści w brzoźowym lesie przed burzą, leciał z ust do ust, z końca na koniec placu:

— Wysiekierski, Wysiekierski, Wysiekierski...

Oprawca wrócił z wolna po schodach. Słysząc było w śmiertelnej ciszy, jak świeżo zbite stopnie skrzypią pod jego mocnymi stopami. Drugiemu skazańcowi z kolei rozwiązał ręce i sprowadził go ze schodów.

Lud głośniejszy, radośniej zaszemrał:

— Baum, Baum...

Wszystkie głowy drgnęły i z ust do uszu leciała błogosławiona wieść:

— Chwała bądź Bogu!

— Pan z nami...

— Do wojska oddali!

— Na wieczny czas!

— W kamasze ich!

— Darowali życie.

— Darowali życie, darowali życie.

Kat po raz trzeci wszedł na rusztowanie i ze spokojem na wielkie dłonie kładł czerwone rękawiczki.

Trzeci skazaniec stał nieporuszony. Głowa jego była zadarta do góry. Duże włosy czarnym puklem spadały na szyję nagą. Białe miał czoło. Nieruchome oczy, jak dwie głębokie jamy, patrzyły w lud.

— Ten ci jest winowajca!... — szept się rozszerzył.

— Tamtych podmówił.

— Wywiódł ich z domostw rodzicielskich.

— Bronił się w polu.

— Milczał w sądzie.

— Winowajca!

Kat zbliżył się do niego łagodnymi krokami. Bardziej mu szyję obnażył. Zręcznym ruchem zarzucił stryczek.

Nagle wyprężył się powróż.

Nim się pospólstwo opatrzyć zdołało, nim zdążyło westchnąć i oko przetrzeć dłonią, już nieznajomy ów człowiek zawisł na haku. Nogi jego w kolanach zgięły się, pięty stuliły i leniwym ciągiem dźwigały ku górze. Oprawca łagodnym ruchem przytrzymał ciało i mocno je za ramiona szarpnął ku dołowi. Za czym zdarł szybko z dłoni rękawiczki i cisnął je na szafot.

Dawni przyjaciele i powinowaci Szczepana Trepki ułatwili Cedrze oraz jego towarzyszowi możliwość uzyskania paszportu do Wiednia, dokąd obadwaj rzekomo śpieszyli na karnawał. Częste wyprawy Krzysztofa do stolicy naddunajskiej, zadokumentowane wizami na dawnych paszportach, nieposzlakowanie lojalne stanowisko ojca i inne postronne okoliczności ułatwiły zadanie. Nieco trudności było z paszportem Olbromskiego, ale i te przełamano, a właściwie przebyto sposobem podleżenia. Rafał nosił teraz inne nazwisko. Przyjaciele zaopatrzyli się w kostiumy podróżne z sukna ciemnozielonego, gdyż, jak wiedzieli, o takie sukno trudno w „kraju Polaków” za Wisłą i Pilicą. Najęli sanie do pierwszego popasu, który, według ułożonego misternie planu, miał wypaść nad Wisłą w majątku Jazie — i w wigilię wigilii ruszyli w drogę.

Osoby ułatwiające wybrały kilka punktów po nadrzeczu, którędy można było przemknąć się za granicę. Jedno z pierwszych miejsc w tej liście zajmował Jaz, majątek szambelana Ołowskiego. Dla obudwu spiskowców była to rzecz najobojętniejsza w świecie, którędy mają się przemycać, ale oto Rafał z ust pewnego modnisia, kuzyna Trepki, usłyszał, że żoną owego pana Ołowskiego jest księżniczka Gintułówna, jedna z siostr księcia Jana Gintuła grudzińskiego. To go troszeczkę podnieciło. Od niechcienia, bez śladu, nawet bez chęci nacisku, skierował tak akcję, żeby do Jazu jechać naprzód i tej drogi przede wszystkim próbować. Było to dla niego obojętną rzeczą, którą z księżniczek mógłby przy tej sposobności zobaczyć, ale ciekawość, leniwy pociąg, żeby spojrzeć na dawno niewidzianą twarz... Obadwaj wyglądali przepysnie w swych, jakoby w Wiedniu najbardziej modnych, fraczkach i obcisłych ze sprzążkami ineksprymablach, którym tylko brakowało galonów i kantów, żeby mogły być przekształcone na artyleryjskie mundury.

Cenne to były mundury! W każdym z nich zaszyte były umiejętnie rulony dukatów. W zanadru mieli weneckie sztylety i małą palną broń na wypadek. Za to modne kapelusze i futra czyniły z nich pustych młokosów, pędzących hulaszczą w poszukiwaniu zabawy.

W wigilię Bożego Narodzenia, pod wieczór, stanęli w Jazie. Zatrzymali się w oberży przy trakcie. Piętrowy pałac a raczej piętrową kamienicę bez ozdób, niedawno wzniesioną, widać było wśród drzew na wzgórzu, w dość znacznej odległości od Wisły. Olbromski szczegółowo lustrował okolicę i naturę gruntu pod pozorem troskliwości o konie. Cedro, niby to zabierając się do noclegu w oberży, począł rozpytywać karczmarza jak przejezdny ze stron dalekich: kto mieszka w pałacu? jak się zowie? czy ma dzieci?... Chodziło o zatarcie wszelkich podejrzeń. Z tej rozmowy z oberżystą wyłoniła się smutna prawda, okazało się bowiem, że w ostatnich dniach przysłano do Jazu oddział dragonów austriackich z oficerem na czele dla jak najściślejszego patrolowania nad Wisłą. Żołnierze — prawil karczmarz — rozstawieni są we wsi nad samą rzeką, a nawet oficer ma swą kwatery nie we dworze, lecz w chłopskiej chacie. Patrol styka się z patrolem wsi sąsiedniej. Pałą nocą ogniska na całej linii i czuwają co się nazywa. Jeżeli się kto zbliża do rzeki z tej czy z tamtej strony — kula w łeb, i skończona zabawa. Tym sposobem Wisła, odgraniczająca Śląsk, już zajęty przez Francuzów, od Galicji, była strzeżona nie na żarty. Cedro nie tracąc tęgiej miny, pysznej obojętności i werwy, jakby te wiadomości ani odrobinę go nie obchodziły, zaczął rozpytywać się o dziedziców majątku.

Powziął tedy wiadomość, że sam dziedzic bawi w Wiedniu, ale oczekiwany jest na Święta, że pani dziedziczka w drugie święto daje wielki bal, na który zjedzie wiele osób z okolicy, a nawet zaproszony jest oficer komenderujący oddziałem dragonerii. Przyjaciele porozumiewali się głośno w obecności służby i oberżysty, czyby nie warto przez uszanowanie dla tak wielkiego święta złożyć wizyty pani dziedzicze i prosić jej o gościnność przynajmniej na pierwszy dzień święta, skoro już podróż do Wiednia w takim czasie odbywać wypadło. Po długim namyśle i głośnej naradzie zdecydowali, że należy pójść niezwłocznie do pałacu. Udali się tam piechotą. Mrok już zapadał, gdy weszli w aleje parku.

Rafała ogarnął teraz pewien niepokój. Świat dawno zamarły, zdrętwiały, odtrącony stanowczo i z młodą siłą wśród mocowań ducha, teraz był tak blisko... Nie obeszloby go bardziej, jeśliby to była nawet sama księżniczka Elżbieta. Ale ujrzyć kogoś z tamtych przedziwnych czasów młodości znaczyło tyle, co ocknąć się w zimie i ujrzyć dokoła siebie

dzień wiosenny. Ciekawość wzmagała się bez przerwy... Po chwili przemknęła twoga granicząca z odrazą i, co najdziwniejsza, popychała naprzód. Raz pragnął dowiedzieć się tylko i cofnąć od niedorzecznych widm i wspomnień, to znowu miał zamiar podmówić Krzysztofa, żeby wcale nie wchodzić... A jednak, gdyby tak przyszło cofnąć się naprawdę, zraniłoby go to do głębi jak rozkosz wydarta.

Gdy szli z wolna pomiędzy rzędami nagich drzew, które w zimnym wietrze huczały jednostajnie, Rafał zapytał towarzysza głosem najobojętniejszym, jaki mógł wydobyć z siebie:

— Czy nie wiesz czasem, jak na imię owej pani Ołowskiej?

— Na imię? Nie wiem. Skądże mógłbym?... Nie znam wcale.

— Może to jej imieniny pojutrze?

— W święty Szczepan? Mocno wątpię, czy jaka dama jest imienniczką naszego, ach, Trepki.

— Prawda, że to Szczepana...

— Jesteś troszeczkę, o ile sobie przypominam, nastrojony... Czy cię, jak tamten przewidywał, strach nie zaczyna oblatywać z czterech stron świata? Może chcesz wrócić?

— Za żadne skarby na kuli ziemskiej... — rzekł Rafał przeciągając się leniwie.

— Ale czekajże, będę wiedział imię tej pani. Zawsze to potrzebne, może się przydać. Nawet powinniśmy to sobie obecnie wziąć za maksymę, że należy zwracać pilną uwagę na wszelkie, na najmniejsze drobiazgi.

— Weź sobie za maksymę, co chcesz, tylko naprzód powiedz, skąd... to imię...

— No tak, naturalnie... Mam przecie do niej bilecik, rekomendujący nas, od tego utrefionego kuzynka Trepki.

— Pokaż.

Cedro wydobył z sekretnego przedziału w pugilaresie małej karteluszek śniadego papieru, misternie złożony. Przy gasnącym świetle dnia usiłovali przeczytać adres. Oba dwaj nachylili się nad tym pismem i Rafał pierwszy dojrzał: „Madame, Madame Elisabeth de Ołowska”...

Zimne mrowie przemknęło po jego kościach... Później wrócił pozorny spokój i pozorna wesołość. Podniósł oczy na okna pałacu, w których właśnie tu i tam światła błyskać poczęły. Główne wejście z portykiem, ku któremu się zbliżyli, było na głucho zamknięte. Stopnie balkonu omarznęte i zasypane świeżym śniegiem... Rafał szedł obojętnie, z uczuciem wesołej ciekawości, prawie z rozczarowaniem... Podał się już pewnej milę, mistycznej niejako myśli, że to stać się musiało, że inaczej w jego życiu być nie mogło. Musiał tu przybyć. Doświadczał nawet nikłego wrażenia, jakby na jego ramieniu coś spoczęło, nikiej zimna ręka... Sprawiło to w nim szybki i trwogę miłą szerzący rozruch. Tym uczuciem teraz oddychał.

Okrzykli róg pałacu szukając dostępu i trafili wreszcie na uczęszczane, ciepłe, boczne drzwi. Były zupełnie otwarte i wiodły do ciemnej sieni. Zajrzeli na prawo, zajrzeli na lewo do pokojów służebnych, aż wreszcie trafili na starego lokaja w codziennym stroju i zbudzili go z drzemki. Ten dowiedziawszy się, że przybyli z Krakowa i mają sprawę do pani dziedziczki, jął krzątać się, przeproszać, dreptać i zaprowadził ich nareszcie do pokojów. Znaleźli się w małym, doskonale ogrzanym saloniku, którego sprzęty ledwie było widać przy gasnącej już zorzy wieczornej. Gdzieś w mrocznym kącie, na szczycie niskiej szafki napoleońskiej, wesoło szedł stojący zegar, obdarzony głosem, który, zdawało się, służył do mierzenia długości trwania tylko uroczych, radosnych momentów życia. Służący zapalił kilka woskowych świec, wziął dwie karty wizytowe z wypisanymi nazwiskami przybyłych, a ozdobione cudnymi winietami, które sztychował na miedzi najmodniejszy w Krakowie artysta — i oddał im. Płomyki świec, zrazu przygasłe, rozszerzyły się z wolna i żółte ich światło nappełniło salon.

Rafałowi marzyło się, że jest jakby w Warszawie... Czeką na Helenę de With czy co... Za chwilę wejdzie, za chwilę się ukaże... Czyż to możliwe? Helena de With... Rozkosz czekania roztrącała ciosy przytomności i wtedy przez zaciśnięte zęby szeptał w głębi do siebie:

— Milcz, milcz... Uciszyć się, uciszyć...

Za oknami, których szyby powłóczył mróz kryształowymi drzewkami, głucho i jednostajnie huczały nagie konary drzew. Krzysztof siedział zadumany z głową wspartą na

ręce i oczyma zatopionymi w płomieniu świecy. W pewnej chwili, gdy oczekiwanie przeciągało się bardzo długo, rzekł podnosząc głowę:

— Cóż u licha! Nikt nie przychodzi...

Rafał drgnął cały, tak dalece głos przyjaciela był ciosem obcej istności w tym świecie, wskroś którego błąkała się jego dusza. Z niechcenia dotknął ręką albumu oprawionego w skórę, ze ślicznymi złoceniami wyciśniętymi na rogach i grzbiecie. Otworzył je i zaraz na pierwszych kartach zobaczył akwarelowe widoki Grudna. Przerzucił kilka kart i znalazł „swoją” aleję. Artysta usiłował pochwycić i zatrzymać na zimnej karcie ów żywy, zielony blask wpadający do głębi ciemnika, i oddać niewysłowione piękno jego melancholii... Ale pochwycił tylko same barwy, surowe kolory. Nędzne i bezsilne były jeno zamysły, chociaż niepospolitym był malarzem. Toteż w jednym tylko widzu wywołał uczucie rzeczywistości, wspomnienie jasne tego, co nigdy już nie miało powrócić, wezwanie przed oczy ducha jeszcze raz chwili młodej, która już umarła na wieki. Widzem tym był Olbromski. Zapomniał, gdzie jest. Oczy jego utonęły w karcie. Przebywał w kole zaczarowanym dni, kiedy to po śmierci brata sam jeden był na świecie, wypędzony z domu, kiedy wśród ludzi obcych mu zgoła i nowych dla niego od stóp do głów znajdował swoją własną drogę, torował dla duszy swej szeroki gościniec.

— Alejo... — szeptał teraz — alejo moja...

W głębi, w zamglonym oddaleniu rysunku, widać było wylot szpaleru. Tamtędy z czarodziejskiego świata wyszło się w świat rzeczywisty... — marzył z gorzkim uśmiechem na ustach. Coś do niego mówił Krzysztof. Nie mógł i nie chciał dosłyszeć jego słów. Pragnął wypatrzeć z akwareli, którą miał przed oczyma, wszystko, co w niej było za osłoną barw. Stał się jak człowiek zaszuchany w ulubioną melodię, która mu budzi i nęka duszę, która porusza i wskrzesza obumarłe serce. Ileż by za to dał, by posiadać na własność ten bezcenny wizerunek!

Krzysztof znalazł na stolyczku również coś dla siebie. Leżało tam kilka książek. Jedną z nich otworzył w tym miejscu, gdzie była założona haftowaną zakładką — i począł czytać, nosem, według swego zwyczaju, jeżdżąc po stronicach. Treść znaleziona tak go zajęła, że w poszukiwaniu lepszego światła wstał ze swego miejsca i nachylony do płomienia świecy, który profil jego dobrze uwydatniał, na amen oddał się lekturze. Kiedy niekiedy zwracał się odruchowo do Rafała, żeby mu zakomunikować te niezwykle myśli, które teraz opromieniały mu czoło niby blask samoistny, ale napływ nowych, tryskających, widać, z wierszów książki, w coraz go głębsze, piękniejsze i bardziej zupełne pogrążał zdumienie. Byli teraz oddzieleni od siebie niezmiernymi przestworami...

Tymczasem u portiery salonu rozszerzył się jedwabny szelest. Naciśnięta lekka stopą któraś z tafelek topolowej posadzki ostrożnie trzasnęła. Przyjaciele nie zwrócili na to uwagi. Szelest uchłł. Nastąpiła znowu ta sama cisza. Tylko mały, marmurowy zegar wesoło mierzył szczęśliwe czasy...

Wtem Krzysztof nie mógł wytrzymać i prawie krzyknął:

— Posłuchaj! posłuchaj! Jest to coś fenomenalnego... Przecie ja to tysiąc... co mówię!... sto tysięcy razy myślałem...

— Co, co myślałeś? Nie krzycz!

— To samo myślałem!

— Ale co mianowicie?

— To są moje własne myśli!... Rafał! Gdybym ci to mógł słowami wyrazić, jakie to szczęście i jaki dziwny ból znaleźć swe myśli potwierdzone i wykryte, wyciągnięte z mroku!

— Jakież to myśli takie znów fenomenalne?

— Oto tu nareszcie znajduję samego siebie! Wydawało mi się zawsze, że jestem niepełna rozumu, gdy marzył takie rzeczy, a on to samo głosił tak już dawno! Już to wszystko przemierzył niewymownym rozumem! Jakże to mówił Posłuchaj tylko... O, Rousseau, Rousseau!... Posłuchaj...

Podniósł na Rafała oczy i nagle spuścił książkę. Stropił się i w eleganckim ukłonie cofnął się o dwa kroki. Rafał spostrzegłszy jego pomieszenie i ruchy wstał z miejsca i obrócił się.

Stała przed nim księżniczka Elżbieta.

Nie, nie dawna księżniczka. Stała pani Ołowska, dwakroć, trzykroć, dziesięćkroć piękniejsza jako kobieta, ale nie dawna już księżniczka Elżbieta. Była to dwudziestosześcioletnia piękność, wspaniała i rozkwitła jak najcudniejszy kwiat przy końcu wiosny.

Rafał nie mógł się nadziwić, napatrzeć tej zmianie, owemu przedzierzgnięciu się jednej formy piękna w inną, jeszcze bardziej zachwycającą. Pani Ołowska ubrana była w najmniejszy szlafroczek jasnoceglastego koloru, niedosięgający kolan, i w białą, dość krótką suknię. Na odsłonionej szyi i ramionach miała szal zielony z suto haftowanymi brzegami. Inne już teraz było uczesanie jej włosów, których loki ocieniały twarz, a olbrzymi pukiel był związany w węzeł na tyle głowy.

Przez chwilę mierzyła przybyszów dość wyniosłym, choć filuternym spojrzeniem, nim odpowiedziała na ich ukłony. Wreszcie posunęła się uprzejmie ku Krzysztofowi oddając mu ukłon za ukłon. Rzekła:

— Rada jestem, że mogę powitać Waszeć Mościpanów...

Rafała przyjęła nieco odmiennie, ale inaczej niż w Grudnie.

Wspomniała w urwanym półsłówku, że miała już przyjemność spotykać go dawniej. Słuchając tego głosu i patrząc na tę postać Olbromski liczył chwile, które pozostały do odjazdu. Cieszył się, że już ich niewiele zostało. Niezwykły ciężar uciskał mu piersi. Spuścił oczy na ziemię i kiedy Krzysztof bawił gospodynię grzeczną rozmową, tonął w obrzydłych myślach. Gdy tak w ich tłumie błąkał się tam i sam, trafił na jedną, która mu się od razu stała pocieszycielką:

— Idę sobie do wojska — i kwita! Będę sobie tęgim żołnierzem. Co mi tam. Nie masz pana nad hułana, a nad lancę nie masz broni!

Podniósł oczy z dawnym, grudzieńskim zuchwalstwem i spotkał się ze spojrzeniem pani Ołowskiej.

I ono nie było już dawne. Długo, spokojnie i śmiało patrzyły w jego twarz te oczy prześlizgłe, te same, a jednak inne. Nie zmierzchły i nie zaszyły gęstym obłokiem od ognia duszy ani nie zasloniły się mgłami wstydu od tajemniczej ciżby uczuć. Teraz już nie! Patrzyły badawczo i napastniczo. Chwilami lśnienia dzikie i pełne grozy migotały w nich jak błyskawica w chmurze. Usta miały nieprzebrany zasób uśmiechów dla Cedry. Z warg spływały słowa łaskawe i dobroci pełne.

— Byłam uprzedzona — mówiła — o waćpanów zamiarach i wszystko składało się jak najlepiej, ale teraz zaszyły niespodziewane przeszkody... Jak to przykro... — ciągnęła z niechcienia, odczytując bilecik kuzyna Trepki. — Wojsko jest we wsi. Jest także w sąsiedniej. I to tyle ich, takie hordy... Żołnierz żołnierza widzi, niemal ręką dotyka. Ognie wciąż palą po nocach i krzyczą, że spać nie można.

— Tak, słyszeliśmy o tym przybyciu wojska idąc do pałacu... — rzekł Cedro z ukłonem.

— I nie odwodzi to waćpanów od ryzykownego przedsięwzięcia?

— Nie, ani odrobiny!

— Istotnie... to po rycersku. Szczerze podziwiam... ich męstwo...

Powiedziawszy te słowa zmierzyla Rafała drwiąco napastniczym spojrzeniem. Po chwili rzekła:

— Skoro tak, to musimy brnąć dalej...

— Pani szambelanowo...

— Słowo się rzekło, a raczej napisano. Ale uprzedzam, że teraz sprawa istotnie jest groźna. Na wypadek ujęcia zbiegów władze ani myślą żartować. Słyszałam od osób najwiarogodniejszych, że po prostu w sposób najordynarniejszy założą stryk na szyję i wieszają na szubienicy, a nawet w braku szubienicy na belce w pierwszej lepszej spotkanej stodole.

— Mieliliśmy możliwość widzieć już tę procedurę austriacką... — rzekł Krzysztof ze swym bezwiednym dygiem.

— Wieszanie na belce, w stodole?

— A nie, na szubienicy.

— Na domiar złego mój mąż nie wraca z Wiednia. Miał już być... Wprawdzie on na nic by się w tej sprawie nie przydał jako czynny pomocnik, gdyż innych jest pryncypiów, a Napoleona za cesarza dotychczas nie uznał... — dodała z uśmiechem ledwie-ledwie znacznej ironii. — No, ale w razie poważnego wypadku musiałby użyć jakiegoś szczegółu ze skarbnicy swych stosunków i wpływów, których ja...

— Pani szambelanowa raczy być z nami zupełnie otwartą... — mówił Cedro. — Gdyby nasza przeprawa miała dla niej pociągnąć jakiegokolwiek przykrości...

— O, nie, nie. Ja lubię zwalczać przeszkody i lubię tego rodzaju przykrości. Trzebaż choć raz, około Bożego Narodzenia, zażyć odrobiny emocji. Bez tego lekarstwa życie by w nas zastygło, krew by stanęła w biegu.

— Czyż w tych stronach tak trudno o emocje?

— Białogłowom trudno jest zawsze i nie tylko w tych stronach przeżywać niepokoje wstrząsające światem. Ja już dałam wszelkie wskazówki i polecenia plenipotentowi mego męża, który tę sprawę podjął się przeprowadzić. Plan jest, a przynajmniej był taki: w święty Szczepan odbędzie się w tym domu zjazd i zabawa taneczna. Waćpanowie, jako podróżni, raczycie zabawić tu przez święta, a w czasie balu będziecie tańczyli dużo i ochoczo. Ale w nocy na dany znak trzeba wyjść chyłkiem i bez chwili oporu, namysłu i zwłoki udać się za przewodnikiem, w nocy na łodzi przepłynąć Wisłę... Czy zgoda?

— O, pani... — rzekł Cedro unosząc się z krzesła.

— Jeszcze nic nie mówmy, gdyż jeszcze sprawa niezłatwiona. Wisła tu nie szeroka, ale jej nie przeskoczy tak łatwo.

— Dla nas to tak, jakbyśmy już byli na tamtym brzegu. Już się tedy pojutrze zacznie wojna! — rzekł nachylając się do Rafała ze swym entuzjastycznym, szczerym i dziecięcym prawie uśmiechem.

— I to waszmość, który, jak słyszałam, miałeś w Wiedniu takie aspekta i takie mogłeś rościć nadzieje, puszczasz się na śliskie pola zdradnej Bellony! Bez żalu i skruchy rzucasz jednego cesarza dla innego...

— Pani szambelanowo! ze zdumieniem słyszę o moich wiedeńskich sukcesach... Więcej w tym famy niż prawdy, a co do cesarza, to uwielbiam tylko jednego. Niech żyje Cesarz!

— Słyszałam o powodzeniach pańskich od męża, który znowu wie wszystko, co się w Wiedniu dzieje, wie, co tam pantofle skrzypią, co fraki szeleszczą, co mówią kłamki i zgrzyty drzwi. Czy to może towarzysz waćpana pociągnął go na pole chwały? — spytała po chwili.

— Prawdziwie nie wiem. Zdaje mi się, że obydwu nas tknęła jedna iskra. Za Pilicą cały kraj na koń siada!

— Tak... słyszałam. A waszmość, kiedy o siadanie na koń idzie, zawsze pierwszy? — rzekła piękna pani zwracając się do Rafała.

— Tak... — rzekł zagadnięty głosem twardym i nieswoim — zdaje się, że do konia byłem i jestem stworzony.

Znalazł głębokie zadowolenie w dźwięku tych wyrazów, w ich szorstkości. Jeszcze przez chwilę z upodobaniem zatapiał myśl w kontemplacji swej siły. Zdało mu się, że dusza w nim zwiększa się i rozrasta. Nie był już teraz chłopcem szlacheckim, na którego z ukosa patrzano. Hardo podnosił oczy i tyle tylko ustępował ze swej żołnierskiej już sztywności a buty, ile było niezbędnie dla zachowania form salonowych. Ani cienia dawnego lęku.

Wskutek niewytłumaczonej zbieżności nastrojów pani Ołowska jak gdyby odczuła stan jego duszy. Była prawie zwyciężona. W jej ruchach, sposobie mówienia, w pochyleniach głowy, kiedy zwracała się, ażeby słuchać, co będzie mówił, przebijało się coś jak uszanowanie czy sama dążność do naprawienia złego. Ale zarazem modłę jej sposobu bycia poczęła cechować niewymowny powab, coś pociągającego, naturalnego, pięknego, bez żadnej rachuby i wysiłku. Oczy miały wyraz większej słodyczy, choć w pierwszych momentach błyskał w nich piorun.

Rafał poczęł wpatrywać się w nie, ile się dało, ile było można. Ani się spostrzegł, kiedy uległ niebezpiecznej władzy tych oczu, pokornych prawie i onieśmielonych. Coraz dłużej trwały te chwile, w których ciągu nie był w możności oderwać wzroku od łuków powiek ocienionych błękitnawym cieniem prześlicznych rzęs, od wyrazu oczu, w który spłynęło wszystko czarodziejstwo nieba nad ranem i wszystek urok wiosny rozkwitłej. Ogarnął go poryw niewysłowionej ciekawości, jakoby na widok nagle odsłoniętego nagiego morza, pustyni czy łańcucha śnieżystych gór. A w ślad za tym uczuciem pierwiastkowym płynęła do piersi wonnymi falami nieprzewyciężona radość zachwytu. Teraz dopiero poczęła czuć prędkiej niż widzieć niezrównany tok czoła lśniącego białością śniegu czy karijskiego kłosa, czoła, w którym tały się myśli niewiadome, nieznanne, subtelne, piękne

jak z ciszy nocnej wychodząca muzyka, i młode jak kłęby zdroju. Teraz dopiero zaczął przyswajać sobie, na własność brać różowy cień policzków, który wpływa w białosć lic niepostrzeżenie jak zorza ranna w błękit dnia. Przed chwilą jeszcze nie widział był nic prawie prócz surowego, jednolitego w swej treści wspomnienia. Teraz nie uszły jego oka cudne przemiany światła i cieniów krążące około rozkosznych ust, ani grubość warkocza włosów, którego nie zdołałby pewno objąć żołnierską swą garścią. Każdy ruch rąk wydelikacyonnych, przejrzystych prawie od próżniactwa, miał w sobie niepokojący powab. W piękności tej było coś duszącego, coś, co tamowało oddech i oszołomiało głowę. Im więcej się zdumiewał patrząc bez przerwy, tym bardziej się unosił w głębi siebie. Ale nade wszystko czarował go naturalny wdzięk bez śladu sztuki, chęci podobania się i kokieterii, owa łatwość, z jaką można rozsiewać najsubtelniejszy, najtrudniejszy, zdawałoby się, królewski urok. Ciche, łaskawe spojrzenie, kilka łagodnych, niejako swojskich wyrazów — i oto Rafał poczuł w sobie ucisk przerażenia tak wielki jak za najcięższych swych dni. A kiedy dochodził prawie do obłąkania nie wiedząc, co się dzieje, słyszał wciąż spokojne, powabne wyrazy, pełne niewinnej wesołości i naturalnej ciszy ducha. W żyłach jego poczęła wrzeć i rwać owa krew odmienna, jakby cudza, tryskająca z wiecznego źródła rozkoszy. Wówczas bardzo musiał zmienić się wyraz jego twarzy, gdyż piękna pani kilkakrotnie dłużej na nim zatrzymała spojrzenie.

Wszedł służący i zasłonił okna grubymi firankami. Spoza tych osłon i szyb dochodził teraz przyduszony huk wiatru, miły jak poduszczenie, pochutnywanie a oklask. Błask świec nappełniał salonik rozkosznym, żółtym światłem. Wszedł inny służący i zawiadomił swoją panią, że plenipotent oczekuje. Kazała go prosić. Za chwilę wszedł mężczyzna wysoki, w polskim stroju, z wąsami blond jak wiechy. Twarz miał tęgą, tłustą, czerwoną z wiatru, oczy wypukłe i ogniste. Sapał jak w polu, mało sobie robiąc ze wszystkich.

— Jegomość pan Kalwicki, nasz kochany opiekun — rzekła pani Ołowska. — A oto dwaj zdrajcy. Czy mam wymienić ich nazwiska?

— Nazywają się Polacy, a miny mają niczego. Po cóż mi tam ich nazwiska?... — wysapał wąsal. — Skoro mię wwałą na tortury, przynajmniej będę miał sposobność niewydania nazwisk i słowem honoru nie będę po próżnicy wywijał.

— Miło nam poznać waszmość pana... — kłaniał się Cedro. — Właśnie jego opieka i pomoc...

— A ba... pomoc! Tu się właśnie rozłazi... Bardzo mi miło... poznać... Myślę już od wczorajszego wieczora, skoro pani dziedziczka wyrwała się... te!... z tą gotowością pomagania waćpanom. Bo to z panią dziedziczką sprawa niełatwa. „Nudzę się, nudzę się”... A potem rób co chcesz... Upór...

— Panie Kalwicki, panie Kalwicki, trzymaj się, z łaski swej, w ryzach!

— Już milczę. Już trzymam język za wąsami!

— Cofnijże go waść jeszcze głębiej, bo mogę przyciąć, a to boli.

— Ale bo pani dziedziczka nie zwraca uwagi, a to pachnie najgrubszym powozem. Możemy w taką wleźć kalafutrynę, że nie tylko buty, ale i nogi w niej zostaną.

— A niech sobie zostają waścine nogi, a osobliwie... te buty...

— Chciałem coś jeszcze powiedzieć...

— Nic już nie słucham.

— Muszę przecie powiedzieć, że onego oficjerka zaprosił wreszcie na święty Szczepan. Com ja miał z tym brzydactwem!

— Bardzo to dobrze. To chwałę.

— A i ja tak sobie myślę, że to jest dobrze.

— Cóż jeszcze, staruszku? Tylko żywo, bez elokwencji!

— O, zaraz: staruszku! To się nie godzi...

— Co jeszcze! pytam swego plenipotentę.

— Zaraz z książęcą! Muszę jeszcze dodać, że dla dragonów trzeba będzie postawić co najmniej kufę piwa. Panie Boże, mało mię udar nie zwali, jak pomyślę...

— Postaw im waszmość kufę...

— Włosy mi stają na głowie, pani dziedziczko, na samą myśl, gdy dziedzic przyjedzie — co to będzie?

— Nic mnie nie obchodzi włosy waszmości.

— Stało się tedy, że ja na stare lata muszę, jeśli nie piersi, to pleców nadstawiać pod kule, bo otwarcie mówię, pludry nie żartują. Sam waćpanów nocą powiozę, ale jaki to wyda owoc... — dodał szeptem, zbliżając się do Krzysztofa.

Kiedy ci dwaj zamieniali ze sobą ciche wyrazy, pani Ołowska odeszła od nich. Poprawiła od niechcienia śliczny ekran *à la Psyché*, a później stanęła od razu tuż przed Rafałem. Przez chwilę miała oczy spuszczone, na ustach precudny uśmiech.

Z wolna podniosła błękitne źrenice i zatrzymała je na twarzy gościa. Uśmiech z jej warg nie schodził, a stawał się coraz świetlistszy, coraz bardziej uduchowiony. Nozdrza szybko drgały. Kiedy Cedro wziął pod rękę starego szlachcica i zaczął z nim wśród ożywionej rozmowy chodzić tam i sam po saloniku, pani Ołowska zbliżyła się jeszcze o krok i nie spuszczać oczu z twarzy Rafała wyrzekła przez ściśnięte zęby, tak że tylko on mógł te wyrazy posłyszeć:

— Szukam... śladu... mojej szpicruty...

Olbromski stał nieporuszony, aczkolwiek zachwiał się słysząc te słowa. Płomień ognia buchnął mu na twarz, na szyję i czoło. Zadzwończyły mu w uszach te wyrazy prawdziwie jako świst stalowej różgi. Krew wolno spłynęła do serca.

W chwili gdy dwaj rozmawiający zbliżyli się do stołu, pani Ołowska otwarła z uśmiechem album rysunkowe i wskazując Rafałowi pejzaż po pejzażu rzekła z uprzejmą obojętnością:

— Grudno.

Przewracała kartę po karcie przypatrując się to tej, to innej kombinacji barw. Gdy otwarł się widok alei, Rafał przytrzymał go dłużej i spytał:

— Czy można wiedzieć, kto malował ten oto widok?

— Można.

— Któż to?

— Ten sam, co malował całe album; to widać.

— Któż to?

— Ja to malowałam.

— A czy można zapytać, dlaczego wybrała pani tę aleję? W Grudnie były miejsca daleko piękniejsze.

— Dlatego, że to był najulubieńszy mój kąt. Tu najczęściej chodziłam.

— Ach, tak...

Podczas wieczerzy, do której w jednym z sąsiednich pokojów we czworo zasiedli, Rafał znalazł się obok starego plenipotenty i musiał wdać się z nim w rozległy dyskurs *de omni re scibili*. Tymczasem gospodyni domu bawiła się z Krzysztofem tak żywo i przyjemnie, jakby od dawien dawna byli przyjaciółmi. Rafał słyszał tę całą rozmowę. Zdusił w sobie wściekłą zazdrość, bezlitosną wolą wpakował ją na dno. W pewnej chwili raz jeden pomyślał z postanowieniem żelaznym: „Zaduszę tego chłystka!”. Później mógł już rozmawiać swobodnie. Ani na jedną chwilę, na jedno mgnienie oka nie zwróciła się ku niemu królewska głowa, obciążona przepysznymi splotami włosów. Ani razu nie dostrzegło go oko.

Teraz dopiero poznał, że to jest ta sama księżniczka Elżbieta, która go napawała udręczeniami bez granic, a której przecie wyzbył się był za pomocą skutecznych środków. Ta sama. Widzi i nie widzi, słucha i nie słucha, wie o nim i nie wie... Przyszedł tedy na dawne miejsce, z dała obszedłszy tak wielki kawał świata. Dziwił się wewnątrz siebie temu porządkowi zdarzeń, temu jak gdyby prawu rządzącemu w ciemnościach. Ni to nienasycona chciwość tych dawnych cierpień wznosiła się w jego piersiach jak rozwścieczona burza. Wzywał ją na rękę, szarpał wolą ku sobie. Po dawnemu ją śledził spod nawisłych powiek, z zasadzki rzęs, powab tej twarzy i tajemnice precudnego łona. Oczy jego z manowców tych szpiegowania wracały niemal z rozpaczą, gdy znajdowały się wobec niezbitej prawdy, że piękność ta nie zmniejszyła się, lecz wzmożła, że teraz stała się równą nieskończoności. Co najgorsza, była teraz świadoma swej potęgi i władała nią, jak wódz włada mieczem. Wobec tego w głowie miał taki zamęt, że na pytania plenipotenty Kalwickiego ledwie-ledwie mógł dawać odpowiedzi przytomne. Z oczu, kiedy je na piękną zwracał, buchały ognie wewnętrzne go pożaru, których żadnym wysiłkiem zdusić nie mógł.

Obojętność pani Ołowskiej doprowadziła go do szaleństwa. Toteż prawie z radością wstał od stołu i w jaką godzinę później udał się na spoczynek. Jak błędny szedł za lo-

kajem, który im przyświecał po schodach na piętro, mijał pokoje i znalazł się wreszcie w niewielkiej ogrzanej komnacie. Z tą sąsiadowała druga, gdzie miał spać Krzysztof. Rafał rozebrał się i rzucił na łóżko. Zaraz usnął. Późno w nocy zbudził się i podniósł.

Okrażała go woniejąca girlanda myśli, że jest w tym samym domu, co i księżniczka Elżbieta, że po tylu latach spotkał ją stokroć piękniejszą, niż była dawniej, tylko jeszcze bardziej w piękności swojej straszliwą. Ta myśl najglówniejsza obchodziła dokoła jego pościel jak ciche kroki szatana. Była tak olbrzymia, tak rozmaita i wielostronna, że jej głową ogarnąć nie mógł. Przybierała coraz to inną postać i formę, miała tysiące płaszczyzn i granic. Była współcześnie czarującym kuszeniem, tak oczywiste nasuwającym obrazy, że widział tuż przed spalonymi ustami nieśmiertelną piękność wpatrzonych oczu, wargami dotykał ust i chciwą ręką nagich ramion. Była także zachwycającą nadzieją, która wiedzie jakoby na skrzydłach motyli przez czas i przestrzeń aż do błękitnych krain, których nigdzie nie ma, i była żalem nie do zniesienia rozważającym, jak zegar, utratę tych minut bez ceny, które właśnie, szepcząc w pośpiechu niezrozumiale a groźne wyroki, uchodzą w ciemną sztolnię nocy. Dał się unieść marzeniom. Przebywał w szczęściu i zlatywał w głuche doły odtrącenia, gdzie wichur potępińczy wyszarpuje ze strun swej lutni nikczemne jęki. Cały świat porywało mu co chwila sprzed oczu nieoczekiwane wahanie się uczuć. Jak zdroje dotychczas nieznanne wybuchały z duszy postanowienia, by za chwilę zniknąć w podziemnych swoich cieśniach i łóżyskach, skąd nigdy już nie powrócą. Oto marzył długo i namiętnie, żeby za jaką bądź cenę tu zostać. W jakiegokolwiek roli! Przerzucić się na stronę austriacką, pruską czy diabelską, stać się żołdakiem, czyimkolwiek jurgieltnikiem — wszystko jedno! Zostać w pobliżu tego domu szczęścia, gdzie każdy sprzęt wzrasta w duszę, kamienieje i zamienia się w jej skarb, gdzie chropawe ściany są zasłonami rozkoszy, gdzie każdy szelest może być ukochanym zwiastunem łaski.

Usłyszał oddech śpiącego Krzysztofa i oto już drugi raz uczuł w sobie nienawiść. Przeszył mu głowę jego wesoły śmiech sprzed kilku godzin, ugodziły go spojrzenia rozmarzonych oczu, które był pochwyił podczas wieszery. Dla niego była łaskawa. On tutaj odniósł tryumf. Któż wie, może naprawdę odniesie go jutro, pojutrze? Gdyby tak było!... Pchnęła go z łóżka nagle myśl... Cóż trudnego? Właśnie są okoliczności po temu. Wyjdą w nocy. Puszczą się w manowce nadrzeczne. Tam krótki strzał w ucho głupca, trupa w wodę i pod łód. Wtedy — wrócić, wrócić... Och, i teraz nie byłoby to trudne chwycić gardziel tego szczygła, zatrzymać na zawsze oddech. Za cenę jednego uścisku, za cenę jednego sam na sam — czegoż by nie uczynił! Za cenę jednego takiego uśmiechu, jakich tamten tyle dziś odebrał!

Ale po cóż to czynić? po cóż to czynić? Wszakże można raz jeszcze spróbować napaści. Czy znać na twarzy ślad twojej szpicruty? Przyjrzyj się, zmij! Wzniesiesz znowu rękę do ciosu? To i cóż stąd? Dotknąć ustami przed odtrąceniem, przycisnąć ją do piersi i złote włosy mieć sekundę na ustach. A potem niechże strzela w łeb, kto chce — Niemiec czy Francuz, mąż czy kochanek!

Bezwiednym ruchem zaczął ścierać z szyby zamróż nocny i spojrział w świat. Księżyc raz wraz wypływał pomiędzy chmur szybko pędzących. W dali, za szczytami nagich drzew parku, rzeka w blasku miesięcznym to lśniła wszystkimi lodami, to gasła w cieniach. Nad jej brzegiem płonęły tu i owdzie przygasłe ogniska, od nich długie, drżące smugi światła spadały na wodę. Rafał roześmiał się patrząc na te ognie. To on tam ma się udać... Między te ognie... Tysiąc strzałów wymierza, gdyby kiedykolwiek chciał wrócić do tego domu. Spełni to dobrowolnie, żeby już tutaj nie mieć prawa powrotu. Już nigdy! Roześmiał się powtórnie. Każdy najnędrniejszy parobek ma prawo przebywać w tym okręgu rozkoszy, każdy pies ma prawo położyć głowę na tym progu — tylko nie on, który za to prawo gotów jest oddać połowę życia, nie, zaiste, całe życie! Ogarnięty bezrozumem i wichrem miłości, osłępy od jej błyskawic, strachów i niewzycięzonych poduszczeń, zaczął chodzić tam i sam po komnacie cichymi, popłatanymi, szalonymi krokami.

NOC I PORANEK

Muzyka umieszczona na galerii stroiła instrumenty. Z głębokiego westybulu raz wraz wynurzały się nowe postacie i wolno szły w górę po marmurowych schodach. Szelest jedwabiu, zapach perfum płynął z dołu. Szmer rozmów...

Tysiące świec woskowych rzucały blaski na słupy z ciemnego marmuru podtrzymujące strop wspaniałego przedsionka. Przy jednym z tych słupów stał pan Ołowski, człowiek jeszcze młody, z twarzą subtelną, wydelikacaną i piękną. Niebieskie jego oczy były zapadłe pod bladym czołem, a przymusowy uśmiech w krótkich przerwach między jednym komplementem a drugim, między jednym a drugim powitaniem nowo przybywających gości, zsuwa się z twarzy jak maska.

Obok drugiego filaru stał plenipotent Kalwicki w najwspanialszym ze swych kontuszów; jeszcze niżej na platformie, gdzie się zawracały schody, kłaniał się przed każdą wkraczającą parą kamerdyner i okazałym ruchem prawicy wskazywał pana domu.

Kalwicki oczekiwał właśnie na oficera, którego już sam osobiście był przywiózł i w bocznej gotowalni na dole umieścił, żeby się tam dostatecznie po swojemu wymuskał i oczyścił. Wreszcie ukazał się ów porucznik. Szedł żwawo po schodach w swym półfraku świecącym od naramienników i ozdób, w obcisłych ineksprymablach i ciżmach, dumnie i swobodnie wydymając usta. Kamerdyner skłonił się przed nim we dwójnasób nisko i poprowadził go bokiem o kilka schodów, żeby snadź Niemiec nie pomylił się co do osoby gospodarza. Kalwicki łamaną, z łacińska-polską, a pan Ołowski wysmienitą niemczyzną przyjęli gościa i z wielką atencją, komplementami, wśród ukłonów prowadzili do salonu.

Tam już rozstawione pod ścianami kanapki i krzesła napełniły się doborem najpiękniejszych dam okolicy. We drzwiach do sąsiednich salonów tłoczył się zastęp tancerzy. Środek sali był pusty. Pani Ołowska w pobliżu głównego wejścia witała przybywających.

Włosy jej utrefione tego dnia w sposób szczególny, objęte były dwiema gałązkami lauru. Szyja i ramiona wylaniały się spomiędzy szerokich buf rękawów. Lekka, prześliczna suknia, z wpiętymi w przód spódnicy różami, *robe de gaze à raies de satin*, koloru morskiej wody, niedosięgająca ziemi, otoczona była u dołu liśćmi kamelii i odsłaniała nogi powyżej kostek. Długie aż do ramion rękawiczki osłaniały obnażone ręce. Za przepaską, pod osłoniętymi piersiami, drgał życiem bukiet fiołków z Parmy. Kiedy wszedł porucznik i z wyszukaną elegancją wiedeńczyka skłonił się przed nią, przyjęła go równie jak mąż, z honorami. Zażądała, aby jej podał ramię i przeszła z nim przez opróżniony środek salonu do grupy poważnych obywateli, wymieniając jego nazwisko.

Za chwilę jej atlasowe ciżmy prześliznęły się po parkiecie sali ku rozwartym podwojom głównego wejścia.

W grupie młodzieży, u przeciwnych drzwi salonu, stali — Olbromski i Cedro. Ujrzawszy Niemca poczuli, że zaczyna się ich epos. Krzysztof przyjął ten widok jako młodzieńczą podniętę, a Rafał jako pchnięcie kindżalem.

Należało decydować się szybko.

W ciągu tych dwu dni twarz Rafała osunęła się, a oczy pełgały niezdrowym połyskiem. Z godziny na godzinę zwiększała się jego namiętna, rozszalała miłość, żądza, przesycona poczuciem utraty. Nie czuł patrząc na piękną gospodynię radości ani zachwytu, lecz bezradną, stratowaną rozpacz. Wszystko miał teraz postawić na kartę. Tak lub inaczej zdecydować w ciągu tych godzin o całej swej przyszłości. Nie spał był nocami, a we dnie szukał, szukał, szukał spotkania. Wciąż pełno było gości, przybyszów, sąsiadów, z których każdego i każdą rozszarpywał i ćwiertował wzrokiem takiej nienawiści jak najzaciętszego wroga. Wciąż musiał z kimś rozmawiać, witać się, żegnać, ukrywać w sobie spiskowca i, co najgorsza, śmiać się. Toteż śmiał się czasami tak oryginalnie, że zimno przejmowało rozmówców. Czasami spostrzegał ją gdzieś daleko, w tłumie. Wtedy usta jego szeptały prawie głośne wyrazy uwielbienia, pochwały i pieścizotliwe bezmysły albo głuche i niebezpieczne przekleństwa, przywarło do uszu i serca w więzieniach orawskiego zamczyska. Nieraz w szale, bez wiedzy, przedzierał się ku niej, żeby nareszcie wyznać, co się z nim dzieje... A kiedy się zbliżał i słyszał mówiącą wesoło, zalotnie, rozkosznie, odchodził z duszą rozstrzelaną jej śmiechem, uśmiechając się z cicha.

Tak przetrwał te dwa dni świąteczne.

Teraz stał w tłumie wystrojony według ostatniego wzoru mody i nie spuszczał oka ze swego bożyszczka.

Jakże była piękna!

Głowa jej stała się podobną do odwiecznej kamei, wrytej ręką Greka w białych wstęgach onyksu. Włosy, ujęte w laurowe gałęzie, wiły się jak barwne jego zwoje. Bure

brwi stykały się jedna z drugą nad linią nosa niepostrzeżenie, ledwie dostrzegalnej barwy mchem, a to ich rozkoszne złączenie było jak obraz pocałunku. Nigdy cudniej nie wyróżniały się śnieżne skronie od płonących cichym żarzewiem rumieńców lica. Nigdy rozkoszniej nie uchylały się usta.

W pewnej chwili Rafał uczuł, że nie pojedzie na projektowaną wyprawę za Wisłę. Doświadczył zaraz znamienitej ulgi. Kamień spadł mu z serca. Miałaby jeszcze tylko parę godzin ją widzieć, a za parę godzin utracić na wieki? Cóż za bezgraniczne głupstwo! Przenigdy! Zostanie tutaj za wszelką cenę. To, co raz w nocy prędko pomyślał, teraz wykona. Uda, że ma gorączkę, że jest chory, umierający. Wróci po świętach do Krakowa. Stamtąd będzie przyjeżdżał. Wymyśli interesy, do Kalwickiego, do Ołowskiego, weźmie tu folwark w dzierzawę. Będzie się tu włóczył po polach. Będzie zachodził niby to z polowania do rządcy. Z pól widać ten pałac. Oglądał przyszłe dni i noce swoje, przespiewy i przygody, jak na dłoni.

Chodziło tylko o to, jak rozmówić się z Krzysztofem. A może i on zostanie? Wylżą się przed Trepką trudnościami... Bo czyliż to istotnie nie traci obłudę iść prosto w pętlę stryczka? Czyż nie widzieli w Krakowie? Czyż nie lepiej pracować na roli jak Bóg przykazał, zamiast szukać wiatru, a raczej pewnej śmierci — na szczerym polu? Będzie z pewnością trochę wstydu, trochę szeptania i śmiechu, trochę gawęd i wytykania palcami, ale potem wszystko pójdzie w zapomnienie. Rzecz ludzka. Ci sami, którzy będą wytykali palcami, niegdyś sto razy gorzej dawali nurka.

Tylko jak zacząć z głuptaskiem Krzysztofem? Jak wyrazić pierwsze słowo po tylu dniach i nocach zapału? Ziewnął skrycie od przesywających dreszczów. Wyciągnął dłoń ze sztywnymi palcami, żeby ku sobie przyciągnąć Krzysztofa. Zdawało mu się nawet, że go przyciągnął... Tymczasem Cedro stał wyprostowany wpatrując się pilnie źle widzącymi oczyma w figurę austriackiego oficera. Ręka Rafała spoczęła na ramieniu towarzysza, a skrzywione usta wykaszły.

— Krzys... boisz się?

Tamten drgnął jak od dotknięcia nagiego ciała soptem lodu.

— Nie boję się! — rzekł zupełnie jak dziecko, gdy mu w żywe oczy zadają kłamstwo.

— A ja...

— Co ci jest?

— A ja myślałem, że się boisz.

— Lepiej byś westchnął do Boga za pomyslną noc dzisiejszą, zamiast mię nękać i osłabiać.

— Głupcze... — szepnął mu w samo ucho Rafał. — „Trzeba poczekać — pomyślał — jeszcze czas”.

I oto niespodziewanie olśnił go genialny pomysł. Gdy nadejdzie chwila odjazdu, skryć się w pałacu i zmarnować dogodną chwilę. Uda, że się spił. Człowiek pijany nie odpowiada za swe postęпки i nie traci na honorze. Wylezie wówczas, gdy wszystko będzie stracone, o świcie. Krzysztof, jeśli chce, niech idzie sam. Ależ owszem, niech idzie, nawet niech się przeprawi szczęśliwie w myśl swoich modlitw albo niech z chwałą zdechnie od kul dragońskich! Ależ owszem, niech — cha cha — idzie za Wisłę, do wszystkich diabłów! Dość już tutaj i tak nabierał uśmiechów i słówek...

Doznał głębokiej znowu ulgi. Pachnący wiatr rozkosznej przyszłości wionął na jego czoło. Ujrzał przed sobą szereg świetlistych dni.

Właśnie kapela zagrała polskiego i wyniosłe, wspaniałe dźwięki porwały na skrzydła swoje nowe postanowienie Rafała. Unosił się wśród szczęścia odzyskanego, płynął wśród blasku. Jak w sennym złudzeniu widział szereg par z wdziękiem i powagą okrążający salę. Stary jakiś jegomość, z panią Ołowską marszałkującą temu tańcowi, zniknął mu sprzed oczu w sąsiednich salach i ukazywał się znowu. Odkryte ramiona i piersi, włosy przetykane perłami i przeplecione wstęgami, trefione i lśniące od kamieni, połysk i szelest cennego atlasu, migotanie brylantów, zapach perfum, czarodziejstwo spojrzeń a uśmiechów — i muzyka — przepływały dokoła jakoby fale rozkoszne. Oto przesuwały się pary jedna za drugą... Przemyka się, jak mgła, dziewica w przystroju głowy *l'oiseau de paradis*... Dalej szeleszczą suknie bramowane futrem *en lapin de Moscovie*, głowy półokryte, w tokach *de gaze argentée*, w turbanach *à pointe mameluck*, w szatach lewantyńskich i egipskich.

Ledwie skończono poloneza, melodyjny walc poniósł w wir wszystką młodzież. Rafał pragnął tańczyć z panią Elżbietą, ale nie mógł pochwycić ani jednej tak szczęśliwej chwili. Zawsze z nią walcował ktoś inny albo znikąca mu z oczu pełniąca obowiązki gospodyni. Tańczył tedy z osobami, które były w pobliżu, żeby przynajmniej na miejscu nie stać. Raz jeden, już około północy, przez krótką chwilę udało mu się przebiec salon trzymając swój skarb w objęciu. Zniknęły wówczas z jego mózgu słowa, ustały, zdawało się, myśli. Ani jednego wyrazu nie znalazł, choć siłił się, żeby go wymówić. Milczał ze ściśniętymi zębami.

Minęła północ i Krzysztof coraz częściej począł szukać towarzysza oczyma. Rafał słyszał bicie nadchodzącej godziny w sercu, w głowie, w szpiku kości. Młodzieniec prowadzący tańce zapowiedział nowomodny taniec angielski *country dance*, w którym miało wziąć udział całe niemal towarzystwo. Pomimo wszelkich usiłowań, nie udało się Rafałowi tańczyć z panią Elżbietą. Dopiero los szczęśliwy zdarzył to w następnym lansjerze. Znał ów taniec jeszcze z Warszawy, wiedział tedy, że tańcząc na *vis-à-vis* będzie miał możliwość obcowania z nią w pewnych chwilach. Z przymkniętymi oczyma marzył o tym, co będzie.

O, gdybyż mógł wyznać jej mękę swej duszy! Odejść i odejść bez jednego słowa... Tancerkę swoją, pierwszą lepszą pannę z brzegu, zasypywał mnóstwem słów wesołych, dowcipnych, miłych, bezmyślnych. Bawił ją jak wesoły trzpiot, jednocześnie drwiąc z niej oczyma pełnymi odrazy i wzdargy i klnąc ją wewnątrz siebie najwstrętniejszymi przezwiśkami. Wśród kaskad słów skierowanych do tancerki marzył o tamtej, córce nieba i dnia. Zaczął się taniec. Zaraz w pierwszej figurze, kiedy z panią Ołowską sam na sam został, rzekła do niego cichaczem:

— Za parę godzin...

— Co księżniczko? — wyszeptał białymi ustami.

— Tak niegościnnie muszę przypomnieć... Za parę godzin pójdziecie, waćpanowie.

— Wolalby tu umierać niż na rzece.

Rozłączył ich płynny, powabny płas. Odeszła wśród ukłonów, z uśmiechem na przedczudnym obliczu. Tylko nikły rumieniec... Ale za parę chwil znowu mu ją dał taniec. Wtedy z głębokości serca, targającego się w powrozach swych, wyszeptał:

— Księżniczko...

— Cóż to?...

— Księżniczko...

— Nie jestem już księżniczką, mości panie. Dawno już przeminęły tamte czasy...

— Dawno już przeminęły tamte czasy, a tylko moje nieszczęście...

— Cóż to waćpanu?

— Kocham cię... Na śmierć, do zatracenia duszy! Umieram z żalu za tobą... księżniczko!

Złożyła mu ukłon pełen wdzięku, dyg pełen czaru, jak kazał taniec, i zostawiła go z inną kobietą, z tancerką, którą sobie był wybrał. On szedł w taniec jedwabnymi krokami, z uśmiechem na ściśniętych wargach. Bielmo zasłaniało mu oczy, a krew ostygła w żyłach. Zdawało mu się, że już nigdy nie nadejdzie ta chwila, żeby mógł dotknąć tamtej ręki. Widziało mu się, że światła gasną, muzyka niemieje i ludzie stają zdumieni wokoło. Mijała chwila czekania. Setki w niej wieków przepłynęły. Mówiła coś do niego tancerka i on wesoło jej odpowiadał. Uśmiech wesoły wdział na twarz...

Nie, nie nadchodzi... Wabi ją już muzyka, wesoła jak śmiech serdeczny. Czy nigdy już nie nadejdzie? Czyż nie uczuje dłoni jej w swej dłoni i lazurów oczu nie przyjmie z uwielbieniem? Odmienią fala opłynęła go muzyka, jak mowa zrozumiała, zwrócona bezpośrednio do niego. Nie wiedząc o tym wcale wykonał prawidłowo figury tańca.

Nareszcie...

Poznał ją po błękitnym powietrzu, w którym była dla niego zawsze. Poznał ją po zapachu włosów i po szeleście szat. Nie mógł własnego spojrzenia udźwignąć z ziemi. Widział jej stopy w białym atłasie i białe wstążki skrzyżowane... Oto trzyma rękę jej w swej dłoni, nieruchomą, długą, trwożliwą, miękką i subtelną jak wiązka nikłej rezedy. Oczy wciąż jeszcze nie mogą objąć postaci, nie widzą. Dusza tylko nasycy się nią, jak kwiat nasycy się mgłą nocy.

Oto mówi do niego tak cicho, ciszej niż szelest jedwabiu:

— Nie powinnam była...
— Co, księżniczko?
— Nie powinnam była pozwolić, żebyś waćpan jedną godzinę przebywał w progach tego domu. Tylko wzgląd wyższy...
— Jeszcze tylko parę godzin... Odejdę zaraz i już na wieki.
— Niech się tak stanie.
— Ani jednego słowa litości...
— O litości wspomina ten bezczelny, który się porwał...
— Pani, pani... Kochałem cię nade wszystko w życiu moim. Dlatego... To tylko chciałem powiedzieć...
— Już się dokonało.

Odeszła znów. Jak woniejący dym okurzył go dźwięk tych wyrazów. — „Już się dokonało”. — Cóż mogą znaczyć te słowa? co mogą znaczyć te słowa? co mogą znaczyć? Wszystką władzę rozumu wytężył, żeby zrozumieć. Ale nim cokolwiek ułożył w myśli, przesunęła się obok niego wśród nieustających zbliżeń i oddaleń tańca. Gdy na moment znowu byli razem, rzekła:

— Nigdy waćpan nie wrócisz tutaj? Wszak to już sam wyrzekłeś?

— Tak wyrzekłem.

— I honorem ręczysz swoim?

— Co prędzej, co prędzej uchodź — cha cha...

— Nigdy nie będziesz się waćpan starał, żeby mię widzieć?

Milczał.

— Mówże waćpan...

— Nie mogę tego przyrzekać. Jeśli żyć będę, wszelkich owszem dołożę starań, żeby skrycie widywać to miejsce. Ale o tym nikt wiedzieć nie będzie.

— Przysięgnij waćpan, że tego nie uczynisz, a może byś usłyszał coś takiego, co cię do głębi...

— Przysięgam na moje życie, na mój honor, na dobrą sławę, że nie mogę... Kocham cię...

— Zamilcz.

Po chwili mówiła znowu:

— Słuchaj, co mówię. Chciałabym zawsze tak wspominać moją w Grudnie aleję, jak ją dotąd wspominałam. Chciałabym zawsze tak samo... Lubię tę w sobie pasję. Tam to chodziłam wieczorami do szaleństwa gardzić twoją zbójcką napaścią. Tam to chodziłam patrzeć w mrok i niby na jawie widzieć twe wilcze oczy wbite we mnie jak haki, twe śmiertelnie uśmiechnięte usta, słuchać, jak w piersi serce łomocze... Jak teraz...

— Jeszcze słowo...

— Chodziłam sama w puste ciemniki tęsknić, żebyś raz jeszcze spróbował napaść tak samo i żebym cię mogła zabić od jednego ciosu, ale nie rzemieennego pręta, nie! Żebym cię mogła zabić od jednego ciosu sztyltem w huczące serce. Miałam go zawsze w pogotowiu...

— O, gdyby teraz... Od jednego ciosu!...

— Już teraz nie chcę. Przeminięło.

— Jeśli rozkażesz, to dziś nad ranem dam się rozstrzelać, ale wysłuchaj wszystkiego.

— Ciszej waćpan szep taj, bo nam się przypatrują...

Głęboki ukłon.

Brak wzroku i tchu. Ocknął się widząc, iż należy tańczyć nową figurę. Śnił przez chwilę, iż inny zgoła człowiek jest w nim samym. Spoglądał wokoło jasnymi, uciszonymi oczyma. Pilnował w sercu płomyka cichego szczęścia. Już nie zbliżyła się w tych figurach. Dopiero w ostatniej, gdy razem na chwilę stanęli, rzekła mu:

— Będzie gawot. Czy tańczysz go waćpan?

— Tak.

— Czy dobrze?

— Dobrze.

— Ale czy bardzo dobrze?

— Zdaje mi się.

— Zaproś mię waćpan później do tego tańca.

— Książniczko, daruj mi jedną jedyną chwilę, nim stąd odejdę, jedną chwilę na osobności.

— Zamilcz.

Skończył się taniec i nastąpiła chwila przerwy. Rafał oddalił się do jednej z sąsiednich sal i tam ukrył we framudze okna. Był znużony, jakby wszystkie kości miał połamane. Był obojętny na wszystko, nawet na to, co się przed chwilą dokonało. Wiedział tylko tyle, że te sekundy, które przemijają, to najrozkoszniejsza doba życia. Samej ich rozkoszy nie czuł wcale. Otrząsnął się ze swego stanu wówczas dopiero, gdy spostrzegł panią Ołowską w otoczeniu kilkunastu osób, panów i pań. Wszyscy ją o coś usilnie prosili, a ona zaprzeczała śmiejąc się srebrnym swym uśmiechem. Rafał zbliżył się także i posłyszał wówczas, że ją proszono, by tańczyła *tamburino*. Nie chciała za nic. Trwało to dosyć długo. Nareszcie Rafał przypomniał sobie, co mu poleciła. Przecisnął się tedy ostrożnie przez tłum, skłonił się przed gospodynią i prosił, żeby raczyła tańczyć z nim gawota.

— Ach, więc jedni chcą, żebym tańczyła *szal*, ci, żeby *tamburino*, a jeszcze, waszmość pan... gawota. Nie. Wynajdę sama inną tancerkę.

— Pomimo ponowionych próśb?

— Nie mogę — *et tout est dit*.

Rafał począł nalegać, nastawać, prosić.

Po długim wahaniu się, którego na pozór nie mogły przewyciężyć nawet próśby pana Ołowskiego, przystąpiła wreszcie na odtączenie gawota. Zagrała muzyka.

Kreśląc w przestrzeni linie i szlaki niepewne, jakoby ślady bujania w kraju widzeń, zataczając zwroty kołujące i wśród niespodziewanych ukłonów, owych zaprzeczeń pełnych uprzejmego powabu, co są niby znaki symboliczne wstydlivosti i bojaźni, tancerka stała się podobną do muzycznego instrumentu, do harfy czy lutni, tworzycielki wzniosłej i pięknej melodii. Samemu zdawało się, że tworzy i pierwszy raz w życiu gra. Ruchy jej były z każdą chwilą wdzięczniejsze, coraz bardziej pewne swej piękności, jak tony muzyczne od wieków leżące w milczeniu, które teraz, po wyrwaniu z nicości, okazują wszystek swój przepych i potęgę władzy piękna. Bezkarne i bez przeszkody, jawnie a w myśl przepisów tańca, mogli obejmować się miłosnymi uśmiechami, tonąc w sobie nawzajem oczyma. Każdy ukłon i każdy przegub ciała więcej oznaczał, wypowiadał i dokonywał w sprawie miłosnej niż sonet ułożony ze słów i zawartych w nich pragnień.

Rafał, ledwie kilkanaście postawił śliskich a wytwornych kroków, między jednym a drugim zbliżeniem ciał usłyszał wyrazy.

— Pójdź...

— O, pani...

Przebiegła ślicznymi ruchy przestrzeni salonu, wróciła znowu. Oto ująwszy palcami gazę spódnicy uniosła jej lekko i łagodnymi rytmy, cichymi skoki mijając tancerza. Wtedy szepł:

— Boję się ciebie...

— Kocham...

Ukłon i szepł:

— Pójdź...

Znowu szepł.

— Przez szereg pokojów...

Musiał teraz oddalać się od niej i wracać, oddalać i wracać wciąż. Słuchał, słuchał, słuchał. Była obok i milczała. Nic, tylko ciosy własnego serca... Mijała go w milczeniu. Nareszcie, kiedy się najmniej spodziewał, kiedy oszalały tracił już wszelką nadzieję, posłyszał znowu wyrazy ledwie się dobywające spomiędzy nieruchomych warg.

— Pójdź... do siebie...

Za chwilę znowu:

— Stamtąd zejdziesz...

Szereg ukłonów i cichych, rzewnych kroków do taktu muzyki gawota, aż znowu szepł, głos cichy a wstrząsający do szpiku kości:

— Na dół schodami... tak... które są w końcu korytarza.

— Co dalej?

Muzyka nieco odmienna. Taniec znów. Uśmiech.

Oczy zemdlące w zaśnieniu. W różanych wargach zęby z trwogi szczękają:

— Będą tam półotwarte drzwi.

Nic już nie rzekła aż do końca. Żrenice oczu skryły się w cieniach rzęs. Na ustach wyraz bolesny. Włosy, rozrzucone w tańcu, tworzyły dokoła zbielejącej twarzy złotolitą burzę.

Rafał wcisnął się w tłum mężczyzn i stanął w przejściu wiodącym do sali sąsiedniej. Tył głowy wsparł o śliskie odrzwia mahoniowe i otwartymi oczyma patrzył w dal. Zbliżył się do niego Krzysztof i rzekł:

— Bądź gotów.

Rafał spojrzął na niego z ukosa i uśmiechnął się dobrodusznie. Rzekł cicho głosem spokojnym i łagodnym:

— Bardzo mi się podobasz dnia dzisiejszego.

— Ale z ciebie tancmistrz nie lada...

— Tak sądzisz?

— O, wierz mi, powinieneś być dawno wstąpić do baletu w Krakowie... Nie byłbyś się tułał po gościach...

— Jesteś, ile sobie przypominam, złośliwy, mości Cedro. Lubię dobry dowcip, a bez złośliwości nie ma dowcipu. Obawiam się, że dziś rano zginiesz. Wiesz co, idź do sąsiedniego pokoju, napisz testament według reguł procedury austriackiej, a mnie możesz, jeżeli ci to w smak pójdzie, zrobić generalnym spadkobiercą.

— Zapiszę ci, ale nie tak znowu wiele... — rzekł Krzysztof ze złym uśmiechem. — Co najwyżej mogę ci w puściźnie przekazać ten frak, który masz na sobie i w którym tak misterne stroiłeś piruety. Pończochy również i trzewiki...

— Jakże śmiesznym jest mąż, któremu zazdrość dziurawi skorupę mózgu!

— O ciebie... — szepnął Cedro ze ściśniętymi zębami, ale Rafał odsunął go od siebie łagodnym i łaskawym ruchem. Na przeciwległej stronie sali, w odosobnionym krześle siedziała jego księżniczka z głową opartą o kraj marmurowego kominka. Patrzali się w siebie zakłętymi oczyma przez długi, niewymowny czas. Nie umieliby powiedzieć, ile go upłynęło, nie umieliby określić, co się działo na świecie otaczającym ani w głębokości ich dusz. Nie wiedzieli nawet o tym, że upływające minuty niosły na falach najwyższe złudzenie rozkoszy.

Zakłócała ciszę muzyka i zajmowała przestrzeń młoda, piękna panna, z wdziękiem tańcząca solowy taniec — *szal*. Przebiegała salę to tu, to tam, rozciągając nad głową błękitny szal z kaszmiru. Jeśli stawała na złotolitej drodze spojrzeń obłąkanych z rozkoszy, przywierali na mgnienie powieki, by za chwilę z tym straszniejszą miłością upajać się sobą.

Wreszcie, nim piękność ukończyła swój taniec, Rafał podniósł głowę. Od niewypowiedzianego uśmiechu zaćmiły się i ściemniały jego oczy i stały się do oczu księżniczki podobne. Usta oblekły się wyrazem potęgi i cudownej siły. Stał się piękny, wspaniały i niezwykły. Wolnymi krokami, z wdziękiem i zwinnością tygrysa poszedł nie widząc miejsc ni osób.

Przeszedł wskazane korytarze, schody, sienie, znowu schody. Wszędzie było pusto i cicho. Daleki gwar zagłuszał odgłos kroków. Pchnął półotwarte drzwi i wszedł do buduaru. Panował tam prawie mrok. Na kominku żarzył się stos bukowych węgli. Okrył je już popiół fioleto-woperłowy. Z dala, zza dziesiątych ścian, dochodziły tony stłumione i szczególnie urocze w tym oddaleniu. Olbromski zamknął za sobą drzwi i usiadł przed ogniem. Zapadł w zadumę przesyconą wonią róż i jaśminu. Oddychał westchnieniami, które płynęły z tajemniczego źródła na świętej górze szczęścia.

W pewnej chwili błysnęła jasność w przeciwległej ścianie. Pani Ołowska stanęła w drzwiach. Zamknęła je za sobą. Gdy wstał z fotelu przed ogniem, zajęła to miejsce i przez chwilę nieruchoma siedziała z rękoma na poręczach leżącymi bezwładnie. Ujrzał przed sobą, w słabych, brzaskach światła węgli, jej twarz, szyję, ręce. Ujrzał ją przed swoją duszą. Kiedy podniosła na niego oczy i kiedy znowu spoczął w spojrzeniu, przerwany odejściem z sali, upadł przy niej na kolana, objął jej nogi rękoma i pozwolił płynąć nieutulonym łzom szczęścia.

Nie odtrącała go ani się poruszyła na swym miejscu.

Dopiero nierychło, nierychło, kiedy już serce jego było spokojne i oschły lzy na powiekach, dotknęła ręką jego czoła.

Podniósł głowę.

—Spełniłam wszystko, czego chciałeś.

— Tak jest.

— Żegnam cię.

— Żegnam cię, pani.

— Przyniosłam ci ten z albumu widok alei w Grudnie. Sama go niegdyś zrobiłam... W latach moich szczęśliwych, w dobie moich snów na jawie... Weź go sobie i miej na sercu. Nie przebiją go kule.

— Czy nie chcesz, żebym dziś umarł?

— Nie.

— Czy nigdy więcej nie mam cię ujrzyć?

— Słyszę w tym pytaniu... Nie chcę powiedzieć... Idę już stąd.

— Księżniczko!

— I cóż jeszcze!

— Ciebie jedną kochałem w życiu. Wysłuchaj mię!

— Cóż chcesz, żebym jeszcze uczyniła?

— Dziś rano umrę, jeśli zechcesz... dam się w ręce dragonów. Grób zachowa tajemnicę... Na wieki, na wieki!

— Przenigdy!

— Więc kochasz kogo innego?

— Nie powiem!

— Powiedz, na Boga!

— Sam wiesz najlepiej.

— Nic nie wiem.

— Byłeś i jesteś jeden. Będziesz zawsze.

Wstała i odsunąwszy go skierowała się ku drzwiom, którymi była weszła. Ale, nim ich dosięgła, zawołał na nią cichym szeptem oszalałej rozpacz, ślepej niedoli, niezwykłej miłości. Zatrzymała się u proga. Zawahała się... Potem wróciła jęcząc cicho i gryząc zębami chustkę...

O jakiejś porze usłyszeli w pokojach na piętrze żywe, gwałtowne kroki i łoskot. Rafał wiedział, co to oznacza. Szukają go. Myślał o tym z uśmiechem nie odrywając ust od czary swego szczęścia, nie budząc się z omdlenia. Wszystko jedno. Czy umrzeć już, czy jeszcze żyć — jednego to niewarte uśmiechu. Ale na rozkaz, że ma się udać z Krzysztofem na ową wyprawę, odszedł w oka mgnieniu i stanął w swoim pokoju. W istocie szukano go na wszystkie strony. Kalwicki kłął na czym świat stoi. Krzysztof był już gotów.

— Gdzieżeś ty był, wariacie, aż do tej pory! — wołał z największym gniewem.

— Jak to? Czyż ci nie wiadomo? Byłem, byłem na balu.

— Dzień się już za jaką godzinę zrobi! Przez twe guzdrałstwo możemy wszyscy zginąć.

— Ale dajże pokój. Nie zginiesz. Złego diabeł tak znowu chętnie nie bierze! Kto idzie na wojnę, mój krwiożerczy rycerzu, musi mieć odwagę w każdym calu duszy i w każdej żyłce. Chcesz, to pójdziemy w dzień. Cóż mi to szkodzi?

— Ubieraj się co tchu. Chwila najstosowniejsza, a tego nie ma!

— Dla mnie każda chwila nocy czy tam dnia zarówno stosowna.

— Waćpan sobie fanfaronuj i barszkuj, ale innym razem! — złościł się Kalwicki.

— Biada mi!

— Oficeram już napiłem szampanem do zupełnej miary, leży mi w poczekalni jak pień olszowy, konie czekają... Ech, ja bym wasanu zadał, żebym tak był twoim ojcem!

— A no... Bóg strzegł.

— Jeśli za dwa pacierze nie wyjedziemy, to nie ma co zaczynać, ja nie jadę. I niech was diabli!... Jestem stary człowiek, mam dzieci i wnuki.

Rafał kiwał głową. Od jednego zamachu zdzierał siebie balowe szaty. Wszystkie, nim je odrzucił, to żabot, to rękawy fraka, przesuwając koło ust, chwycił wargami, wdychał zapach i całował. Po raz ostatni upajał się cielesną wonią dotknąć, która jeszcze nie uleciała, ciepłem rozkosznych oddechów, co jeszcze nie ostygło. Cisnął wreszcie wszystko w otwartą walizkę jak w grób, zatrzasnął wieko i w kilka minut wdział swój obcisły rajtrok, do którego brakowało tylko obszlegów, żeby się stał artyleryjskim mundurem. Zatrzymał kartę papieru z darowanym pejzażem i schował ją według rozkazu. Wpakował za pas

parę dubeltowych pistoletów, wsunął puginał. Był gotów. Wdziali swe krótkie kozuszki, czapki — i wyszli z cicha bocznymi schodami.

Muzyka wciąż jeszcze grała i pałac huczał od tańców, teraz dopiero na dobre rozhu-
kanych.

Miało się już pod świtanie, ale noc jeszcze stała. Prószył lotny śnieżek. Mróz pod
nogami skrzypiał.

Kalwicki znikł im z oczu, a za chwilę podjechał sam ku bocznemu wejściu saniami
zaprzęzonymi w parę koni jak wcielone diabły, szczękających podkowami po zmarzłym
śniegu. Według umowy Rafał siadł na koźle i ujął lejce. Krzysztof stanął w tyle sanek jako
lokaj. Kalwicki wrócił do pałacu. Czekali chwilę. Konie na miejscu kuły nogami i prężyły
się do biegu. Para z nich biła kłębami. Rafał widział ją w promykach światła padającego
ze szczelin w okiennicach.

Całe jego ciało jeszcze marzyło, a głowa wciąż leżała na obłokach, w niebie rozkoszy.
Słodkie szeptu snuły się bez końca po wargach i jako nici pajęczce oplatały wzrok, słuch,
dotyk. Wargi jeszcze były przyduszone od pocałunków nawiecznych, a wszystka dusza
przemieniła się w słupy dymów wonności.

Otworzyły się drzwi. Kalwicki wyprowadził, a raczej wyniósł oficera ubranego już w fu-
tro. Dociągnął go w swych barach aż do sanek, usadził w głównym siedzeniu, otulił
mu nogi bardzo starannie i krzyknął:

— Ruszaj!

Rafał puścił konie. Polecieli w skok. Kalwicki krótkimi rozkazami wskazywał kierunek
jazdy. Oficerek spity jak bela gadał wciąż do plenipotenty:

— *Bin doch ganz knall... Sacra! Wer bist du eigentlich?*

— Ależ tak... *jawohl...* panie lejtenancie!

— *Sind Sie vielleicht Olowski's Freund?*

— *Freund? A jakże! najzupełniejszy! Jedź tam ostro, te, guzdra! Koniom po bacie!*

Rafał zaciął konie.

— Niech się pan porucznik niczego nie lęka — wołał Kalwicki Niemcowi nad uchem
— mamy niezłego furmana, a i lokaj jest jaki taki, choć safandula. Dojedziemy z paradą.

— *Frau Olowski ist ja... Sind Sie vielleicht ein sogenannter Kalwicki? Frau Olowski ist
aber schön...*

— O, to się wie!

Konie wpadły w opłotki prowadzące do wsi i skokiem kopały się w głębokim śniegu.
Mdły brzask począł się niecić na wschodzie. Wiatr nadranny ocknął się w polach.

— Co pary w koniach! — wołał Kalwicki głosem tak rozkazującym, że Rafał poddał
mu się bez oporu.

Wpadli między stodoły, w ulicę wiejską. Najtęższym galopem lecieli czas jakiś utartą
drogą. W pewnej chwili plenipotent kazał zawrócić na lewo, w wąski, wygrodzony wygon,
wiodący w dół ku rzece. Sam stanął w saniach i poduszczał konie. Dom zajęty na kwaterę
oficera stał znacznie dalej, we wsi. Gdzieś u końca drogi, którą lecieli, paliło się ognisko,
i z dala już widać było przy nim szyldwacha na koniu. Gdy się ku temu ogniovi sanie
pędem zbliżać zaczęły, jeździec skierował ku nim swego konia i ostrym kłusem nadjeżdżał,
krzycząc z całej siły:

— *Wer da! Wer da!*

Ujrzeli go tuż przed sobą, osędziałego i lśniącego od polerowanych rzemieni, od wy-
czyszczonej stali...

Kalwicki stanął w saniach i wołał głośno:

— *Herr Offizier! Herr Offizier!*

Odsonił przy tym kołnierz futra, pokazując kapelusz i twarz uśpionego oficera, który
leciał mu przez ręce. Dragon stanął w strzemionach, schylił się i dobrze, szczegółowo,
uważnie rzecz wybadał. Potem oddał swemu dowódcy honory wojskowe szablą, ale się
z miejsca nie ruszał.

— Gdzie jest kwatera komendanta? — wrzeszczał Kalwicki straszliwą niemczyzną.

Dragon wskazał szablą kierunek i daleki dom.

— Prowadź nas! Komendant zasłabł. Wraca z balu. Wieziemy go do domu! Prowadź!

Dragon zawahał się, jeszcze raz obejrzał kapelusz oficerski, wreszcie trącił konia ostro-
gą, żeby wjechać w opłotki czy dać znać do drugiego posterunku. Skoro tylko odwrócił

się tyłem do sanek, Rafał i Krzysztof zsunęli się ze swych miejsc i chyłkiem, w pół zgięci skoczyli za ognisko. Do wału rzecznego było kilka kroków. Minęli go jednym susem. Po drugiej stronie tego jazu rosły wikle. Całe to zbocze od strony rzeki pokryte było skorupą lodu, który wezbrana czasu powodzi rzeka wyniosła była i zostawiła na chaszczach. Pomiedzy tą skorupą a jazem umykali teraz jak lisy w dół rzeki. Świstali z cicha, wiadomym sposobem, według instrukcji. Kiedy tak dopadli połowy odległości między jednym a drugim ogniskiem, usłyszeli tuż za wałem tętent konia lecącego w skok. Przycupnęli. Koń przeleciał.

— To z drugiego posterunku... — szepnął Rafał. — Leci na znak do tamtego.

Tuż pod nimi rozległ się trzykrotny świst jakby kulika. Rozsunęli rokity i ujrzeli w pobliżu pod rozłożystym pnieniem starej wierzby, której pień wisiał nad nurtem, łódeczkę. Chłop w kozuchu chwycił silnie każdego z nich za ręce i wciągnął do łodzi. Mruknął ze srogim gniewem:

— Późno! Dzień wylazł...

Kazał im przytulić się do dna, sam siedząc w kucki na przodzie, pchnął łódź tak potężnym rzutem wiosła, że od razu wypadła w wart. Tam jeszcze raz wmiesił wiosła w nurty. Jeszcze jeden całoramienny zamach wiosła, jeszcze jeden... Wtem na brzegu rzeki rozległ się krzyk z kilku stron. Stało się to w mgnieniu oka. Zbiegi tyle że zdołali odwrócić głowy, kiedy im prosto w ślepie trzasnął błysk jeden, drugi, trzeci... Tuż koło nich przeciągle gwizdnęły kule.

Jedna z nich musnęła wodę koło burtu łodzi. Cicho i boleśnie jęknęła druga. Nieustraszony Ślązak-przewoźnik wstał teraz na nogi. Wiosła dzwinkły i zagrały w jego potężnych rękach. Ujrzeli przed sobą ogromną jego postać, od głowy do stóp zamkniętą w wielkim kozuchu. Łódź pomknęła w dół, ukośnie tnąc strzał środka rzeki. Lecieli nad wyraz chyżo. Ale na opuszczonym brzegu rozległ się nowy grzmot kanonady i rozwalili ciszę nocy.

Przewodnik raptem siadł na nogi swoje w tym miejscu, gdzie stał, zakaszłał się straszliwym chrzypieniem. Wiosła wypadły mu z rąk. Przez chwilę w zdumionych oczach kiwał się to w tył, to naprzód, charcząc i ciągnąc w piersi powietrze, aż runął na dziób łodzi, zwieszonymi rękawami kozucha trzepiąc i chlapiąc po wodzie. Silnie od początku pchnięta łódź przebiła wiry głębokiego koryta i leciała za wodą bez wiosła po drugiej już stronie warty wodnego. Rafał wychylił się i złapał jedno wiosło. Leżący chłop zawałił całe miejsce. Nieporęcznie, wydzierając sobie wiosło, to docierali do skorupy lodowej tamtego brzegu, to odpadali od niej ku środkowi rzeki. Lodowisko tamtej strony sięgało daleko w wodę i broniło przystępu. Rafał w rozpaczę zwałił je wiosłem, ale tylko zadzwinkło jak dzwon śmierci. Ciekli jeszcze w milczeniu i zgrozie, coraz szybciej, coraz szybciej... Wiry wlekły ich w środek rzeki... Wtem ujrzeli wyłom między lodami. Łódź spodem docierała mielizny, więc ze wszech sił wpierając ocalone wiosło w ławice piasku podwodnego dobijali. Już przedświt powlekał pędzącą wodę śniadą barwicą. Coraz wyraźniej było widać rzekę i przestworza. Na galicyjskim brzegu gromadził się zastęp żołnierzy...

Udało się Rafałowi werznąć łódź w piach i utwierdzić ją tyle, że mogli wyleźć w wodę. Kazał Krzysztofowi brnąć na brzeg, sam szarpnął barkę za łańcuch i wywłócił z wody na mieliznę w ostoje międzylodowe. Kiedy byli w łożach tamtego brzegu, runęło kilkadziesiąt strzałów. Kule gwizdnęły jak osy, trzaskały z ostrym brzękiem w lód i rozpryskiwały go na wsze strony. Dźwignęli co tchu chłopca. Obrócili go twarzą ku niebu. Oczom ich przedstawił się widok brunatnej twarzy, z której rozwartych ust waliła się falą ciemna krew. Oczy już zaszkłone bielmem śmierci patrzyły w nich spojrzeniem tamtego świata. Ujrawszy niewysłowioną mowę boleści w tej twarzy stężalej wśród życia, wśród siły, wśród potężnej pracy, Krzysztof zachwiał się na nogach. Kolana jego głęboko werznąły się w śnieg. Z załamanymi rękoma, z wyrazem rozpaczliwej bezdennej, stokroć mocniejszej niż wówczas, gdy żegnał ojca, patrzył i patrzył w leżącego trupa. Z nagłą zatrzęsł się cały i począł lkać jak dziecko; głowa jego padła do nóg zabitego, ręce kurczem objęły mokre, staplone buty. Począł w boleści skomleć i wyrzekać.

— To ja... To moja wina... To ja cię zamordowałem!... Dlatego, że mi się spodobało iść na wojnę, ty tu leżysz! Boże, Boże! Cóż ja teraz pocznę? cóż ja teraz pocznę, nieszczęsny! Boże wielkiego miłosierdzia!...

Wzniósł obłąkane, skostniałe oczy na Rafała i pytał go z ogłupiałym skamlaniem:

— Cóż teraz będzie? Zlituj się nade mną! Cóż ja teraz z nim pocznę?...

— Wiesz co — rzekł Rafał ściągnając przemokłe buty — ty nadzwyczajnie nadajesz się do stanu żołnierskiego. Bardzoś sobie właściwy zawód obmyślił. Bardzo! Jeżeli nad każdym trupem wojny będziesz tak piękne wigilie śpiewał, to z ciebie będzie najtęższy oficer w armii... Przedstawią cię generałowi Napoleonowi, jako żołnierza nad żołnierze, do stosownej nagrody...

Krzysztof słuchał uważnie. Wytrzeszczonymi oczyma patrzył, jak Rafał drze swą koszulę i suchymi onuczkaami przewija sobie nogi, jak znowu wdziewa buty...

— Cóż my poczniemy? — szeptał coraz ciszej...

— Przede wszystkim ściągnij buty, udrzyj z koszul płat i zawiń nogi.

Spełnił to wszystko co prędzej, siedząc za jazem rzeczonym, jakby w istocie taki był środek ratunku, o który się pytał. Gdy już byli obuci, Rafał kazał mu jeszcze bardziej wyciągnąć łódź na brzeg, sam okręcił łańcuch jej o pień wierzby. Wtedy zdjął czapkę, zwrócił się twarzą do trupa i przez sekundę modlił się cicho.

Dzień wstawał. Wyszli z zarośli nadbrzeżnych i wielkim krokiem wdarli się na wyniosłość pobrzeża. Ale skoro tylko ukazali się tam, znowu warcząc i bucząc górą przeleciały kule i rozległ się huk wystrzałów. Rafał parsknął śmiechem. Krzysztof patrzył na niego bezsilnymi oczyma, do których spływały jeszcze łzy.

— Niemce! — wrzasnął Olbromski nastawiwszy dłoni koło ust — Austriaki! Gałgany! Strzelajże jeden z drugim, a celnie! Godzinę celuj, a traf przecie raz w życiu!... Na szubienicy tobyś wieształ, austriacki wożaku! Celuj! Niedołęgo!

Świsnęło dokoła ze sześć, ze siedem kul. Wleźli obadwaj na biały piaszczysty wzgórek. Tam Rafał rozkraczył nogi i wrzasnął:

— Niech żyje Cesarz! Przyjdę ja tu do was, psy kulawe!

Poszedł naprzód wielkimi krokami, gwizdząc całą gębą. W pewnej chwili zwrócił się do Krzysztofa:

— Wciąż jeszcze beczysz?

— Słuchaj no, daj mi pokój...

— Jeżeli chcesz beczeć, to idź sobie osobno, bo gotowi ludzie pomyśleć, że to ja cię za uszy ciągnę do wojska.

Krzysztof był już od dawna spokojny. Szedł takimi samymi krokami jak jego mentor. W milczeniu przebyli płaszczyznę i zaczęli wstępować na wzgórek, długim wałem wyznaczające dolinę Wisły.

— Krzys — rzekł szybko Rafał głosem wesołym — a wiesz ty, bratku, o tym, że my już byliśmy w bitwie! Słyszysz, gazda! Kule nam koło uszu gwizdały jak najprawdziwszym żołnierzom. Słyszałeś, jak gwizdały?

— Słyszałem.

— Ale ty nie śpij, tylko odpowiadaj przytomnie.

— Mówiłem ci już raz, żebyś mię zostawił w spokoju.

— Dobrze, czuły Galicjaninie, zostawię cię w spokoju. Gdzież u licha jest ta chałupa? Kalwicky tu nam kazał się zgłosić. Powiedział, że na wzgórzu... Chodźmy jeszcze wyżej.

Weszli na najwyższy wydmuch, ledwie teraz owiany szronem i śniegiem. Czarny, zmarzły piach ustępował pod ich stopami... Rozejrzeli się wokoło. W dali, za Wisłą, w brunatnych zaroślach z błękitnawych mgieł świtu wylaniał się pałac w Jazie. Dach jego z ciemnej dachówki przerzynał brutalną plamą jasny błękit nieba.

Rafał zatrzymał się, znieruchomiał. Przyglądał się dalekiemu widokowi posępnym spojrzeniem. Gdy tam stał zastygły i oniemiały, widziało mu się, że żyje w chwili tak bardzo dawnej od jego życia, jakby w dzieciństwie. Alboż to, na co patrzą oczy, istnieje? Cóż to go zajmowało wczoraj, dziś w nocy? Uczuł w sobie brak, pustkę, loch ciemny. Czyliż naprawdę istnieje ten wyniosły dom? Czy było w czasie szczęście, którego ten kształt widomy jest wyrazem? Różane zorze zabarwiały prześlicznie ów daleki, niebieskawo splacheć ziemi. Polyskiwała rzeka, szybko pędząca wśród brylantów lodu. Odwrócił się raptem od tego widoku i poszedł ku domostwu, które stało w pobliżu.

Na wzgórzu nagim sterczało to siedlisko rybackie czy miejsce ucieczki dla powodzian. Do resztek dawnego muru karczmy czy schroniska dla nędzy zalanej wodą przybudował

teraźniejszy mieszkaniec lepiankę z wiciny i rzeczno mułu, z kawałów belek, szczątków desek, krokwi a łat odebranych wiślanym falom. Nad połową tego budowania wysoki i spiczasty niegdyś dach zapadł się zgniłymi krokwiemi i zwiślał dziurawym lachmanem. Niskie drzwi były obite słomianą plecionką, ściany ogacone mchem i nawozem. Okienko z jednej szybki, jak ciepłe usta dziecka, wychuchało sobie głęboką donicę w zaspie, która je przydęła. Dym wywalał się już spomiędzy czarnych, oślizgłych gontów.

Zakołotali we drzwi pięściami. Nie zaraz otwarło je babsko wyschłe, czarne, kudłate. Za nim pokazały się głowy dzieci o twarzach jakoby kobuzów i kukulek.

Rafał odchylił całe drzwi i mimo smrodliwej pary, która ich owiała, wszedł do środka. Rozejrzał się naokoło w mroku i dziko uśmiechnął. Wspomnienie Baški i tamta noc...

— Wasz przewozi bez Wisłę? — zwrócił się do baby.

— Ja ta nie wiem, przewozi czy nie przewozi... — odmruknęła niechętnie.

— No, nas przewiózł, więc wiadomo.

— Nie wiem, co i jak gadają. Mój jest rybak. Kto jego wie, czy przewozi? Teraz wojsko stoi i z gwerów bije. Ja o niczym nie wiem.

— No, my tu mieli do niego interes.

— To przyńdzie pod południe, a ja nie wiem.

— Kazał wama powiedzieć, matka... — rzekł Rafał licząc ponuro oczyma dzieci — że te... że przyńdzie dopiero na odwieczesz. Teraz nie przyńdzie. Rozumiecie?

— Czy ja niby rozumiem?

— No!... A co mu sie od nas za przewóz należy i za to wino, co je to przemycał, to wam kazał dać w rękę. Necie....

Wyjął z kieszeni garść pieniędzy, odliczył kilka dukatów i dał jej w rękę.

— Trzymaj to, babo, garścią, bo to nie koprowina, ino samo złoto! — krzyknął na nią.

Otrząsnął się i co prędzej miał ku drzwiom.

Ze dworu już wrócił po wyjaśnienie, gdzie tu najbliższa wieś czy dwór, żeby można furmankę nająć. Wtem ujrzał, że Krzysztof kozikiem pochwyconym ze stołu rozdziera brzeg swego rajtroka i wygarnia zaszyte złoto.

— Co robisz, wariacie, co robisz?! — syknął na niego. — Za cóż ty kupisz konia, mundur i najmiesz pocztowego?

Tamten nie odpowiedział ani słowa. Darł nożem podszewkę dookoła i co wymacał dukata, to wszystko, aż do ostatniej sztuki, kładł na stole. Baba z rozdziawioną gębą przypatrywała się wszystkiemu przekrzywiając obojętnie głowę to na prawe, to na lewe ramię. Wreszcie gdy Krzysztof wyrzucił z kieszeni wszystko, co miał, aż do sztyletu i króciцы, Rafał go chwycił za rękę.

— Pytam ci się, co masz zamiar czynić?

Krzysztof nie odpowiedział. Całe jego ciało wstrząsało się co chwila od wewnętrznego rozruchu, szczęki były zwarte, oczy przysłonię powiekami.

— Zbierz te pieniądze ze stołu i schowaj, słyszysz! — rozkazał Rafał szeptem. — Dasz jej pięć dukatów, i tak będzie bogata. Czy ty słyszysz, co ja ci rozkazuję!

Szarpnął go za ramię. Ale znięcka Krzysztof odrzącił go precz od siebie ruchem i gestem tak nieoczekiwanym, spojrział takim wzrokiem, że Rafał uchylił się dość pokornie. Opuścili domostwo.

Szli w milczeniu po śniegu z wierzchu obmarzłym i przyprószonym ponownie — ku wsi, którą widać było w przestworze. Słońce wznosiło się nad lasami, nad garbatą i pogiętą ziemią i zwiąjało w rozdołach błękitnawe tabory nocy.

PO DRODZE

Niepostrzeżeni przez nikogo dostali się jałowcowymi zaroślami aż do wioski. Wesole jej dymy błękitnymi smugi przerywały różową przestrzeń. Rafał wyprzedził towarzysza i wszedł do pierwszego z brzegu siedliska z zapytaniem: czyby nie można wynająć koni do Mysłowic? Kiedy Krzysztof nadszedł, już go przyjaźnie wołano do izby. Obszerne domostwo, otoczone z pola parkanem a ode drogi zasłonię sadkiem rozrostłym, kąpało się w porannym słońcu. Drzewa były okryte śniegiem od korzenia aż do najwyższej gałązki i ludziły oko, że mają potrójną liczbę owych białych a splątanych konarów. Dom był murowany z cegły, pod gontem. Na kominie świetlicy trzaskał ogień i przez drzwi uchylone

do sieni zdawał się wołać do środka. Tęgi rolnik naradzał się po cichu z Rafałem, stojąc w progach domowych.

— Do Mysłowic jednym ciągiem, bez noclegu?... Sztuk drogi! Nad samą polską granicą...

— Ech, jak konie dobre, niekutymi saneczkami przeleci jak ta jaskółka! — nastawał Rafał.

— Moje fuchsy ta nie ostatnie, śtreka je, ale święto...

— Widzicie, gospodarzu, świętowanie dobra rzecz, ale i zarobek coś znaczy.

— Jo, recht. A kieloz dadzą?

— Damy trzydzieści złotych.

— A tryngield dadzą?

— Damy.

— Jeśli wywałą nie papierkami, ino twardym pieniądzem, jeśli tryngield zaprzysięgną...

— Damy samymi niderlandzkimi talarami.

— No no... Niechże wstąpią...

Weszli do obszernej świetlicy i powitali gospodynię krzątającą się dokoła komina. Gospodarz był chłop młody, wesoły i kuty, widać, na cztery nogi. Spod oka przyglądał się swym gościom, choć nie dopytywał się, co są za jedni, skąd i dokąd zdążają. Z malowanej szafy wydobyl słodką gorzałkę w kolorowej karafce, chleb komiśny i piękny, masło, strucle święteczne, ser śląski, a z komory wyniósł gąsiorzek przemycanego wina. Pykał żywo z glinianej fajeczki, kłaniał się i zapraszał:

— Niechże też nie pogardzą, niechże przecie jedzą jak za swoje pieniądze.

Rafał nie dał się prosić i tego zajadał. Krzysztof wypił kilka kieliszków wódki i w milczeniu żuł kawałeczek chleba z solą.

— Cóż wasze Niemcy, dobrze wam się sprawniają? — rzucił Rafał zapytanie, gdy gospodarz wrócił ze stajni do stancji, żeby się do drogi odziać.

— Niemcy? Nasze? E, jak to Niemcy...

— Teraz tu, podobno, u was chodzi, kto chce: są Niemcy, są Francuzy. Co kto lubi...

— Jo... trafiają się rozmaici... Co kto lubi. Śmiesznie to powiedzieli...

— A któż, u diabła, teraz panuje nad tym waszym Śląskiem?

Gospodarz rozejrzał się chytrze, pyknął kilkakrotnie ze swej fajeczki i rzekł wesoło:

— Kto ich wie. Panuje, kto chce, a tak sprawnie, jakby żadnego nie było.

— O bitwie jakiej nie słyhać?

— Co nie ma być słyhać? Gonia się z miejsca na miejsce.

— Któż kogo?

— Trudno wiedzieć. Ale tak cości miarkujem, że nasz Niemiec po wsiach nierad siedzi. Woli w mieście. A już najprędzej ku takiemu słusuje, gdzie garnizon, i festung.

— Patrzajcież!

— Byłem ta zawczoraj w kościele, w Tarnowskich Górach. Wyszli my po sumie, słyszymy, a tu tumult, za miastem strzelają, aże szyby w kościele dzwoniły. Kto? co? A no lecą ludzie i gadają, że z Polski ślachta bije się z królewskimi.

— No i cóż?

— Polecili ludzie w Krakowską, w Lubliniecką, w Gliwicką ulicę patrzeć, ale już mało co było widać. Wyparły się wojska w pola jedne za drugimi. Ino się za nimi po zagonach dym włócił aże po rzekę, po Małapanew. Powiadał ta nad wieczorem jeden mieszczan, że podobno Polaków Prusaki pobiły, a zaraz potem same uciekły.

— Takie bitwy to aż miło!

— Che che! a bo i pewnie.

Wprędce zaprzężono zwierzę kasztanki do niekutych, lekkich sanek, wysłano siedzenie kilimkiem i obadwaj przyjaciele ocknęli się w polu. Woźnica zaciął szkapki i galopem prawie dopadł lasu. Dopiero gdy wjechali w dobrą gęstwinę, zwolnił nieco i odwracając się bokiem rzekł:

— Tak mi się widzi, że pewno wołą nie spotykać się z Prusakami...

— E, nam wszystko jedno... — rzekł Rafał obłudnie — ale zawsze lepiej się nie spotykać.

— A no, i ja ta nierad ich widzę. Pojedziemy lasami.

— A czyje to lasy?

— Furt grafskie lasy.

Wąska drożynka, zasypana sypkim śniegiem, którego nie tknęło jeszcze kopyto anisana, przeciskała się wciąż lasem zwartym. Jechali już kilka godzin i miało się dobrze pod południe, kiedy woźnica rzekł, jako niezadługo ujrzą trakt z Tarnowic do Siewierza, idący na Niezdarę, a przy tym trakcie będzie austeria, gdzie warto by koniom wytchnąć a samym się posilić. Jakoż las począł rzednąć i ukazała się murowanka. Ślązak ostrożnie jak lis okrążył zajazd lasem, a nim podjechał, wyjrzał na trakt i długo zapuszczał bystre oczy w jedną i w drugą stronę. Przed karczmą nie było nikogo, na drodze również. Wróble stadem roztratywały siano i resztki obroku przed wrotami zajazdu. Nie wypuszczając z ręki bata woźnica wszedł w progi karczmy i zlustrował jej wnętrze. Wówczas dopiero podjechał, gdy się uspokoił zupełnie.

Kiedy podróżnicy weszli do szynkowni, załadującej, w otoczeniu antałów i beczek, ujrzeni tylko pejsatego Żydka, tak dalece pograżonego w medytację, że ledwie ich dojrzał. Jednak marzące jego oczy z niechęcią i odrazą niejako zatrzymywać się począły na figurach młodych mężczyzn, na ich twarzy, odzieniu... Zażądali gorzałki. Przyniósł usługę i milcząc podawał, co kazali. Spożyli po kawałku chleba z serem i mięsiwem z zapasów woźnicy. Cedro był gniewny i oburkliwy. Na troskliwe pytania Rafała odpowiadał, że jest niezdrów. Teraz, po wypiciu kilku nowych kieliszków wódki, zwiesił głowę na ręce, oparł się całym ciałem na stole i drzemał czy udawał, że śpi. Olbromski wyciągnął się na długiej ławie pod ścianą i bezmyślnie ślepiął w powagę izby. Żydek powolnym, melancholijnym krokiem, nie chcąc, widocznie, przeszkadzać panom obecnością swoją, wyniósł się z szynkwasu. Po chwili jeszcze ciszej wrócił. Konie wprowadzone pod dach, do stajni, która stanowiła jakoby przedsionek oberży, parszając chrupały obrok.

Dość już długo trwał ten cichy wypoczynek, gdy wtem dał się słyszeć łoskot od gwałtownego zatrzaśnięcia obydwu wrót stajennych. W tej chwili furman, błądy śmiertelnie, rozwarł drzwi do stajni i rzucił wyraz:

— Jogry!

Rafał zerwał się na równe nogi i chwilę stał w bezczynności, nie wiedząc, co przedsięwziąć. Ślązak huknął nań jak na sługę:

— Drzwi tarasować!

Rzucili się obadwaj do stajni i zarówno wierzeje bramy wjazdowej jak furtkę boczną jęli podpierać znalezionymi kołami, drabiną, żłobem, półkoszkiem wozu, co jedno było pod ręką. Na dworze słyszeć się dał wesoły gwar, szczęk broni i łoskot końskich podków po grudzie. Wnet pchnięto drzwi. Rozległo się kołatanie, krzyk, rozkazy. Woźnica skoczył do izby i szukał Żyda. Karczmarz siedział spokojnie w cieniu beczek. Oczy jego świeciły się jak kocie.

— Masz broń?

— Ja... broń?

— Dawaj, co masz, naboje, żywo!

— Skąd ja mam mieć naboje?

Chłop nie mieszkając chwycił go za gardziel i trząsnął raz, drugi, trzeci. Izraelita, skoro złapał nieco powietrza, wskazał oczyma dyl w kącie. Podnieśli tę deskę z trudem i wydobyli nabitą fuzję oraz jakąś zardzewiałą karabelę. Gdy się to działo, już we drzwi karczemne łomotano szablami i bito sposobem szturmowym. W zamazłe okno huknęła pięść Prusaka i wybiła szyby. Kłęb białej pary buchnął na dwór. Duża łapa w rękawicy wsunęła się przez wybity otwór i ujmowała właśnie ramę okienną, kiedy zaczajony Ślązak ciałem z całej siły w rękaw wyrwanym szabliskiem. Krzyk i zgiełk wszczął się na dworze. W otwór wsunęło się kilka na raz łuf i razem w różnych kierunkach huknęły słupy dymu. Olbromski wetknął Krzysztofowi, który wciąż osowiały i bezczynny siedział na swym miejscu, króciwą w prawą rękę, szablę w drugą i — postawił go z boku, pod oknem. Chłopu z kobylicą wyrwaną ze stępy kazał pilnować drzwi, a sam chwycił Żyda za łeb i powłócił go ze sobą krzycząc, żeby wskazywał, gdzie jest wejście na strych.

W mgnieniu oka wtargnął po szczeblach drabiny na górę, stanął we drzwiach wystawy, przez którą podawano słomę na poddasze stajni. Uchylił owe zwieruszone drzwi

i przypatrzyl się. Zliczył oczyma zielonych jegrów. Było ich siedmiu ze straży nadgranicznej. Trzech siedziało jeszcze na koniach, a czterej walili w bramę i podchodzili do okna murowanki. Kiedy Rafał wyjrzał, wszyscy trzej z konia opatrywali rękę kolegi. Trwało to chwilę, bo oto zdjęli z pleców karabiny, podsypali prochu na panewki i mieli razem huknąć ponownie w wywalone okno. Złożyli się. Rafał zmierzył w kupę i wypalił. Razem huknęły strzały i poszły w las jak łoskot piorunowy. Jeden z żołnierzy padł na ziemię. Trzej, siedzący jeszcze na koniach, skoczyli ku niemu. Inni rzucili się z pałaszami do okna. Rafał znowu zmierzył w kupę i strzelił. Nowy jęk. Rzucili się mężnie w otwór okienny. Tam Cedro ujrawszy ich przed sobą palnął z króćcy wprost, o krok. Rafał, spełniwszy swoje na górze, leciał ku niemu na pomoc. Włókl Żyda za pejsy, żeby go nie zdradził. Teraz we trzech wypadli do okna. Ślązak huknął w otwór swą kobylicą i zwałił dwu jegrów aż na środek drogi. Cedro niespodziewanie skoczył w to wywalone okno i połową ciała był na zewnątrz, gdy go chwycił Olbromski z krzykiem:

— Co robisz?

— Puszczaj! Chcę zginąć, do wszystkich diabłów!

Szarpnął się naprzód i beużytecznie wypalił w tłum żołnierzy ostatni strzał, jaki mieli. Rafał i przewodnik siłą wywlekli go z okna na środek szynkowni. Żyd pod groźbą śmierci nabijał strzelbę, gdy Rafał stał zacząjony pod oknem z pałaszem w rękę, a Ślązak rychtował do ciosu swój taran.

Na dworze zaległa cisza. Kiedy chyłkiem wyjrzeli przez szczelinę we drzwiach, zobaczyli z pociechą, że jegry siadają na koń i że wciągają na siodła rannych czy trupów. Nim odjechali, nabili jeszcze broń i z konia dali pięć strzałów w karczmę, celując w okna, we drzwi i wrota. Potem w skok pomknęli w kierunku Tarnowic. Idąc za radą Ślázaka Rafał z Cedrą wymknęli się z karczmy na piechotę, skoro tylko konie założono do sanek.

Brnęli zrazu śniegami unikając gościńca w obawie spotkania z nowym oddziałem patrolującym. Ale drogi tu nie były woźnicy znane. Wkrótce tedy wypadli na trakt i, pilnie patrząc naprzód i poza siebie, pomknęli co koń wyskoczy. Drzewa leśne tylko-tylko migwały im się w oczach. Chłop wtulił czapkę na uszy i pogwizdywał a gnał. W pewnej chwili rzekł wesoło:

— Rychtyg my taką bitwę zwojowali jak te pod Tarnowskimi Górami. Prusaków my pobili, a teraz sami w nogi co pary w szkapach!

— Dobra i taka, bracie! Bóg ci zapłać. Gdyby nie ty, zgniliby my w lochach abo na szubienicy krukcom na żer służyli.

— No no... Żeby mię ino ten Żyd nie wydał, nic by ta nie było frymuśnego.

— A jakże wrócisz, bracie?

— Wrócić wrócę lasami. Ino ten Żydak... Oczy ma pogan psie, paskudne — uch! Trza go będzie poprosić, żeby nie szczekał...

— Poprosisz go?

— Już jak ja go poproszę, to nie piśnie.

— A no, rób ta, jak chcesz... — mruknął Rafał niechętnie.

Krzysztof, podobnie jak na początku dnia, był wciąż niemy i odrętwiały. Widać wskutek wypitej w oberży gorzałki drzemał na saniach i kiwał się w prawo i w lewo. Przez sen ciągle coś mamrotał i otrząsał się niespokojnie. Gdy otwierał oczy, wodził nimi ze zdumieniem po lesie i twarz jego miała wyraz przykrego uszczęśliwienia, dziecięcej prawie uciechy.

Nad samym już wieczorem przypadli do Mysłowic.

Tam już było bezpiecznie, gdyż w miasteczku i w majątku hrabiego Mieroszewskiego stał oddział szaserów francuskich.

Zaraz przy wjeździe ujrzeli żołnierzy w zielonych mundurach, w szerokich jak sto diabłów bermycach, z czerwonymi nochalami i z wąsem co się zowie. Krzysztof, mówiący po francusku bez porównania lepiej od Rafała, stał się teraz pierwszą osobą. Ślązak, zapłacony grubo i sowiciej, niż się umówił, pożegnany po bratersku, wesoło ruszył przed siebie i znikł w zaułku. Wędrowcy poszli do dworu, gdzie mieszkał komendant placu. Ów komendant, pijanica, widać, i awanturnik, zrazu począł obudwu badać sierzdiście, z niedowierzaniem, ale wkrótce złagodniał. Nie tylko że dał im kartę drożną na Siewierz do Częstochowy, ale nawet z własnej ochoty wyjednał stancijkę we dworze na nocleg dla

ochotników.

Przed zachodem słońca wyszli obadwaj dla przyjrzenia się okolicy. Stojąc na wzgórzu widzieli przed sobą za rzeczką Przemszą rozległe niziny leśne, które przedzielała fala wzgórz ginących w siwym oddaleniu. Słońce już gasło, a poziome jego rzuty złotem i czerwienią oblewały całą tę daleką, jałowcową niwę. Obadwaj młodzieńcy zadumali się patrząc w ten kraj pierwszy raz widziany, który mieli teraz przemierzyć krwawymi krokami. Głuche, zagmatwane przecucia grały w każdym z nich niby ułudny głos muszli, na który darmo ucho nastawiać...

O zmierzchu zwiedzili kuźnice niemieckie, założone niedawno, i cichaczem wrócili do swej stancjki.

Nazajutrz skoro świt puścili się najętą furmanką w drogę do Siewierza. Przybywszy do tego miasteczka, według zlecenia komendanta placu w Mysłowicach poczęli dopytywać się o mieszkanie komendanta placu miasta Siewierza, kapitana Jarzymskiego. Nazwisko nie było Rafałowi obce. Tajona nadzieja mówiła mu, że spotka w komendancie kolegę z liceum. W lokalu tego dygnitarza dowiedzieli się, że kapitana można widzieć dopiero o jakiejś godzinie południowej, gdyż obecnie pogrążony jest we śnie. Radzi nie radzi poszli w miasto. Zwiedzili stary zamek biskupów krakowskich, sypiący się w gruzy... W pobliżu ruin usłyszeli zgiełk wojskowy i wdrapawszy się na pewną wysokość spostrzegli jazdę odbywającą ćwiczenia. Pobiegli tam co tchu. Krzysztof teraz się dopiero ożywił.

Była to chorągiew pospolitego ruszenia z porucznikiem na czele, nie cała, bo tylko z pocztowych złożona. Pięćdziesięciu parobków siedziało na niezłych szkapach. Mieli na sobie granatowe kurtki i także rajtuzy z czerwonymi kantami, barwy województwa krakowskiego, czapki czarnym sukniem obszyte, a przy nich kitki włosiane na kilka cali wysokie. Niektórzy rajtuzy mieli szarego koloru, a kilku, miasto mundurów, było odzianych w zgrzebne lejniki z rękawami. Jedni byli uzbrojeni w pałasze, pistolety, karabinki i ładownice, a inni, których w osobnym glicie musztrowano, tylko w piki drewniane, sześciolokciowe, z dzidami i żeleźcami na końcu. Nie było to wojsko efektowne, niezgrabnie jeszcze sprawiał się jego szyk na błoni, ale widzowie drżeli na jego widok. Sękaty garscie twardo dzierżyły drzewca pik i z ogniem machały szablicami najrozmaitszej miary i pochodzenia.

Zbliżało się południe. Ochotnicy przypomnieli sobie o terminie wizyty u komendanta placu i poszli ku miastu. Dość długo musieli czekać na ganku, potem wpuszczeni zostali do pierwszej stancji i tu znowu czekali blisko godzinę. Nareszcie posługujący wiarus dał im znać, że pan kapitan pije już kawę i że za chwilę nadejdzie. Drzwi się wreszcie otwały i poważnie wyszedł w mundurze z błyszczącymi bulionami a z miną srogą — Jarzymski.

Ujrzawszy przed sobą tak dawno niewidzianego a tak zmienionego kolegę, Rafał nie mógł słowa przemówić i nie wiedział, jakie teraz obrać dla siebie stanowisko. Jarzymski, widać, to samo odczuwał, gdyż nie od razu głos zabrał. Jakoś jednak ośwładnął sobą i zbliżywszy się do Krzysztofa ze zmarszczonym czołem zapytał:

— Nazwisko waćpana?

— Cedro.

— A twoje Olbromski, to wiem. Znamy się przecie ze szkół. Czegóż to waćpanowie życzyście sobie ode mnie?

Podali mu swoje marszruty i wyjaśnili z uszanowaniem, że udają się do Częstochowy dla zaciągnięcia się do wojska. Kapitan przyglądał wąsika i słuchał z uśmiechem, patrząc niekiedy na kolegę spod oka. Gdy mu już wszystko wytłumaczyli, chwilę dumał i rzekł wreszcie:

— Czemuż to koniecznie do Częstochowy?

— Tak nam poradzono.

— Tak poradzono... Ha! Bo moglibyście i tutaj przecie znaleźć miejsce. Wszyscy przecie ruszymy pod Łowicz. Mamy tu dosyć tego, jak je Cesarz Jegomość nazywa, *la pospolité*. Sprawnie się to dosyć szykuje.

— My pragnęlibyśmy dostać się do artylerii — wtrącił Cedro.

— Do artylerii, a! to co innego. Uprzedzam jednak, że takie żywiąc zamiary, trzeba mieć pieniądze. Na żołnierskie umundurowanie, i to najprostsze, trzeba mieć 73 złote, nie licząc bielizny i rekwizytów. Cóż dopiero oficcerskie!

— Przyjaciół mój jest człowiekiem zamożnym — rzekł Rafał.

Żołnierz, Pieniądz, Pozycja społeczna

— A jeśli tak, to co innego. Przepraszam, nie wiedziałem. Zaraz waćpanom każę wydać karty drożne. Owszem, w Częstochowie jest sześciuset naszych, którzy ją w posesję wzięli i garnizon składają. W gruncie rzeczy jednak tobie, Olbromski, radziłbym tutaj zostać. Byłbym w tym, żebyś miał stopień oficerski od razu i awans zapewniony. A i waćpanu także. Mamy tu młodzieży tegiej, dostatniej — kupę... Patrzcie, koledzy, na mnie! Miesiąc trwa ruchawka, a ja już jestem kapitanem i komendantem placu.

— Tak... To bardzo szczęśliwie...

— Rozumie się, że szczęśliwie. Mam tu krewnych, moja to jest okolica, wobec czego...

— Ułatwiono ci... — mruknął Olbromski.

— *A vrai dire...* — tłumaczył się Jarzyski z miną skupioną i poważną — właściwie, mój drogi, czego kto silnie pragnie, to osiąga na pewno, dołożywszy starania. Otoczeniu mogłoby się wydawać, że ja po prostu sam się mianowałem, ale tak nie jest, bo mianował mnie Męciński, rotmistrz, dowódca pospolitego ruszenia tej części województwa krakowskiego. Czas jest gorący, nagły. Kraj potrzebuje ludzi, a tu brak zupełny. Trzeba było pychę z serca złożyć, porzucić miękkie szaty, iść na służbę, przyłożyć ręki...

— Co do mnie... nie wiem, jak tam Rafał... — rzekł raptem Cedro cały czerwony i ze spuszczonej oczyma — ja... postanowiłem dosługiwać się stopni od najprostszego kanoniera.

— A!

— Nic nie umiem, więc jakżebym mógł być oficerem? Nawet nie mówię o wyższych stopniach...

— A chyba że waćpan nic nie umiesz... — odpalił z miejsca Jarzyski — to co innego. Ja sądziłem... Jeżeli się nic nie umie, ha! w takim razie trudno rzeczywiście zaczynać od czego innego, tylko od najprostszego kanoniera.

— Tak. Ja postanowiłem, że będę słuchał rozkazu — i basta.

— Bardzo dobrze... — rzekł Jarzyski.

Rafała śmiech ogarniał, ale i złość na Krzysztofa buzowała w nim jak ogień. Niemile uczucia wzbudziło w nim to spotkanie. Coś trupiego wylażyło jak spod ziemi...

— To jednak musi być ogromna satysfakcja tak szybko wykierować się na dygnitarza... — rzekł patrząc Jarzyskiemu prosto w oczy.

— Ja sądzę. Oczywiście mówiło się to *figurément...* samemu! — odparł kapitan nie-stropiony wcale i nadymając się jeszcze bardziej. — Każde sto koni wybiera trzech oficerów, jak za Rzeczypospolitej. Między oficerami ktoś przecie musi być starszy, ktoś młodszy...

Otrząsnął się, wyprostował po wojskowemu i patrząc na nich bestyjskimi oczyma, z dobrotliwym i wyrozumiałym uśmiechem ciągnął:

— Owszem, owszem, jest to bardzo zacna myśl dosługiwać się wyższych stopni od prostego kanoniera. Pochwalam tę myśl... A nawet będę was miał w pamięci, szlachetni młodzieńcy! Potrzebujemy, ale to potrzebujemy gwałtownie, ludzi z charakterem, ludzi oddanych, którzy by szli do szeregu nie dla kariery, nie dla pięknej szlufy i brzmiącego tytułu, lecz dla służby! Przecie to i książę Józef, niegdy wódz naczelny, stanął potem do apelu jako szeregowiec... Są to rzeczy znane... Bardzo to chlubnie świadczy o szlachetności uczuć waszych! Bardzo!

Było mu jednak trochę nieswojo, gdy obadwaj, wyprostowani, z oczyma wlepionymi w jego oczy, milczeli. Zmienił tedy nieco ton i rzekł:

— Żałuję, że w tej żołnierskiej kryjówce nie mam nawet czym kolegów poczęstować. Ale wiecie co... Jest tu resursa Greka, Pescarego, raczcie się tam udać na przekąskę. Rafał, ty po starej znajomości, a waćpan przez sentyment dla wspólnego przyjaciela.

Dawna przeciw woli przyjaźń, zastarzałym nałogiem leżąca w duszy, ocknęła się w pamięci Rafała. Ileż to lat zbiegło od ławy w Collegium, od pohulanek w Warszawie! Z prośbą o zgodę w oczach spojrział na Cedrę i rzekł:

— A no, dobrze, owszem... O ile ty, kapitanie...

— No, no, przecie nie będziemy się tytułowali za każdym wyrazem, my, stare urwisy warszawskie... — szepnął mu do ucha. — Skądżeś się ty tu wziął, u diaska? Psujesz mi szyki, rujnujesz powagę...

— Toteż jadę, jadę!

— Przystań, mówię ci, na porucznika. Dam ci pięćdziesięciu drabów i będziesz ich ganiał po błoni. Znajdę takiego, co ci odstąpi swej rangi, a nawet konia i munduru, za niewielki grosz. Tak tedy... — ciągnął głośno — bądźcie łaskawi, koledzy, iść tam za przewodem mojego famulusa, a ja zaraz nadejdę.

Z cukierni, ledwo drzwi uchylili, buchnęło na nich duszne powietrze i gwar. W ciasnych stancyjkach chmurą wisiał dym, a wszystkie miejsca były zajęte. W głębi, w ciemnej izbie, kule bilardowe szczękały, głośne rozmowy i śpiewy towarzyszyły naokół grze w domino, w warcaby i kostkę. Przybyszom zrobiło się nieswojo. Znaleźli się wśród samych oficerów. Wszyscy mieli na sobie mundury prosto z igły, a galony wprost od szmuklerza. Kurtki mieli granatowe z wylogami w barwach wojewódzkich, rajtuzy z wypustkami i białe kolety, czapki tegoż koloru z czarnym barankiem i białymi piórami, Sami to byli porucznicy, podporucznicy, chorążowie i namiestnicy, młodzież zamaszysta, tęga, buńczuczna, zdrowa, wszystka, widać, z niedalekich okolic, gdyż mówili do siebie po imieniu albo po przyzwisku.

Szukając w tłumie jakiegoś osobnego stoliczka Rafał i Krzysztof znaleźli się w kącie wobec dwu młodych ludzi zranionych. Jeden z nich wspierał się na kuli świeżo wystruganej i miał głowę przewiazaną bandażem, drugi trzymał rękę na chustce. Obadwaj siedzieli w zapomnieniu i nic nawet nie mieli przed sobą do jedzenia ani picia. Cedro wśród swoich nieśmiały ukłonów zapytał ich, czy nie mógłby się z przyjacielem przysiąść do tego stolika. Ranni dość niezgrabnie przystali. Wnet się zawiązała rozmowa. Byli to, jak się po prezentacji wzajemnej okazało, dwaj sąsiedzi, synowie szlachty uboższej, dzierzawami siedzącej na małych folwarkach w okolicy Kurzelowa, w Galicji ówczesnej, za Pilicą rzeką. Po rozesłaniu wici przez wojewodę radzymińskiego, zasięgnąwszy języka, od razu siedli na koń i przybyli w miejsce wskazane.

— My ludzie niebogaci — mówił starszy — konie nasze dobre, ale bez rasy. Mamy to, co kazali: koń, powiadają, dobry, mocny — no jest; munsztuk, powiadają, grzebielec, szczotka, dera — no jest jak się patrzy. Ale to nie oficerskie, tylko jak na żołnierzy. My ludzie nietutejsi, obcy. Jak życie nasze, my za Pilicą nie byli. Za obszarem naszej włoszczońskiej czy kurzelowskiej parafii my koligacji nie mamy. Przybyli my tutaj, miejsca już pozajmowane; co miejsce oficerskie, żeby choć tego namiestnika, to już szczerze obsadzone. No, cóż my? Wpisali my się do chorągwi na proste rycerstwo. Wydali my resztkę grosza na mundury swoje i na pocztowych, i teraz te... czekamy, co dalej będzie. Dziesięciu nas w chorągwi rycerstwa, a pięćdziesięciu pocztowych.

— Toście waćpanowie z Galicji tak samo jak my!

— A no! My spod samego Kurzelowa. Historie my mieli z tą naszą wyprawą. Bo to my wyjechali niby na jarmark do Secemina gościńcem szczekocińskim. Dopiero z drogi buchnęli my w lasy chrząstowskie i precz już samymi lasami aż pod Konicopol. Dopieroż jednego razu wyjeżdżamy z lasu: rzeka okropna przed nami! Pilica! Czekaliśmy w lesie nocy i po ciemku w tę rzekę łomot na koniach. Tak to my ušli za granicę. To potem światami, Bóg wie gdzie, na Lelów, na Irządze, na Mrzygłód przerzneliśmy się do tego Siewierza.

— Aleście, koledzy, już widzę, w potrzebie byli!

— A no, nie chwaleć się, już my trochę łomotali Niemiaszków.

— Jakże to było?

— A no stoimy tu już ze dwa tygodnie w tym Siewierzu i musztrujemy się na błoni. Raptem przyszła wiadomość do tych panów dowódców (tu wskazał nieznacznie głową na hałasującą kompanię), że jeden batalion Prusaków został wykomenderowany z Wrocławia dla wzmocnienia załogi w Koźlu. Od razu zabrali nas około stu człowieka wraz z pocztowymi i pošli my na Niemców nocą. Zabrnęli my lasem aż pod Tarnowskie Góry. Rzeczywiście śli forsownym marszem.

W ciasnym miejscu, pod samym miasteczkiem Tarnowskie Góry, skoczyli my na nich z ukrycia. Piki, szable, sztucery, co kto miał — wszystko w kupę — i bij, zabij! Nawetem sam skrobnął z konia piechura szablikiem, że aż nogi zadarł. Ale gdzież to! Komendant ich, jak tylko zobaczył, że nas tyła ruchawki, jakże ci nie wrzaśnie na nich po swojemu! A to, widać, tresowane jak pudle... Od razu sformowali w szczerym polu czworobok — i ani weź! Jakże, hycle, nie wyrzną do nas! A niechże to wszyscy diabli! Cóż za szelmowski ból, jak rypnie w rękę! Ale i nas złość wzięła. Będziecie tu do nas

Żołnierz, Pozycja społeczna,
Pieniądz, Odwaga,
Tchórzostwo

jak do zajęcy na stanowisku... O, pludry! Nie chwalęcy się, jak skoczmy naprzód z kupą rycerstwa, a choćby ot i z Pawelkiem, sąsiadem Kuleszyńskim! Jak zaczniemy łupać we łby! I nie my jedni. Kto miał konia tęższego, a mógł go spiąć ostrogami, rzucić się w szereg abo, czy ja wiem, był odważniejszy czy co, to splatał Niemców do woli, no i dostał za swoje. Czternastu ich ta leży po mieszczanach, we dworach i tu w Siewierzu. Ośmiu na zagonach zostało. My jeszcze, dziękować Bogu, nie najgorzej na tej aferze wyszli. A kto miał konia ściętego i nie czekał, to jakoś wyszedł na cało...

To mówiąc, powtórnie wskazał oczyma dowódców.

Tymczasem drzwi się otwały i z miną marsową, tęgą i w miarę wyniosłą wkroczył Jarzyski. Od razu go otoczono zwartym kołem. Krzyk się wzmógł. Jeden z oficerów, mocno już cięty, aczkolwiek nie od pałasza, wychodził z izby sąsiedniej wołając:

— Kapitanie komendancie, obowiązkiem to jest twoim, żebyś się nam wystarał o drugi bilard — czy to nie skandal?

— Bilardu nie mam — z powagą odpowiedział Jarzyski — ale za to mam radę dla tych, którym się chce grać, a nie mają na czym. Niech zdejmą mundury, odepną pióra, obszyją sobie czapki suknem zamiast baranka i zapiszą się u drugiego porucznika na szeregowych. Przynajmniej nie będą mieli prawa pchać się do resursy i zabierać miejsca.

— Racja! — zawołał ktoś z tłumu. — Braknie właśnie poczty do obrządzenia koni i tyłu wozów.

— Toteż zacznij awans od siebie i idź obrządzić mojego wałacha... — odciął się tamten.

— Czemu nie, jeśli o to chodzi, żeby pokazać, jaki z ciebie hołysz, skoro cię nie stać nawet na najem parobka!

— Cicho, cicho, wozowie!... — uspokajał Jarzyski. — Nie ma o co! Teraz żołnierze doprawdy lepiej się odznaczają niż dowódcy. Wspomnijcie sobie tylko Wosińskiego i Częstochowę.

— Ba! nie zawsze się ma do czynienia z Niemcem tak tchórzliwym jak ten komendant Częstochowy. Wspomnijcie sobie tylko Tarnowskie Góry!

— Cha cha, ma rację! To prawda — wołano naokół.

— Słuchajcie — rzekł Jarzyski, uroczyście podnosząc rękę. — Mam nowe wieści. Ale naprzód... Daj no mi, Pescary, kieliszek. Chcę wypić zdrowie starego Wosińskiego.

— Niech żyje! — huknął cały tłum.

— Takich nam!

— Bić Niemca!

— No, jak w tym wypadku, to chyba sztuką w pole wywodzić, bo co do bicia... — przekrzyczał innych pierwszy mówca.

— W pole wywodzić! Filozof! Bić Niemca i kwita! Na kwaśne jabłko pludrów!

— Zaraz, nie koniec jeszcze — mówił z wolna Jarzyski nalewając sobie nowy kieliszek. — Chcę wychylić ten drugi kielich za zdrowie Trembeckiego.

— Niech żyje!

Wyjął z kieszeni papier i na poły czytając, na poły mówiąc z pamięci, głosił:

— Komunikuje mi imci pan Męciński, rotmistrz-dowódca pospolitego ruszenia w tej części województwa krakowskiego, że oddział stu szlachty pod sprawą imci pana Trembeckiego...

— Nasz oddział.

— Że, mówię, hufiec, do którego niektórzy z waszmościów panów mieli honor należeć w potyczce pod Tarnowskimi Górami, wziął grafa Henkla, landrata z Tarnowie, w zakład za panów Mieroszewskiego i Siemieńskiego i odprowadził go do twierdzy częstochowskiej. Między papierami tego landrata znaleziono odezwę do Ślązaków, wydaną przez grafa Götza, fligel-adiutanta królewsko-pruskiego, do łączenia się z wojskiem pruskim i dostarczania koni oraz żywności. Ale co najważniejsza, to to, że imci pan Trembecki zabrał po drodze 118 koni przeznaczonych dla jazdy pruskiej, a co już najmilsza dla ucha, to to, że wziął kasę królewską.

— To chwacko, to wyśmienicie! Niech żyje Trembecki!

— Ten trzeci toast — mówił z wolna Jarzyski — chcę wypić przedzdrowie dwu młodzieńców z Galicji...

— Młodzieńców? Cóż za kliwie gdakanie...

— Gdzie? kto z Galicji?

— Panów Cedry i Olbromskiego...

Krzysztof, czerwony jak burak, wstał ze swego krzesła. Rafał poszedł za jego przykładem.

— Koledzy! — mówił komendant — ci młodzieńcy przekradają się do naszych szeregów przez Wisłę! Ci młodzieńcy nie żalują swoich ognisk domowych, narażają życie — pragnąc dotrzeć do Częstochowy, ażeby wstąpić w szeregi artylerzystów! Ci młodzieńcy odrzucają moją propozycję co do kariery w naszych szeregach i postanawiają... słuchajcie, słuchajcie!... dosługiwać się stopni oficerskich od prostego kanoniera! Wnoszę ich zdrowie.

— *Vivant!* — huknęła kompania.

Nastąpiła chwila ciszy. Krzysztof podniósł głowę i rzekł śmiało:

— Nie dziwcie się, waćpanowie, że jesteśmy zmieszani. Ten toast zastał nas nieprzygotowanych. Jesteśmy w drodze do naszego celu — oto i wszystko. Dziękuję w imieniu swoim i towarzysza za życzliwość dla nas. Wywdzięczając się chciałbym i ja wnieść zdrowie, a raczej... Już tedy wolne jest od niecnego wroga z prawików, od pruskiego zdrajcy, nasze pomorskie województwo, malborskie i inowrocławskie, gnieźnieńskie i poznańskie, kaliskie i sieradzkie, ziemia wieluńska, rawska i łęczycka. Wnoszę ten toast na cześć naszej przastarej macierzy Małopolski. Na cześć i zdrowie...

— Patrzajcie no! Tęgi chłop...

— Macierzy Małopolski!...

— Dobrze gada!

— Gębę ma, jakby się pod Słomnikami rodził...

— Bestia miła, mówię wam, że serce mięknie...

— Z siebie, widzisz, gada, nie z wierzchu, tylko ze środka...

— Ale — ciągnął Krzysztof — nim ten toast wychylę w imieniu Galicji...

— Co za Galicji?

— Nie ma Galicji!

— Zbazażrał się...

— Jest, panowie bracia, jest jeszcze, przez Bóg żywy! — zawołał Krzysztof głosem twardym i nieznośnym przeczeń. — Nim ten toast wnieść w imieniu Galicji, muszę naprzód spełnić poprzedni, który tu pito, Wosińskiego. Było to zdrowie, widać, godne, skoro je tak zacna kompania chórem podtrzymała? My przecież spod Austriaka, nie wiemy nawet, kogoście uczcili.

— Znowu z tym Austriakiem...

— Raczcież nas łaskawie oświecić...

— Który tam w gębie najobrotniejszy? Kończewski! tyś spod Wielonia... Rozkręcaj język!

Wypchnięto naprzód namiestnika przysadkowatej statury, a tęgiego co się zowie. Ten chwilę się namyślał musztrując oburącz najeżoną szopę na głowie, wreszcie dał folę wrodzonej swadzie:

— Żeby w niewielu słowach rzecz zmieścić... taka była afera. Nocą z 17 akuratnie na 18 listopada przyszło sto koni jazdy francuskiej pod dowódcą Dechampsem do podnóża Jasnej Góry. Prawdę mówię?

— Kto cię tam wie?... Ale jedź dalej!

— A no! Trzeba zaś waszmościom wiedzieć, że w murach warowni było pięćset lutrów dobrze zaopatrzonych we wszystko. Francuzi za to nie mieli ani jednego działa. Jakże tu dobywać twierdzy samą konnicą? Śmiech!

— Chyba płacz?

— Cicho tam, nie psuj mu porządku, bo się zmyli i co innego opowie.

— Ale od czegoż dowcip? Azaliż nie ma już głów na karkach między Sarmaty! Stary, jeszcze z Naczelnikowskich czasów kapitan strzelców, imci pan Stanisław Wosiński, który prowadził garsteczkę pospolitaków z ziemi Wielońskiej, nie chwalecy się, spędza w nocy chłopstwo okoliczne pod mury forteczne, każe temu pospólstwu rozpalic mnóstwo ognisk i uwijać się pejzanom koło ognia, żeby się wydawało, że liczne pułki piechoty oblegają Częstochowę. Dechamps znowu ze swojej strony strzelcom konnym rozdał znaki i epolety

grenadierskie i partię ich wysłał do Niemca, żeby, prawi, twierdząc poddawał bez namysłu a zwłoki, bo w przeciwnym razie natychmiast szturm przypuszczony będzie i wtedy załoga co do nogi w pień wycięta.

Nie myślę, powiada, w polu, na zimnie zębami kłapać. Dobrze. Poszli, powiadają. Niemiec, ten komendant Kune, tak się przecie spietrał, że tego samego wieczora pieronem twierdząc poddał. Dopiero o świcie, kiedy już wojsko bezbronne stanęło na stoku i broń złożyło, a Francuzi z naszymi wchodzili w bramy i obejmowali Jasną Górę, przekonał się, sierota, że wydał fortecę, trzydzieści dział, magazyny i kasę nieprzyjacielowi pięć razy słabszemu i bez jednej armaty. Załoga niemiecka poszła w niewolę do Francji. Poznacie, waćpanowie, dzielnego kapitana Wosińskiego, skoro idziecie do Częstochowy, bo on tam jest teraz komendantem fortecy. *Dixi*.

— Pijemy jego zdrowie! — rzekł Krzysztof.

— Skoro wznosimy toasty — zawołał nagle Olbromski — to ośmielę się i ja prosić waćpanów, żebyście wypili za zdrowie tych, którzy już proch wachali pod Tarnowskimi Górami, a osobliwie zaś tych, którzy już rany ponieśli!

— Niech żyją! — wykrzyknięto.

— W górę ich! Tęgie chlopy co się zowie!

— A ba, jeszcze by też: spod Włoszczowy!

Ktoś z drugiej izby wołał:

— Zdrowia piją, a o Sieradzanach zapomnieli. Sieradzan zdrowie!... Oni pierwsi stanęli jak jeden człowiek. Z każdego dwudziestu dymów, rachując w czambuł wszystkie kominy, jeden kantonista, czy tam z ochoty, czy tam przez ciągnięcie losu. Z tego będzie infanteria jak mur! Każdy szlachcic posesjonat daje jednego. Masz konnicę. Nie chcesz iść *personaliter*, boś stary, niedołęga albo, uczciwszy uszy, tchórz, płac walor na umundurowanie i na żołd miesięczny! Wnet stanie kompania strzelców.

— Łęczycan zdrowie!

— Tych, którzy pod Łowiczem ramię w ramię z Frankami prali wroga na kwaśne jabłko!

— Słyszeliście? Już jednego Niemiaszka, burmistrza z Gołańczy, a drugiego Differta z Obrzycka rozstrzelali za to, że Prusakom ludzi wydali.

— Za poległych...

— Pod Łowicz!

— Wszystko pospolite rycerstwo — niech żyje!

— Niezmordowany!...

— Jan Henryk!... Wielki Napoleon! Wielki Napoleon! Napoleon!

Wrzawa powstała tak wielka, że zdawało się rozsadzi mury reursy Greka Pescarego...

NOWY ROK

Stało się, że „Galicjanie” Cedro i Olbromski nie dotarli do Częstochowy i upragnionej artylerii. Krzysztof nie miał ani grosza, gdyż wszystkie swoje pieniądze zostawił w chacie rybackiej. Jego również fundusz zaszyty w kurcie Rafała po skrupulatnym obliczeniu nie mógł pokryć kosztów umundurowania artyleryjskiego obudwu. Zresztą Jarzymski wdał się w tę sprawę i swoimi sposobami zdołał nakłonić Rafała do pozostania w Siewierzu. Na pozór wydawało się, że sami Galicjanie zepsuli swą myśl zbyt długo zatrzymując się w drodze. Czas leciał na skrzydłach, a dzień zwłoki o wszystkim stanowił. Już we dwa dni po świętach owa część pospolitego ruszenia, która ćwiczyła się w Siewierzu, wyszła z „części Krakowskiej”, dążąc na miejsce zebrania, pod Łowicz. Ochotnicy z konieczności, a nadto pod wpływem namowy całego składu oficerskiego, przystali na pospolite rycerstwo w konnicy krakowskiej. Jarzymski sprzedał im dwa konie wierzchowe z własnej stajni, jakoby tak niezrównanej wartości, że cena ich pochłonęła wszystkie niemal dublony wygarnięte ze szwów Rafałowego rajtroka. Urządził nadto jakieś zastępstwo z łański pewnego sąsiada, co wołał zostać w domu, a zgadzał się za niewielkie wynagrodzenie zostawić tak zwane „mondury” na grzbietach dwu parobków dostawionych do szeregu. Tym sposobem, ochotnicy weszli na opróżnione miejsca w regimencie przeredzonym wskutek wyprawy pod Tarnowskie Góry. Znaczna część tego oddziału wciąż jeszcze pod wodzą Trembeckiego uwijała się po Śląsku między Nysą, Koźlem, Gliwicami a Bytomiem.

Zajadły komendant tamtego oddziału urywał, gdzie mógł, oddziały pruskie, zajmował miasta i wioski. Stamtąd na Kalisz ruszył w stronę Torunia pod rozkazy generała Zajęczka.

Mała armia siewierska, z konnicy samej złożona, wyruszyła pod wodzą rotmistrza wojewódzkiego Męcińskiego w szyku i sprawności na Częstochowę, Bełchatów, Brzeźny...

Po drodze spotykali małe oddziały piesze i konne, ciągnące pod Stokowskim z ziemi Wieluńskiej, pod Lipskim z Sieradzkiego, pod Janem Gliszczyńskim spod Kalisza. Nad wieczorem dnia 31 grudnia wkroczyli w niską równinę Bzury. Z dala, o dwie blisko mile, ujrzeni wieże kolegiackie Łowicza. Przebywszy rzekę regiment krakowski wszedł do miasta, ale tam, dookoła starego ratusza, gdzie mieścił się sztab główny, panował ścisk taki, że rycerze jak niepyszni musieli wycofać się i szukać schronienia aż na przedmieściu Bratkowickim. Zmarzli jeźdźcy, skoro tylko zdołali umieścić we wskazanych im stajenkach konie swe i obrządzić je ile można, rzucili się w objęcia snu.

Nazajutrz od samego świtu gotowali się do wystąpienia. Miejsce zebrania wyznaczono na polu marsowym wśród łowickiego błonia. Już przed godziną dziesiątą zaczęły ścierać się z muzyką wojskową poszczególne regimenty. Chlubny tytuł pułku pierwszego otrzymała konnica, prowadzona przez świeżo mianowanego pułkownikiem Jana Dąbrowskiego (syna), zorganizowana przez generała Niemojewskiego w Gnieźnie i Rogoźnie. Nadciągnęły zaraz wśród okrzyków ludu siły zgromadzone przez Walentego Skórzewskiego i przez Biernackiego. Nieświecna była broń tego wojska. Pochodziła przeważnie z arsenału częstochowskiego. Karabiny były nienabite, brakowało kul, nabojów, skałek. Za to szabel i pik była obfitość. Ale porządek i karność w rozwinięciu szyku, piękna czerstwość i malownicza siła, bijąca z postawy tej młodzieży, zapal budziły w widzach. Około godziny dziesiątej już jazda w sile sześciu tysięcy ludzi, czyli bez mała trzy regimenty licząc po sześć dwukompaniowych szwadronów w regimentach, utworzyła zbity czworogran. W głównym jego ramieniu widać było otwarty namiot z ołtarzem polowym.

Zahuczał od strony miasta krzyk ludzki.

Wszyscy kawalerowie jak jeden zwrócili się twarzą w tę stronę. Cedro i Olbromski, stojąc obok siebie w strzemionach, wyteżyli oczy. Serca w nich stanęły jako i w tym całym tłumie.

W otoczeniu generałów i adiutantów wjechał na pole, między żywe mury, Jan Henryk Dąbrowski. Ciężko szedł koń cisawy pod jego olbrzymią posturą. Generał wiódł oczyma po szyku i niezgruntowana radość błyskawicą strzelała mu z oczu.

W milczeniu, ciężko zszedł z konia. Poszedł ku namiotowi. Wówczas otworzył się w innym miejscu szereg wojskowy i weszli tamtędy dwaj oficerowie: Roman Matusewicz, adiutant-major kawalerii, i Józef Lubieniecki, rotmistrz. Pierwszy niósł na pąsowej poduszce pałasz króla Jana Sobieskiego, przez legiony polskie zdobyty w Loretto, drugi na węgłowie — buławę hetmana Czarnieckiego.

Za wodzem postępował jego sztab świeżo przez Napoleona mianowany, więc Maurycy Hauke, pułkownik, niegdyś współdyrektor robót ziemnych w Mantui na San-Giorgio, obecnie pierwszy szef sztabu, za nim Tremo, podpułkownik i adiutant polny, dalej Pakosz, Weyssenhoff, Godebski i Cedrowski, podpułkownicy-adiutanci, za nimi porucznicy-adiutanci: Józef Hauke, Andrzej Stoss, Lettow, Jankowski, Bergonzoni, Stanisław i Józef Denhofowie.

Zaczęła się msza polowa. W milczeniu słuchało jej wszystko rycerstwo. Gdy skończyło się nabożeństwo, generałowie i oficerowie wyżsi pośpieszyli ku namiotowi. Nie bacząc na porządek kawaleria stanęła w strzemionach. Zwrócił się teraz wódz twarzą. Mówił:

— „Rycerze!

Za najszczęśliwszy dzień życia poczytuję ten, który po dwunastoletnim rozstaniu się połączył mię z wami, rodacy, który mi daje oglądać słodkie owoce prac moich za granicą podjętych ku utrzymaniu męznego ducha w Polaku. Jestem sownie od niebios nagrodzony, kiedyś was w istocie przekonał, że nie płonnymi ziemiakami moich karmię nadziejami. Ten rok 1807 jest pierwszym, w którym każdy z was życie swoje poczyna...”

Ścisnął Cedro rękę towarzysza z całej siły i nie puszczał aż do końca mowy. Ale oto ujrzeni obadwaj, jak generałowie kolejną starszeństwa idą przysięgać. Podnosząc trzy palce prawej ręki do góry a lewą rękę kładąc na buławie Czarnieckiego, powtarzali uroczystie

słowa.

Na dany znak wojsko podniosło do góry broń.

KU MORZU

Okolo trzech tygodni pospolite ruszenie zabawiło w Łowiczu. Kotłowała się tam sprawa formacji korpusów, a nawet przewodnictwa nad całym wojskiem. Nosił, co prawda, w dniu przysięgi tytuł naczelnika Dąbrowski, ale szeptano na wszystkie strony o naczelnictwie księcia Józefa Poniatowskiego, który zdecydował się wreszcie na krok przystąpienia do Napoleona i jego sprawy. Tymczasem wojsko zgromadzone w Łowiczu podzielono z gruba na regimenty piesze i konne, i z nich w myśl Dąbrowskiego, wodza *de facto*, tworzone legie. Już poznańska siła wojskowa stanowiła najlepiej zorganizowaną legię pierwszą. Składały się na nią cztery regimenty piesze, jeden pułk jazdy i nieco artylerii.

W tej pierwiastkowej formacji każdy pułk jazdy miał w sobie sześć szwadronów. Szwadron tworzyły dwie kompanie. Kompania liczyła 170 kawalerów. Sztab składał się z pułkownika, sześciu szefów szwadronowych, jednego adiutanta-majora, kapitana i dwu adiutantów podoficerów. Na czele kompanii stał kapitan. Ten miał pod sobą: porucznika, podporucznika, wachmistrza starszego, furiera, czterech wachmistrzów, ośmiu kapralów, dwu trębaczów, kowala i 150 jazdy.

Horzej daleko prezentowały się wojska formacji kaliskiej. W batalionach pieszych można było widzieć nie tylko, jak chciały odezwy i instrukcje generała wojewódzkiego, młodzież od lat osiemnastu do dwudziestu pięciu, ale również i staruszków mocno zniedołężniałych. Siaki taki *possessionatus* wołał przecie wysłać na pola zdradnej Bellony najnieodolniejszego ze swych poddanych niż tęgą siłę roboczą. Ubranie tej piechoty było wielobarwne, aż miło. Ponieważ na miły Bóg wzywano w okólnikach, żeby dawać kantonistom majtki krótkie do kolan w takim tylko razie, jeśli im się daje buty z długimi cholewami, a trzewiki tylko w takim razie, jeśli kantonista otrzyma majtki długie do kostek i bardzo ciepłe, więc siaki taki *possessionatus* zaopatrywał swego obrońcę w majtki przez pomyłkę krótkie, ale za to dawał mu nie buty, lecz trzewiki. Tym porządkiem widziano w szeregach jakoby Tyrolczyków. Z szykiem i sprawnością, do taktu narodowej muzyki, połykiwali na mrozie z sarmacka — wątpliwą białością goleni.

Broń pruską zwożono furami z twierdzy wrocławskiej, która się była właśnie poddała, z Częstochowy i Koźła. Była to broń zapasowa rozmaitych kalibrów. Brakowało do niej skałek i nabojów, brakowało ładownic i tornistrów. W torbach parcianych po dawidowemu żołnierze nosili ładunki. Mimo to wszystko wojsko piesze występowało do apelu trzy razy dziennie, w gotowości jak do wymarszu. Bataliony z rana były egzercyrowane *en détail*, to jest po jednym rekrucie, a po południu plutonami i całym batalionem. Uczono głównie najpierwotniejszych ćwiczeń i poruszeń bojowych, tych jakoby skurczów i odruchów żywego ciała: formowania kolumny dywizjami i rozwijania jej w marszu, tworzenia z szybkością czworoboku i rozprostowania go w linie. Tę wszystką siłę pieszą podzielono na bataliony. Każdy batalion składał się z dziewięciu kompanii, z których jedna była grenadierska i jedna wołyżerska. Kompania liczyła 140 głów. Na czele batalionu stał jego szef. Ten miał pod sobą adiutanta-majora w stopniu porucznika i dwu adiutantów podoficerów. Kompanią dowodził kapitan, a miał pod sobą porucznika, podporucznika, sierżanta starszego, furiera, czterech sierżantów, ośmiu kapralów, dwu doboszów i 120 piechurów.

Lepiej daleko na ogół przedstawiała się jazda. Stali tu w szeregu ludzie lepiej odziani, zastępcy dziedziców i dzierzawców, więc ekonomowie, pisarze, leśniczowie, strzelcy, szlachta uboga, a nawet, powiedzmy, lokaje i kuchciki. Nie wszystkie konie były osiodłane, jako że odezwy mówiły jeno o koniu i uździe, toteż niektóre szwadrony ćwiczyły się i paradowały oklep. Jeszcze też prawie w tej armii nie było podkomendnych i wozdów. Wodzami z natury rzeczy byli ci, którzy żywot sterali w bojach, legionieści oraz jeńcy pruscy narodowości polskiej. Sam wódz naczelny nie był przez nikogo wodzem mianowany ani potwierdzony. Ten nim był, kto był naprawdę, to znaczy — Dąbrowski.

Obszlegi jeno a kanty kurtek znały, skąd ta kto rodem. Tu barwy papuzie — więc od Kalisza, tam pąsowe — to z Krakowskiego. Generał Krasieński przewodniczył całej jeździe kaliskiej, sieradzkiej, wieluńskiej i krakowskiej. Tak też zwano ów regiment —

Żołnierz, Polak, Wojsko

Strój, Żołnierz

„kalisko-sieradzko-wieluński”. Generał Niemojewski miał pod sobą regiment młodego Dąbrowskiego, najcelniejszy, strzelców poznańskich i kawalerię płocką. Surowy, mały, spiczastonosy generał Fiszer, albo raczej „Fiszerek”, komenderował całą infanterią i ćwiczył ją po polach tak akuratanie, że aż chłopom świeczki w oczach świeciły, a kolana tężały jak zgonionym zającom. Mimo wszelkie braki, mimo biedę kwiczącą, mimo niezapłacone *lenungi* albo wypłacane *fierkami* i trojakami zamiast należności właściwej i koniecznej na strawne — tęgie to było wojsko.

Cały Łowicz zmienił się w obóz wojenny. Jakąż to tam uroczystością było przestrzeganie parolu i hasła, tajemniczego *mot d'ordre* i *mot de ralliement*! Tłum cywilny, który nie miał prawa znać hasła ni parolu, umyślnie przecie chodził na przechadzkę tam właśnie, gdzie stały zaciągnięte warty i gdzie nie wolno było przystępować. Chodziło o to tylko, żeby słyszeć groźne a surowe pytanie sztyldwacha, czy trzeba było o to pytać, czy nie; — Kto idzie? — i odpowiadać głośno: — Swój, Polak!

Zaraz na początku stycznia generał Dąbrowski wyjechał do Warszawy, dokąd przybył już był właśnie sam Cesarz Napoleon spod Pułtusza, Gołymina, Czarnowa, Nasielska... Dnia 18 stycznia przyszedł rozkaz wyruszenia dla wszystkich sił łowickich. Usłyszeli, że mają iść do Bydgoszczy jedni, do Torunia drudzy. Z radością przyjęły ten rozkaz regimenty.

— Ponad rzekę! Z Wisłą! Na Prusaka!

Rozdzieliły się w Łowiczu drogi Rafała i Krzysztofa. Cedro został w szeregu, na miejscu, które zajął w pierwszej chwili. Rafał nie chciał za nic służyć w pstrej i przeważnie chudopacholskiej jeździe krakowskiej. Zakręcił się, pozawiazywał znajomości, stosunki, wynalazł koleżeństwa i został wreszcie wpisany do księgi kompanicznej jazdy Dziewanowskiego, do najprzedniejszego sztyku, który już był chodził w awangardzie Jana Henryka. Początek marszu na Bydgoszcz, wskutek tego że wojsko szło kupą, Galicjanie odbywali, choć nie w jednym szeregu, lecz jeszcze razem. Kazano wojsku ominąć Warszawę. Z żalem ten rozkaz spełnili. Z dala, z dala jeno widzieli bure dymy, a jasną lunę po nocy. Tam ci był on wódz nad wodze, niezwykciony Napoleon.

Przyszedłszy do nowego mostu na Wiśle między Zakroczymiem a Utratą, widzieli z dala we mgłach zimowych ów po Zawisłu splacheć ziemi pod galicyjską granicą, którądy w puszcze nadnarwiańskiej weszły wojska Francuzów. Była przed nimi niedościgną golemu oku, ale w nim krwawą kresą jakby ostrzem noża wyryta granica galicyjska, od ujścia Świdra kierująca się na Miłosnę, na Zieloną do Grzybowskiej Woli tuż za Grochowem, żeby dalej przeciąć rzeczkę Długą, snuć się przed lasami Słupna i Radzymina, przez Wólkę Radzymińską, żeby od Wolicy raptownie wrócić pod sam brzeg Buga, okrążyć bliskie lasy Załubic i za ujściem Narwi w Bugu utonąć.

Stojąc przed szeregami uczyli swych żołnierzy wachmistrze, kaprale, furieri:

— Słuchaj, tamte oto czarne lasy, co pod Radzyminem widać, to już, psia ich mać, w Galicyi, a te bliższe — to nasze... Słuchaj! patrzaj!

Ruszyli w swoją drogę lewym brzegiem Wisły wielkimi marszami. Zima była niestała: dzień mrozu, nagle odwilż, wicher i deszcz, znowu przymrozek. Błota dróg, dopiero co zgęstniałe i ścięte od przymrozka nocnego, ranna odwilż przemieniała w rozciecze i bagna. Infanteria w swych kamaszach, butach, nieraz krypciach, a nieradko w obuwiu zostawiającym na glinie ślady pięciu palców i okrągłej pięty, brnęła z wysiłkiem i marzła siarczyście. Jeźdźca grzeje brat-koń, gdy pluta obu batem bije a wicher ćwiczy po udach. Piechura nie ogrzeje nic. Noclegi wypadały gdzie Bóg dał. Czasami w pobliżu dworów lub wiosek, a nieraz w polu. Chwaliło sobie wojsko, jeśli kady choć pod borem, pod lasem. Jeśli była w pobliżu wioska, wnet jazda zajmowała dla zdrożonych koni stodoły, szopy, stajenki i wozówki. Tam je pocztowi z miejsca rozkulbaczali, żeby się zaś nie sedniły, a paśli czym się dało. Biada wtedy strzechom nie tylko chałup, ale i samych miejskich jurydyk! Nieraz i znaczny dworski dach piorunem zjechał na ziemię i przemienił się na kilkanaście przyziemnych budek.

Wydelikacony kandydat na dyplomatę, Krzysztof Cedro, nauczył się wnet cenić, jakoby skarb, zasnę mazowiecką sośninę. Skoro tylko wyznaczono obóz i dla szwadronów stanowiska czyli poczty, wnet schodzili się po staremu z Rafałem, zwinnie ścinali chojary co najbardziej rozrosłe, wkopywali je w ziemię jeden przy drugim, żeby zwartą z nich

ścianę uczynić od wiatru. Wierzchołki wiązali mocno, tworząc z nich jakby kopułę. Był to styl „bizantyjski”. W razie jeśli strzechy wieśniacze, a nawet — o *horror!* — dworskie, były w pobliżu, mościli na wierzchu gałęzi grubą strzechę z kłoci, nadartej w stylu niezupełnie misternym. Na dno tego wigwamu, którego otwarta ściana zwrócona była zawsze w stronę dużego ogniska, kładli umiejętnie gałęzie i wachlarzowate splewy świerkowe, zrazu wielkie, później drobniejsze, dopóki się z nich nie utworzyła wysoka aż pod kopułę a elastyczna pierzyna. Wówczas rzucali się na nią w pięciu, sześciu, pewni, że będzie unosiła jak sprężyny i od zetknięcia z błotem mazowieckim na pewno uchroni. Gdy się nadto oparli jeden o drugiego plecami a ponakrywali szczelnie dekami spod siodeł, zapadali w sen kamienny. W przymrozki odchodziło spanie kawalerskie. Wstawali rano weseli, wśród figłów, rzeźwi i czerstwi, jak z edredonowej pościeli. Ale w deszcz i wichry wylazili spod przemokłej słomy i spomiędzy ociekłych wodą gałęzi w humorach niezbyt edredonowych.

O chmurnych i ponurych świtaniach ostatnich dni stycznia wyrwał ich z legowisk gniewliwy a potężny łoskot ziemi, głuchy i tępy, głębią gruntu idący grom. Słuchali go we czci i zdumieniu. Zdawało się sennemu wojsku, że to łomoce w zmarzłą ziemię straszliwy kij-samobij, że wali w nią z góry, z wysoka młot-samogrzmot. Szedł polem-lasem ów grom daleki. Niosły go wiatry i dżdże, śniegi a nocne mgły.

— Wiara, słyszyta! — mruknie, bywało, starszy wachmistrz Jacek Gajkoś, co świat obszedł, jak długi i szeroki — słyszyta, jako to tupie!

— Słyszemy, panie wachmistrzu! A kto też to tak może tupać?

— E, gemajny! To i tego nie wiesz! Cesarz jegomość tupie. Zły.

— Zły?!

— Słyszysz, jeden z drugim, jak bije nogą w ziemię! Raz, raz! Jeszcze! Nie tak, jak kazał, nie tak, jak trzeba, zrobiły mu, widać, marszałki... Lecą tera ku niemu na chybkich koniach, a kapelusze w garściach, a łydki pod nimi dygocą, jeden przed drugim szwargoce, że nie on winien...

— A gdzie też to Cesarz jegomość siedzi tera, panie wachmistrzu?

— Bóg jego sam wie, gdzie on. Słuchaj, skąd głos idzie. Tam Cesarz siedzi. Sto armat bije. Słyszysz, my tu nad rzeką, nad Wisłą, a tam, widzisz, Zawisłe, tam Bug, tam Narew przez podlaskie i mazowieckie piachy cicho płyną. Gdzie to ta wlaź — Jezusie, Maryja! W puszcze, w lasy, w Pułtuskie, w Przasnyskie, ponad jeziora, het — precz w północną stronę! Już się tam zdrajca brandenburski rozsiadł na piękne, kartofli nasadził, faję zakurzył, a ty na swoim własnym zagonie czapkę przed nim trzymaj! Bo na to wyszło. — Na wieki, prawi, tu ostanę i ciebie, prawi, stąd wygonię, a swoich Michałków na twoją ziemię sprowadzę i Michałkom twoją ziemię oddam. A ty idź, precz mi się z tela wynoś! *Majn* to jest, prawi, *faterland*, moje panowanie i rozkaz. Twoja ziemia to jest teraz moja ziemia... Warszawę wziął i zabrał, Częstochowę wziął i zabrał, pod sam Kraków się podciągnął, ale gdzie! Za Górą Kalwarią, do Warki, ponad Wisłę się wszczepił! A tera, pludrze, portkiś zgubił, tak zmykasz! Gdzież to je twoja ziemia? Pokaż no ją! Berlina swego nie masz, zuchelka ziemi nie masz, złodzieju cudzego dobra! W głębokie morze chyba kozła magniesz ze świętej ziemi. Poznałeś, jako to pachnie, kiedy cię z pieleszów wykurzą ojcowych?

— Musi być, że się Niemiec jeszcze w kupę weźnie...

— Nie pomoże mu nikt, żebyś ta nie jednego, ale dziesięci zwołał, bo sam Cesarz idzie!

— A dokąd też tak zajdzie Cesarz jegomość?

— Nie waź się o to pytać! Nie waź się! Sam jeno Bóg Najwyższy tę rzecz wie. Jemu jednemu po nocach kazuje, jak prawo na świecie robić. On tylko jeden tę rzecz wie na tym świecie. A ty się nie waź pytać!

Cedro słuchał tych bajdów-pogwarów z twarzą surową i poważną. Wspominał mu się Jelitczyk-Ojrzyński, z przydomkiem Mieczyk. Czy też i on słyszy, czy też słyszy, jak wielki cesarz gniewnie tupie nogą w mazurską ziemię?...

Aczkolwiek miał pocztowego, Krzysztof sam pilnował swego konia. Czyszczenie tylko i zadawanie obroku zostawiał żołnierzowi, a zresztą wszystko sam pełnił. Uczył się służby obozowej i garnizonowej, składu musztry, szyku i porządków. Koń jego nie był nadzwyczajny, ale i nie ostatni. Krzyż miał żelazny, boki zwięzłe, mocny był w kolanach,

kopytach i zadzie, łeb trzymał prosto, a w pysku był miękki w miarę. Krzysztof jeszcze od Jarzymskiego nabył dekę obszerną, terlicę, choć nie nową, ale wytrzymałą, węgierskim krojem. Dekę zawsze sam składał we czworo pod kulbakę, według zasad starszego wachmistrza, o pięć palców od przedniej łopatki.

— A dekę wytrzepać, wytrzepać nie raz i nie dwa!... — mrucał stary Jacek. — Ze słomy, ze siana, z igłów sosnowych ochędożyć do znaku, bo my nie Żydy i nie na jarmark do Bełchatowa ciągniemy. Terlicę kłaść ostrożnie, żeby się zaś pasmo grzywy pod kulbaką nie zaplątało, bo głupi konia znarowi, jak mu grzywę terlicą przytnie. Popręgi upiąć nie mocno, bo głupi poprężnicę koniowi sfasuje, a znowu i nie za letko, bo kiep zleci ze szkapy w samym środku ataku, jak lancę przyjdzie za koński łeb wydalić albo pałaszem ciąć z góry a od serca. Albo i ten mantelzak! Mantelzak równo i mocno przytroczyć — to ta już pierwsza rzecz! Równo i mocno, a jak dobrze przypięty, wtedy dopiero noga w strzemię. Stopa zgięta, ostrogę nieść jak jajko. Trzy! No... Terazże na nas wychodź, czarny jucho, abo i sam, czerwony huzarze!

Zaraz po przybyciu do Torunia mała armia była rozdzielona na dwie części. Jedna z nich poszła dalej, do Bydgoszczy, a druga została pod komendą generała Zajączka. Do tej drugiej gromady, która miała wejść w skład legii drugiej, czyli północnej, należał Krzysztof Cedro. W Toruniu był już spory zastęp oficerów i żołnierzy polskich, sformowany w Hagenau i Lipsku z jeńców pruskich wziętych w niewolę pod Jeną, Auerstaedt i Prenzlöwem.

Rafał ze swym pułkiem pociągnął o milę od Wisły, do Bydgoszczy. Zastał tam już nie naczelnika siły zbrojnej polskiej, lecz tylko generała dywizji i komendanta legii pierwszej — Jana Henryka Dąbrowskiego. Legia składała się z kompanii artyleryjskiej, z czterech regimentów piechoty i jazdy pospolitego ruszenia. Mówiono wciąż o przekształceniu pułków jazdy. Trzy szwadrony miały się składać na pułk. Czekano lada chwila na rozkaz w tej materii komisji rządzącej — i ministra wojny.

Zawrzało w Bydgoszczy gorączkowe, rzec można, namiętne życie. Zwożono jeszcze broń, skóry, szyto siodła i ładownice. Krawcy nie mogli nastarczyć, nad siodlarzami żołnierz stał dzień i noc. Ściągały się jeszcze pojedynczo oddziały najświeższego składu. W jeździe pospolitego ruszenia fortragowano szybko i łatwo żołnierzy na stopnie podoficerskie, a nawet na subalternów, byleby „obiekt” posiadał choć jakie takie uzdolnienie. Ten i ów ani się obejrzał, kiedy otrzymał prawo na zamówienie u szmuklerza znaków szarzy oficerskiej i miał możliwość przyczepienia do prawego ramienia szlufy podporucznikowskiej z dwiema jedwabnymi pręgami, kontrepoletu, feldcechu i kordonków bez bulionu. Świeżo umundurowani porucznicy polyskiwali pręgami przerobionymi granatowym jedwabiem na taśmie przez całą jej długość u szlufy, nowi majorowie z dumą wznosili ramiona obciążone dwiema szlufami, których buliony trwogą przejmowały gemajnow, a „przeciwna” taśma urągała samym kordonom u pułkownikowskiego kapelusza.

W tym samym czasie trafiały się między żołnierstwem przypadki dezercji. Pojmano kilku, przeważnie starych, jak zmiatali w stronę domową na poły bosy, obdarci, z pustymi brzuchami. Tłumaczyli się, że przy żadnym wojsku nigdy nie byli, że głód marli, że duszy w sobie nie czują. Sąd wojenny, zebrany natychmiast, skazał ich na długotrwałe ciężkie roboty w łańcuskach, do twierdzy częstochowskiej. Na gwałt ustanawiane kresy między Bydgoszczą, Toruniem a Sieradzem do poczty listowej — musiały, w braku ludzi, odstawić na miejsce przeznaczenia pierwszy transport... zbiegów.

Krótko to wszystko trwało. Już w pierwszych dniach lutego generał Dąbrowski wyszedł z Notecizny i pociągnął ze swoją siłą w marsz, pod rozkazy zrazu Bernadotte'a, księcia Ponte Corvo, później generała Lefebvra-Desnouettes, operującego na prawym brzegu Wisły. Rozeszła się w legii wieść: „Na Gdańsk! na Kołobrzeg!”. W marszu, na postojach, nocą na pocztach uczył starszy żołnierza, co je ów Gdańsk, gdzie i na jakiej ziemi stoi Kołobrzeg. Nieśli z sobą i rozrzucali wszędzie odezwę generała Dąbrowskiego z kwatery głównej w Nowem wydaną „Do Holendrów i wszystkich rodu niemieckiego mieszkańców na ziemi Polskiej”, której to odezwę główne punkty głosiły:

„Holendrzy, Niemcy i jakiegokolwiek religii i rodu ludzie, zamieszkali na ziemi Polskiej, którzy się zachowują w swoich domach spokojnie, żadnego z nieprzyjaciółmi kraju nie będą mieć porozumienia, zachowują wierność dla rządu polskiego, wypłacać będą

postanowione kontrybucje i podatki, doświadczą wolności w wyznawaniu swojej religii, obrony swoich osób, majątków, uważani będą jako bracia i ziomkowie. Wy zaś, Polacy — głosila odezwa — którzy wyznajecie religię katolicką, pomnijcie, że przychodnie, na waszej osiadli ziemi, przez wspólne dla kraju obowiązki stali się waszymi braćmi; pomnijcie, że Ewangelia każe nam żyć po bratersku, zostawcie wolność każdemu od Boga nadaną wielbić go podług swojego przekonania i nie badając różnicy wiary bądźcie obywatelstwem połączeni z mieszkańcami, którzy przemysłem i pracą kraj wasz zbogacają...”.

Lewe skrzydło korpusu polskiego szło pod rozkazami generała „Amilkara” Kosińskiego, który grzmiał teraz ponad Brdą, w borach pomorskiego pojezierza, jak istotny Amilkar, tak przed nim chyżo Niemce uciekały. Lewe skrzydło jego oddziału sięgało Słupska, przezwanego Stolpem, i przecinało Gdańsk od Kołobrzega. Miasto Chojnice stanowiło miejsce oparcia i punkt koncentracyjny wszystkiej siły Amilkara. Dopiero około dwunastego lutego generał Łubieński z komendy Kosińskiego zmuszony był pod Szczecinkiem (Neu-Stettin), wśród wyżyny pojezierza, atakować nieprzyjaciela na czele rycerstwa z województwa rawskiego. Pokazały się znaczne siły Niemców. Była to nie tylko piechota liniowa pruska, ale nadto uzbrojeni mieszkańcy miasteczek, owi „Holendrzy i Niemcy...”. Siły te znacznie przewyższały co do liczby armię Amilkara, ale jazda rawska rzuciła się na tłum nastawionymi lancami, niewiele sobie robiąc ze strzelania, i skutek był pewny: dziesięciu położono trupem, a pięćdziesięciu zagarnięto w niewolę.

W tym samym czasie główny korpus wojska generała Dąbrowskiego nieustannie szedł naprzód. Znajdował się już na wysokim brzegu Wisły, skąd widać było po tamtej stronie rysujące się w dwumilowej odległości mury Grudziądza i Kwidzyna. W przedniej straży, która zostawała pod ogólnym naczelnictwem generała Niemojewskiego, szedł regiment jeźdźców poznańskich pospolitego ruszenia pod Dziewanowskim. Tam właśnie kwitł Rafał Olbromski.

Już pod Nowem, na brzegu Mątawy, ów regiment, dybujący zawsze na sztychu, wpadł na mocny patrol czerwonych huzarów. Była to pierwsza utarczka Rafała. Mało z niej odniósł wrażeń. Z dala ujrzał jeźdźców w burki owiniętych, przemokłych, wskakujących na koń w popłochu. Rzucił się za innymi naprzód, dobywszy pałasza, ale jeno przecwałował w kupie ze dwa stajania pola. Prusacy odrąbując się, strzelając z rzadka, gdyż mieli, widocznie, broń zamokłą, cofnęli się ku miastu na rozkiełznanych koniach pod osłonę piechoty i armat. Później dopiero Olbromski dowiedział się, że wzięto kilkunastu jeźdźców — i z podziwieniem oglądał pośepnych, bezbronnych, milczących chłopów niemieckich, gdy ich miano odstawić w kierunku na Bydgoszcz. Podobnie pomyślna gratka trafiła się poznańskim kawalerom pod Opaleniem, czyli Minsterwaldem, gdzie jazda dziewanowczyków dopadła i wzięła w jasyr 16 dragonów i ośmiu piechura z przedniej straży pruskiej.

Tegoż jeszcze dnia przyszło do bitwy. Dywizja polska musiała się w niej cofnąć przed nieprzyjacielem, który z drugiego, prawego brzegu Wisły przeszedł po lodzie. Grad kul sypała artyleria konna pruska, stojąc na prawym brzegu rzeki, w młodą piechotę polską. Batalion pierwszy regimentu trzeciego pod wodzą Fiszera i batalion pierwszy regimentu czwartego pod pułkownikiem Wasilewskim zostały napadnięte bagnetem. Pomimo całej nieumiejętności, braku skałek i nabojów młode wojsko zdołało bronić się przez cały dzień i odpierało napaść, ile mogło. Pierwszy to raz sześciu trupów, poległych na placu, nocną porą zakopała wiara w zmarzłą grudę. Kilkudziesięciu rannych wyniesiono z szeregów.

Runęła już była między wojska wieść o strasznej bitwie pod Pruską Iławą. Wieść wychwalała ten bój jako zwycięstwo. Toteż nowy duch wstąpił w wojsko polskie, które przez zawieszenie blokady Grudziądza, przez wsteczny ruch wojsk prawego brzegu Wisły, mając odsłonięte i wskutek zamarznięcia Wisły bezbronne prawe skrzydło, musiało było skoncentrować się o trzy z górą mile od Bydgoszczy, w Świeciu. Po rozpoczęciu około 15 lutego ponownego oblężenia Grudziądza, przy czym dwie kompanie batalionu Fiszera przeszły pod gradem kul Wisłę i przyczyniły się do zdobycia twierdzy, generał Dąbrowski ruszył znowu naprzód. Stał wreszcie kwaterą w Gniewie nad Wierzycą. Stare mury, fosa wodą napełnione dawały tu niejaką nadzieję obrony. Mocne posterunki wysłane zostały na trakt bydgosko-gdański ku Tczewu i na drogi do Starogardu, ponad jezioro zwane Staw, ponad Wiejskie Jezioro do Rakowca, do Białej czyli Gellen, i do Królówlasu (Königswalde) nad rzeką Jonką. Z Gniewa do Gdańska zostawało jeszcze sześć mil drogi bronionej.

Wojsko spoczęło i miało tu przebyć czas pewien na leżach. Tylko 56 rycerstwa z jazdy sieradzkiej, która była przebyła Wisłę, żeby wziąć udział w bitwie pod Kwidzynem dnia 11 lutego, gdzie marszałek Lefebvre pobił na głowę generała Roquette, nie wróciło na miejsce swoje.

Niedługo jednak zostawiono Dąbrowskiego w spokoju. Już 18 lutego Prusacy z dużą siłą 3 000 ludzi napadli zarówno z prawego flanku na Starogard, w równinach między lasami na prawym brzegu Wierzycy, jak również i na Peplin. W Starogardzie tego właśnie dnia stanął korpus generała Menarda w sile sześciu tysięcy ludzi, przeznaczony do wzmocnienia generała Dąbrowskiego; w odległości niespełna dwu mil od tego miasta stał pułk Dziewanowskiego. Posłyszawszy strzały Dziewanowski pchnął szwadron ze swego regimentu pod wodzą porucznika Łojewskiego. Oddział ów szedł ze wszelkimi ostrożnościami, mając o 200 kroków przed sobą kwatermistrza dowodzącego tak zwaną szpicą.

Dragoneria pruska wypadła z lasu i obces, zwartym szykiem, rzuciła się na ów oddział. Jeźdźcy polscy, uzbrojeni w lance, nastawili się proporcami i skoczyli na nieprzyjaciół z taką furją, że dwu położyli trupem, a piętnastu wzięli do niewoli. Sam pułk Dziewanowskiego był w tymże czasie atakowany przez regimenty jazdy. Dzień był ohydny. Bił w oczy śnieg z deszczem, wicher niósł słotne chmury po samej ziemi. Z mroku, z lasów niewidzialnych w zamieci, jazda pruska wyrwała się jak nowa chmura. Pułkownik, trzymający swoich w pogotowiu i czuwaniu od chwili wysłania Łojewskiego, mógł dać dragonom silny odrzut, ale w regularnym starciu świeżo zebrana jazda nie mogła wytrzymać długiego natarcia umiejętnie ćwiczonej kawalerii pruskiej. Wszczęło się zamieszanie. Jeźdźcy rąbali szablami na odlew, z ramienia. Żołnierz polski walczył przeważnie lancą.

Gdzie mógł kupą się rzucić w skok z nastawionym proporcem, tam wywracał cały hufiec; Prusak zlatywał z konia albo chwycił się ostatniej obrony kawaleryjskiej: palił z pistoletów i umykał. Część dragonów została odparta, odpędzona aż pod baterie, wegnana za nie i znikła w tumanach zawiei. Wszelako i z polskiej strony były straty. Jeśli tylko dragoneria mogła nagle a sprawnie uderzyć pałaszem, pędząc z kopyta i wbijając się między konie polskie, tam zapewnione miała zwycięstwo. Z pistoletów i sztucerów ubito kilkanaście koni. Rafał wywijał tego dnia szabliskiem co się zowie. Nacierał już dwakroć i odrębywał się sprawnie. Nieszczęście jednak stało tego dnia przy nim. W mroku i wicherze, zapędziwszy się samotrzeć w starciu z kilką dragonów, nie spostrzegł, co się dzieje, i został otoczony. Ze zgrozą rzucił spojrzenie na bok, w tył... Dragony nań zewsząd z szablami. Obok niego jeno trębacz i trzech rycerstwa! Chciał się w ostatniej minucie rzucić w lukę między ludźmi. Zdarł konia. Do pistoletu! Wszystko za późno. Pierwszego trębacza chwycił dragon za kark i wykręcił mu w tył rękę. Wraz jemu samemu kilku ciosami obezwładnili ramię i wydarli pałasz. Wreszcie i trzech towarzyszków ściśnięto kołem i odebrano im lance.

Najstraszniejszy wstyd i głęboka rozpacz buchnęły w piersi jeźdźca. Miał jeszcze w olstrach pistolety, a dragonów było ledwie kilkunastu. Wzięli jeńców we środek i co koń skoczy popędzili środkiem mokrego pastwiska kierując się w stronę Starogardu. Właśnie sypnęły krupy śnieżne i cała ziemia utonęła w kurniawie. Kiedy tak rwali z kopyta i kiedy właśnie z moczaru wypadli na trakt starogardzki, raptownie — tętent — krzyk:

— Bij! zabij!

Dragony wyrwały szable i w bój! Rafał co tchu w piersi szarpnął rękę, wydarł się, sięgnął w mgnieniu oka po pistolet i pierwszemu kawalerowi z brzoza huknął w łeb, przyłożywszy otwór lufy niemal do ucha. Szarpnął wodze, ostrogi w bok, wykręcił na miejscu i piersiami końskimi uderzył w najbliższego Niemca. Dym zasłonił mu obrót sprawy. Wypadł ze środka. Za nim wrzała utarczka. Prusacy rozpierzchli się, słychać było szczęk walki i chlustający plusk wody po błoniu. Olbromski nie oglądał się poza siebie. Gnał pustkowiem, aż zdało mu się, że cała łąka pierzcha pod jego koniem. Dopiero w przyległym lesie wstrzymał się i stanął. Koń jego robił bokami. Zgrzany od ognia, trwogi i biegu dymił się teraz kłębamii pary. Sam jeździec mokry był, jakby ze stawu wyłazł. Serce waliło mu w żebra jak dobosz w bęben. Wrzawa jeszcze trwała. Słychać było w lasach i mgłę od Starogardu piorunowe loskoty strzałów i ciągle echa leśne, jakoby posępne jęki puszczy. Po długiej chwili nasłuchiwania Rafał stwierdził nareszcie z radością, że gwar cichnie i znika w oddaleniu. Wtedy wolno ruszył przez las i po długich

błądzeniach dotarł do jakiejś wioszczyzny. Tam życzliwie przyjęty od włościan, powziął wiadomość o drodze do Peplina i trafił do swego szwadronu. Gdy przybył na miejsce, z niemałą radością dowiedział się, że jego trzej towarzysze wraz z trębaczem są już na miejscu, odbici z niewoli przez podjazd młodego pułkownika Jana Dąbrowskiego, i że on sam jednemu z eszelonów tego podjazdu winien jest swoje ocalenie.

Po odepchnięciu natarcia Prusaków od Starogardu i Peplina przez tydzień trwały mało znaczące utarczki forpocztów, osobliwie na lewym skrzydle. Przednie straże, prowadzone przez poruczników, podporuczników i chorążych regimentowych, wyjeżdżały małymi komendami w kraj i czyniły wywiady. Tu i owdzie, skoro tylko było to możliwe, zabierano ze sobą burmistrzów i amtmanów, żeby od nich powziąć wiadomość o stanie okolic i sile wojsk pruskich, rozlokowanych na drogach ku Tczewu.

Po upływie tych kilku dni generał Dąbrowski zdecydował się na krok stanowczy. W dniu 23 lutego wykonał atak na miasto powiatowe Tczew, o trzy mile odległe od Gdańska a stanowiące niejako klucz tej fortecy. Głównymi punktami koncentracji sił niemieckich poza murami Gdańska był właśnie Tczew (Dirschau), Miłobądz (Mühlbanz) i Skarszewy (Schöneck) nad Wietcisą, rzeczką zasilającą wody Wierzycy o dwie mile ku północy od Starogardu. Siły polskie i pomocnicze francuskie pod dowództwem Menarda wypoczywały na leżach w Gniewie, Peplinie i Starogardzie. Ostatni posterunek wzmocniły właśnie w ciągu tych dni: regiment badeński, jeden batalion młodej piechoty krakowsko-kaliskiej z legii północnej Zajączka oraz dwie armaty. Generał Dąbrowski stał kwaterą w Gniewie, a przednia jego straż koczowała na traktach bydgosko-gdańskich sięgając do Gręblina na wysokości lewego brzegu Wisły. Ta straż przednia składała się z regimentu jazdy poznańskiej, z czterech kompaniów strzeleckich i miała ze sobą cztery armaty. Ruch, wykonany w dniu 23 lutego, rozpoczął z rozkazu głównodowodzącego, Jana Henryka Dąbrowskiego, generał Menard.

Wyruszył mianowicie ze wszystką swoją siłą ze Starogardu na Skarszewy gościńcem starogardzko-tczewskim, wyparł nieprzyjaciela ze Skarszew i pewnej części swojej dywizji kazał je zająć. Sam pociągnął dalej. Przednia jego straż pod sprawą generała Putod, składająca się z dwu batalionów polskich i z jazdy badeńskiej, uzbrojona we cztery granatniki i jedną armatę, miała rozkaz zawrócić na północ i zagrozić drogę siłom, które by z Gdańska na odsiecz Tczewa śpieszyć mogły. Była to pierwsza kolumna wojska atakującego. Z Gniewa i Peplina szła druga, to jest korpus wojska generała Dąbrowskiego pod „Amilkarem”. Oprócz tego jeden batalion zdążył do Tczewa drogą prowadzącą z Rajkowy na Czyżykowo (Zeisendorf). Pierwsza kolumna, czyli lewe skrzydło, jak to przewidział Dąbrowski, wnet spostrzegła siły pruskie ciągnące z Łęgowa (Langenau), miejscowości o dwie mile odległej od Gdańska, bitym traktem tczewsko-gdańskim. Wnet przednie straże francusko-polskie zetknęły się z Prusakami pod Dąbrową (Domerau). Generał Menard pośpieszył na miejsce, a za nim cała jego komenda.

Zawrzała bitwa.

W tym samym niemal czasie prawe skrzydło uderzyło na szańce Tczewa. Piechota niemiecka, ukryta za starymi wałami, raziła napadających ogniem plutonowym, a dwie armaty, ustawione na prost traktu w bramie północnej, czyli Gdańskiej, oczyszczały drogę. Wnet jednak pod silnym impetem napaści strzelców polskich obrońcy wałów musieli cofnąć się na przedmieścia. Wypadło zdobywać miasto wstępnym bojem. Żołnierze pruscy i uzbrojeni mieszkańcy, zaczajeni w dymnikach, we drzwiach, sieniach, oknach, za węglami, strzelali bez przerwy. Szef sztabu, Maurycy Hauke, na czele grenadierów i woltażerów poznańskich uderzył na te domy bagnetem. Idąc na kule, w gęsty dym, zdobywano dom po domu, stodołę po stodołę. Major Sierawski z batalionem pierwszego regimentu piechoty pośpieszył im na pomoc. Niemcy ustąpili z lichych domostw przedmiejskich, ale uchodząc zapalili te wszystkie szopy i budy, żeby uniemożliwić dostęp do bram. Brama zachodnia zawarła się przed atakującymi, którzy teraz wystawieni zostali na strzały zza murów, a sami wili się między zgłiszczami jak w piecu ognistym.

Przy bramie Gdańskiej, gdzie Prusakami dowodził major von Bothe, wrzała walka tym ciętsza, że tam były bez przerwy armaty sześćofuntowe i strzelała piechota liniowa. Generał Niemojewski i sam wódz naczelny wszelkich dokładali starań, żeby złamać wejściowe wierzeje. Z dachów, ze strzelnic, z dziur, dymników leciały na oblegających kule i ogień kartaczowy. Cztery armaty i dwa granatniki pod komendą porucznika Cha-

relot krok za krokiem zbliżały się do tej bramy północnej. Drugi batalion regimentu piechoty, dybiący śladem tych armat, wytrzymywał z flegmą i stałością wszystkich ogień obrońców. Nareszcie porucznik Charelot zbliżył się tyle, że mógł wśród gradu kul ustawić dwie swoje haubice naprzeciwko bramy i zaczął w nią pracować na wylot, raz za razem. Ale stara brama nie puszczała. Walka z całą zaciętością ciągnęła się już sześć godzin. Trzydzieści trupów zaszło drogę prowadzącą do Gdańskiej bramy, a sześćdziesięciu ciężko rannych wilo się w rowach, pod przykopami, wśród zgliszcz. Dwunastu oficerów ciężko rannych wyniesiono z placu boju.

Kiedy tak ciężko walczyło pod dwiema bramami wojsko polskie i kiedy ciągle grozi mu niebezpieczeństwo odsieczy z Gdańska, gdyby Menard został pobity, zdarzył się wypadek, który na los oblężenia wpłynął od razu i decydująco. Miasto Tczew posiadało trzy bramy: Młyńską czyli Gdańską na północy, Wodną czyli Wiślańską na południu i Wysoką na zachodzie. O istnieniu bramy Wodnej nikt z oblegających nie wiedział. Z tej strony miasta, między ogrodami, wśród parowów stały tylko tu i owdzie na wyższych miejscach pikiety i podsłuchy polskie. Żywego człowieka nie było w całej okolicy. Błąkał się tylko ponad Wisłą jakiś niedorostek obdarty i półnagi. Kiedy zbliżył się do podsłuchu i był zapytany, co jest za jeden i czego tu łązi, odpowiedział, że jest świniarkiem, że służy u jakiegoś Steltnera i że ojcu jego na przewisko Ćwikliński. Skarżył się z bekiem, że go pan zbił i wygnał z domu. Ojcu, powiadał, boi się pokazać na oczy, panu to samo. Nie ma już teraz dachu nad głową. Idzie przed siebie i tyła. Ponieważ był z miasta i znał je wybornie, zaczął mu zadawać pytania. Wtedy rzekł:

— Oj, ludzie, ludzie!... Wy tam strzelacie z przodka, a tu od Wisły miasto całkiem gołe.

Rozpytano go szczegółowo i wtedy jasno wyłożył, że brama Wodna nie ma żadnej straży.

Pikiety odstawiły chłopca do czat, te podały go dalej, aż stanął przed obliczem generała Dąbrowskiego, który z wyniosłości pagórka pod Sztembargiem przypatrywał się kolejom bitwy i lustrował okolicę. Wysłuchawszy powieści chłopca generał kazał podwoić ogień na bramę północną i zachodnią. Młody książę Sułkowski, ranny już, na czele drugiego batalionu regimentu pierwszego, i major Brucken, jako dowódca piechoty badeńskiej, natarli z całą forsą na bramę Gdańską. W tym samym czasie generał Dąbrowski, wzięwszy ze sobą batalion majora Sierawskiego i batalion pułkownika Fiszera, ruszył chyłkiem według wskazań Ćwiklińskiego. Po wertepach, dołach, parowach, przesadziwszy płoty ogrodów, parkany i rowy, dotarł do Bramy Wodnej, czyli Wiślanej. Brama w istocie była na poły zepsuta i bez obrony. Bataliony wyłamały ją, weszły do miasta, przebiegły tylne ulice i z nastawionym bagnetem rzuciły się na osłupiałych Niemców.

W tej samej chwili zdruzgotane kulami wierzeje Bramy Gdańskiej runęły i wojsko z północy wdarło się do miasta. Prusacy strzelali z okien i ze drzwi. Wreszcie kiedy i bramę Zachodnią rozwalono, załoga w sile pięciuset ludzi z dowódcą poddała się. Zabrano działa. Kiedy po dokonanej kapitulacji Dąbrowski wjeżdżał na główną ulicę miasta, w pobliżu kościoła katolickiego św. Krzyża z okna kamienicy padło kilka strzałów. Jeden z tych zdradzieckich pocisków ranił generała w nogę. Rozjątrzone wojsko rzuciło się na ten dom i przetrząsnęło jego wnętrze nie szczędząc nikogo. Chwymano niewolnika, zabierano bagaże i broń, uprowadzano konie albo zabierano z nich uprzęż, ściągano wozy do przewiezienia z pola rannych, chromych i osłabłych. Stały wreszcie wojska w mieście. Rozeszła się wśród nich wieść, że opanowane są Skarszewy i Miłobądz, a nieprzyjaciół z pośpiechem cofnął się w mury fortecy. Wtedy jeden okrzyk rozległ się w szeregach:

— Na Gdańsk! ku morzu!

Podstęp, Dziecko,
Zwycięstwo, Walka, Miasto

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/popioły-tom-drugi>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Żeromski, *Popioły*. Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku, Tom II, Spółdzielnia Wydawnicza "Czytelnik", Warszawa 1953.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Paulina Oltusek, Wojciech Kottwica.

Okładka na podstawie: Rocky Lubbers@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-1051-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).